

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki — mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena 4,00 zł



AKCENT nr 4 (70) 1997

a

4

4 (70) 1997

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



Poeci przed pierwszą książką • Pisarze z Lublina (Mazur,
Giszczak, Kozak, Próchniewicz, Wierzbicki) • Polacy i Żydzi
• Eseje o Herbercie, Kuncewiczowej, Kosińskim, Kuśniewicz

akcent

a

rok XVIII
nr 4 (70) 1997

akcent

Współprace literackie: Andrzej Walicki, Piotr Marjański, Zdzisław M. Białecki, Grzegorz Kąkolowski, Artur

literatura i sztuka

- Wojciech Kłopotowski / 3
Marek Gajda / 33
Sław Męcar / 36
Lidia Dąbajko / 37
Lidia Dąbajko / 38
Wojciech Kłopotowski / 39
Lidia Dąbajko / 40
Lidia Dąbajko / 41
Lidia Dąbajko / 42
Lidia Dąbajko / 43
Lidia Dąbajko / 44
Lidia Dąbajko / 45
Lidia Dąbajko / 46
Lidia Dąbajko / 47
Lidia Dąbajko / 48
Lidia Dąbajko / 49
Lidia Dąbajko / 50
Lidia Dąbajko / 51
Lidia Dąbajko / 52
Lidia Dąbajko / 53
Lidia Dąbajko / 54
Lidia Dąbajko / 55
Lidia Dąbajko / 56
Lidia Dąbajko / 57
Lidia Dąbajko / 58
Lidia Dąbajko / 59
Lidia Dąbajko / 60
Lidia Dąbajko / 61
Lidia Dąbajko / 62
Lidia Dąbajko / 63
Lidia Dąbajko / 64
Lidia Dąbajko / 65
Lidia Dąbajko / 66
Lidia Dąbajko / 67
Lidia Dąbajko / 68
Lidia Dąbajko / 69
Lidia Dąbajko / 70
Lidia Dąbajko / 71
Lidia Dąbajko / 72
Lidia Dąbajko / 73
Lidia Dąbajko / 74
Lidia Dąbajko / 75
Lidia Dąbajko / 76
Lidia Dąbajko / 77
Lidia Dąbajko / 78
Lidia Dąbajko / 79
Lidia Dąbajko / 80
Lidia Dąbajko / 81
Lidia Dąbajko / 82
Lidia Dąbajko / 83
Lidia Dąbajko / 84
Lidia Dąbajko / 85
Lidia Dąbajko / 86
Lidia Dąbajko / 87
Lidia Dąbajko / 88
Lidia Dąbajko / 89
Lidia Dąbajko / 90
Lidia Dąbajko / 91
Lidia Dąbajko / 92
Lidia Dąbajko / 93
Lidia Dąbajko / 94
Lidia Dąbajko / 95
Lidia Dąbajko / 96
Lidia Dąbajko / 97
Lidia Dąbajko / 98
Lidia Dąbajko / 99
Lidia Dąbajko / 100
Lidia Dąbajko / 101
Lidia Dąbajko / 102
Lidia Dąbajko / 103
Lidia Dąbajko / 104
Lidia Dąbajko / 105
Lidia Dąbajko / 106
Lidia Dąbajko / 107
Lidia Dąbajko / 108
Lidia Dąbajko / 109
Lidia Dąbajko / 110
Lidia Dąbajko / 111
Lidia Dąbajko / 112
Lidia Dąbajko / 113
Lidia Dąbajko / 114
Lidia Dąbajko / 115
Lidia Dąbajko / 116
Lidia Dąbajko / 117
Lidia Dąbajko / 118
Lidia Dąbajko / 119
Lidia Dąbajko / 120
Lidia Dąbajko / 121
Lidia Dąbajko / 122
Lidia Dąbajko / 123
Lidia Dąbajko / 124
Lidia Dąbajko / 125
Lidia Dąbajko / 126
Lidia Dąbajko / 127
Lidia Dąbajko / 128
Lidia Dąbajko / 129
Lidia Dąbajko / 130
Lidia Dąbajko / 131
Lidia Dąbajko / 132
Lidia Dąbajko / 133
Lidia Dąbajko / 134
Lidia Dąbajko / 135
Lidia Dąbajko / 136
Lidia Dąbajko / 137
Lidia Dąbajko / 138
Lidia Dąbajko / 139
Lidia Dąbajko / 140
Lidia Dąbajko / 141
Lidia Dąbajko / 142
Lidia Dąbajko / 143
Lidia Dąbajko / 144
Lidia Dąbajko / 145
Lidia Dąbajko / 146
Lidia Dąbajko / 147
Lidia Dąbajko / 148
Lidia Dąbajko / 149
Lidia Dąbajko / 150

kwartalnik

1997

Redaguje kolegium

MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA

LECHOSŁAW LAMENSKI

WALDEMAR MICHAŁSKI (sekretarz redakcji)

DOMINIK OPOLSKI

KRZYSZTOF PACZUSKI

PAWEŁ PRZYWARA

TADEUSZ SZKOŁUT

BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)

BOHDAN ZADURA

Kierka

Janina Hosiak

Redakcja i druk
Zawawa Katowicka

Konieczna kolokacja
Janina Hosiak

Czasopismo wydawane przy wsparciu ekonomicznym
Wydziału Kultury i Sztuki
Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie
ORAZ
Ministerstwa Kultury i Sztuki

Numer 4/1997 zrealizowano przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego w Lublinie

PL ISSN 0208-6220
NR INDEKSU 352071

© Copyright 1997 by „Akcent”

Poeci przed pierwszą książką

WIESŁAW BARTNIK

Pilot

SPIS TREŚCI

- Poeci przed pierwszą książką:** Wiesław Bartnik, Piotr Machal, Grzegorz M. Baczewski, Grzegorz Kozłowski, Artur Chlewiński, Radosław Szczęsny, Anna Karwat / 7
- Alina Kochańczyk: *Kazimierz Marii Kuncowiczowej* / 23
- Janek Giszczak: *33 obroty na minutę* / 31
- Ewa Maszar: *wiersze* / 36
- Lidia Dziedzic: „*Stare dobre czasy*” albo *idylla w powieściach Andrzeja Kubiewicza* / 39
- Janusz Styczeń: *Mroczny przedmiot rozmowy* / 47
- Leszek Teusz: *Opóźnienia gatunkowe słuchowiska: „Drugi pokój” Zbigniewa Herberta* / 53
- Alfred Wierzbicki: *wiersze* / 66
- Wojciech Próchniewicz: *Oko zła* / 68
- Dorota Horoch-Goszczycka: „*Nie starczy życia, aby tam wrócić*” / 82
- Marek Skwamnicki: *wiersze* / 91
- Sławomir Żurek: *Zydowski miasteczko w poezji Arnolda Słuckiego* / 99
- Kamila Barszowska: *Małe prozy* / 106
- Maciej Melecki: *wiersze* / 112
- Tomasz Majeran: *Niebezpiecznie blisko* / 115
- Romaald Jakub Wexler-Waszkinet: *Niedobre dzieciństwo wieków* / 116

PRZEKROJE

Józef Fert: *Co zrobić z Czechowiczem?*; Lidia Dziedzic: *Metafizyka zmaterializowana*; Tadeusz Szkołut: *Po co człowiekowi potrzebny jest naród?*; Waldemar Michałski: „*Powrót*” Adama Zielińskiego; Aleksandr Iwanow: *Wykładanie z akumulatora cierpienia*; Andrzej K. Waśkiewicz: *Powaga* / 125

PLASTYKA

Lechosław Lameński: *Magia sztuki Janusza Przybylskiego* / 141

Magdalena Pokrzycka-Walczak: *Ocalony świat Stelmę Normberga* / 146

FILM

Alojzy Michałski: *Obraz pogranicza w pracach Zygmunta Samosztuka* / 149

TANIEC

Dariusz Kubinowski: *Tradycyjny i współczesny folklor taneczny. Spór o pojęcia* / 154

OBYCZAJE

Alina Szala: *Początki amerykańskiej kariery Jerzego Koscińskiego* / 160

ROZMOWY

Wokół „Wyboru Zefira” Williama Styrona – po latach. Rozmawiają Andrzej Górny, Ryszard K. Przybylski i Sergiusz Sterna-Wachowicz / 176

RELACJE

Leon Dyzewski: *O lepszą przyszłość dla gorzkiego sąsiedztwa* / 181

Bogusław Wróblewski: *Sztuka rozmowy* / 186

NOTY

Monika Adamczyk-Garbowska: *Chone Shmeruk* / 188

Ryszard Lów: *Prus w domenie hebrajskiej. Rekonesans* / 190

Stanisław Bask-Mostwin: *Polacy i Żydzi. Spotkania na drogach męczeństwa* / 193

Jan Lewandowski: *O literaturze polskiej w Estonii* / 195

Wanda Karpińska: *Z białą misją do Afryki* / 197

Poeci przed pierwszą książką

WIESŁAW BARTNIK

Pilat

Ponieważ – nie znajduję w nim żadnej ludzkiej winy

Ponieważ – jestem Rzymianinem

Ponieważ – nie rozumiem urojęń tego człowieka

Ponieważ – mówię niedorzecznie bez obalności o jasność

Ponieważ – dość mam tutejszych pomyłeczów

Ponieważ – według Prawa powinien on umrzeć bo sam siebie uczynił synem bożym

Ponieważ – łatwiej niebo i ziemia przemijają niżby jedna kreska miała odpaść z Prawa

Ponieważ – cóż jest prawda

Ponieważ – zabijanie winnych nie nie zmienia

Uwalniam – brata naszego Barabazę

Judasz w drodze na Górę Oliwną

... stało się. Idę z nimi. Mój los
powierzony cudzej woli wraca we mnie
i znów sam dźwigam ten ciężar. Kilka słów
a wszystko się odmienia... kilka słów tylko...
lecz wypowiedzieć je, otworzyć wreszcie wrzód
w ukrywany przed Jego spojrzeniem...

O, Rabbi. Dlaczego ja...

kazdy z nas myślał... o Tym

odkąd zaczęłaś przerażać

bardziej

niż budzić podziw...

... nikt się nie wazył.

... wiem, przejrzałeś moją zuchwałość

o której nic nie wiedziałem wcześniej

i to Twój uśmiech nie to liłość

ni zachęty utwierdził mnie...

Mistrzu, widzę miecz wznieśliony

wykuty ze słów miłości

przynosisz nam tyko nowo śmierci oblicze

nieznane jeszcze...

w twrodzie jest dusza moja...

...nie mogłem zostać
nie mogę odejść, wracam
rozpoznać Cię jeszcze raz,
na moje podobieństwo.
...mój czas nadzieje nieuchronnie
gdy Twoja prawda
przemienie.

Shoah

Każdy naród pragnie wybrać siebie
i swojego Boga
spśród innych narodów i Bogów
lecz wybrany może być tylko jeden
i Ten wybiera wszystkich
przeciw sobie.

Choć może zdarzyć się wszystko (naprawdę)
nie ma przypadku i nie ma litości
w radosnej wędrówce ludów poprzez czas.
Wybranych wybrał czas – wyrwany
z serdecznego uścisku
oswajanej przez pokolenia przestrzeni.
Żywił tułaczki i śmierci.

Obco
nigdy na stałe
bezdomicie.

Jak wrosnąć
w hiszpański czy polski krajobraz
gdy ludzki ziem przeraża
naga twarz ich blabego losu,
ktoś odslania im nasz ufny śpiew.

Jak wrosnąć
gdy nasza dziedzina
rozsadza granice każdej realnej przestrzeni
bo jest przestrzenią gorącego Mita.

Jak wrosnąć
jeśli Mit, który daje życie
trwa – dopóki oddziela.

Nie ma przypadku i nie ma litości.
Nie ma jej w nas i nie żądamy jej.
Nie ma narodów bez narodu wybranego
więc w lasach północy kielkował
inny Mit.

Róś powoli, ale pewnie
w hartowanym żelazie
i w sanktuarach filozofów
aż dojrzał do
rozumnego szaleństwa.

To teutoński miecz dokonał tego
o czym śniła leżąca stara Europa
i wypelnił się – wybrany
wybrał wszystkich przeciw sobie.
To płomień z ładzkich szczap
doiegnął

Świętego Ciała Miłu
i obcecił je w popiół
co jadłem syci ziemię Izraela
aż przemienił ją w pustynię.

Tak jałowa dziedzina
rozszerza swoją władzę
w głąb wzniesionego serca.
Tak zbrodnicza czyli Mądrość
karmi naszą krwią głębię
pod nieznaną owoc.

Nie ma narodów bez narodu wybranego
i nie ma Historii.

W hermetycznym przestworze
pomiędzy Kainem a

Pustką
i r w a
mechaniczni kolotwórzy i dni.

W pancernych kasach Białych Domów
nasi bracia we władzy ukryli wstydliwie
niewiarogodne wieści z północnych krajów,
nie nie chcą wiedzieć o własnej niewiarogodnej
naturze (wciąż liczą na tajny układ pokojowy
z ciemnością).

Żywi bracia w plemienu kupczą naszą śmiercią
i z lichych od popiołu budują przemocą
najbardziej ziemskie z państw.
Ich nieprzedawniona pamięć
nie zna błędną przebaczenia.
Ich dociekliwa zemsta odnajduje
wciąż nowe zastępy winnych,
w końcu zostaną zupełnie sami (jak my):

skamieniałym w archyuszonym oskarżeniu
z cudzej winy pijący siłę trwania
jedyni mieszkani
tylko na ofiarę zdani
raz jeszcze.

Patrzę na ruiny Myken
poród ruin wzgorz
aż moję pustę serce wzbiera czułością
bo wreszcie wiem że:
Tak jest dobrze.

Ponieważ nie może być inaczej
ponieważ „inaczej” istnieje tylko w wyobraźni

Tak jest dobrze.

Od kiedy JEST i POWINNO znaczy to samo,

Lublin 1986, Między 1990

PIOTR MACHUL

Przyjaciel z dzieciństwa

gdy byłem małym chłopcem
zastanawiałem się czy zwierzęta
będą zżawione

na wszelkie wypadek ochrzciłem
swojego ulubionego kota

zaraz potem uciekł
może nie chciał być
chrześcijaninem

albo nie podobała mu się
zawiazana zbyt mocno na szyi
czerwona kokarda

Truskawki

z dzieciństwa został obraz
skup truskawek w Żyrardowie
chodziłem tam z babcią
każdej nocy wczesnego lata
to był raj dla dziecka
to był czyszciec dla żołądka
to było piekło dla pęcherza
góry i pagórki truskawek

nie ma już Ruskich
(mają swoje truskawki czy co)
nie mam już babci
(jest u sprawiedliwego Boga)
truskawki kupuję mrożone
w delikatesach
czasami powraca ten obraz
jak mały chłopiec
zamykam się wtędy w pokoju
żeby nikt nie widział
moich czerwonych łez

Wiesz Bartnik

Wiesz Bartnik

Wiesz Bartnik

gdy nikt nie patrzył
(poza sprawiedliwym Bogiem)
zniechęcałem wartość odważnika
z Sévres pod Paryżem
po niebie latały samoloty
widać było tylko czerwone światła
na skrzydłach
takie małe świecące truskawki
to Ruscy mówili babcia

nie ma już Ruskich
(mają swoje truskawki czy co)
nie mam już babci
(jest u sprawiedliwego Boga)
truskawki kupuję mrożone
w delikatesach
czasami powraca ten obraz
jak mały chłopiec
zamykam się wtędy w pokoju
żeby nikt nie widział
moich czerwonych łez

Chociażyż...

Ocalone

mogłabyś pozować Rublowowi
wien on nie potrzebował modelek

mogłabyś tańczyć dla Degasa
on byłby wiatrem w twoich włosach

mogłabyś zastąpić
pod zimnym dłem rzeźbiarza
albo pod moją dłońią

mogłabyś
wasze oczy
mają dziwny blask
za późno
mówią chłodno
za późno przychodzisz

Kanał Lelecki – Kanał Tałcki

tego ranka Duch Święty
nie był gołębią
ale czapłą siwą
(zielone światki w trzcinach)

opadały mgły i złudzenia
czarna jak diabeł wydra
chodziła po nabrzeżu
kot bóg egipski
bawił się na pomoście
plynęliśmy prosto
w ramiona jeziora
ku miastom umarłym
ku wyspom szczęśliwym

Z Vermeera

dziewczyna czyta list
spójrz na twarz
ach twarz
za twarzą stoi Bóg
musisz wszystko zmienić

Piotr Machal

Przyjaciel z dzieciństwa

GRZEGÓRZ MARCIN BACZEWSKI

Skok Immanuela Kanta

— Kartkuje pańskie dzieło
Krytykę czystego rozumu
Znajduję beznamytnie formuły.
A przecież jest pan romantykiem.
Niech pan zerwie z mostu.
Ten skok nie udowodni
że czas i przeszłość to złudzenie.

Sztuka

Powiadasz Fidiaszku
że dla sztuki
zabiles wędrownego kormorana
a ograbiwszy go z formy
wypchałeś trocinami.
Skradzioną formę
drżącymi dłońmi
złożyłeś na twarzy kamienia.

Kamień zapłakał
Nigdy nie pragnął zostać ptakiem.
Jesinią odfrumął do krainy kamiennych kormoranów.

Powiedz Fidiaszku
czy warto
przelewać chwilowość ciała
w wieczystość rzeźby?

I tak zostanie tylko
wypchana trocinami idea.

Kuszenie świętego Augustyna

— Spójrz Augustynie, znowu jesień!
Kolory zleciały się jak motyle.
Lasy pachną igliwiami i liśćmi.
Grzyby piegają.
W sadach tańczą grusze.
Chodźmy kraść owoce.

Patrzysz na mnie zakopotany.
Klasyczysta łacińską odpowiadasz,
że już nie lubisz kradzionych gruszek,
że boli cie od nich sumienie,
że wyrośles z grzechu
jak z chłopcyców, krótkich spodenek.

Dedał.

Odlatujesz Dedała.
Długa droga przed tobą.
Skrzydła niecierpliwie furkocą
na wietrze.

Orle pióra sterczą
wbite w gęsty wosk.

Fruniesz nad czuprynami drzew,
nud delkami
próbującymi wzbić się w powietrze.
Ptaki i aniołowie przystają,
gwizdząc zadziwieni.

W Odcwieczone marzenie ludzkości
jest dla ciebie tylko sposobem ucieczki.
Żadnego romantyzmu.
Stuprocentowy realizm.

Myślisz o żonie
o synu Ikarze – małym brzdąku.

A słońce parzy coraz mocniej!!!

Grzegorz Marcju Baczewski

GRZEGORZ KOZŁOWSKI

Zimowa opowieść

w wabadzie zegara świt wije gniazdo,
oddycham ciężko, podłoga trzeszczy pod bosymi stopami,
chłód w głębi ziemi

pająk przetrzczył nade mną swą sieć,
pręży się, dumnie przemierza drogi swojego królestwa
pomiędzy sufitem a szafą,

grzeję ręce o kubek gorącej kawy,
gruby kołach zmielonych ziaren opada powoli, zamurza się
w ciemnej głębi, nabieram pełne garście
winującej pary,

w okiennicach pasprocie mrozu,
biela się zimowe grzybnie rozrosłe srebrem ostyży,
dotykam je opuszkami palców, czuję wilgotną taflę szyby,
przez roztopione kęgi przyglądam się światu...

7.02.96

Rozmowa II

(fragmenty)

kiedyś w rozmołkłych drogach przyglądaliśmy się sobie
w płamach kałuż, potem rzucaliśmy w ich serca ciężkimi
kamiemi, to były nasze studnie rozrosłe chmurą szarością,
pochylaliśmy się nad nimi oczekując jakiegosi daru z
człobotów głębin ziemi, jednak chmury to nie studnia, gdy
zawołasz echo ucieknie jak ważka

w lutym, a może było to w kwietniu, złożyłaś podanie o
przeźdźal usmiechu, umarł biały karzeł i zwołano się
miejsce, a potem był już tylko kolejny płomień świecy i
mdły smak kremu, na grzbiecie wyrosły ci maki, a w
ranach sól kwitła kryształami o nieznanym odcieniu...

• PIŁA CZŁOWIEKI

jak jabłka czerwienią się drogi, pod nogami tańczyły szare i
czarno-zielone kamienie, niczym pięgi na twarzy umarłych,
poderwały się nagle do biegu, motylom zabrakło
kolorowych hałek, usiadła więc na nosowym pniaku przy
drodze, czułaś nadchodzących ludzi i zapach żywicy...



ryc. Grzegorz Kozłowski

Sen jaszczurek

rude braki podziwiają jesień
męły czerwienią obejmują jawę
biegnę ścieżką borsuczych trópów
czuję zapach ziemi i rozstajów

strumień w dole brzech doliny liże
kamień tańczy w wirach słonecznych promieni

biegnę w ciszę usta swe przemienić
 ukryć oczu ogień przed żmij turokiem
 tęcza w góry wciśnięta się boleśnie
 jęcza jąry rozrośnięta jedliną
 biegnę w szalest liści cień swój rzucić
 sen jaszczurek na białach rozwinąć...

Grzegorz Kotłowski



ryłn Grzegorz Kotłowski

ARTUR CHLEWŃSKI

W trakcie czekania na książkę

Nadaj
 oczekuję w czytelni
 światełka –
 nad gładkami grzbiętami
 prostopadłościenną przyległości tomów
 przeliszczuję się wzrokiem
 aż po bezwiedność...

Bezpiecznie tu – właśnie zamieszkałem
 wśród bordowych okładek, zaparowanych
 ciepłem oceanów – na nich
 w kolorze cielistym
 wyspy i krańce kontynentów
 o gorącym klimacie... Jednak
 nie rozpoznaję jeszcze kształtów,
 żadnych więc nazw – tylko
 na moment – odzywa się
 we mnie śpokanie łąd
 i zalewanie obszarów
 skurczem serca...
 ekspansją narodów...

Dalej za
 ciekawością podróżnika idąc – z bliska
 odczytuje, że to obce ziemie
 – z pięknego
 wilińskiego wydania Meyers
 Enzyklopedisches Lexikon,
 to pęczkerze powietrza
 w foliowych obwolotach...

I ile tam – w tę niestyczność – przeszło
 z naszego oddechu

* * *

W zamierzym sadnie wdziałem
 jak przeciągając krótki dzień,
 – najbogodzenie – w pnia
 rozgałęzienie
 weszło
 brzoskwiniove światło.
 Lecz wcześniej – kiedy pod kątem
 lejącego się ze stagiwi wina
 pochylonej

splukiwałem ci włoty –
przejęło mnie w strudze karuku
owo na topór otwarcie –

Gdy mi zza płaców wyskoczyły
słonce,
to jakbym ocalał
bezwocnie

Od domu z daleka

Co to jest dla domu, choć się nie da nic ocalić
po to wracam nocami, wciąż latami tracąc
ciała kobiecego w smach
odpręsk lekkich, cierpki.

Lecz co to jest dla domu, tak trwale trą fale
o skorpupę z chleba, czy trafi tu wędrowiec
i wody nią zaczerpnie,
nim się brzeg osunie.

Zatem, co to jest dla domu, w deszczu grobli stan
aż o powietrza zadaszanie w rozgrzanych nozdrzach,
duchnące przed zlananiem
schody w jarnach ciała.

Nie wiadomo co to jest dla domu, mężna diot
trokiliwie sadząc drzewa, nad ziemię wznosi stal –
na wszystko jest odpowiedź;
gdzie rąba, leć drwa.

Jak może wokół być coś dla domu, skoro w nas
nieskruszona trwa potrzeba zadawania bólu –
w tkanki najczulsze bliskim
miłocię własnej ślać
taran

Żona sławnego kompozytora

Nieraz ze stoku zwracalem
dale na lotnisku w październiku,
gdy odprowadziłem siostrę z jej roczną
córką, przerezuć Fytypem –
inny ujrzałem szczyt...

Odwroćmi przy odprawie,
stali wytworni,

oboje w płaszczach; koncert – pomysłalem
albo wykład w Amsterdamie. I ścigałem
tę lawinę spojżenia
na malutkiego Fytypa
– z uśmiechem patrzyła

żona sławnego kompozytora
– przez chwilę pochylona nad korytką...
A kiedy swa postać od zabawy
tylko raz jaden
odwracała delikatnie, i bez machania – już
musieli iść – zamiętało życie.

Damuta Lutowska zmarła zaraz po Nim.

Przebysk

Świeża przestzeń
wzdłuż darcia kartki
za błyskawicą biegnie
– w pół słowa –

ANDRZEJ KARWIT

Artur Chlewiński

RADOSŁAW SAJCZEK

Pałac w czasie marszu

Akurat jeden z takich porunków że nie chce się tego ciągnąć
pałac więc bez zaciągania.
Chłodny listopad. 8.
Parę lat do końca wieku zatem deszcze coraz częstsze
czas upuszcza rezerwy już wie że wystarczy kropel.
Zastanawiam się czy zdążyć zastanawiam się
co zjem staram nie pytać się czy warto.

Pamiętać

Przecież nie zapomniałem. Po prostu w autobusach
myśli się zbyt dużo i zbyt mało się dzieje
by można przeżywać codzienność. Pamiętam
że jestem z gatunku z narodu z rodziny. Pamiętam

prawa ekonomii oraz doboru naturalnego. Wiem że wyobraźnia raz sprzyja raz szkodzi. Czasem zaprzeczam wszystkiemu publicznie raczej tak z przekory. Po cichu wiem że nie umknę i oni też wiedzieli. Głośno wiem że wygrywam cicho wiem że przegrywam.

Przypadkowo znalezione wiersze Patchena w którymś domu i na mnie również mają stereotyp. Standardowe działania! Kologoj! Świż już odbębnił swój występ. Wszystkie kmię sprzedane targowisko pusze chlapi poszli na wódkę do ostatniego baru na kółkach. Został mroź jak imadło i pomarzczone buty.

Nie zapomniałem przecież że tak się może skończyć. I teraz wiem a jednak nie zaprzeczam w pełni. Pamiętam o posiłkach pamiętam o ciepłym swetrze pamiętam o „dzień dobry”. Nie zwariowałem i nie zamierzam. Płung gdy się będzie pluć krzyknę gdy i ty zakrzyczysz. Znam wasze kryteria. Wyglansuję buty kwinko o pogodzie zatańczę z panną młodą. Wreszcie pocałuj ciocię w rękę a nie w dupę będę chrapał w pociągach. Wystąpię w telewizji! Dam się wyzykiwać!

Autobus jedzie nad ziemią pod ziemią. Na wiadukcie. W tunelu. Tyle myśli w sekundę. Tyle szkła na języku. Ckliwa kołysanka. I znów o sobie zaczynam. Dziwnie wszystko pamiętam znam implikacje znam konsekwencje znam kontekst historyczny. Potrafię namiętnie spieszący autobus na siatkę kartograficzną Warszawy. Wiem również która godzina. Ho! Ho! Znam nawet cel podróży! To uparte niemądre dążenie do wiedzy. Próbuje złamać sztyf którym trzymam nadaję na szybko bezpieczeństwa.

Piersi

Że uniosłem się to prawda. Zrozum: bieganina podróż autostopem parę dni postu z powodu biegunki. Takie uniesienia mają coś z ekstazy gdy kwiecien wciąć kojarzy się z Eliotem. „Najokrutniejszy miesiąc...” lecz po nim wszystko wybuchnie. Postaraj się

zrozumieć. Postaraj się mocno przytrzymać ziemi i mnie przytrzymać bo już unos. Nogi w powietrzu ponad dwupasmówką ponad wieżowcem ponad miejskim parkiem. Samochody zlizują się na rentgenowskiej kliszy.

Rozsada gdzieś pomiędzy ramionami. Rozsada gdzieś pomiędzy ramionami. Rozsada tam gdzie zwykle

przed snem kładziesz głowę. Najgorszy jest ten miesiąc który wybrał Eliot. Więc ja wybionę chociaż teren poligona. Tam gdzie zwykle przed zaśnięciem kładziesz kulę ziemską.

Prośba

Namaluj mój portret na bujanym krzesele. Zrób mi zdjęcie kiedy przechodzę przez ulicę. Niefortunno wyżeźbił również moją głowę zardatą w ostatnie piętra wieżowców. Napisz moją biografię. Urwał.

Urwał. Ukradnij mój dowód osobisty. Odbij na zero moje sutki. Nagraj płytę z moimi przekleństwami i kaszlem. Nakręć taśmę video na urodzinach imiennic na innych przyjęciach. Urwał.

Radostaw Sączek

ANNA KARWAT

* * *

Natchniony malarz usiadł przed czystym płótnem. Drży. Wie, że jego niepokochana praca będzie stała zakurzona w kącie pokoju na poddaszu. Poeta nie żyje.

Mówią, że jest samobójcą. Podziwiał miasto z okna i wypadł.

Poeta umarł, wciąż żyje w pamięci naszej. Jest w swoich wierszach.

Malarz drży. Poeta by zrozumiał.

Mówią, że muzyk utopił się. Nie umiał pływać. Mówią, że się topił.

* * *

W iskieńce młodości dalekiego pocałunku siedzę w cieniu słońca

Ogarnięta

Przegarnięta obrączką ciernistą

bólem sztywnym nieugiętym

Dama

Zanik rogówki

Widzę za mgłą żalu bólu

Za mgłą

Niebo nade mną

Dotykam wargą językiem

Zatapiam się

w ukłonie

jeszcze bardziej bolesnego

już.

Świadoma swoich praw i obowiązków

wyrzekam się wszelkich uczuć,

zrozumienie pojęć doba i zła

a także wszelkiego szaleństwa i namiętności.

Postanawiam w imię wiary.

Decyduję się podporządkować

duchowi epoki i kultury teraźniejszej

by sobie i innym ułatwić życie.

Przyrzekam, nie patrzeć w niebo

i nie liczyć gwiazd, nie zatapiać się

w rozwinięte pączy tulipanów.

Tak mi dopomóż Winnico i zrozumi!

Spowiadam się z krzywozręczystwa.

Musiłam.

Anna Karwat

Książki nadane

Wydawnictwo Lubelskie

Dzieła wybrane Marii i Jerzego Kuncewiczów

(pod patronatem Ministra Kultury i Sztuki)

Maria Kuncewiczowa: *Liry do Józego*, Lublin 1997, ss. 95+1 nb.

Maria Kuncewiczowa: *Leluk*, Lublin 1997, ss. 204+4 nb.

Maria Kuncewiczowa: *Przeroczenie*, Lublin 1997, ss. 177+3 nb.

ALINA KOCHANCYK

Kazimierz Marii Kuncewiczowej

Do zjawisk coraz rzadszych w naszych czasach należą przypadki najcenniejszego związania się twórcy z jakimś jednym miejscem na ziemi. Nie sprzyja temu ani historia, ani przemiany cywilizacyjne. Wędrowanie dla współczesnych ludzi stało się czymś naturalnym, podejmują je nie tylko pod presją, ale także dokonując wolnego wyboru. Przemieszczanie się, odkrywanie świata pryzmatycznie wiele ewidentnych korzyści, ale zarazem zaburza osobowość człowieka o pewne istotne wartości. Potrzeba zapuszczenia korzeni jest u człowieka instynktowna, podobnie jak potrzeba posiadania domu. Za jej niezaspokojenie płaci się poczuciem wyobcowania, czasem nawet bardzo boleśnie przeżywanym dramatem psychicznym.

Dla Marii Kuncewiczowej problem domu miał wyjątkowo ważne znaczenie. Przyszła na świat w rodzinie wygnanów, w której od pokoleń nie było prywatnego domu. Los oszczędził jej dramatu, jako przeżywała jej matka – „cudzoziemca” zarówno w Rosji, jak i w Polsce. Ona wychowywała się już w Polsce, rodzina wszakże nadal wędrowała. Przyszła pisarka chodziła do szkół w Warszawie, Wrocławu, Plocku, Krakowie ciągle nie mając możliwości odnalezienia swojej „małej ojczyzny”, rużbudzenia swego poczucia patriotyzmu. W 60 lat później w pewnym wywiadzie udzielonym po powrocie do kraju z emigracyjnej tułaczki powiedziała: *Gdy się myśli o miłości do Polski, to myśli się przede wszystkim o tym miejscu, gdzie się człowiek urodził, gdzie chodził do szkoły, gdzie najbardziej wstąpił, gdzie się ma największe znajomości drzew i ludzi!*

Musiabno w życiu M. Kuncewiczowej minąć wiele lat, zanim wreszcie zżyła się w jednym miejscu, zanim poznała tutejsze drzewa i ludzi, zanim mąż, Jerzy, wybudował solidny i piękny dom, o jakim potomkini rodu uchodzić nie mogła nawet marzyć, nie wiedząc czym w istocie jest gniazdo rodzinne. Kazimierz nad Wisłą miejscem osiedlenia stało dość przypadkowo. Z tym jednak przypadkowo zalezionym miejscem Kuncewiczowie zżyli się serdecznie. Opuścili je nie w własnym wieku na długich lat 20, wrócili – kiedy tylko stało się to możliwe. Tu dane im było przeżyć jeszcze długie lata starości, tu pod kaziemskim dębem spoczęli na wieczność.

Kazimierz bardzo wiele zawdzięcza artystom. To oni odkryli kiedyś jego niepowtarzalną urodę i od dziesiątków lat pokazują ją na najrozmaitsze sposoby. Utrwalony już głęboko w powszechnej świadomości mit Kazimierza wykreowali właśnie ludzie sztuki. Najżywościem jego źródłem jest twórczość Marii Kuncewiczowej, w szczególności zaś – zbiór opowiadań wydany w r. 1933 pt. *Dwa Księgicy*. Pomimo lat, które minęły od ukazania się tomu, opowiadania te nie poddają się działaniu czasu, są nadal zżadne i czytane, ciągle mają wpływ na kształtowanie wyobrażeń o Kazimierzu jako wielkiej osobliwym miście artystów. Niewielką będzie prze-

¹ „Życie i myślenie” nr 10 z 1974. Przekrót w: *Rozmowy z Marią Kuncewiczową*. Wybór, opracowanie i postawie Helena Zaworska, Warszawa 1983.

sada w stwierdzeniu, że Kazimierz w najbardziej oczywisty sposób kojarzy się przede wszystkim z nazwiskiem Marii Kuncewiczowej.¹

Pierwsze spotkanie pisarki z Kazimierzem miało miejsce w 1927 roku. Miasteczko już wówczas dobrze sponowane – przez studentów warszawskiej Szkoły Sztuki Pięknych, którymi pod wodzą prof. Tadeusza Pruszkowskiego – legendarne Prus – co roku odbywali to letnie plenery. Kuncewiczowa doszła już wtedy i niezwykłości tego miejsca, kazimierski rynek znała ze starszych stuleci, sądziła że w czymś się spodiawie. Bezpośredni kontakt z Kazimierzem przyniósł jednak o wiele zaskakujących wrażeń i nie wszystkie były pozytywne. Tak o tym opowiadała po wielu latach:

Owsem, uderzyła mnie malowniczość typów ludzkich. Chłopi, Ziela jeszcze w tych strojach, jakie nosili przed wojną. Zwiernak w bród, ciędyta i świnię na Ryнку, na stołach węgry koby, duto kono, pełno gęsi, kur, w powietrzu jaskółki, nad rzeką rybiki... fascynujący pejzaż niesłychanie gęsto zaludniony. Kamienie niektóre jak gąbki żywym gładzie: Włoch, obok nich na wprost rozwalone budki i ta Chagall, chłopiejsze chaty, domki rybaków... Obrząz składał się na wrażenie pełnej ogrodyki.²

Na naturalnej scenie, jaka stanowił Rynek wśród oszalałościomni tubylców kręcił się „apozwamy” i półwiekiowym opóźnieniem na Barbizoficyzacji” malarze, rozgrywając jakby swoistą komedię edl’arte. Snuł się po tonących w błocie kocich łbach w strojach, które pasowały np. do francuskiego saloonów. W czasie kolejnych pobytów Kuncewiczowa poznała tajniki tych gier, wydających się jej za pierwszym razem dziwnymi. Tak jej opisała w *Fantomach*:

Malarze pływali, malowali, śpiewali, przebrali się za pastery i dekadu, klasyczne amantki, rozbińników i duchy, a nade wszystko „omawozwali w sposób rzekomo żywiołowy, a właściwie szalenie okropki. Biedę rybaków, skłipikarzy i kmiobów traktowali jako egzystencje, do którego tym jaskrawiej odbijali się ich kostiumi i aspiracje. Żyli odrębnym życiem kolibrów, unoszących się w słońcu nad trzaskającym dżungli. Z bezoskądnie atmosfery artystów wynikała dobrodusność i wzajemne przenikanie się dwóch egzystencji, sezonowe braterstwo między prymitywami a sofistami (...) malarze dawali z siebie i przyjeżdżali się w budząc, ładność dawala rady, podlegała obce i odkrywała własne tożsamość... Kłowniama bogą powoli” nazywa Kuncewiczowa ówch artystów w *Li-stach do Jerzego*.

Nadzwyczaj silnym i odpychającym wrażeniem podczas pierwszego pobytu artystycznej w Kazimierzu był fetor bijący ze ścieków. Dla cyganerii artystycznej był czymś oswojonym, umiano w tym dopatrzeć się – czyżż niecaj dowodzący z czasignego zapachu po swojemu rozminimie „arody życia”. Wrażenie niezmordnie dziwnego zrobika także na piśmie: topografia miasteczka, uderzyła ją zwłaszcza „jdyliczna anarchia przedmiem”. Wystarczyło wyjść z Ryнку, by znaleźć się w istym labiryntu przedmieć, zaułków, podwórko, rozpadlin. Do domów wchodziło się brodząc przez strumienie, droga publiczna mogła zaprowadzić do obory, podsiorku drogi natknąć się można było na plac tenisiowy i wszędzie – na spacerując kozy. O smrodzie zapomniało się wkraczając do wąpynów i tu z kolei wdychając aromatyczne, pełne letnich zapachów i niepowidnie czyste powietrze. Urzekł Kuncewiczowa zwłaszcza pejzaż nadbrzeżny.

Podczas drugiej wizyty w Kazimierzu Reas Lorentowicz, uczennica Pruszkowskiej i warszawska przyjaciółka Marii, zaprowadziła ją wązowem Malchowskiego do Reginy Białowieskiej, właścicielki sadu i ukrytej

¹ Jak pisał Tadeusz Klak w *osiu poprzedzających Dwa księgi* (Lublin 1989) swa literacka legendaria Kuncewiczowa z Kazimierzem: „Przebieg” z 3 marca 1974 roku. Przedruk w: *Rozmowy z Marią Kuncewiczową*, op. cit., s. 124.

² M. Kuncewiczowa, *Fantomy*, Warszawa 1975, s. 83-84.

w trawach po pas chatynki. Tę niezwykłą osobę – „heroine prowincji” sportretuje później Kuncewiczowa w *Dwa księgi*. Właścicielka sadu chciała się go pobyć, a Jerzy Kuncewicz akurat miał przy sobie większą sumę pieniędzy. Tak był początek doznającego romansu Kuncewiczów z Kazimierzem nad Wisłą.

W następnym wakacje wyprzedzono sad, założono ogród – zajęli się tym profesor Jan Dybowski z pobliskiego Instytutu Ogrodniczego w Puławach. W „chątkynie” eoznę częściej zaczęli artyści od Pruszkowskiego. I stało się tak, że Maria Kuncewiczowa zaczęła przynależać do kazimierskiej cyganerii.

Przypominając w tym miejscu, że miała już za sobą debiut literacki, była osobą znaną w środowiskach artystycznych. Choćby dlatego zajęła w ścisłym gronie kazimierskich artystów równoprawne miejsce. Tak oto opisała swoje pierwsze kroki na tujejszym bruku:

Wciążenia to „ferajny” modlą: że o znieczulenie powoniemio brnąłam korazc żnieleż w uczucie żalki, żeby przez swój niezłakliw obion podziwiał wielokopiatkowe „arty” żydowskich biedaków które przowydowały na myli obredy pierwotnych chrześcijan w kaskobach pelotów trąpięgo zapachu i podlegania świeczki. Zapomniało się o tym, że mema rzeczka była ściekiem (...), chwaliło się jej oliwą tężowoci i melanholię ków w pokrzywach nad jej biegiem. Chwailo się wyzzerzerłone garki za ich starości i wszelkie użytkowe szkło za to, że – nie umyło – opalizowało. We drzwiach do kłosa wyrzynano weniatory w kształcie serc, w łachanach upartywano teatralną ekspresję, kaloki podobały natchnieniu malarzy-fantastów i malarzy religijnych, karłowatości nadawała się do komińskich scen.³

Nareszcie i ona nauczyła się patrzeć na fasady nie myśląc o podwórku, nie odrabiając bieżącej inacej niż jako zjawisko estetyczne, umieć się zachwycać egzotyka biedy i brudu. W Kazimierzu życie wydawało się teatrem, a świat skłócając. Artyści grali w każdej sytuacji, wypróbować jakby najróżniejsze konwencje aż do groteski włącznie. Ten tak silnie drągnący impuls „teatralizowania życia” sprawił, że wedle estetycznych wzorów zostały się rozmaite, filary, a nawet – rozciągnięte – w postaciach, wicowa w *Dwóch księgach*; tak wtedy patrzyła na życie obywateli, teatralizowała je, w popołudniu, szerokość widząc niepowodzenia.

Po latach Kuncewiczowa zdystansuje się wobec siebie samej i tamtego okresu, wobec całej tej artystycznej gry. Nie bez rozważenia opowie, jak to omięgła z Ireną Borenowicz niczym postacią z siedemnaściecennych sielanki krążyła po Ryнку w nocnych konsulach, zadowolone z wrażeń, które rozpoznawały po osłupieniu mającym się w oczach mieszczków Kazimierza. Dział trudno zrozumieć ten osobliwy estetyzm, tak spóźnione w czasie upodobanie do pół, teatralnych gestów. Wydaje się to tak niezmownie sztywne, że aż trudne do uwierzenia, jawi się jako groteska. Kuncewiczowa sama potem dziwi się, jak to się działo, że im coś było bardziej nieoestetyczne, tym wydawało się fałtemu grom wyrzafinowanej artystów jakby bardziej godne uwagi. Oto wejty z *Dwóch księgów* fragment, który jawiło się do ilustracji. Mowa w nim o jednym z malarzy; krąży po zaułkach w poszukiwaniu tematu dzieła:

Wiedziaj już, jaki chlewek do tego należy i jaka chadka nigdy nie wyycha (...), to co nieciekawo skądinąd płaszczynie nadało kolor wyntornej makaty... to właśnie brud (...) niektóre fantazyjne kształty byłyby ordynarne, gdyby ich nie modelowało zniszczenie. Gapi się z podziwem na flaczki – zamieszłate i przydomkowe – opalizując w misisk obokach jak ziny (...). Zachęty nie opuszczal go ani z bręzga gępioty, gdzie staruchy roznieła na kulowych stolach, zabywały wczasy, ani przyświd śmietniki (...). Ze szczególną ciekawością oglądał strumion, plynący wzdłuż głównej ulicy. Natura wody była tam odmieniana: ta ciec migowała tę-

³ Ibid., s. 84.

czowo i tusto jak nafta. Picie jej groziło chyba śmiercią. (...) A kozy stawały nad nią rozmarzone.⁶

To był ważny okres w życiu Kuncewiczowej, dlatego opowiadając o nim w *Fantomach* próbuje wyważyć sens tego, w czym wówczas brała udział, uzasadniając je swoje ówczesne doświadczenia. W końcu formułuje refleksję dość niespodziewaną: *Z dna nostalgia mieszczniańskiej podnoży się raz po raz fale folkloru w coraz to innych sformułowaniach, innych społeczeństwach*. Na tej samej zasadzie, twierdzi Kuncewiczowa, niedawni hippisi podnieśli bruc przewi, astrylny czystości swoich miatek⁷. Zapewne Kuncewiczowa ma rację, uwalniając je z działalności kamieniarzy bohemy lat 20, rozumiejąc raczej jako rodzaj pokolenia w kontestacji. A już na pewno ma rację, gdy w tej działalności artystycznej dostrzega początki pop-artu.

Postawiamy z Kuncewiczową w Kazimierzu lat 30. nieco dłużej i jej oczyma przyjrzymy się tej niewyjąk „malarzkiej balladzie”, której bohaterowie sportretowani zostali w *Dwóch księżycach*. Dziś książka ta jest jakby rodzajem pamiętnika, od samej autorki wiemy, że można ją traktować jako źródło wiedzy o tamtym okresie. Z powieści dowiadujemy się właśnie, że kamieniarze ruiły, przypojone zaduchem zglinizny, wnętrza, ślankie, śniecie, chwasty, wyszczerzone przedmioty w tej cudownej przyrodzie objawiała blask, nabierali innego wyglądu i znaczenia. Tego wszystkiego przydawała świadomość, że szpetota w istocie rzeczy upiększa, a dodatkowo – wrażliwość na głosy przeszłości, które ożywały w ruinach zamku i posród renesansowych kamieniczek, sprawiając że historia miezła się z teraźniejszością. Bohaterowie *Dwóch księżyców* na świat patrzył jak na żywy obczaj, wyczuł na piękno, które zresztą sami aranżują. Trzaja z bohaterów – Mena, której prototypem była Irena Lorentowicz, zdobi „sknie erudycka, malarstwo humorem, przystość muzyką, rzeczywistość snem, a wszystko – sobą”. Śpiew w odczuciu artystów powinien komponować się z malwami pod oknem. Przyszła, sytuacja życiowe i w ogóle życie – jakby ocalali przyrodobionkami, dzięki którym mogli się ujawnić blask – w pełni wywarły piękną atmosferę.

Aranżowanie piękna nie było sprawą łatwą – wspomina Kuncewiczowa. Kiedyś w swojej „chatce” powiesiła na drągu nad oknem kawalek młusiu i była rada z efektu, ale jej zadolenie zamieniło się w zawstydzenie, gdy usłyszała pytanie Feliksa Topolskiego: „Czy to bielizna się tutaj suży?”

Chatka w sadzie nie była domem na serio, stanowiła – ocenia Kuncewiczowa z dystansem lat – rodzaj wakacyjnego zarzu. Warto zajrzeć do wnętrza, zawsze we wspomnieniach niaraki wywołanego gościem: *Renia Lorentowicz na glinianym piecu wymalowała koguta, słęży stół na krzyżakach dźwięk fantastyczna fura na dzieciach do mleka, na werandzie wisiał zjazd pała Ignacego Daszyńskiego sprawione na przyjęcia parlamentarzystów francuskich. Ziemia Pruszkowska zmazała żydę przydatna w narzucie z szynszyl. Strug zjadł maliny prosto z garkna, Teresa Roszkowska wabiła mężczyzn piórami Aszantki, Wanda Telakowska z prozotą rymowała dzieńwz opowiadała powieści-kawalek, Prass śpiewała o rycerzu i Mściboju. „Powiedzial pan, pełnia się i zgasz”. Antoni Michałak zlecił ślicznie wieściom że słom; a później już – po wygnaniu:ca Pruszkowszczyzny – Meir Egozofow, wcielony w Adolfa Rudnickiego, przechodził motną swoje melancholijne czary.⁸*

W 1938 roku nieopodal „chatki” stanął „duży dom”, któremu przeznaczone już bardzo poważnie funkcje. Miały być miejscem „zapuszczenia kurcząt”, „gniazdem rodu”, „koniwą”, pierwsi zdom od kilku pokoleń domem budowanym od podziemi z myślą o przyszłości. Pierwszy własny dom w rodzinie – zapisała Kuncewiczowa w *Kluczach* – oddał prapo-

dział zaprzepaścił swoją Psią Wólkę, wstępując do legionów we Włoszech.

Dom – wspomina Kuncewiczowa z znużeniem jego początki – okazał się istotą. *Złoty z miliona komórek, miewał rumieńce, bywał biały, promieniał i chmuriał (...) gęstniał, pochłaniał mnie, a jednocześnie sam wstawał w tajemniczą perspektywę, która mogła być moją historią, chociaż nią nie była.⁹*

Nie dane było domowi spełnić swego przeznaczenia. Jak się miało okazać przez Kuncewiczową było to wielkie wstępowanie, najbliżej w historii rodu odbywa. Tyko dwójce szczególnie wyakacji spędziła autorka *Cudzoziemki* we własnym domu. Jednak w Kazimierzu wyżyła się bardziej niż tego chciała. Nie znała doświadczenia przynależności do jakiegoś miejsca na ziemi, myśli o takim związku ją niepokoiła. Tymczasem w lice 1938 roku Szymon Wisznia, Radny miejski i zarzec sąsiad, który rok później miał zgnać z rąk Niemców, zgłosił wierność, by nadąc pisać honorowe obywatelstwo miasta. Był w tym jakiś paradoks, czy ironia losu, że o przypisujące do określonego kawalka ziemi obywatelstwa dla niej – potomkini „woczwaszczenców” wniosek stawił Żyd Wieczny Tulacz.

Kazimierzem dla Kuncewiczowej był już wtedy przede wszystkim dom i 6 mórg własnej ziemi. To był piękny okres w jej życiu: Dzieciak przycudzo posiadania domu, gruntu, czegoś na własność! Dzieki sąsiadom, żydowskim kupcom, targarom i faktorom, dzięki ich – jak to określili we wspomnieniach – „ekonomicznej pomocy” jej gospodarstwo zaczęło przypominać piękną bajkę o stoliczku, który na dźwięk wezwania sam się nakrywał. Któż mógł przewidywać, że przeżyje w tym domu jeszcze tylko jedne wakacje. To ostatnie lato 1939 było szczególnie piękne:

Pogody uargulne w zanadziatym pięknie. Przerzocyte ranki po wieczorach bez noc; zachody uwiklane w szarfj karmionowych obłoków, po nich – dżi bezwierznie, kłasy kopułów i pawł (...). Inrze tak krótkie i radone jak fufalanki; nocce rozległe jak katana; zgaszenie miedzi-rankowym kadziłem, z ławem zamiat organów; z Włosa burzalił przez środek z niskim plomiennym księżycem na ołtarzu. Po sklepieniu gwiazdy, gwiazdy, gwiazdy.

Laszek drzał od wiewiórczych, wronich, psich namietności. Nasiona brzoce nosiły się kłębami, pan Paweł, w coraz to więksim drzewie zakochany, co dzieł z ironij galęzi krzyżował swoje wyznania.¹⁰

We wrześniu świat się zawalił. Dom zaroził się ludzi, ale nie była to malarska bohema, lecz uciekinierzy z Warszawy. Udzielił krótkiego schronienia Tuwimom, Słonimskim, Wierzyńskim. Stąd na wojnę ruszył jedyny syn – Witold, by po bardzo wiele latów wrócić tu już jedynie jako gość. Sama Kuncewiczowa odjeżdżała z myślą, że niebawem wróci. Do kazimierskiego portu przybiła na powrót dopiero po 20 latach.

Ten czas dla domu był ciężki, ale przecież przetrwał do powrotu gospodarzy. Pojawili się w 1938 roku i na nowo zaczęli się osiedlać w Kazimierzu. Początkowo spędzali tu tylko lato, na zimę wyjeżdżali za granicę. Ten rytm wiązał się z zajęciem Marii Kuncewiczowej, wykładającej literaturę polską na uniwersytecie w Ameryce. Niełatwo było zaklimatyzować się w Kazimierzu, ale męczyło coraz bardziej próżnotowanie, brak stałej przystani. Maria Kuncewiczowa przekroczyła już 70 rok życia. Nie do zmieniemia był kazimierskie chłody, Kuncewiczowie uciekali więc do Włoch, do Paryża. Ucieczki trwały tyle ile zima, a Kazimierz zakamował w pewnym sensie ze sobą. Bo żadnym wyjazdowi towarzyszyła świadomość, że tu wrócić, że tu jest ich życiowa przystań. Dłużej było w Kazimierzu poczucie odcięcia od świata – „Witold w Virginii wydaje się dalszy niż Mars”.

⁶ M. Kuncewiczowa: *Dwa księżyce*, Lublin 1989, s. 94.

⁷ M. Kuncewiczowa: *Fantomy*, op. cit., 102-103.

⁸ *Ibid.*, s. 105.

⁹ M. Kuncewiczowa: *Klucze*, Warszawa 1989, s. 12.

swojej emigracyjnej odyssey cały świat, żył w warunkach cywilizacyjnych, o jakich niedziesiąt lat wcześniej nie było się mieszkańcom Kazimierza, nie było im łatwo osiągnąć na polskiej prowincji na dole. Przybyli tu z daleka w najszerszym znaczeniu tego słowa, zostali świat jakby dawno zatrzymany w czasie. 86-letnia Józefka, ta sama co przed laty gospośka, na wieść o łagodniejszej osobie na Księżycu nie może pojąć: „że tyż Pan Jezus na takie coś pozwala”. Dla Józefkowej brataneczka mieszkająca 12 km od Kazimierza – zapiskawiec Kuncewiczowa brzościwy rysy egzotyki teraźniejszych – jest „zjawiskiem mitologicznym z powodu odległości, nieosiągalną jak święci pańscy”. Granice świata Józefkowej wyznacza Rynek, Fara i miejsce, gdzie mieszka córka. Nie interesuje jej, że żyje w tym czasie, co dzieje się w Farze: Warszawa – w jej odczuciu to – „kmitały świat”.¹⁶ Do takiego miejsca nie trzeba było Kuncewiczowej – obywatelce świata dochodzącej dość daleko. Polska nie jest najpiękniejszym krajem, poznała też piękniejszy, ale wracając z długiej podróży na widok tutejszych drzew domowe gdzie indziej jest zdumianego wprzeżenie. Tak mówiła w jednym z wywiadów, kiedy już osiągnęła poczucie, iż tu jest jej prawdziwy dom, że tu przebywając – wraca do siebie. Ze czeka na spotkanie z Józefową, że prosta filozofia życiowa tej kobiety jest – intelektualistka, jest bliska: Józefowa (...) wygryza się na letaku pod wierzba. Za chwilę wstanie, przyjdzie na górę po mleko i zagapi się na drzewoty przedstawiającej Chaima-nawodnie (...) Od czasu Krawanej Srody w Kazimierzu Żydów już nie ma. Józefowa nie jest pewna, czy kiedyś znała Chaima, czy też jakiś małżonek go sobie wymyślił. Spogląda na matę, ubawiona, trochę zawstydzona. (...) Jak to Żydzińca dźwiga że woda i dźwiga (...) matę... Aże mi kark spieknie. Pokaż on tak te woda będzie nosić? Komu to? I na co? (...) Komu? I na co? (...) powtarza w myśli.¹⁷

Ten odczyniony Kazimierz zasadniczo różnił się od dawnego. Tamten, przedwojenny przypominał malarstwo Chagalla, teraz nie ma Żydów, którzy stanowili tak ważny element życia. Zniknął bród, odremontowano kamienice w Rylnu. Wyjeżdżali także „Dom”, Kuncewiczowie nie szczędzą mu całej pielęgnacji:

Dom stoi pięknie. Jakby nigdy tuż dopiero moglił sobie gniazdo na długie noce i gościnne wiecz. Zwizdno do opatowania wierzby wybrane przedmioy, gipsowaty książki, kompletny zestaw, udymy klematys – pasja gospodarska wybuchu na szczyła życia z tija podskórne go źródła.¹⁸

Urządzają dom po raz wtóry, ściągają ze świata swoje pisarskie archiwa, piękne przedmioty, pamiatki. Kuncewiczowa pugnęła, by wypełnić po różne świadectwa „dlugich wędrowstom ciała i dusza”. Miał służyć rodzinie, jej przysłytem pokolomem, nie było to wszakże możliwe. Pisarka zdecydowała więc, że ma służyć ludziom, „po naszym sąd zniknięciu, jako dokument pewnej epoki, pewnego stylu życia”.

Kazimierz, dom na wzgórzu, stał się dla Kuncewiczów punktem, z którego patrzy się na świat. Zapytano o to, Kuncewiczowa przyznaje, że w jej twórczości nie ma Kazimierza tyle co innych miejsc, do których ciągnęła. Wspomina o nim mimochodem, nie było to wszakże powodem do podróży. Ale przecież z tej atmosfery kazimierskiej – jak to czuje – wyrasta całe jej pisarstwo, tu ma swoje najbliżej źródło. Kazimierza całą swoją stała obecna przeszłością, osobista energia odcisnęła się głęboko na jej osobowości. Bez tego domu i miasta byłaby kimś innym jako człowiek i jako pisarka.

W tym miejscu powiedzmy na marginesie, że i Kazimierz otrzymał coś istotnego od autorki *Dwóch światów*. Kto zna te opowiadania, patrzy na Kazimierz trochę jakby przez ich pryzmat. To spojrzenie Kunce-

wiczowej upowzechnił i utrwalił piękny film, w którym ożyły opowiedziane przez pisarkę historie, sportretowane w nich postacie, pieczołowicie odwzorowy zostały ich niezwykły klimat.

W latach 70-80. do Kuncewiczówki, która stała się jedną z wizytówek miasteczka, przybywali różni światli goście. Ich wizyty miały coś z pielgrzymowania, co zdradzały północnejsze relacje o wycieczkach w piaski. Wszyscy tego doświadczały, że atmosfera jej domu była absolutnie niezwykła, niespotykana. Tworzyła ją zgromadzenie w domu pięknej matki, otoczenie, obecnością tu w przedziwny sposób przeszłość. Przede wszystkim aury niezwykłości emanowała sama gospodyni. Oproprowadzała gości po domu, podjęmowała herbatą i rozmową. Kuncewiczówka po wojnie nie rozszerzyła wprawdzie w gwarum artystów-cyganów, ale była jak dawniej otwarta dla gości. Iż to wspomnień obojętność o tych wycieczkach – tego źródła wiedzy czytelnik wiedział o pasji Marii Kuncewiczowej, jaką stało się układanie bukietów. Jak kiedyś, choć w inny sposób, dbała o aranżowanie piękna wokół siebie. O tych bukietach mówiła, że stanowią w jej domu nie tylko ozdobę co treść: *Kwiat dla mnie jest istotą całkowicie tragiczną i przez to ukończoną*.

Bukiety są nadal w domu piaski. Jej pół śmierni układają je ludzie, którym była bliska, którzy ją podziwiali. W domu, nadal gościnnym, wszystko pozostało tak jak dawniej. Opisywała go z czułością w swoich utworach. Najważniejsi: jej czytelników wchodził z rozgadaniem za przedmiotami, które ją cieszyły najbardziej. Wszystko zostało na swoim miejscu: piec bucalski, ręcznie haftowana makata z Turkiestanu, meksykański świecznik, należący wędzarnik do Wyczółkowskiego stół, stary fajans angielski i czarna latarnia wyłuta przez kazimierskiego artystę. Najważniejsi z czytelników wyczuwał w domu obecność – pod postacią fantomów – bliższych jej osób, bohaterów kazimierskich opowiadań, wszystkich którzy w tym miejscu powoli zostali do literackiego istnienia. A powstały w Kazimierzu *Dwa kwiety, Odrzyście Panianu*, u zrodził się pomysł głosił *Cudzoziemci, Powiedzich dni państwa Kowalskich, Don Kichota*, tu autorka wykańczyła *Tristana 46* i pisała ostatnie znanomnie książki: *Fantomy, Janusz, Teściaki*. Te książki, nawet jeśli bezpośrednio nie dotyczą Kazimierza, wiążą się z nim najściślej. „Malo mnie wiedziała o życiu, gdyby nie Kazimierz” – powiedziała to kiedyś w wywiadzie Maria Kuncewiczowa wprost. Wedle jej samooceeny właśnie tu odebrała pierwszy wielką lekcję życia, która ją w zasadniczy sposób ukształtowała. Mówiąc o lekcji życia nie miała na myśli „wyglupiania się” artystów, nieco kabotyńskiego wywyższania się w dekoracyjnych pozach i gestach. Chodziło jej o to, że w Kazimierzu po raz pierwszy tak blisko zetknęła się z konkretnym egzystencją, z techniami, zwyczajami, różniłami czy choćby z gatunkami fikcji, jakimi mogą żyć ludzie. Poznała, co w życiu jest ważne.

W ostatnich *Listach do Jerzego* świadoma schwyła swój drogi życiowej i twórczej wraca do kazimierskich początków. W jej pojęgnięciu ze światem znalazło się miejsce na wspomnienie „Chatki”, dzikiego sadu, teatralnego wchodzenia w tatuszka rzeczywistości. Kazimierz jest w tej przestrzeni jej autobiograficznej prozie nieodłącznym składnikiem wyrazowego na dramacie i powieści. W *Maniaki* Bóg Kazimierza (...). *Kiedy po raz pierwszy patrzyłem na ten obraz, który przetrwał różne historyczne dramaty, zanim osiadł w kazimierskim klasztorze, nawiąnął mi się myśl o pokrewieństwie zwiastowania prawdy nadprzyrodzonej i natchnieniem, jakie nawiedza rzemieślnika, czyniąc z niego artystę. Pomy-*

¹⁶ M. Kuncewiczowa: *Fantomy*, op. cit., s. 241-242.

¹⁷ *Ibid.*, s. 118.

ślalom również o tym dziwnym procesie, który w piasku płaskiego czyni świadka cuda, jakim jest przyroda stworzona przez niewidzialnego Stwórcę.¹²

W *Meditacji żałobnej Czecchowicz* zamosił do Pana najgłośniejszą prośbę: od żywota pustego bez muzyki bez pieśni obróci nas. Łaskawo Stwórcza dał Marii Kuncewiczowej długie i bogate życie, porwali jej do końca widzieć, usłyszeć, pisać, słyszeć muzykę świata, a także pisać. *Listy do Jerzego* – książka o umieraniu, jest wybitnym osiągnięciem artystycznym. Wiele fragmentów to najwspanialsza proza poetycka. Choćby ten:

(...) w wozach kaziemskich oglądam liście drzewa nagie. Lipy, topole, wlewy zwały kolonowe poraki. Ich obfite płaszcze leżą podarte na ziemi, guście rynną na niebie czują wleczące, mity, racjonalne frunę. Tekst muzyczny z basem i wioloniel dychowanym przez wiatro. To nie jest podtekst jesteni, to jest właśnie dramatyczny tekst zapisany w chmurach. Ilek to jesiennych lamentów, czystych i zamilionych od płaczu, łagodnych i rozpaczyliwych. nosi się po ulicach. „Cy oprócz muzycznych nikt ich nie zapisuje? Może jednak członkowie chórów amelskich słyszą te głosy.”¹³

Alicja Kochańczyk

Tekst wystąpienia na sepi jk. Piórości Marii Kuncewiczowej – świadectwo wstętu dwoistnego zoz ganizowanej w 100 rocznicę urodzin pisarki przez Fundację Kuncewiczów w Kazimierzu w dniach 20-22 października 1997 r.

¹² M. Kuncewiczowa: *Listy do Jerzego*, Warszawa 1988, s. 105-107.

¹³ *Ibid.*, s. 39.



Janusz Przybyłki: *Błędne koło – operacja*, gwiazd, 1976/77

JACEK GISZCZAK

33 obroty na minutę

(fragment)

Tymczasem Pimka leżąc w szpitalu przeglądała „Twój Świat”. Z rubryki o makijażu niewiele się dowiedziała. Przeczytałabym coś prawdziwego. Z życiem napisaną książkę, o jakichś naprawdę ciekawych historiach. Ale nie wiem, co by mi się podobalo. Taka zabawka. Ale od deski do deski. Jak średniowieczna Biblia. Tyje ze to nie jest zbyt ciekawe. No, może po łacinie. Niewiele jest takich historii. Na długie zimowe wieczory w księgowni Monaka.

Pimka patrzyła na swe ułożone na koldrze wysmukłe blonie. Ledwie co położony lakier kruszył się na popieszenie rosnących paznokciach. W moim przypadku – stwierdziła – makijaż traci sens. Kurczę się, maleję. I ten deszcz. Tak szybko pada.

Deszcz rzeczywście dwoił się i troił za oknami. Wciąż zsumiało jak w muszli, kiedy przyłożył do niej ucho. I to dodatkowe stuknięcie w parapet. Cały dzień lało. Pimka usiłowała sobie przypomnieć, jak to było w dzieciństwie, te deszcze, po których następowały innego rodzaju zabawy. Kąkole. Kapanie z drzew. Z trudem podniosła się i poszła otworzyć okno. Zaszumiało ze zwołoną siłą. Zamknęła. Stała teraz przed lustrem. Spoglądała nie tylko na swoje odbicie, ale zwłaszcza na „głosika”, który musiał wlecieć przez okno. Był szary, trochę podobny do konika polnego. Ale mniejszy, szczerplwszy. Miał długie czułki i postukwał łapką w szklaną taflę. „Jakis narczyz” przemknęło jej przez głowę. „Egzystencja. Ten pa-proch będzie tu dłużej żył niż ja. I pewnie z tużn wybrzusi. Jezu. Ja się zabiję. Niech żyjątko żyje.” Pimka usiadła na podłodze. Włosy miał jasne, krótkie. Siedziała teraz kolo zlewu, pod lustrem, pod koleśkiem. Czula się zrozpaczona. „Nie wiem, nie wiem, nie wiem. Co za zarządzenie losu. Dlaczego mam gina? Prezes... Prezes dostał dwie kule w brzuch. Wtedy strzeliliam w stronę schodów. Ale ta jedza miała trafila. Kula przeszła nad oboczykiem. Mam szansę przeżyć, ale czas biegnie zbyt szybko. Śmierci powiem jedno: nie podchodzi. Nie mam czasu, żeby wymyślić coś innego. Ustawić się w jakiś sposób. Mogłami mieć to konto. Prezes polzył sprawę «Zastrzelił tego kundla...» Betty, ty sukro!”

Trudno byłoby stwierdzić, że Pimka rwała sobie włosy z głowy, ale przeciągala palcami po łaniozobych kosmykach... „Pies... pies nie sobie ze mnie nie robił. A ja chciałam się wydać za niego. Gdy on tymczasem zwałchal się z Betty. Zadrzwicie po piękniaku! Niech mi przyniesie szklankę wody!”

Fundamentalności nie pokonają cywilizacji: nawet jeśli będzie wojna. Nie ma odwrotu. Cywilizacja, czyli autostrady, stacje benzynowe, porty lotnicze (z odwiecznym ludzkim marzeniem) statystycy, kłódki podwodne, bomby atomowe, neutronowe, miliard Chłirczyków, dwa razy tyle innych Ażjatów, reszta na kontynentach (mówię w przybliżeniu), absolutne wyzwolenie kobiety, potem mężczyzny...

Pimce drżała ręka trzymająca szklankę.

Królowa Pimka

Czy Pimka była typową ciotką? Coś w stylu postaci z powieści Bruklowej. Wysokie obcasy, torebka, jaskrawo pomalowany dziubek. Chodziła bardzo zgrabnie, depilowane nogi, minipodkolenki odsłaniające pupię, obcisła bluza, peruka. Teraz oczywiście wszystko było zrujnowane. Była jak makijaż. (Nie była Żydówką, ale była pedalem.) Przede wszystkim transwestyta. I to dalece posunięty. Godzinami potrafiła siedzieć przed lustrem, nakładać makijaż, dużo różu, szminki, otwarte szeroko sztuczne rzęsy. Zmieniała peruki. Zakładła kapelusik. Kupowała bluzy. Pytała koleżanki o radę. Zdradzała rąsę. Jej własne włosy były ryżobłond, pokręcone. Miała coś z amorka. Oczywiście, gołenie, depilacja. Ciotka się z niej śmiała. Ciotka i te bace z telewizji. Te gęby. (...)

Ekran robota mrugał i migał, kiedy ciotka przylatwała się do niego. Był mocno napalony. W dodatku wcale jej nie widział.

— Ciotko...

— Tak.

— Kocham cię.

Hatach mocniej przylatwała się do robota. Poczuli jej rękę na blaszce. Była ciepła. Zapach jej włosów. Jakies nieokreślone perfumy. Zaraz: Kenzo. Leżała na kocu. Na podłodze. Robot był już niemal zdalnie sterowany. Miała z nim niejaki kłopoty. Ale forsę było dużo. Willa w Monte Carlo, pięćset metrów na wschód od kasyna, najnowszy model Bugatti. Robot z pasją ją i przeywono go co czwartek o osiemnastej. Palmy. Z basenu był ładny widok na góry, morze, balustrada trochę kicz, ale cyprysy, aloesy, agawy.

Sympatyczne restauracje, gdzie robot wydawał się na tyle samotny, że przysiadła się doń kobiety. Nie zwracał na nie uwagi i mała dyskutować z ciotką, co powodowało, że odchodząc jak niepyszne stukała palcem w czoło, gdy tymczasem robot był w siódmym niebie wymiany myślowej z ciotką. Nie patrzyła więcej na robota, któremu wylazły jakieś przewody, chwiała się antena i który gęstokulował w przeszerzeni usługiwając z kimś kontakt wzrokowo-słuchowy. Robot. Skończył idiotę. Mogłby się choć usmiechnąć. Postawić drinka. Gnojek. Wolny patrzeć ponad tłumem tańczących na jakąś nieco wyższą głowę, na tego gościa za barem. Zamylały się. Spuszczaly głowy. Spoglądaly na pazurek. Na dym z papierosa. Usmiechały się do siebie. Tróchę kłwasno. Tego gasiły papierosa. Na partycie wciąż było tłoczno. Muzyka powtarzała jakąś nieznosną sentymentalną melodię.

Znow sięgaly po papierosa. „On zupełnie wygląda jak, jakby czule z kimś rozmawiał” — przemycalo im przez głowę. To je zastanawiało. „Ale typ oryginalny. Podoba mi się. Właśnie tak.”

Robot trzymał Hatach za dłoń i tłumaczył:

— Ciotko. Jestem z tobą całkowicie szczery. Spójrz mi w oczy. Te spojrzenia, przeczące, umykające czasami, pomied stołkami, w przeszerzeni promieniującego ekranu.

— Naplirmy się

Jej szklanka unosząca się do góry. W jakiejś nieciekawej scenerii. Pastie okna, chodnik.

— Przepraszam, zamysliłam się.

„Nigdy jej nie zobaczę” — myślał Robot. — „Znowu ta muzyka. Zapytam Hatach, może zatańczyć.”

— Zatańczączy?

Ciotka wstała i zatańczyli do tej muzyki. Stałyby było cykadę.

Pimka podeszła do okna. Okazywały klucy, ale była zielona. Obraz ten dwój jej się w oczach: było to jak telewizor powtarzający się w nieskończoność w telewizorze. Niczym, po luku, perspektywa, ginąca wtedy, gdy nagle wylączyły odbiorniki. Ale Pimce to nie przeszkadzało, ten gwałtowny tik optyczny. Było jej już wszystko jedno. Tak jak wszystkim, którzy wylączyają telewizor. Usiadła na łóżku machając nogami. Kresliła koki hab, na przemian, dwie kreski. Zdaowało się, że włosy odszukują dawną przezność, że staje się znów małym chłopcem — pedakiem, siedzącym na brzegu łóżka. Takie przebudzenie, z zawnieciem. Poranna kawa. Myćcie żębów. Ubieranie. Matka stała przy kuchni z pogrzebaczem. Zapartuzna w ogień. W czerwone kręgi między filiżkami. Wziął ją za rękę

— W eo się pobawić?

Najbardziej lubił, kiedy ojciec wracal z pracy i rzucał kapelusz od drzwi. Kapelusz lądował na wieszaku. Ojciec Pimki grał też na trabce. To wypożyczył chłopcu katolickim sprawił, że Pimka stała się tym, kim się stała. Poczucie winy. Wewnętrzna walka z przebudzeniem i dyck, z sariogwałtem. Najpierw wkładała potoczno, żeby ukazać piękność. Ciotka. Bardzo szybko wchodziła przekonali się, że Pimka to ciotka. Nieznosna w pracy, przegladająca nieustannie folki w katalogu zatrudnionych. Tak bardzo podobala jej się młodzi chłopcy.

— Ojej — zalamywała ręce. — Jaki to cudny chłopiec!

A koleżanki i bezpośrednia przełożona speszliły ocenić gust Pimki.

— Spójrzcie: niebieskie oczęta, różne uszeczka i ta czupryna. Słodki chłopiec. I jaka cera. Muszę się z nim spotkać.

I dziewczęta ulatwały to Pimce. Spotkania w kantine, w kawiarni, przy windzie. Uwierbiały przebywać w jej towarzystwie. Przekomarzać się godzinami, rozmawiać o chłopcach, o ciotkach, o stosunkach w pracy. Zgadzała nie zawahałaby się ani chwili, czy spać z Pimką w tej samej pościeli, nad ranem, gdy wygadała zabawa. Nawet jej dotyk był taki miły, przyjazny. I wydawało się, że nigdy, nigdy mu się nie podosi. Czy Pimki w owym czasie nie stać było na zachowanie hetero? Hm. Sam czuł się kobietą.

— Ale by to było... — dowiekpował z dziewczętami w samych śliphach. One miały na sobie skromną bieliznę. To on ucieszyłby się najbardziej z wtrącenia mężczyzny. Taka nieestety była prawda. Cóż. Ten późniejszy krok... Zabieg u lekarza. Ale chciał, chciał naprawdę oddać głos swoim hormonom. Chciał malować się wyzywając, nosić spodniczki i szorty,

obcisłe blużki, szmizerki, szerokie skajowe paski, rajstopy, farbowane peruki, tatarsi, szryfił w nosie i na wardze, kolczyki w pepku, staniki na pierśsiach z silikonu. Nigdy nie była prostytką. Przeżyła silny związek z Robotem. Ale on wydawał się rozczarowany, kiedy po nocy spędzonej w dyskotece zmywała makijaż, rozbiłaria się.

—W co się bawić? Pohińnij się na koniku.

Koń miał siodło z ceraty i cały był pokryty sierścią ze szczeciny. Miał barwną uprzęż, cięty ogon i... biegający! Mleku wdrapał się na wierzchołka.

„Kobieta. Kobieta — to taka różnica. Sako. To dlatego zostanie ukarama. Pospieszająca starość. Zamienię się proch. Ale teraz, póki jestem przytomna, szybko, jakies zaklećcie. Jedyna pociecha zostały moje perfumy. Zrętszą. Pięprzę to. Nie mnie nie obchodzi życie po śmierci. Tyle tylko, jakby mnie nie było. Reszta będzie dalej.

I ten pies, i kot, i Betty, Hatach z robotem, Latar, narrator i cała reszta hołoty. Szkoła mi tylko Robota. I chętnie wykończyłabym Kolejną Osobę. Teraz jest już za późno. Mane Tekel Fares. Kości zostały rzucone. Patrzę na ścienny zegar. Mała wakazówka pisze się właśnie mozołnie do góry. Przeskoczyła. Sekundnik. Jeszcze chwila, a...”

Wiem, że nikogo nie interesuje los Pimki. Kot, Pies i Betty w willi nad jeziorem słuchają muzyki z tranzystora. Dobiega północ. Z radia wydobywają się jakis trzaski, coś jełkwiwają zawiasty, potem walczy się spiker z sąsiedniej stacji. *Minęła północ. Drodzy słuchacze przed nami kilka nocnych godzin, które spędzimy razem. A z nami muzyka. Utwory będą nastrojowe, a tematem naszej dzisiejszej audycji nocą, walcyczna przygoda. Przypominam numer naszego telefonu, a przed nami pierwsza piosenka.*

Betty zalażyła nogę na nogę. Trawa była czerwona od blasku tranzystora. Przrytulała się do psa. Kot zwinął się w kłębek u jej stóp.

—Jest pełnia.

—Aha — potwierdził Pies i zawył.

[Poza cenzurą]

Ten w tym tego, a ten z tamtym to, tamten ją tego, a ten z tamtą i znów to samo. Jak on z tą, wtedy ona odtego się i odchodzi. No, dajmy na to, tamten wraca i znów to samo. Nie, powiedzmy, ten z tymi dwiema, a tamta przyszyje później. Ta tutaj, ta tu. Ten półokroki. Kiedy on z nimi, tamta się zbliża. Ten jeden i te trzy. Ta mu tego. A ten tamtej ten. To tu, to tam.

—Weź ten, no.

—Co, tego?

I tam, i tu ten tego. Wchodzi tamten. I temu tak. Ten tamtemu tego. A tamta dwie jedna tu druga tu. Tamten ta trzecia. Ten z tymi dwiema. I tak, i tego. Aż jeden drugiemu tego tam. No to z tą tamtą do tej. Ale co tego? Tak i tak. Ta tej tu, a tamta tam. I ta tamto. To tamci do tej. Jeden tu, drugi tu. Ten tamtej tego, a tamten ten. I tak ten tego, aż ta do tej.

—Co tak tego?

—Tak?! To odtego...

—Co ta tutaj?

—A ten?

Tamta tej tego, aż ten tamtej ten. A te do tego:

—Co ten! Nie tego?

A ten do tych. No to te dwie z tym, a tamta z tamym. I tak, i tego. Potem ta z tymi, a te tego. Ten tej tego tam, a tamten tak. Tamci tak tu tego, a tu znova ten. Do tych. I ten z tymi tu, a tamci tam z tą.

„Nikifor to też nie był byle kto. Zajmował się rzęzią w drzewie. Czasami malował. Szło mu to niezle. Wyrzyłnł świaki w drzewie brzozywom, malował niedziele na rynku. Z tym, że był trochę niezręcznowożomy. Nie wchodził w zadne układy. Pogapił się w telewizor, oparty na lasce, wyplł byk piwa i zapałaj, ale tak, że njak nie szło tego zrozumieć. Coś w stylu: —Tybe, bo tak jest Betty od tyłu.

I śmiał się do rozpuku. Nikomu się to nie podobało. Był taki natrętny. Stary pierdoła. I uolał za sobą jakies wybrzusie. Podobno był podobne do myszy. Ja tam nie wiem, ale zdaje się, że jest całkiem ziewnirowany. Zreszta oni wszyscy... Szkoła gadać. Jestem młodą dziewczyną i oczekuję od życia czegoś poważniejszego. A cała tak balasta... Pies mi się podobał, ale to prostak. Ioczywiście poszedł z moją koleżanką Betty. Cry ja bym się z nim przepasała? Bo ja wiem... Zawsze miałem dziemną zmianę. Ona zaczynała od trzpiętnastej. Z minutami. Nigdy nie była na czas. Zawsze taka roztrzepana. Ale było jej z tym do twarzy. Za dużo szminki. Wysokie obcaszki. Łaska. Pies miał gust. Nie no, ten jego pierzono sygnel! Na początku gwadał się nawet uprzęmiy.”

—Dziękuję za piwko.

„Ale bufon. Kabotyń. To były pierwsze myśli, które przechodziły jej przez głowę. Nie wiem, na pewno po tym zaraz zasypia i chrapie. Nie znieśz chrapania. Chyba kogośbyłbym go w kostkę. Pasa w kostkę! Już lepiej oddam go Betty. Nawet fajnie tańczył. A raz, ta bójka z kotem. Myślałam, że nie wytrzymam. Pies nadział go łapą i tak trzymał. I wtrącał się głupia Betty. Mówiłam jej: «Zostaw, niech się leją. Zadzwoń po policję». A ta idiotka idzie ich rozdzielać. Słowo daje, ona coś czuje do psa. A może także do kota. Betty się puszcza. Ze też dotąd na to nie wpadałam. Ładna historia. A z żołnierzami? Nie wiem, nie widziałam, ale coś tam było nie tak. Na pewno. I teraz.

Betty skokietowała robota. A było nam ze sobą tak dobrze. Wracalam do domu po piący (tak chciałam wtedy zostać fryzjerką). Robi czekał w fotelu, albo coś wertował w bibliotece, potem kładłmi się na tapczanie i kochał się ze mną jak z chłopcem. Nie wiem. Wydaje mi się, że z nikim nie było mi tak dobrze. Na pewno nie z Prezesem. Ma przecież żonę i dzieci. A tak chciał, żebyłm była w ciąży. Nie no, z nim jest coś nie tak. Słowo daję. Byłabym gwadał, gdybyłm się dala nabrać. Co innego Pies. Ale przykleił się do tej Betty na adym. Ta dziwka strzelala do niego. Może byłoby lepiej, gdyby wtedy...”

Pimka stała przed lustrem. Nie była teraz piękna ani urocza. Była smutna. Po polniczkach ciekły jej try. Nos się zaczerwienił.

—Jestem głupia! Dość tego. Prześtań się mazać.

Patrzyła długo na swą szczępą twarz, żółte loczki, które rozczesywała palcami. „Muszę poprawić sobie usta. I wyjdę na kortyrtar. Po prostu na przeczadzkę.”

Jacek Giszczak

EWA MAZUR

13 lat

złowiam rybę – wbiła się na haczyk z okiem lśniącym i gładkim całkiem niewidoma tego co jej zrobiłam a jednak się biała rybę z otwartą raną wrzucić do cebezyka pełnego wody cuchnącego szlamu

złowiam rybę – jak teraz wyczepić hak z okrwawionego mięsa śliskiej huski rybę z otwartą raną wrzucić do cebezyka pełnego wody cuchnącego szlamu

złowiam rybę – nie będę kobieta nie będę miała lalek ni loków nad czołem falbanek wokół dekoltu i pierścionka z oczkiem małej córeczki która powie mamoo

uradowany ojciec pokrzykiwał z brzoju ja jednak chciałam tylko ukryć się pod wodą oczyścić z krwi i śluzu stygającego w słoebcu zmyć z łydki czarne pregi zostawione przez trzciny

2 X 97

* * *

samotnym kobietom czas upływa powoli nie przeszkadza im księżyc pełzający po łuku piją wytrawne wino do obiadu a pociesić przekładają lawendowym mydłem

śpią spokojnie od filmu o miłości szczęśliwej do świtu i nie muszą bać się ciemności poranną kawę piją w białiznie z jedwabiu uwagi o pogodzie wymieniają z psem

samotnym kobietom nigdy nie zdarza się czekać fryzjer i masażystka są na ich życzenie gładkie powierzchnie mebli odbijają światła

jak w akwarium – gdy tylko muszną franka odsoni zachód słońca – i nie słysząc ani śpiewu aniota ni chichotu diabła

* * *

Może bym się przyznała
Do wrzącej tęsknoty
Dwadzieścia pięć gramów terra
Komuś kto nie przyszedł

* * *

Ale teraz mój oddech
Ściąga gorzki dotyk
Koniku wszystkie słowa
Zamieniając w ciszę

* * *

o trzeciej nad ranem
tłuste robaki smu-
ciekają z pamięci
a wspomnienie słońca
na krwawej stronie powieki
kreśli czarne znaki
niby ścieżki owadów czy kretów

* * *

pana J. G.

młodość minęła bezsenność weszła w nawk
noce jasne od śniegu i chmur rozświetlonych
srebrny piemiążek księżycza jedną zapłatą
za kilka linijek wiersza biegnących ku oknu

młodość minęła zostały tylko podróże
przez miasta noce książki i kolejne kartki
straszące białą pustką jak drogowaskazy donikąd
z nie namalowanego smu Magritte'a

* * *

świt jest oszustwem
jak wszystko
przyrzyj się dobrze:
każde światło
ma swój cień
ztańczy ciało

krawędzią czerni
pamięci;
wystarczy na chwilkę zamknąć oczy
i ciemność wróci

* * *

na sekretarce
nagrał się hałas dworcowej hali
okrzyk megafonu
i twój oddech
potem długa cisza
wystarczająca
aby zatrzeć poprzednie nagranie
zostało tylko ostatnie słowo: sorry
i cichutkie chrząknięcie
które tak lubiałam
za którym zwykleś ukrywać uczucia

Żona Lota

Odwróć się
Za długo idę w milczeniu
Żegnajkę w myślach
Kamień
Ogień
Niebo nad ogrodem
Nie potrafię już
Dla jednego człowieka
Porzucić więcej siebie
Zanim niezawzię pozabawi mnie możliwości wyboru
Zanim przedmioty i miejsca stracą pamięć
Tym jednym spożeraniem
Wróć

Ewa Mazur

LIDIA DZIEDZIC

„Stare dobre czasy” albo idylla w powieściach Andrzeja Kuśniewicza

Wchodzę powoli, zagłębiam się w moje
bierne, zyciowe i ciepłe

A. Kuśniewicza *Godziny*

Sielskie obrazy (*Jeleni na rykowisku*)

Najbardziej chyba typowe po wypowiedzeniu słowa „idylla” skojarzenie obrazowe to para kochanków „w pozach pełnych umiesienia”, miśmierze skrojonych strojach – rodzaj „fałszywych” pastuszków z epoki rokokowa; wokół parę drzew i trochę drobniejszej flory. Stolica scena ciągle umieszczana przez producentów na wyrobach z porcelany: talerzykach, dzbanaszkach, lampkach nocnych itp. Jest to skojarzenie jak najbardziej poprawne, w dodatku poparte wieloletnią tradycją – czego dowodzi opis „idealnego krajobrazu” dokonany przez Curtiusa. Jak wynika z jego analizy (poeci greccy, jej ułubiony i esencjonalny krajobraz tworzą: „drzewo (lub kilka drzew) lińka, źródło lub strumyk. Mogą też być dodane nieświat ptaków i kwiaty”¹).

Sceneria nieświat bogata, ale oczywiste jest, że nie złego w takim otoczeniu się nie wydarzy. Atmosfera nieemo przesyłana (wszystko dzieje się w ciszy – „pachulny spring”, ale przyjemna, bo niewymagająca, sprzyja zatem wypoczynkowi).

Proza Kuśniewicza pełna jest takich krajobrazów. Składają wiadomo, że tylko w pewnym stopniu jest to dzieło wyobraźni autora, bo rzeczywiście łąki i ogrody w całym ich przepływie miał szczęście kiedyś na własne oczy oglądać. Jego prywatna Arkadia tak właśnie wyglądała – w przeciwieństwie do autentycznej greckiej Arkadii, którą z „ziemi jalo-owej” w „obiecanej” musieli dopiero przedziwiać poeci.²

Każda prawie książka Kuśniewicza jest zamurzeniem się w tę bajkową niemal krainę przeszłości, gdzie złeznającym oczom ukazują się nie szare blokowiska (II i III część *Stręf*, *Trzecie królestwo*), ale właśnie łąki, ogrody (rzadziej las – gęstwiną drzew może w sobie tańc jakąś nieprzyjemną niespodziankę), brzegi niewielkich rzek. Wszystko to skłapane w słobu: obraz czysty, niemal przejrzysty:

Kasztań tuż przed kwitnieniem. A także lipty. Ich zapach i szum za oknami, gdy zasypiałem smakując jeśli nie sam grzech, to jego nazwa-

¹ E. R. Curtius: *The Ideal Landscape [w:] European Literature and the Latin Middle Ages*, Harper & Row Publishers, New York and Evanston 1963.

² E. Panofsky: *Et in Arcadia ego [w:] Studia z historii sztuki, wybór, oprac. i opisy przekładu J. Blahoszek, PWN, Warszawa 1971.*

nia [...] pełne zielonych szczytów liści i zapachu wody w niedalekim górskim strumieniu (6, 30).³

*Tulipany w polnym rozkwicie. To już drogie, a może nawet trzecie tego-
roczne kwitnienie. Widać je, na granicy przewłania, rozchylają szeroko
purpurowe płatki, ukazując czarno-żółte wnętrza i upodabniają się w ten
spół do podków (9, 86).*

*Idąc szeregiem po wale regulacyjnym, odgarniając gałęzie wiktyny, pło-
szymi kłoczysz się na mietlicach wazki, panny wodne, zielone i błękit-
ne świtezianki, a także inne, wielkie, radiorozchowce o sztywnych, błonia-
stych szczyłkach wydających w locie szklany szelest (5, 119).*

Sztafetu arkadyjskiego dopełnia kofi, nie samochód (mimo pasji samo-
chodowej bohatera, a także samego autora) – jak bliśki naturze i przy-
jazny człowiekowi:

*Jechałem na jasnym kaszanie, toneliśmy w trawach, grzywa płowa i
byłna zagarniała jak furdzie chusty był kwiatów, łuski mietlicy i kustrze-
wo; mikroskopijne muszki, których roje towarzyszyły nam w podróży, ostia-
dając na rzęsach i wargach (3, 13).*

Dolce far niente

Zasadą sielankowości jest unikanie dysonansów – jakież więc zajęcia mogą być udziałem szczęśliwych mieszkańców Arkadii? Najlepsze wydaje się brak zajęć. Można oddać się rozkoszy beczymności (Będziemy wygrywać się nago jak para antycznych pastory na trawianych skłonach Diebel Bani, na szmaragdowych pagórkach, po których przeszedł się pastuszy wiat. Jazdeczki będą przebiegać po naszych opalonych ciałach; jak po rozgrzanych słońcem kamieniach –),⁴ 181) bądź wygodnej gnuśności, która jako mniej szlachetna roznijka może być konsekwencją tej pierwszej (Był to [...] lot mocno obniżony jak na urla, jakim był mój ojciec do młodu, wymiar minimalny, mimo iż posiadał niewiarygodny wrok stulaków; dobrał mi i pogody w tonacji złotosiemnej – 6, 90). Jest to idylla doskonała – do tego stopnia, że bez obawy można by zaprosić do niej samego Horacego:

[...] mógłby, podłożysz ręce pod głowę, wyciągnąć się na miękkim, puszystym dywanie strzyżonym z angielką marnow; w mięgotłwym cieniu nity w rojach męczyli i zdarczankę ościupinkę; a potem ociekną nagie, prze-
budzony przelotem buczącego trzmiela czy może przełoży i trzęsę wesz-
tachnąwszy porowicie w rozkosz drzemania, w spokojny, letni sen pod czu-
łym, gościnnym okiem gospodarza, pod ostłą naszą szlachetną gościnnością, pod wysokim dachem naszych drzew, naszej Osobności, Wy-
łączności i Wygodzie, w naszym dołku far niente, w naszym bycie-niebycie.
Tak byłoby – wieczór – gdyby przyświecał w gościnie (10, 66).

Smakozostwo

A jeśli gościnia, to rozumie się samo przez się, że należy gościć nakarmi-
cie i napoić. Wielkiemu Stelankopisarzowi proponuje się dania swojskie, ale i „trochę obcocy w stylu moderne”: homar, wątróbka giesia z octem
winnym, carne d'agnou z „młymi jureczkami” etc. oraz wino z Chablis,
Chateau-lès-Combes lub Margaux („pobogłogławiony przez Słoworęcz-
nego”)

³ Liczby w nawiasach oznaczają: pierwsza – numer wydania, druga – numer strony. Powieści natematyczne są w kolejności publikowania przez autora: 1. *Korwaja*, 2. *Enota*, 3. *W drodze do Rimini*, 4. *Król Obcego Świata*, 5. *Strony*, 6. *Stare nieważkości*, 7. *Trzeci brzościon*, 8. *Lelek* i *marnego języka*, 9. *Wiat*, 10. *Miazgający obcy* i *obcy*, 11. *Nawróconie*.

nik!"). Nie na próżno *Fizjologia smaku* Brillat-Savarina⁵ była ulubioną książką Kulniewicza – opisy biesiad przy zastawionych stołach na równi z zestawami niewyszukanych, lecz smakowitych potraw pierzga się na kartach jego powieści. Jedzenie jawi się w nich jako kwintesjencja arkadii, pozwala posadzić, czym jest niczym niezamocne szczęście. I najlepiej ilustruje zasadę bliśkiej arkadyjszemu: „czarne diem”.

Kwiczycy podaje się na grankach. Znakońca potraw! I takie jakieś jedno z wielu menu: sztukamię w bezsmale [...] potem na przykład przepiórki a la Saucher [...] potem kwiczycy na grzance lub bekasy czy słonki, po myśliwki [...] i wieśniski strudel na zakończenie – ba, ba! – i Kielczek Altiavera [...], tak, tak. Czarka sznapsa na samym początku [...] (8, 49).

Cytat jest fragmentem monologu wewnętrznego bliśkiego śmierci Alfreda Kiekeritza – jak widać nawet rzeczy ostateczne nie osłabiają apetytu, doskonałego miernika przywiązania człowieka do życia ziemskiego. Przekład bohatera Mieczymy objaśniających będąc ciężko chorej targuje się z Bogiem o każdy kolejny dzień życia następująco:

*No to dajcie mi przeżyć nieszczęściemu do Jana Kapistrana! Albo do Wielkiej Nocki, żeby bodaj jedno poświęcone jajeczko kołkami drzewię-
jących palców poglądział, zmacał... Skoro byłbyś za jednym zamachem w całość, jak dawniej bywało, już radynie daś... Szywekcie powychud...
A gdyby tak – myślę – do trzmi, co? ... Jak na dobrego gospodarza wypadła... Chwałcie łaki umajone, chwałcie doliwo zielone... Dopina-
wać stanokosów; zniwiarzy bodaj z daleka, przez okno... Z tojaś boleści na niesfora leniwą służbę pokrzyżcz... a wzytoko to i Twojej chwałie większej... (10, 88).*

Aryskratyzm

Z końcowej części cytatu jasno wynika, że kmina szlachetności kreo-
wana w prozie Kulniewicza odpowiada też za staropolskiej poezii ziemiań-
skiej – o szczęście wybranej grupy tu chodzi: *Rola człowieka sprawozdania do
dwa zadani: muszą zebrać zboże i wnieść nastroj pogody⁶. Rola panów
zaś, można by dodać, do ogładania tych pogodnych obrazków, podziwia-
nia sprawności i siły fizycznej gminu:*

[...] dziewiętny grabiły świeżo skoszoną trawę nużę cicha. [...] nachy-
lały się wiejąc monotonnie nużąc, nie patrząc na mnie, oddkadyły na bok
te mietynne gałki, a na wprost była rozłożysta altana. [...] na lawecze-
wy [...] (3, 9).

Nie jest to więc utopia – z równością społeczną jako hasłem naczelnym; to
chłopi mają swojego pana, emancypacja nie jest możliwa. Ale jest to pan-
o-cie, bojni i doby dla poddanych. Charakterystyczny jest tu dwukrot-
nie pojawiająca się scena „sądów pańskich”:

*Ojciec wygodnie w głębokim fotelu, rozłożywszy usadowiony; zaś interes-
nant naprzeciw; na brzechu krzesła, wycozkując. Tarko gładzi brodę, bawi*

⁴ A. Kulniewicz: *Moja historia literatury*, PIW, Warszawa 1980, s. 20. *Bo doby
smak to jakiś element szlachetności, na pewno nie do złokocowania. I jest w tym sporo
prawy, że w smaku szlachetności – wiele ciekawie doświadczenia. Przy odliczu barwności czy
kwaśności z racją trudno było wyobrazić posure, szlachetność, mietynne wieść pod czu-
stki. A gdyby jeszcze się gdzieś tam kłotaly – kielich burgunda z węgryłi przenośnic-
rozpędzi ze humory. Moja rada: jeśli pierwszy zawieszisz – ponowisz dozwolę. Z powodu-
ści pomoci.*

⁵ Cz. Hertz: *W Argu miotła o naturalnej szlachetności [w:] W kółkowym lesie*, t. 1, PIW, Warszawa 1963, s. 31.

sie naszą, bębni palcami po zielonej tubule. *Sheha. Potokuje. Dziwi się. Unosi związując krzakaste brwi* (11, 86).

Typowe dla akademickiego toposu „usnąć się od świata” widoczne jest w tej prozie w maniifestowaniu przywiązania do życia na wsi, arystokratycznego dystansu wobec warstw sąsiadujących na drabinie społecznej (zwłaszcza do burżuazji, jako uzurpatorki praw klasy „panującej”) odnoszą się tu słowa odt profanum vulgus, ale nie tych najgłębszych. Względem chłopom, swoiste braterstwo, jest wciąż bezpieczna, do zakłajająca dystans nieprzekraczalny. Dla arystokratki taka sytuacja jest optymalnym rozwiązaniem, zapewnia bowiem towarzystwo, a nie to narzające się, traktujące wyższą klasę z należytym respektem.

Wielkość potęgowana kontrastem. Skontrastowanie wysokiego z niskim może być jednak źródłem dodatkowych jeszcze przynajmniej i wyskazywanym innym tektur: Jewhen i Dolek bawią się słowem i wybrańnią patrzac na stopy praczki zamaronie w rozek (3, 26), czepiając perwersyjną przyjemność z uświadomienia sobie zapracowania swojej koleżanki, gdy oni tymczasem wylegują się w łóżku (3, 107). Z przyjemnością obserwują pracę Grety przy zmywaniu schodów – oczywiście u ich podnóża. Podobna scena (czyżby już natręctwo?) pojawia się w innej powieści:

[...] *mdoce posługaczka, tak zwany tłumak, taka najniższej kategorii. Ot popychało, garkotuk. I w tym cały smak. Nie do dystans tak karkolomny, że gadać na ten temat szkoda. Jakby specjalnie na naszą cześć uroczyście i rajpalcie z rozmachem wyje schody. Łyżstania. Podkaszana. [...] Mamu tu odwieczne, dziedzielnie z pokolenia na pokolenie przez zarządzenia. Niby tu primae noctis totius proportione gardała* (11, 47).

Erotyzm człowieka kulturalnie „przeafinowanego” zadowala się właśnie prymitywem. Być może spowodowane to jest stopieniem zmysłów w „wielkim świecie”. „...! Esknota za parobkiem” dotyczy również innych sfer życia podobnie się może wyrazić, co niemiernie, krzywe, przybrudzone. Z lubością wdycha się nieprzyjemne zapachy obcejka wiejskiego. Jeden z bohaterów *Mieszkań obywatelskich* podsumowując jeden z takich specyficznych obrazków mówi: „Konstaszy się pokhwyają, trzeba tylko has odważnie sphałowac, jako to ma smak” (10, 118). Niemierznie „arystokratyczny” sposób mówienia Leonas odaje też wypowiedzi w takim kontekście dodatkowego smaczku.

Wypoczynek po wypożyczku

Szczęśliwy arkiadyzyk poleżawszy nieco, nawiązuje się do syta i popatrzywszy na zajętych pracą chłopów nabiera ochoty do bardziej aktywnych rozrywek. Czytanie nie cieszyło się wielką popularnością. Jeśli jednak to coś lekkiego (wyfluencuzmieniem może być młodociany wiek narratora, ale wiemy, że jeden z kolegów czytywał wólcza *Etyka Spinozy*), *Mandaryn Wu*, *A Piępa tancerz*, etc. (11, 49). Z czasopiśm. „Łowca – tygodnik łowiecki”, „Czas”. Niewątpliwie były to mierne rozrywki w zestawieniu z bucznymi i wesółymi zabawami „arkadii zaprzestanej” – Polski czasów saskich, czasu rozbiorów (swosta arkiadii), Galicji z końca „la belle epoque”:

Dawne to czasy, gdy [...] Jechal z fantazją, w hilkancie karet, sam w otwartym powozie, żeby wszyscy widzieli, kto taki, kogo podziwiać wypada. [...] do pałaca swego podmiejskiego zmierzając na bal wielki. Tam uczyniano do świata i nazajutrz, z nowo do następnego ranka, tam chińskie lampiony w parku, ilia i szafrowe, pasowe pompadour i oranżowe.

* R. Pogodził: *Wierlowa Jajka* [w:] „Zagadnienia Rodziny Lilińskich”, t. III, Łódź 1960, z. 1, s. 39.

karbowane i wystrzygane, malowane w chłińskie smoki, w pawie ogony i granatowe ryby na cytrynowym tle (6, 82).

Bedziemy mieli okładki ujrzyć ojca Karinita tańczącego nad ramem czaradza solo na niewielkim stole, obok przmoza cygańskiej kapeli, czarnego i smagłego Jozya [...]. A taniec ten wykona w sposób mistrzowski na przesłuchaniu nie większej niż metr kwadratowy i w dodatku wśród szlonek pełnych wina i słowicy, i nie straci żadnej z nich (4, 100).

Zabawa przeczała się z dnia w noc, przez dwa w południe, przez dwadzieścia z izby na dwór, w sad, od drzwi do drzwi, z kielichami w rękę [...] (6, 138).

To były czasy! Umieeli się ludzie bawić – chcieliby się powiedzieć. A jeszcze lwowickie lokale i lokalni sprzed II wojny światowej (10, 39): „Temat niewyczerpany. Zaczynają od Hotelu George’a [...] Musiałowicz, a nawet dwu Musiałowiczów, był Zehngui [...]”. I jeszcze karty:

[...] *na blacie stolika – latwo odgadnąć – talia kart mała wieśdziekiej, stynnej, Piatnika i synów. Labet będzie – pomysłem! [...] Otwiedczył narz Drogę Sądias dobitnie: – Ja pas, panie sąsiadzie! – a na to ojciec, unosząc brwi – Piki! – Itak się zaczęło* (11, 11).

Kobiety

W potoku rozrywek nie sposób pominiąć tej, która często uważana jest niemal za synonim sielankowości, a to ze względu na rozpowszechnienie w VIII w. języki miłosnej – miłosii właśnie. Wbrew sielankowym tradycjom, nie próbuje się udowadniać głębołość uczucia, jest tu bowiem arkiada przezwycięzić, jak pisał Pogodził, „złoty wiek w swobodzie seksualnej”. Dalsze słowa Pogodziego również doskonale pasują do światła powieści Kulniewicza, gdzie kobiecie i mięsok to przeciwstawienie pliciwoskiej (kobiety nie posiadającej innych cech prócz pliciwoskich) i wierzchnio niezaspokojenia: [...] *wybrańnią sielankopisarzy zmierza w kierunku przemilczenia konfliktu między nagymi i wyzrnutami ziemia, pogodzenia niewolności ze zczęceniem i wymierzeniem przyjemności do wyczuć zasady moralnej bez ogładania się na prawdę życiową. Nikt nie bierzeż się do łoklowal absolutnej rozkoży nie osłaniając się przedmiotem liberalizmu (notabene Kulniewicz liberalnym zmem się zachwycza – L.D.), który swój smak kształcił właśnie na poezji pasterskiej. Kobieta, istota nieznaną, prowokuje swą odmiernością.*

I nagle doznałem jakby olśnienia. Oto na moich oczach przyszyły się przeciwko lewno-płomnym barokom i rdzawcom Gerdy-Germanki przedmioty i kształty przeciwstawne, kierowane moim wzrokiem, moim wyostrożnym patrzeniem. Kształty włoskie i goyckie [...] czhwyjące, by w nią ugodzić – w jej obcości i odrębności, niepowtarzalności i niedostępności.

Kobieta obcej rasy w swojskim krajozbie jest podwójnie atrakcyjna:

Nie Rachel, lecz koniecznie – Ruchla [...] Szukałem autentyki i egzotyki. Rodziłem. Pod kątem. Ogładając z bliska. Skoro przegladaj nam się rodzime owoce, jabłka i gruszki, sięgnijmy po ocytęta pomarańcze. Przeglądaj się dloniami, które mi je podaje. Ich kształtom (11, 195).

Uswiadomiona zdobycia kobiety są jednak zwykłe darzenie. I znów zaskakująca zbieżność z zdaniem włoskiego badacza na ten temat: „nie ma innego zaspokojenia użam miłosnych, jak tylko w wybrańniu”. *W drodze do Karinita to duża opowieść o pogoni za kobietą, pogonią pokazującej często doświadczenie.*

Gołniliśmy ostatkiem sił [...] Żeby nam dokuczyć, podcięły się nam, najbliższych przecięci i stale skupionych w naszej bezczynności o nie prozoc, Gerda potrafiła gnać ile sił w nogach, wdrubując najbardziej szkurne place. [...] Siadaliśmy byle gdzie: łapiąc z tyłu od białej Szwajcarki nam w pierśkach, mokre od potu dłonie pozostawiały palczaste ślady na kamieniach (3, 354).

Podobnie „niewyrobionemu kondycyjnii” osobnikiem jest mecenasz Trzeciego królestwa uprawiający seks z koleżankami swojego syna. Mężczyźni najwyższej nie wytrzymują tempa (krotka zresztą sama prokwoją) – wycofuja się w impotencję (Emil R. z *Króla Obcojazy Sycylii*), wycierają (pan Karol z *Korapeli*), homoseksualizm (Alfred z *Lekcji martwego języka*), Otto von Valentin z *Froki*). Do tej listy można dodać jeszcze karziodrwo (*Erica*), *Lekcja martwego języka*, pedofilii (doktor Maurycego z *Witruza*) i inne dziwne kompensacje seksualne (związek Claude z *Witruza*). Arkadia?

Życie ograniczające się tylko do zaspokojania podstawowych, najniższego rzędu potrzeb wydaje się bliższe naturze, gdyż polega wyłącznie na kierowaniu się zmysłami. I rzeczywiście w powieściach Kuśniewicza akcentuje zwoleństwo człowieka z przyrodą. Najczęściej polega ono na wypicie pianet na losy poszczególnych ludzi. W *Skręciach* w tzw. kartach ewidencyjnych, które są rodzajem zyciorysów bohaterów książek, jednym z ważnych momentów wymienionych w każdej takiej kartce są narodziny – w określonej strefie zodiakalnej; bierze się również pod uwagę stan natury ziemskiej, bliższej człowiekowi:

Blaszane dachy odbijały olbrzymi brząk gradyniony. Krakulki spadały gównonów, a na niebie panował Chumny. Gucio wydał pierwszy okrzyk bojowy, gdy Saturn zapadał za postropane zbocza Włnerodolki, a słoneczko dopiero pojawiło się za Dunajem. Leżała tam gęsta, wiewista mgła, która zaczęła napełniać korytarze iłko dusznym i mrocznym oparem. (5, 157).

Przyroda towarzyszy człowiekowi przez całe życie i nie jest to przez niego lekceważone. Przeprowadza się nawet analogie między oboma tymi światami ujednoczając je niemałe – i nie ma w tym nic szokującego, że tylko naturalne spojrzenie na ten w istocie jeden harmonijny świat:

[...] można zakrzywionym ciekawym paluszkiem podwinąć i wyłuskać pestkę, pociebie nieco złotawego lipkiego zółta i oto wnetrze odwołuje się: wiewista miązga, ciałko rozdarłej słivki węgierski jak rozwarze ciałko gołjskiej dziewczyny, takie słivki przyrządzą chłopci aż zza Rozaldu (5, 40).

Jest to świat, w którym zmiany w naturze pociągają za sobą zmiany w świecie ludzi – zwłaszcza zaś w świecie kobiet, od dawna uważanych za bliższe naturze. Cykl miesięczny matki jest w oczach małego Salika czymś tajemniczym, bliskim magii:

[...] zardzewiał nad rzekę i zobaczył, jak głupia Natka pierze bielizne matki i jak z jednej szmatki zanurzonej w wodzie płynie rzeka Stryj czerwioną smugą. Trwało to załedwie krótki moment – jakby paznokci gosie koronowej silyn rwanaj na strępy, czepiające się lody trzcin – o jej wodzie stała się czysta i zielonkawa jak ocean [...] (5, 39).

Moment prania zabrudzonej krwią bielizny w kontekście kultury judajskiej (rytuału nieczystości) nabiera cech katharsis – to bliskość rzeki daje

³ s. 105: [...] wszystkie kobiety są zranzone obrzydłem. Nie tylko psychicznie, przez dyk zaborczosci, zapłomności i głupoty, lecz również fizycznie: ich organy płciowe przypominają zamoczone czy siłkowe. Są obawione i żarliwe jak u papieża. Grają na słubiej męczyźnie. Herodotus i jej małżonk spójny zmem i płcią. Głowa świętego Świętego Jana Chrzestusa.

możliwość oczyszczenia oraz gwarancję, że zawsze będzie to możliwe. Motyw menstruacji, ale przedstawiony zupełnie inaczej, kończy *Lekcję martwego języka*. Chociaż można ocenić jako zabawną lub groteskową (wydaje się, że takie motywy satysfakcję autora, zwiadyżony na zdyspensylnowo, slerotyzopowo „ziemskiej” charakter bolatarki tej sceny). Liza Kut odęga tu rolę kapłanki misterium śmieci dopełniają obchodzą na polu chrześcijańskiego, na polu pogańskiego – wszystko zaś dzięki księżycowi, który czuwał i dopomógł.

Nachodziła kwadry a Liza wymalowała najstarsim, jak potrafiła, na wieku skrzyni litera i N.R.R. tak jak gdzieś to widziała. Wypuła palec umazany własną krwią młoczną, którą zesłał jej księżyc, a może Diana, bogini śmieci (8, 120).

Mająteczek

Po tych wywodach paradoksalnie zabrzmi stwierdzenie, że bycie blisko natury zależne jest również od zamożności człowieka! Zdaniem Hernasa założeniem wiejskiej arkadii jest przekonanie, że żywot uwolniony od zewnętrznych zobowiązań [...] dostąpił i niezależnie materialnie przywraca człowiekowi harmonijny i przyrodzony związek z prawami natury⁴. Wprawdzie Poggoli dowodzi, że programowe ubóstwo jest ważnym wyznacznikiem krajiny szczęścia (podobnie jak w idei chrześcijańskiej ma służyć oderwaniu od doczesnych utrapień), to jednak w tym jednak tomach prozy nie znajdujemy potwierdzenia takiego mniemania – u Kuśniewicza tam, gdzie zaczyna się ubóstwo, a z nim ciężka praca – kończy się arkadia:

Wieczne zmartwienie. Pansio i jego żona Facha – jakby postarli. Bo zaharowani. Obawy brnąwszy się o świecie. Żeby dopiłniewać pierwszego podaju, ekspedycji formalnych zaprzęgów w pole, nakarmienia drobitki, zaspokojenia dzieciuchom, co mają dził robić w ogrodzie. I tak cały tydzień łącznie z niedzielami i świętami (10, 177).

W ciężkich czasach nie tylko zagrożone jest smakożostwo, ale wręcz głód zagląda w oczy arkiadyjekom:

Przyšlo mu na myśl pytanie, czy istnieją sprawy ważniejsze od tego, co go obacza natrętnie i uparcie. Niepokojenie na brzości w uprawianiu: wciąż tylko salscica, rutabaga (któ przed wojną wiedział o istnieniu rutabagi?), kapusta i topinambur. Wrosły teraz do problemu numer jeden! I czy na karty żywnościowe należne dorosłym [...] to jest czestne symbolem „A”. „Adultus”, dostanie się w tym miesiącu, jak obciwiali, osiem kilogramów chleba czy dziewczę, zaś cukru na pewno, jeśli tylko nadeszły i rozpruwadzą po sklepach, no to, jak w poprzednim miesiącu – kilogram, a za to mięta załedwie 650 gramów i, co ja mam z tego ugotować, proste pani? (9, 140).

Tak więc „parvum herediolum” jest optymalnym kształtem szczęścia wiejskiego i, ze sparrandując trafne określenie Hernasa, źródłem wznuszeń arkiadyko-ziemianiskich, „liczących satysfakcję ekonomiczną ze wzruszeniem estetycznym”⁵. Na dowód, jak chlebne z takim widzeniem natury jest spojrzem kuśniewiczowskiego narratorka, jeszcze jeden cytat:

Tutejsze buki potrafił mieć po kilka metrów obwodu, tak że trzech ludzi trzeba, by opasać pięk takiego obrwosa. Istny ocean zieleni, a dła innych, mniej skłonych do poetyzowania – morze buczalica i opalowego

⁴ Op. cit., s. 20.

⁵ Określenie Auzoniasa stosowane przez Hernasa, op. cit.

⁶ Cf. Hernas op. cit., s. 26.

drewna na dodatek. W niektórych rewirach i oddziałach, na przykład w takim Mochnacie, osiągnęto całymi festiwami z jednego morga. Wszędzie pachnie żywicy, a na nadleśniczych stokach również jałowicy; macierzanka oraz górska pojunka. A także grzyby, może grzybobó rzyśców, lecz innych też. Są prawdziwki, masłaki, podpieńki. Baby latzą po lesie i zbierają do szerokich chust, potem noszą do miasteczka (8, 19).

Warunkiem zażywania bliskości natury jest więc dostatek, ale i o nie nie się przyda, gdy brak sił na korzystanie z dobrodziejstw, jakie niesie. Arkadia zatem to krajina wiecznej młodości, bo tylko młody może fizycznie sprostać intensywności szczytowego życia. Bohaterowie obok młodości skazani są tu wieczną niedojrzałość – ironicznie przedstawieni jako wyzimmieni „obiecujący młodzieńcy”, którym trzeba okazać wielką wyrozumiałość. Są to ludzie w wieku nieokreślonym, ale w swoim odzuciu wciąż młodzi:

A ja, dorastając ciągle, nie mogłem jakoś dorosnąć i dojrzeć, wciąż się tylko zapowiadałem, nie będąc nigdy gotowym ani uformowanym, odradzałem się wielokrotnie, by jako dziecko i nieustający młodzieniaszek, niewinny, lecz w sposób szczególnie wścibski i ciekawy, włączyć się i wtrącać, idąc nieprzerwanie przed siebie. Zakwitłem także na nowo, by ołmnie siebie samego wyląnym błaskiem odrodzonego oblicza (8, 193).

Starość rzadko bywa tu wrażliwością (postaci cadyków-mędrców w *Stanie nieważkości i Nawrócenia*) – zwykle jest to starość niepełna, rozum, zdzięcznina, bezsilna (ciotka Reily, lokaj Jan w *W drodze do Koryntu*, zegarmistrz w *Wirażu*). Młodość jest siłą, która może niekiedy zastąpić wszystko inne, oprzemienić smutną rzeczywistość wokół, zrekompensować nawet niedostatek:

Miejsca świętowane młodocia: czuję do dziś woni kurzu i wody, gdy wstawasz dozorew w niebieskich maciugówkach zamiatając i polewając z hydramów rozgrzane upałem bruki (10, 173).

Salowi na przypomnienie tamto, na samą myśl o tamym, między łopatkami rodzi się drzewiec. Teraz ma nowe, które z rzędu okulary, nowoczesne i drogie. Bogacę się, ubożem. Trucimy coś zawsze. Tak i ja. I ty również jesteś ubogi jak mysz kościelna (5, 28).

Mówi to dawny Salo Grynszpan, a w „terazniejszości” doktor Grins, do swoich również mających kolegów. Żyja dostojnie, ale odarci z młodości i jej złudzeń. Teżnią za utraconą arkadią. Czy tylko za młodością, skoro parum herediolum i locus amoenus nie są im wzbudzone, jako nabywalne za pieniądze po prostu? Trzeba by więc zapytać o to, czy jedynym uzasadnieniem powrotu do przeszłości ma być malotkwość i banalne stwierdzenie: „dobrze mi tam, bo jest ładnie i wesoło, nieźle gotują i nie strzyka mnie w kościach”. Czy warto wracać do arkadii, skoro zaspokaja ona potrzeby zmysłów, które tu i teraz zaspokoi może? Warto bo:

- 1) takiej jakości wyrobów już się nie spotyka,
- 2) takiej rozmaitości również nie,
- 3) nie tylko doradzić potrzeby arkadia zaspokaja, lecz również, i przede wszystkim, głęboką potrzebę ładu.

Lidia Dziędzic

JANUSZ STYCZEN

Mroczny przedmiot rozmowy

Regina pyta o ginekologa, u którego ostatnio byłam, na pewno do niego pójdzcie, powiedziała Halina. To już chyba pięćdziesiąty ginekolog, do którego Regina pójdzcie, dziewczę, że nigdy nie chodzi do ginekologa kobiety, zawsze wybiera mężczyzn, powiedziała Halina. Ona chce, żeby coraz to nowy mężczyzna badał jej pochwe, może chciałaby wyjść za ginekologa, powiedział Winicjusz. Ale dlaczego, zapytała Halina. Mać ginekolog codziennie kontrolowałby jej pochwę. Jej pochwa byłaby pod wspaniałą opieką. Na co dzień, powiedział Winicjusz. Znowu gadamy o Reginie, ale to nieprawda, że ja tak lubię żyć jej sprawami, powiedziała Halina. To tylko ty tak mówisz. Ze z powodu słabego zdrowia i moich chęrbó brakuję mi przygód i dopiero Regina tych przygód dostarcza mi w madniarze. To nieprawda, że ja tak lubię żyć życiem Reginy. To tylko ty tak mówisz. Moja matka zawsze wolała ginekologa kobiety. A gdy podać Reginie nazwisko ginekologa kobiety, to wcale do niej nie pójdzcie, mimo że jeszcze przed chwilą białada, jak strasznie coś jej tam dolega i że musi koniecznie znaleźć nowego ginekologa.

Halina i Winicjusz pili kawę. Ten ceremonial niegdy się nie zmienił, pomyślał Winicjusz, on zawsze będzie przychodził do Haliny z tórebką kawy. Halina zmielał kawę, będa pili tę kawę, a on do kawy dostanie jeszcze talerz z kanapkami. I on zawsze będzie przychodził do Haliny w sobotnie przedpołudnie. W pewnym sensie Halina i Regina są dla siebie bliźniaczkami, pomyślał Winicjusz. Delikatna, sentymentalna Halina i obwiązująca się zaraz, gdy tylko jakiś mężczyzna ją obejmie, Regina. Ten złafrak Haliny jest tak samo skromny i nie wyzywający, jak sama Halina, pomyślał Winicjusz.

Kiedyś Regina opowiadała mi o swoich orgazmach, zeszaj Winicjusz. O czym ona z tobą rozmawia. Więc ona miała napięty orgazm leżąc kossy, chłopcy ją podniecałali, jeszcze jak była w szkole, ale potem ona przeczytała w jakimś czasopiśmie w kaciuku seksualnym, że normalny orgazm jest pochwowy, brando chciała być normalna i szukała mężczyzny, by jej dał ten orgazm pochwowy, poświęciła kilka ważnych miłości, by osiągnąć ten wymarzony orgazm pochwowy, i wreszcie osiągnęła to siedzieliśmy wtedy w „Aldzie”, gdy Regina mówiła, że ma normalny orgazm pochwowy, w jej głosie była jakby ulga, odręczenie, że po tak wielu wysiłkach wreszcie norma, a ja wtedy, przecieć teraz w publikacjach seksu-

alnych uważa się orgazm lechtaczkowy za normalny, bo ogromna większość kobiet ma orgazm lechtaczkowy, we wszystkich publikacjach seksualnych, jakie w ostatnich latach wpłynęły w ręce, pisze się, że orgazm lechtaczkowy jest normalny, w oczach Reginy nagłe zobaczyłem wielką bezradność i przeszliśmy na inny temat.

Winiusz patrzył, jak Halina zapina dokładnie szlafrok, jakby chciała zdecydowanie się odgródzić od tej walki Reginy o orgazm pochłowy. Nie kop mi obicia tego fotela. Halina specjalnie chyba przeszła na inny temat. Winiusz cofnął nogę. Regina jak przychodzi, zawsze strasznie mi skopie bok tego fotela, upominam ją i nic nie pomaga. Będę uważał, powiedział Winiusz. Już jej nie zaproszę, raczej ja sama pójść do niej. Winiusz pomyślał, że on też tak samo jak Halina lubi żyć życiem innych. Wracając do orgazmów Reginy, zaczął Winiusz. Co cię tak trzymają te orgazmy Reginy, Halina szczególnie oulla się szlafrokiem i wyciągnęła się na kanapie. Przymknęła oczy, jakby zastanawiała się nad tymi orgazmami Reginy. Więc wracając do tych orgazmów Reginy, zaczął znowu Winiusz, wiesz, opowiedziałem Justynie Górskiej o tych planach na kocu po Reginie i Kaziku i wiesz, dołądem, że kontury tych plan jeszcze na kocu wiadać, po tyłu latach, a Justyna Górską na to, że zbiera się jej na wymioty. Dlaczego aż na wymioty, przerwała Halina. Ja też się zdziwiłem, a Justyna Górską na to, że trzeba było od razu ten koc dać do prania. Ona ma jakiś wstręt do plam po miłości, Winiusz jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale urwał. Halina nadal leżała na kanapie, ziewnęła, a może to było westchnienie.

Przed oczami Winijusza pojawiły się te wielkie plamy na kocu. Kiedy po wyjściu Reginy i Kazika weszli do małego pokoju i chciał złożyć koc porzucony w bezładzie, zobaczył te plamy. Ledwo narwał Reginę i Kazika do opuszczenia pokoju, wciąż powtarzał, że również wyjeżdża do Legnicy na prelekcje i oni nie mogą tu zostać na noc, rano zazwyczaj nie odbywają się prelekcje, ale nie było innego sposobu. Oni zamknęli się w małym pokoju, ale po jego waleniu w drzwi, że musi rano wyjechać, wreszcie odpowiedzieli mu – już wychodzimy – i rzeczywiście wyszli. Halina też weszła do małego pokoju. I on, i Halina długo oglądali nieprawdopodobnie ogromne plamy na kocu, jakby nie powstały one z narządów Reginy i Kazika, ale jakby oni mieli ze sobą tajemniczą butkę z miłosnym płynem i jakby musieli to wszystko rozlać na koc na ofiarę bogom miłości. Ale ogromne plamy, wyszptała wtedy Halina, pochylała się z jakimś niedowierzaniem nad kocem, jakby chciała się sama przekonać, czy ogrom plam jest realny. Dzień później Regina powiedziała Halinie, że specjalnie mówiła Kazikowi, żeby uważał.

Halina też chyba wspomina te sceny, pomyślał Winiusz. Lękął kawy. Halina nadal leżąc na kanapie sięgnęła po szklankę i lękął kawy. Wiesz, co mnie dziwi, że jeszcze dzisiaj, po dziesięciu latach, na kocu są widzialne kontury tych plam, powiedział Winiusz. Czemu tak lubisz mówić o tych plamach, zapytała Halina, to było takie nieeleganckie, jak Regina z Kazikiem nagle zamknęli się w małym pokoju, na naszych oczach, on tylko na nią patrzył i trzymał ją za rękę, i ona od razu poszła za nim do małego pokoju, ona pierwszą raz go społukała, Halina nagle usiadła jakby z wrażeń. Po paru dniach zobaczyłem na tych plamach robaka, jak się w nie wżerał, powiedział Winiusz, wiesz, w tych wiewióczkach pojawiają się takie brązowe robakowady, myślałem, że one się żywią kurzem, ale

widocznie mogą się karmić wyschniętą spermą, Winiusz! Bo mi się robi niedobrze, krzyknęła Halina, uszam cię za zoboczenia, prestań już gadać o plamach po spermie, bo mi się będzie też chciało wymiotować, tak jak Justynie Górskiej, już nie będę mogła pić tej kawy, jak nie przestasz się.

Winiusz zaczął ostatnią kanapkę i dopił kawę. Może zrobisz mi herbaty, powiedział. Dobrze, Halina wyszła do kuchni. Na jej obszarach osobowości Haliny mielić się ta jej wspólna cząstka z Regina, bo jakas wspólna cząstka musi być, pomyślał Winiusz. Ale to jest coś tajemniczego, coś trudnego do określenia, on nie znał aż tak bardzo Halina, żeby to określić. Był jak dwie archetypiczne siostry: jednak dobra, druga zła, i siostra dobra była zbyt leniwa, by stać się także siostrą złą. Chociaż Regina także była leniwa. Dwie siostry, jedna sentymtalna, druga psychiczka. Chociaż ta sentymtalna wywyższa się w słauchaniu o przygodach erotycznych tej psychiczki. Dwie siostry: dobra i zła z serialu „Powrót do Edenu”, tylko że siostry w serialu toczyły ze sobą bezwzględny wojnę, a Halina i Regina nigdy nie toczyły ze sobą wojny, czasami pokłóciły się na tydzień.

Wdóła do pokoju Halina i postawiła przed Winiuszem herbatę. Gdybym pisał wiersze naturalistyczne, to mógłbym napisać wiersz o robaku wryzającym się w wyschnięte nasienie miłości, powiedział Winiusz. Winiusz! Opowiadasz mi dzisiaj same obrzydliwstwa, Halina usiadła na kanapie. Na szczęście nie piszę wierszy naturalistycznych. I bardzo do brze, powiedziała Halina. Regina wszędzie zostawia za sobą plamy, powiedział Winiusz. To plamy Kazika przede wszystkim, powiedziała Halina. Przede wszystkim Kazika, ale i Reginy, Winiusz lekko tracił szklankę, ale nie się rozlało ani nie przewróciło. Ty mi tutaj nie zrób plam, zachęcała się Halina. Nie jestem Regina, rozemślał się Winiusz. A wiesz, ona ostatnio mi powiedziała, że znowu figlowała, zaśmiała się Halina. Mogłaby wymaleć inne słowo na te rzeczy niż figle, zaśmiał się Winiusz. Więc znowu figlowała i teraz boi się o miśsiaczkę, śmiała się Halina. Na jej miejscu zafundowałbym sobie dziecko, powiedział Winiusz. A ja też, przytaknęła Halina. Ale po tych skrobaniach może ma tam coś chorego, powiedział Winiusz. Kiedy żaden ginekolog niczego nie stwierdził, lipo-chondria po prostu, zaczekał, pójść zobaczyć, czy mama już ugotowała zupę, Halina wyszła z pokoju.

Regina jest jakby martwa, a on i Halina jak sepy rzucącej się na trupa Reginy, pomyślał Winiusz. Ale dobrze jest żyć życiem innych. Kiedy Halina podrywał jakiś facet, zawsze zastanawiała się, czy jest sens z nim chodzić, czy nie lepiej byłoby nadal samotną i mieć spokój, nie przelzywać kłopotów, dramałów może, a żyć serialami, książkami, od czasu do czasu kłótniami z matką, może Halina ma rację. Winiusz usłyszał, że Halina otwiera drzwi od kuchni, jest w przedpokoju, i właśnie otwiera drzwi do pokoju, i zaraz rzuca się oboje na Reginę. Masz zupę, Halina postawiła talerz zupy przed Winiuszem, jarzynowa, pożywna, jeszcze sobie przytnie, Halina wyszła z pokoju, Winiusz już zupę. Ale Regina rzeczywiście jest martwa i z tych dwóch symbolicznych sióstr to w Halinie jest więcej życia. W Reginie jest śmierć, a nie życie. Dwie skrobaki i zrobiła-by każdą następną. Sekes bez namietności, ciekawki ja, jak mężczyzna jest sprawny i jak to robi.

Halina weszła ze swoim talerzem zupy. Regina jest jak zwierciadło, w którym mężczyzna na chwilę się odbija i znikną, powiedział Winiusz. Napisał

o niej wiersz, ale nie o tych planach na kocu, tylko ładny, liryczny, powiadziała Halina. Regina nie jest kobietą, o której pisze się wiesz, ona nie ma takiej osobowości. Nie kop mi tego fotela. Winicjusz cofnął nogę. Jestś jak Regina. Ostatnio zupełnie skopała mi ten fotel, będę się z nią umawiała w bibliotece albo na mieście, nie chcę, żeby tu przychodziła. Zbyt ostro reagujesz, powiedział Winicjusz. Mam gotowa, a nie gotuję tak dobrych zup jak mama. Nauczysz się. Już się nie naucz, jestem za stara. Winicjusz zdjął zupę, Halina kończyła. Ona nigdy mi w niczym nie pomoże, ale sama ciągle mnie prosi o załatwienie różnych spraw, ciągle mnie prosi o pożyczanie jakiejś książki z biblioteki, powiedziała Halina. W aptece z zagranicznymi lekarni pojawił się akurat lek dla mnie, na mój wrzód, Regina była u mnie i potem miała śle do tej swojej koleżanki lekarzki, błagam ją, żeby poprosiła koleżankę o receptę dla mnie na ten lek, a ona, że każdy powinien sobie sam radzić. Gdyby ty mi nie załatwił tej recepty u Marty, przepadłby mi lek. Dobrze, że złapałem Martę w domu, bo była już na ułopie, powiedział Winicjusz. Nigdy ci tego nie zapomnę, powiedziała Halina. Tym mnie pomagasz, a ja tobie pomagam, powiedział Winicjusz. A jej tego nie zapomnę, że mi nie pomogła, zwłaszcza że to nie było nic trudnego dla niej, koleżanka miała wypisać dla niej recepty, więc wypisać jeszcze jedną. Nigdy jej tego nie zapomnę.

Wniosek, Halina wzięła oba talerze i wyszła z pokoju. Atak Haliny na Reginę będzie teraz narastał, Halina wyraźnie się rozpedza, pomyślał Winicjusz. I Halina weszła bardzo rozpedzona. Ta Regina mnie tak wpięprza. Znowu atakuje religię i Kościół. Przecież niedawno była u spowiedzi i komunii, powiedział Winicjusz, myślałem że się nawróciła. Ach, czy ona jest w ogóle zdolna do nawrócenia, Halina z coraz większą zafascynacją dziahała trupą Reginy. Ciągłe mnie prosi, żebym jej pożyczyla coraz to inną książkę, wykorzystuje to, że ja pracuję w bibliotece, a jak ją o coś proszę, to ona mówi, że każdy powinien sobie sam radzić. No czy to by cię nie wpięprza. Pewnie, że by mnie wpięprzo, powiedział Winicjusz. A to jej nawrócenie to był interes, po prostu interes, powiedziała Halina, przejechała Dorota ze Szwecji, żeby ochrzcić córkę i ona matkę chrześną wybrała Reginę. A dla Reginy to był interes, żeby jak matka chrześna moć stale jeździć do Szwecji. Jak ona mnie wpięprza. Dawniej cię tak nie wpięprzała, powiedziała Winicjusz. Co tajemnego miała agresywną ateistkę Reginę i głęboko wierzącą, chodzącą do spowiedzi Halinę, która z nią bardziej potrzebuje drugiej, pomyślał Winicjusz. Ja naprawdę sądziłem, że Regina się nawróciła, powiedział Winicjusz, żaden z moich kolegów ateistów nie zrobiłby takiego numeru, mimo że przecież nie wierzę, że w hostii jest Bóg, ale nie są nihilistami, no czy wyobrażasz sobie, że Ernest albo Jurek Deszcz, albo Jasu Rowiński dla interesu przynęcają do komunii, byłoby to niezgodne z ich sumieniem. Regina sumienie poświęci dla interesu, powiedziała Halina, ach jak ona mnie wpięprza.

Przed oczami Winicjusza stanęła Regina, wypiętona śmiecią, jej oczy były jak oczy szczura, szacurzyły, przedzierwały się przez mrok, przegryzały się przez mrok, gdyby oczy mogły się przegryzać. Milczał i czekał, aż Halina znowu się rzuci na trupę Reginy. Kilka dni po przyjęciu komunii była u mnie i wyśmiewała się z religii i ze świętojęblichy ludzi, jak ich nazywała, powiedziała Halina. Ona sama nie ma świadomości, że jest szacurzą, przedzierającą się przez mrok, pomyślał Winicjusz. Nie kop mi

tego fotela, przypomniała Halina. Winicjusz cofnął nogę. Czy my rzeczywiście zamycały się nad Reginę, pomyślał Winicjusz, ona taka jest. Ja mówię do Reginy, że nad te obraza, a ona wiody jeszcze bardziej wyśmiewa się z religii, powiedziała, że Chrystus był niernormalny. To ty wyśmiewaj się, jej szacurze, powiedział Winicjusz. Nie potrafię tak na chłodno się wyśmiewać z jej szacuru, bo mnie to wkurwia. Z tego wszystkiego to napępiemy się po kilkadziesiąt koniaku, Halina wyszła z pokoju.

Co je właściwie Julia, pomyślał Winicjusz. Halina po przeczytaniu książki wyrzuca jej świadomości wszystkie sceny dramatyczne i bywa bardzo zdziwiona, kiedy jej powiedzie, że takie właśnie dramatyzacje tam są. Regina przeciwnie, pamięta głównie sceny dramatyczne i z kolei ona bywa zdziwiona, jeżeli jej przypomni sceny symboliczne, liryczne, ontologiczne, które to sceny między dramatyzacjami też tam są. Może obie nawzajem się nie uzupełniają. Kiedyś Halina powiedziała Winicjuszowi, że w wczorasznych czytała Gide'a, Co Gide'a? „Dziennik złodzieja”. To nie Gide'a, to Geneta. Jak to? Geneta? Geneta. To przecież pisze pedał, a Gide'a był pedalem, zacietrzewiła się wtedy Halina. Genet też był pedalem. Naprawdę to nie Gide'a, nie mogła uwierzyć wtedy Halina. Winicjusz wziął z półki książkę, popatrzył, wyrażnie Genet, „Dziennik złodzieja”. To ja czytałem Geneta, a nie Gide'a, Halina była wtedy bardzo dużo zdumiona. To pedał i to pedał, ale z zupełnie różnych klas społecznych, długo jej wtedy tłumaczył Winicjusz. Halina bardzo często zapomniała, jakiego pisanca czyta. Rzadko potrafił doczytać powieść do końca. Regina czyta wszystko do końca, ale o pisarzu symbolicznym potrafi powiedzieć, że to dramatyczny naturalista, jeżeli w książce znajduje się chociaż jedna scenka dramatyczna.

Napijemy się, weszła Halina z butelką koniaku i kieliszkami. Za tę wiośnię, Halina naląka koniaku, by ten rok był lepszy od poprzedniego. Za organizm Reginy, powiedział Winicjusz. Przecież ja nie będę piła za organizm Reginy, co mnie obchodzi jej organizm, powiedziała Halina. Za te wiosnę, powiedział Winicjusz. Wypił kieliszki do połowy. Ja sama nie miałam nigdy organizmu, powiedziała Halina. Może jeszcze będziesz miała. Nie, bo wołę być jednak sama. Może trafić na właściwego faceta. Już nie trafię. Może jednak. Najpierw ty mi nie dajesz żadnego organizmu. No trudno, powiedział Winicjusz. Nie martw się, z Jurkiem i Wojkiem też nie mi czulam. Może coś w tobie jest takiego, powiedział Winicjusz. Regina opowiadała mi, że bardzo szybko dostaje organizmu, powiedziała Halina. Obie się uzupełniają, powiedział Winicjusz. Regina ma bardzo szybki organizm, a ty wciąż. Cicho, bo mama idzie, powiedziała Halina. Winicjusz usłyszał krok i właśnie matka Haliny stała w drzwiach pokoiu. Dzień dobry, powiedział Winicjusz, dzień dobry, powiedziała matka Haliny. Jak by przeczekawała, kiedy wejdę, jakby sama wybrała ten moment, jakby miała być jakąś pointą. Ale jaka, pomyślał Winicjusz. Tak jakby miała tu wejść Regina, ale użyla zamienni i weszła w postaci matki Haliny. Jadę na działkę, powiedziała matka Haliny, nastawiam bigos, przypomniał, żeby się nie przypalił. Dobrze, powiedziała Halina, przypomniał tego bigosu, plotkujemy o Reginie. Jak plodukujemy o Reginie, to robicie niezły bigos, powiedziała matka Haliny, do widzenia, panie Winicjusz. Milczeli, aż usłyszeli, jak matka Haliny owiera i zamyka za sobą drzwi wejściowe do mieszkanie. Mama mogła słyszeć wszystko, co rozmawialiemy w ogrodach, Halina naląka koniaku. Chyba mamia orientuje się trochę w sprawach Reginy, powiedział Winicjusz. Tylko w tych jej poszukiwaniach ginekologa.

Regina to szuczurzyca, powiedział Winicjusz. Dlaczego tak mówisz o Reginie, dlaczego szuczurzyca. Ona sama nie wie, że jest szuczurzyca, powiedział Winicjusz, przedziwna się przez mrak, przegrzywa się przez mrak, o którym nie wie, ostatnio przyszydziłem się jej osaczom, to typowe czy szuczurzyca, ale ona o tym nie wie. Nie nazwał jej tak, powiedziała Halina, wiesz o niej napisz. Już ci mówię, że ona nie nadaje się do tego, żeby pisać o niej wiersze, widzę teraz że jej oczy szuczurzyce w chwili, gdy ona przynajmie komunię nie wierzac w nią, biorąc hostię za jeszcze jeden rekwiwit, przez który trzeba się przegrześć na drodze w ciemności. Dla nas co ona zrobia, to świętokradzwa, ale ona nie odczuwa tego, że to jest świętokradzwa. Ona sama jest śmiercią.

Dlaczego śmiercią. Nie demontuję jej tak. Chyba się w niej kochaś, skoro ją demontujesz. Nie kocham się w niej, tak ci się tylko wydaje. To jest normalna dziewczyna, ale straszna egoistka, no i lubi się kochać. Raczej figlować, powiedział Winicjusz, no to ją już chyba pójde, chce zobaczyć na targu ostatnie nowości z księgiak. Jak zobaczysz „Imię róży”, to zapytaj, ile chcą. Dobrze, zapytam. Powinna zadzwonić do mnie Regina, mówia mi, że dzisiaj zadzwoni, taka jestem ciekawa, co jej powiedział ten ginękológ, a może jeszcze u niego nie była, chociaż już wiem, co jej ten ginękológ powie. No to cześć, powiedział Winicjusz. Cześć, powiedziała Halina.

Janusz Szycki

Książki nadesłane

Oficina Literatów i Dziennikarzy „Pod Wiatr”

Romuald Mieczkowski: *Sensik wleśkiak*. Warszawa 1996, s. 40.

Witold Hulewicz: *Miasto pod chmurami*. Warszawa 1996, s. 50.

Maria Lotocka: *Wiernełk sobie*. Warszawa 1994, s. 50.

Łukasz Bobdan Grzeniewicz: *Igły w stopy stano*. *Słkice literackie*, Warszawa 1996, s. 162.

Patrycjusz: *Wiersze poetów literackich*. Przekłady Wojciech Piotrowicz, Warszawa 1996, s. 40.

Wojciech Piotrowicz: *Igły i spowiadki*. *Gawpdy wleśkiak*, Warszawa 1998, s. 75.

Edith Södergran: *Moje życie, moja śmierć, mój los*. *Wybór wierszy*. Przekłady Alicja Rybalko, Warszawa 1995, s. 57.

Włodzisław Wysocki: *Cisłowiek za burtą*. *Wiersze-pięśni*. Przekłady Aleksander Śniełko, Warszawa 1996, s. 62.

Alicja Lasota: *Rozmowy i Actusam z Warszawy... Tomik poezji religijnej*, Warszawa 1991, s. 31.

Stanisław Kopic: *Znak wstraszania*. *Poezje*. 1997, s. 48.

Lee Kang-baeck: *Dramaty*. Postulow i przekład z koreańskiego języka Ewa Rynarzewska. Nota wydawnicza - Romuald Karasi (*Od Biblioteczki Wleśkiak do „Dramatów” Lee Kang-baecka*), 1998, s. 144+4 sfb.

Antologia wleśkiak, t. 1: *Litwa - Korona*. Pod red. Romualda Karasia, 1996, s. 348.

LESZEK TEUSZ

Osobliwości gatunkowe słuchowiska – Drugi pokój Zbigniewa Herberta

W dziele literackim słońce pełni rolę prymarną; przede wszystkim kształtując znaczenia. Wysoko zorganizowany znak, jakim jest utwór literacki, realizuje się wyłącznie przez system językowy, przy pomocy lingwistycznych środków wyprzedstawiania. Literatura, tradycyjnie związana z kodem werbalnym i użytkująca swoją reprezentację w podstarowym medium, jazykiem jest książka, charakteryzując się też sobie tylko właściwym sposobem komunikacji. Mechanizm komunikacji za pośrednictwem pisma wyznaczają przede wszystkim dwie operacje, akt pisma i akt czytania, indywidualna lektura.¹ Autonomiczność komunikatu pisanego i autonomiczność lektury nabierają praktycznego znaczenia szczególnie w przypadku utworu literackiego, wpływają także na cały proces literackiej komunikacji.

Warunki literackiej komunikacji ulegają na przestrzeni dziejów różnorakim przeobrażeniom, kształtując odpowiednie reguły i zasady porozumienia między autorem a czytelnikiem, preferencje i wyobrażenia, kryteria i hierarchie. Niezwykle doniosłym wydarzeniem było wynalezienie druku i wszystkie idące za tym następstwa. Z tą chwilą pismo zmieniło w istotny sposób zakres zastosowań i funkcji.

Zmianę zasadniczą zmiłna perspektywy nastąpiła w naszej epoce z chwilą pojawienia się środków masowego przekazu: filmu, radia i telewizji. Rewolucja kulturalna XX w. polega przede wszystkim na tym, że literatura w sensie rozwojowym przestała być sprawą prostą, sprawą natury zasadniczej. Wraz z rozwojem technicznych środków przekazu utworzyły się dla niej nowe perspektywy. Związana dotychczas jedynie z kodem werbalnym, obecna teraz w przekazach audiowizualnych i audiowizualnych weszła w nowy układ intersemiotyczny, będący koegzystencyjną i hierarchią różnych systemów znakowych.

Odmienność twórczości, niewymienne na imię, właściwie technice kodowego nadawania i warunkom specyficznego odbioru, środki wyrazu, odrębny język artystyczny i własna poetyka, własny niejako „kodyks praw estetycznych”, to tylko niektóre wyznaczniki wyróżniające na pewną kulturową formację i występujące w niej zjawiska.

Zmianę słuę też rozróżnienie samej literatury. Próby poszerzenia zakresu tradycyjnego pojęcia „słuzki słowa” dokonywane są głównie na dwu płaszczyznach: *jedna wiąże się z przekładą przetworzenia utworów literackich na użytek masowej komunikacji, druga – z pisarstwem przeznaczonym specjalnie dla filmu, radia i telewizji*.² W pierwszym przypadku mamy do czynienia z adaptacją utworów literackich, która jest swoistym oddziaływaniem literatury, określona interpretacją pierwowzoru, sformułowaną w odmiennym, właściwym tym formom przekazu materiale semiotycznym.

¹ R. Ingarden: *Z teorii dzieła literackiego*, [w:] *Problemy teorii literatury*, S. 1. Wrocław, 1987, s. 5.

² L. Łukiewicz: *Sociologia komunikacji literackiej*. Wrocław 1985, s. 86.

³ Ibidem, s. 183.

⁴ M. Hoffinger: *Mechanizm audiowizualności i rozumienie literatury*. „Pamiętnik Literacki” 1974, z. 4, s. 133.

Tekst literacki zostaje przekodowany na tekst radiowy lub telewizyjny, a więc audialny lub audiowizualny, zgodnie z zwojami możliwościami przekształcania twórcy.² Adaptacja tekstu epickiego czy lirycznego sprawia, że raz istnieje on jako czytałe dzieło literackie, drugi raz – jako utwór filmowy czy radiowy.

Drugą dziedzinę stanowi piśarstwo przeznaczone specjalnie dla środków masowego przekazu. W przypadku sztuki radiowej przejawia się ono w gatunku przez radio wykastlowanym – w słuchowisku radiowym. Narzuca to oznaczę ściśle rzecz biorąc typ oryginalne radiowe utwory dramatyczne, pisane specjalnie dla radia, uwzględniające, wykorzystujące wręcz, w sposób świadomy i celowy, jego specyfikę, wymagania i możliwości, odnoszące się tak do treści, jak i dźwiękowej realizacji.

Słuchowisko to gatunek twórczości strictly radiowej. Swę jakościowe cechy osiąga ono tylko i wyłącznie dzięki technologicznym i estetycznym właściwościom radia. Jak pisał Michał Karłow, *Słuchowisko, które dysponuje swoimi formami wyrazu i ukształtowane jest w odrębny, foniczonym tworzywie, powinno być zdefiniowane jako odrębny gatunek artystyczny*.³ Podobną opinię formuluje Maryla Hopfinger.⁴ Wielu innych badaczy jest również zdania, że poetykę słuchowiska kształtują zupełnie odmienne wyznaczniki od wszelkich tradycyjnych form wypowiedzi literackiej. Stanowią one o specyficę gatunkowej słuchowiska.

Pisząc o słuchowisku i rozważając jego osobliwości gatunkowe myślimy o jego formie ostatecznej, zrealizowanej w konkretnej materii dźwiękowej, przeznaczonej do odtwarzania radiowego. Ostateczny kształt dramatu radiowego ma charakter foniczny i stanowi konkretyzującą dźwiękową substancję literackiej, której współautorami stają się reżyser, autor, a często również kompozytor. Z odmienności twórczości i odmienności odbioru słuchowiska radiowego jego artystyczna autonomizmość.

Nie można rozpatrywać słuchowiska przez pryzmat tradycyjnych rodzajów literackich. Nie podporządkowuje się ono wyznacznikom tradycyjnej poetyki. Ustalenia teorii literatury w przypadku „literatury radiowej” są mało stabilne i dosyć względne. I chociaż niektórzy analizuje się kategorie rodzajowe gatunkowe w radiu przez analogię z twórczością sztuki literackiej, uważając że wyznacza to całe „literaturę radiową” bardziej obiektywnie miejsce, to równocześnie zwracają się uwagę, że używając terminu „gatunek radiowy” służąca będzie rzeczami nie na myśli tylko specyficzniej radiowej formy, której używa konkretyzacji w jedynie radiowy sposób. *Istotę gatunku radiowego stanowi powien typ dźwiękowego zobrazowania rzeczywistości*.⁵

Specyfika słuchowiska bierze się stąd, że jest ono strukturą wieloelementową. Poszczególne składniki: słowo i bogaty materiał dźwiękowy funkcjonują specyficznym, dając nowe wartości estetyczne i semiologiczne, poprzez siebie tylko wybitnie układy kontekstualne i semantyczne.

Swoistość każdej sztuki określa twórczo jako zbiór znaków, sposób jej organizacji oraz zasady nadawania mu wartości znaczeniowej.⁶ W przypadku słuchowiska ona specyficznym zdefiniowana jest szczególnie kanałem, czyli sposobem przekazu i percepcji. Słuchowisko, będąc utworem literackim sui generis, ma przede wszystkim swoją specyfikę wynikającą z realizacji radiowej. Przejawiają się w nim tak tendencje dramatu, jak i przenikają do niego liczne elementy podramatyczne – ze

współczesnej powieści, liryki, a często i publicystyki. Różnorodność wydzielenia słuchowiska i jego heterogeniczność rodzajowa, hybrydizm sztuki radiowej, prowadzą do struktury syntetycznej gatunkowo, zbudowanej według własnych praw i możliwości. Jak sugeruje krytyk niemiecki, Karl Markus Michel, *przełamując zwojne granice gatunków, które utworowo dalece współczesnej literaturze, postępuje w słuchowisku jeszcze dalej, w sposób zupełnie dowolny. Niezastępną jest jego integracja cech – jego sztuka lub jego sztuka*.⁷

Wydaje się, że pewnym tropem, którym póję należy, aby uchwycić osobliwości gatunkowe słuchowiska, są dość powszechnie używane terminy: dramaturgia i teatr radiowy. Podstawą rodzajową słuchowiska zdaje się być dramat. Słuchowisko jest wynikiem wzajemnego przenikania się struktury dramatycznej i muzycznej.⁸ Tak jak widowisko teatralne jest specyficznym kanałem osiągnięciem przez dramat w teatrze, tak słuchowisko jest jego konkretyzacja radiowa. Słowo stanęło przed problemem sposobu funkcjonowania w nowej formie przekazu i oddymnieniu, wyłącznie audialnym typie odbioru, a obok niego pojawiły się pozalowe elementy fonofony.

Dramat radiowy należałby zatem do ograniczenia dramatu, byłby swoistym dramatem uwzględniającym specyfikę i wymagania radia. Tak sądzi Sławka Bardjewska. *Konstrukcja dramatyczna i dialogowa forma wypowiedzi odpowiadają specyficę sztuki radiowej (...)* Wydaje się, że słuchowiska pojmowałoby trzeba jako radiową odmianę dramatu określono poprzez foniczny charakter twórczości radiowej i specyfikę audialnej percepcji. I choć jest to odmiana syntetyczna, łącząca właściwości różnych rodzajów literackich, zawsze jednak funkcję dominantę kompozycyjnej i treściowej wyznacza ona elementom pochodzenia dramatycznego.⁹

Ta sama autorka w innym miejscu wyraża opinię, że słuchowisko jest: *jedną z nowoczesnych form przetranej sztuki dramatycznej. Specyfika ta uwarnokowana jest w różnym stopniu przynależnością słuchowiska do sztuki dramatu, jak też do sztuki radiowej. Oba momenty wyodrębniają utworowi teatru radiowego określony typ poetyki, a odbiorcy określony typ percepcji*.¹⁰ Według Bardjewskiej słuchowisko operuje jak każdy dramat: dialogiem, innymi sytuacjami konfliktowymi, silnymi napięciami, wyrazistymi postaciami i zamkniętą budową. Podobnie sądzi Józef Mączyński. *Jak zauważa Michał Karłow, Rozpatrywanie słuchowiska od strony teorii literatury ważnej jest dla wyłóśnienia poetyki oryginalnych słuchowisk, czyli literatury radiowej, ale badanie słuchowiska na podstawie tekstu nie daje możliwości ustalenia kryteriów artystycznych dźwiękowego dzieła radiowego. Prowadzi to wręcz do oddalenia się od przedmiotu badanego i daje jedynie nikiły pogląd na możliwości dźwiękowego postaciovania słuchowiska na podstawie różnych rodzajów i gatunków literackich. Możemy porównywać dźwiękowe słuchowisko z różnymi rodzajami literackimi (...)* ale nie wyczerpuje to zakresu badań, tak jak nie wyczerpało zakresu klasyfikowania słuchowiska według poruszanych w nim tematów (...) Skoro więc o dźwiękowy postać słuchowiska nie decydują tematy, rodzaj czy gatunek literacki, muszą istnieć inne kryteria wyróżniające je gwałt sztuki. (...) Zarówno dźwiękowa struktura słuchowiska, jak i sposób jego percepcji wykluczają zaliczenie go do którejkolwiek z istniejących gwałt sztuki.¹¹

² Pw. *Adaptacje filmowe utworów literackich. Problemy teorii i interpretacji*. Wrocław 1974.

³ M. Karłow, *Tematy i problemy słuchowisk radiowych* [w:] *Szkice o sztukach masowych w Polsce*. Wrocław 1974, s. 172.

⁴ M. Hopfinger, op. cit., s. 142.

⁵ R. Lelski, *Wstęp do teorii gatunków radiowych*, „Zeszyty Pracowniczek” 1968, nr 4, s. 28.

⁶ J. Sławicki, *Program poetyki strukturalnej. Słowo wzięte* [w:] J. Mukałowski, *Wzrost znaków i struktur*. Warszawa 1970, s. 17.

⁷ J. Mączyński, *Radio a literatura*. Warszawa 1965, s. 189.

⁸ *Ibidem*, s. 234-239.

⁹ S. Bardjewska, *Z zagadnień konstrukcji – konstruowanie bohatera. Wzrost dramatu radiowego*, „Sztuka” 1972, nr 10, s. 38.

¹⁰ S. Bardjewska, *Bohater w polskim dramacie radiowym*, [w:] *Szkice o sztukach masowych w Polsce*. Wrocław 1973, s. 191.

¹¹ J. Mączyński, op. cit., s. 202-205; 235-250.

¹² M. Karłow, *O dziele radiowym. Z zagadnień estetyki oryginalnego słuchowiska*. Wrocław 1973, s. 79-81.

Sluchowisko jawi się przeto bardzo wyraźnie jako jedyna oryginalna gałąź sztuki wytworzona przez awizualną technikę radiową. Wszystkie formy reprezentowane przez radię mogą, jak się wydaje, bytować poza nią, nie tracąc ze swoich jakościowych cech. Tylko sluchowisko i może jeszcze reportaż radiowy nie mogą być bez pomocy radiowych środków technicznych. Materiał dźwiękowy w obrębie tych form stanowi charakterystyczną sferę reguł, określony sposób i możliwość mówienia o rzeczy wiściwie, przy wykorzystaniu odpowiednich środków ekspresji oraz przetwarzania i kształtowania znaczeń i sferów w perspektywie odbioru sluchowego. Swoistość radiowa sluchowiska ogarniała zatem techniczno-akustycznie sposób jego istnienia i determinowany awizualnością sposób jego odbioru.

Radiowe środki wyrazu

Podstawową inność sluchowiska określa tworzywo, w jakim zostaje ono zrealizowane, oraz ściśle radiowe środki wyrazu, niewymienne, właściwe technice radiowego nadawania i warunkom radiowego odbioru.

Wyższym materiałem, w którym aktualizuje się sluchowisko, jest dźwięk. Wszystko w nim jest po prostu dźwiękiem. Jak pisze Marta Lipcówna: *Sluchowisko radiowe jest formą wypowiedzi artystycznej, której jedynym środkiem wyrazu, środkiem bezpośredniego oddziaływania na odbiorcę, jest dźwięk pod jego wielorakimi postaciami.*¹⁶

Sztuka sluchowiskowa prezentuje się zatem jako sztuka oparta na materiałach w tworzywo dźwiękowym. Jest ono swością syntezą słowa i innych elementów fonicznych. Wszystkie te składniki najwierniej na siebie oddziałują i tworzą kompozycyjnie jednolitą całość, specyficzną „zrębie dźwiękowego łańca”.¹⁷ Funkcją tych elementów tworzywo jest bardzo złożona i kryje w sobie bogactwo potencjalnych znaczeń. Istnieje pomiędzy nimi cały szereg możliwych kontaminacji. Sens znaczenioworczy powstaje nie tyle, czy może nie tylko, z sumy znaczeń poszczególnych składników wziętych autonomicznie, lecz konstytuują się one w pewnym procesie semantycznie współdziałania i wzajemnych relacji zachodzących pomiędzy poszczególnymi elementami. Elementy pierwotnie odbierane jako obojętne semantycznie, mogą aktywnie ingerować w obojętne konstrukcje całości, nabierać pełnego znaczenia w kontekście ogólniejszej wizji. Ich wewnętrzzsluchowiskowa egzystencja ma charakter dynamiczny. Sluchowisko przedstawiało się przeto jako zespół znaczeń, jako kontekst. Każdy znak cząstkowy, uświadomiany w danym momencie percepcji, nie tylko reprezentuje sam siebie, ale dołącza się do tych, które znalazły się przed nim i znajdują się po nim, stwarzając tym samym znaczeniowe zależności, uwydatniając ich wzajemność i zarazem, w większym czy mniejszym stopniu, wzbogacając je o nowy sens. W artystycznym przekazie radiowym występujący zatem złożone struktury znakowe o dużych możliwościach kształtowania różnorodnych znaczeń kontekstowych.

Michał Kaziów analizując foniczne tworzywo sluchowiska wyszczególnił osiem elementów.¹⁸ Są to: głos, mówione słowo ludzkie, muzyka, szmer i odgłos natury, dźwięki sztucznie wytworzone, odgłosy uruchamianych przedmiotów, tło akustyczne oraz perspektywa dźwiękowa i cisza. Wszystkie te elementy dźwiękowe wchodzące w skład architektury sluchowiska można, najogólniej rzecz ujmując, zredukować do trzech: 1) elementy werbalno-dźwiękowe, 2) elementy awersyjne, 3) cisza. Występują one w stosunku do siebie często w opozycji. Każdy z nich występować może też w różnorodnych znaczeniach.¹⁹

¹⁶ M. Lipcówna: *Stworzenia dźwięku w sluchowisku radiowym*. Warszawa 1960, s. 54.

¹⁷ M. Kaziów: *O dźwięku radiowym*... op. cit., s. 52.

¹⁸ Ibidem, s. 93-96.

¹⁹ Ibidem, s. 95.

Elementy werbalno-dźwiękowe

Rozumienie słowa w sluchowisku wypływa z ogólnej koncepcji swości sztuki radiowej. Nie jest to słowo literackie czy teatralne, ale właściwe radiu, techniczno-fizyczne, żywe słowo niewidzialnego nadawcy. Spełnia ono najdonioślejszą i niezwykłe wszechstronną rolę w procesie rekompensaty elementów wizualnych. *Słowo radiowe przemawia natychmiast i w jednolitym czasie* pisze Witold Hulewicz.²⁰

Słowo – jedyny w dziele literackim i teatralnym znak – w sluchowisku oprócz tej podstawowej funkcji zostaje obarczone szeregiem innych. Poza semantyczną reprezentacją rzeczywistości przedstawianej, poza – zależną od fonicznej realizacji – pojemnością znaczeniową, brzmieniową słowo sluchowiska zawiera dodatkowo określony ładunek psychiczny. Wchodząc w relacje z innymi elementami dźwiękowymi ewokuje nowe sensory.²¹ Oprócz pojęciowości wzbogacenie jest w domowym i słowo pełni rolę prezentera osobowości postaci. Intonacja, wysokość głosu i jego natężenie, dynamika i tempo wypowiedzi, są to czynniki, które pod niemożliwością zaistnienia fizycznej obecności postaci, mimiiki i gestu, dekoracji i kostiumu, odgrywają doniołą rolę w prezentacji bohaterów i zarysowaniu sytuacji, w której oni się znajdują. Poprzez „żywe” słowo ujawniana jest bezpośrednio „żywa ja” osób. Ekspresja językowa i jej akustyczna realizacja wyrażają postawę uczuciową, intencję, myśł, całą sferę psychiczną. Indywidualność cechy głosu i środki tonizacji ekspresji sugnacji odbiorcy określony krąg znaczeń. Brzmieniowe słowo sluchowiska realizowane przez głosowe warunki aktora jest jego przedstawieniem i portretem. Dzięki intonacji pełni funkcję charakterystyki fonicznej osób, określając ich wiek, płeć, pochodzenie, wykształcenie, usposobienie, życiowe credo i ambicje. Mamy tu do czynienia z tzw. gęstym fonicznym zleksykalizowaniem, odpowiednikiem gestu wizualnego.²²

W awizualnej sztuce radiowej, dla której sluchowisko pozostaje gatunkiem najbardziej reprezentatywnym, słowo – jego najróżnorodniejsze dźwiękowe warianty i deformacje pozwalają zastępować to, co poza przekazywaną formą językową, sztuki wizualnie percepcja wzrokowa, a liryczna techniką weryfikacyjną.

Odniesienie słowo umożliwia też zobrazowanie przestrzeni i czasu – dwóch ramowych wyznaczników każdej egzystencji. W teatrze aktor funkcjonuje jako pełny człowiek w skończonej i określonej przestrzeni. W radiowym sluchowisku jest inaczej. Pojawia się w nieskończonym i nieograniczonym czasie i przestrzeni umożliwiając odpowiednie zaiki wrażliwając i wyrażania oznaczające miejsce, kierunek, rozmiar i proporcje ciał fizycznych, dopełnienie różnorodnymi efektami akustycznymi. Słowo, wsparte dźwiękiem, sytuuje przestrzennie postaci i materializuje ich otoczenie. Sugierowana słownie perspektywa przestrzenna zostaje ostatecznie ukonkretniona w wyobraźni słuchacza. O umiejscowieniu przestrzennym danej sceny decyduje fakt, kto jest jej bohaterem, kto mówi, z czego punktu widzenia rozgrywa się wypadki oraz sposób, w jaki tekst jest wybrzmiany. Ekwiwalentem wizualności są w sluchowisku bardzo czepne słowo, które same w sobie mają walor zmysłowy, jak słowo onomatopajiczne, słowo oznaczające barwy, zapachy, smaki, apeliujące do wrażeń dotykowych i wzrokowych, wpływające na wyobraźnię i emocjonalność odbiorcy.

Jak zatem wynika z poczynionych spostrzeżeń, podczas gdy literatura jest oddziaływaniem za pomocą słowa samorzec, słowo radiu nadaje mu specyficzną bytowanie i wyznacza znacznie rozleglejsze pole zastosowania.

²⁰ W. Hulewicz: *Z zagadnień sztuki sluchowej*, „Pamiętnik Warszawski” 1929, z. 4, s. 197.

²¹ S. Bardziejewska: *Wzrost znaków radiowych*, [w:] *Funkcje dźwięku i muzyki w dziele radiowym*. Warszawa 1976, s. 7-8.

²² Ibidem, s. 11.

Elementy awerbalne

Poszczególne elementy stanowią niezwykle ważny składnik dźwiękowego tworzywa słuchowskiego. Radiowe znaki awerbalne, stając fonicznie nieleksykalkizowane, odgłosy naturalne (muzyka) dookreślają znaczenia słowne, niekiedy je modyfikują bądź wzmacniają, gesty jest niejednokrotnie nośnikami wieloznaczności.²¹ Bywa, że sam dźwięk mówi więcej i sugestyjnie niż oboczny opis czy dialog.

Twórcza, interakcyjna kognitywność słowa i muzyki łączy różne fragmenty słuchowskiego i jednolity całość. W rzeczywistości powstaje wartość semantyczna i oddmienna wrażenia estetyczne. Znaczenia słowne i awerbalne fonicznie stanowią wspólny środek dla konstruowania określonej wizji świata. To pozajęzykowe tworzywo spełnia rozliczne funkcje: znaki, symptomy, metafory, symbole, obrazu akustycznego, ikonicznego znaku postaci, przestrzeni, ruchu, zmiany miejsca akcji.²² Złożone elementy dźwiękowe, podążając za fonizacją poszczególnych słów, cichy i sygnalizują w oddmiennie wyrażone. Znaczenia słowne i awerbalne elementy foniczne stanowią wspólny środek dla konstruowania określonej wizji świata. To pozajęzykowe tworzywo spełnia rozliczne funkcje: znaki, symptomy, metafory, symbole, obrazu akustycznego, ikonicznego znaku postaci, przestrzeni, ruchu, zmiany miejsca akcji.²² Złożone elementy dźwiękowe, podążając za fonizacją poszczególnych słów, cichy i sygnalizują w oddmiennie wyrażone. Znaczenia słowne i awerbalne elementy foniczne stanowią wspólny środek dla konstruowania określonej wizji świata. To pozajęzykowe tworzywo spełnia rozliczne funkcje: znaki, symptomy, metafory, symbole, obrazu akustycznego, ikonicznego znaku postaci, przestrzeni, ruchu, zmiany miejsca akcji.²² Złożone elementy dźwiękowe, podążając za fonizacją poszczególnych słów, cichy i sygnalizują w oddmiennie wyrażone.

Posługiwanie się przenośnią akustyczną to jedna z charakterystycznych cech słuchowskiego. Pozostawia w twórcy, przemawiając zaskakującym efektem i niespodziewaną siłą, kreuje samodzielne znaczenia i stwarza odpowiednią perspektywę. Różne akustyczne zjawiska, odgłosy i szumy, obok wrażeń estetycznych, jakich dostarczą, wywołują dodatkową u słuchacza, na kanwie jego biograficznych skojarzeń i doświadczeń, określone wyobrażenia.²³ Akustyczne brzmienie i uzupełnienie słowem tworzy w słuchowsko dźwiękowy znak ikoniczny.²⁴

Jednym z pełnowartościowych znaków, współfunkcyjnych artystyczny przekaz radiowy, jest muzyka.²⁵ Dźwięki muzyki stanowią element substancji prawie każdego słuchowskiego. Muzyka może stać podłożem, tłem o funkcji ekspresywnej bądź impresyjnej. Może stać się również samodzielnym środkiem znaczącym, wskazującym na coś innego. Może pełnić rolę przestrzenno i czasotwórczą. Muzyka, podobnie jak efekty świetlne w teatrze, może wytworzyć właściwy klimat słuchowskiego. W ciągu paru sekund potrafi wyeliminować jeden nastrój i zaprowadzić drugi, spotęgować napięcie, grozić czy stłumić, jak i dostarczyć dodatkowej rozrywki. Muzyka posiada swą siłą moc tworzenia obrazów w znaczeniowym doświadczeniu między w przypadku efektów dźwiękowych i dlatego jest szczególnie cenna dla radia, działając w wyobraźni. Dzięki swojemu szczególnym właściwościom spełnia w słuchowsko różnorodne funkcje. Występując na początku nadaje dramatowo radiowemu właściwą tonację. Jako łącznik i pomost między poszczególnymi scenami może podtrzymać lub spotęgować już wytworzony nastrój albo spowodować gwałtowny jego zmianę. Może kontynuować słuchowsko, sugerując właściwe rozumowanie emocjonalne lub też stanowić rodzaj komentarza do tego co mówią postaci.

²¹ Ibidem, s. 13-16.

²² M. Kaszów: *Oryginalność słuchowiska w czwartymtętle Polskiej Laskowej* [w:] *Z problematyki literatury czwartymtętle Polskiej Laskowej*, Zielona Góra 1986, s. 108.

²³ M. Kaszów: *O dźwięku radiowym*, op. cit., s. 117.

²⁴ Ibidem, s. 132.

²⁵ Ibidem, s. 110-114.

Muzyka może pełnić także rolę interpunkcyjną, oddzielając kolejne wypowiedzenia. Może swymi akcjami, przypisywać ja lub zwalniać.

Muzyka jawi się przede jako partner, współprzeznawca dla słowa i dźwięku. Należy jednak stwierdzić, że zawsze znaczy ono pośrednio, w kontekście pozostałych – słownych i posłownych elementów słuchowskiego. W różnych kontekstach może przybrać odmienne znaczenia, niekiedy nawet przeciwstawne. Fragmenty muzyczne nie rozpadają się na konkretne i jednoznaczne w swych sensach dźwięki, analogicznie jak w języku naturalnym, ale uależniają swoją wartość od struktury całości.²⁶

Element cichy

Poza obecnymi w słuchowsko znaczeniami słownymi i awerbalnymi sygnalami dźwiękowymi jest w nim jeszcze jeden współbrzdny środek, dla konstruowania świata przedstawionego – znak cichy. *Dzielo radione jest specyficznym utworem artystycznym, ujawniającego się w różnorodnych dźwiękach. Zeby jednak te dźwięki mogły być słyszane, rozróżniane i rozumiane, muszą być osadzone na odpowiednim tle, a tłem tym dla nich jest cisza; podobnie jak tłem dla obrazu jest biel płótna czy dla graficznej wyrazu czysta kartka papieru. Każdy dźwięk, każdy szmer, każde westchnienie wychodzi z ciszy i w ciszę się zapada.*²⁷

Zasadniczą idea artystyczna słuchowskiego jest *revelacja słabości i słowności, oliniona chwytniem jego dźwiękowej powierzchni*.²⁸ Idea ta zostaje szczególnie wyeksplwowana i wzmacniona przez ten trzeci środek radiowej ekspresji, jakim jest cisza. Obecność paury – ciszy – to conditio sine qua non sztuki słuchowskiej. Sztuka radiowa, jako sztuka dźwiękowa, wykorzystując element cichy, zdaje się docierać tamże do tajemnej głębi słyszalności świata. Odpowiednie manipulowanie znakami cichymi jest istotnym elementem znaczeniowym w dźwiękowej strukturze słuchowskiego. W *Drugim pokoju* Zbigniewa Herberta jest ona traktowana jako równorzędna osoba dramatu, jako środek intensyfikacji napięcia.

Tak więc moment cichy jest sprawą wielkiej wagi w całości znaczeniowej słuchowskiego. Dzięki niemu spełniają się w nim odrębne możliwości wypowiedzenia się, których nie ma w innych formach literackich. W pewnym ograniczeniu środka cichy trwa jednocześnie siła jego oddziaływania.

Radio, adresując swe środki wyrazowe przede wszystkim do ucha słuchacza, zdaje się mówić ciszą. Stwarza tym samym sytuację niepowtarzalną w druku. Niezwycię siła wyrazu płynie z tak znanymi dźwiękami radia opozycji: dźwięk – cisza. Jeżeli wymowy cichy jako ta słuchowska zostana zaniedbane, staje się ono niezrozumiałe i nieczytelne. Klimat cichy wiąże się przede wszystkim z sytuacją, nastrójem czy też miejscem akcji. Akustyczny sposób istnienia słuchowskiego zostaje przez ciszę jeszcze bardziej podkreślony.

Perspektywa odbioru słuchowego

Galę i jakości świata określa nie tylko jej tworzywo i środki wyrazu artystycznego, ale również sposób अपercypowania jej przez odbiorcę. *Apercypacja słuchowska jest nie wątpliwie odmienna od percepcji innych zmysłów nam sztuk*.²⁹

Specyficzność akustycznego kształtu słuchowskiego zdeternowana jest kanałem, czyli sposobem przekazu i percepcji. Radio, dysponując całym arsenałem sobie tu ich właściwych środków artystycznego oddziaływania, dyskuje też pewien sposób ich odbioru. Zespół reguł postulowanych

²⁶ A. Barańczak: *Jak słyszą znaczący*, „Teksty” 1976, nr 6, s. 129-130.

²⁷ M. Kaszów: *O dźwięku radiowym*, op. cit., s. 107.

²⁸ T. Terlecki: *Czy XII Muza? „Pion”* 1936, nr 42, s. 5.

²⁹ M. Kaszów: *O dźwięku radiowym*, op. cit., s. 87.

radiowa specyfiką wydaje się prowadzić ku trzem zasadniczym wyróżnikom, określającym słuchową percepcję dramatu radiowego. Są to: cecha awizualności i związana z nią bezpośrednie wyobraźmowość oraz cecha intymności, kameralności i izolacji psychologicznej słuchacza.

Niewidzialność, stanowiąca z natury rzeczy istotną jedynkową sposobu istnienia rzeczy-wistości przedstawionej, to dźwięk ze swoistości radia, to jeden z czynników warunkujących specyfikę słuchowiska. *W niej skupiają się wszystkie najważniejsze zagadnienia formalne.*¹¹ Awizualność podporządkowane są wszystkie komponenty słuchowiska. Awizualność zmusza słuchacza do współwzręcznego tworzenia fikcji. Wprawdzie w każdej ze sztuk percepcja jest w pewnym sensie zawsze współwzręczna, jednakże przetwarzanie akustycznych przestrzeni przy odbiorze słuchowiska, na przedstawianiu i wyobrażeniu wzrokowe, wymaga relatywnie większego wysiłku i pokudy.

Radio, nie działając na zmysł wzroku, pobudza wyobraźnię, kształtuje przeżycia, nastroje, doznania estetyczne i intelektualne słuchacza. Dla widza teatralnego ciągiłość, czyli identyczność w czasie postaci sztuki jest oczywistością bezpośrednio daną i pewnością ciągłości pewnych związków z postacią elementów, jak wygląd, strój, mimika i gest. Postać dramatu radiowego istnieje efermerycznie, w momencie gdy mówi. Słuchacz musi niostanie mieścić pewien wysiłek orientacyjny w zakresie identyfikacji postaci, miejsca i czasu akcji.

Wynika z tego że *w sztuce radiowej mamy do czynienia ze szczególnym typem odbiorcy. Audialne tworzywo radiowe działa na jeden tylko zmysł - słuch i chociaż percepcja monostrowkowa jest silna i sugestywna, wymaga dopełniającego, światłego wkładu słuchacza, liczy na jego doświadczenie, wrażliwość i wyobraźnię. (...) Postawa percepcyjno-przypomnienna lub spostrzegawczo-wyobraźniowa oznacza, że w materiale odbieranych bodźców słuchowych następuje proces wizualizacji.*¹²

Radiowa awizualność determinuje zatem wyłącznie audywalny odmiennie percepcji. Słuch zostaje zmuszony do samodzielnego przeobrażenia różnorodnych sygnałów i symptomów dźwiękowych w znaczące, logiczne całości i sensy. Odbiorca zostaje postawiony w sytuacji bez wyjścia - musi nauczyć się „zanimieć i widzieć świat przy pomocy уха”.

Percepcja słuchowiska radiowego odbywa się przy aktywnym udziale wyobraźni, która pracuje nad wizualnym uzupełnieniem przeżycia. Ukłoto naderwaność dla dramaturgii radiowej - Teatr Wyobraźni.¹³ Nazwa ta sugerowałaby, że ten radiowy teatr z natury rzeczy akustyczny, transportuje się w wyobraźni na teatr wizualny, że w wyobraźni słuchacza istnieje jakas wewnętrzna scena, którą imaginacja zapelnia i ożywia. Sytuowałoby to słuchowiska w szerokiej rozumianym kontekście psychologicznym. Postawa wyobraźniowa byłaby aktualizacją szczególnej funkcji życia psychicznego słuchacza. Wyobrażenie, jak pisze J. P. Sartre, to *pewien sposób, w jaki przedmiot jawi się świadomości (...) pewien sposób, w jaki świadomość udostręga sobie przedmiot.*¹⁴

Radio należy do masowych środków przekazu, ale oddziałuje na pojedynczego, najczęściej samotnego odbiorcę. Widz teatralny idzie do teatru z pewnym wewnętrznym postawieniem uczestnictwa i wyciągnięcia jak na wiekszych koryci duchowych i estetycznych z oglądania widowiska. Jest jakoś nastrojowo wewnętrznie. Świadomie odcięty od codzienności, wtopił się w zbiorowość i poddał całej magii teatralnego hic et nunc. Miedzy nim a aktorem oddającym na scenie istnienie jakis kontakt. Wzajemnie wpływają na siebie, dookreślają jakby osta-

teczny kształt przedstawienia. Ma to daleko idące konsekwencje dla obydwu stron.

Inaczej jest ze sztuką radiową. Słuchowisko niejako samo przychodzi do słuchacza. Wprawdzie to on, przez włączenie radia, decyduje bezpośrednio o jego „zaistnieniu”, ale zasadnicza inicjatywa nie należy do niego. Włączył radio niekiedy tylko z nadzieją, bez żadnego wewnętrznego przygotowania. Nie zdołał się oderwać od otaczającej codzienności. Siedzi w swoim mieszkaniu, przesyconym różnymi przedmiotami, które rozpraszają jego uwagę. Otacza go cala złożoność porażystycznej rzeczywistości. Jest też nasycony na różnaki niespołeczności naturalnej i technicznej, przerywające niekiedy skut percepcji, a czasem nawet wykluczające możliwość spokojnego odbioru. Dramat radiowy, jako wytwór techniki, wprowadza z jednej strony ostą barierę dzielącą świat rzeczywisty i otaczający słuchacza od wytworzonego artystycznym środkami wyrazu świata przedstawionego, z drugiej jednak stroną, stykając się z odbiorcą w miejscu dla niego najbardziej poufny i bezpiecznym - w własnym domu, wywarza szczególną swojskość, intymną szerokość, kameralność oraz indywidualność percepcji.

Drugi pokój Zbigniewa Herberta

Teoretyczne rozważania dotyczące struktury i sposobu istnienia dramatu radiowego miały na celu przygotowanie jak gdyby podstawowego instrumentarium, dającego możliwość analizy konkretnego tekstu słuchowiska, którym jest *Drugi pokój* Zbigniewa Herberta. Poczynnie spostrzeżenia i ustalenia należałoby teraz niejako zweryfikować.

Podstawą naszych szczególnych wyznań jest literacki tekst słuchowiska. Zabieg ten, pozornie ryzykowny, w odniesieniu do tego dramatu radiowego wydaje się dopuszczalny, bo uzasadniony jego literackim charakterem. Uświadamiamy sobie, jednakże, że choć tekst słuchowiskowy istnieje w formie literackiej, to ostateczny jego kształt ma charakter foniczny, stanowi konkretyzującą dźwiękową literackiej materii.

Drugi pokój Herberta jest słuchowiskiem opartym wyłącznie na dialogu, na silie zaangażowanego słowa. Jest to doskonałe studium dynamiki słowa i dynamiki milczenia, ich wzajemnej przenikliwości i wzajemnego dookreślenia się. Lapidarna gęstość dialogu, technika przewagi treści nad wypowiedzią słowa, treści, która przemasgła sumę znaczeń poszczególnych słów, treści bogatszej od bezpośredniego ich wyrazu, obrazującej autentyczny dramatyzm sytuacji, przemasgła elementu intelektualnego, racjonalnego nad emocjonalnym, wyraża eksplicyja problemu, wielką sugestywność wyrazowa - to niektóre tułki charakterystyczne cechy tego słuchowiska.

Drugi pokój, w swej wianwie literackiej, sytuuje się gdzieś na pograniczu sztuk tradycyjnych. Oznacza się elastyczną formułą estetyczną i lekceważy powiekłkę rygorystyczną postępiu czy stodoł podaną. Niechciany literacko - umawiając w swoim obszarze tekstowym własny właściwie prozie; wpatry na dramaturgię - odrzuca ostrecz tygry szeniego dramatu; pozornie daleki od poezji - zdaje się wkraczać niekiedy na terym dla niej zastrzeżone. Za częściową swoboda formalna służy jednakże treści i podporządkowuje się idei utworu.

Dwa glosy i jedno milczenie zamknęły kraj jedyną z najbardziej koszarnych tragedii ludzkości. Cała akcja oparta została na jednym prostym, surowym motywie oczekiwania na śmieć. „Tego, co jest za ścianą”, a obie postaci: ONA i ONB nakreślone zostały jako dwa analogiczne, uschematyzowane typy.

Szczególna zwieglność dialogu sprawia istotne zagęszczenie czasu. Do wyjątkowej intensyfikacji czasu przyczynia się w znacznym stopniu również fakt, że ten drobny utwór podzielony jest na siedem krótkich scen, które odbywają się wprawdzie w tym samym miejscu, lecz w odstępie

¹¹ J. Maym, op. cit., s. 208.

¹² B. Budziewska: *Roboty w pokłobu dramatycznym*, op. cit., s. 192.

¹³ Zab. W. Świdwiec: *Teatr Wyobraźni*, Warszawa 1935.

¹⁴ J. P. Sartre: *Wyobrażenie. Fenomenologiczna psychologia wyobraźni*, Warszawa 1976, s. 42.

kilku lub kilkunastu godzin czy nawet dni. Oto jak się przedstawia treść: młode małżeństwo – ONA i ON, spodziewa się dziecka i czeka na śmierć starych kobiety znaną sianą, określoną jako „To, co jest za ścianą”, aby znaleźć jej pokój. Oczekiwaniu towarzyszy dialog, będący ustawicznym pytaniem, czy to już się stało. ONA i ON, czując się na śmierć czekając samotnie w drugim pokoju współlokatorów, wsłuchują się w nadzieję w coraz głębsze, coraz głośniejsze milczenie, które jest za ścianą.

ON wchodzi tam, za ścianę, dopiero wtedy, gdy ma pewność, że starszuszka umarła.

Pamięć o dźwiękowej, a zatem niewizualnej formie słuchowiska sprawia, że Herbert osobliwie kształtuje warstwę językową, poszukując takich środków artystycznego wyrazu, dzięki którym mogłyby zobiektywizować świat przedstawiony i uczynić go komunikatywnym oraz zapewnić odbiorcy pełnię wyobrażeń. Przy pomocy języka buduje autor takie struktury podawcze, w których znajdują odbicie zarówno myśli JEJ i JEGO, jak i sytuacja, w jakiej się znajdują. Dominuje struktura czasu termalniejszego, co ma wskazywać na bezpośredniość dziejących się zdarzeń. Pierwsze słowa dialogu wprowadzają nas od razu in medias res:

ONA Nie mogę na nią patrzeć.

ON Odwrócić się.

ONA Tak zrobiłam.

ON Działaj?

ONA Tak. Wchodzi do kuchni: „Czy mogę zaprząć wodę?” Zdejmuje garnek. Ona stawia czajnik: „Zimno. Ja nie. „Co pani ma mi za złe?” Odwróciłam się do okna. Bierze swój czajnik i wychodzi. Tak będzie spokój.

ON Myślisz?

ONA Ona jest ambitna. Tylko ty nie mów do niej. Ani słowa. Powietrze

ON Co to powietrze. Nie wyprowadzi się.

ONA Ale będzie spokój.

Zdania te pozwalają odbiorcy od razu zorientować się, w jakiej sytuacji znaleźli się ONA i ON. Klasyczny narrator został całkowicie wyeliminowany, ponieważ postaci informują się nawzajem o tym, co prawdopodobnie dzieje się w drugim pokoju. Kwestie narracyjne kierowane są wprost do partnera.

ON Co ona?

ONA Złazi z łóżka, idzie do ściany i słucha.

ON Bzdura. (347)

(...)

ONA No i co?

ON Niewiele.

ONA Ciesno?

ON Nie, ale ono klimat schodowej jest trochę z boku. Widać róg szafy. Na środku pokoju krzesło. Na krześle bielizna. (353)

ON Ważne jest, że światło jest pali. Tam jest bardzo jasno. Pali się górną światło i pewnie jeszcze nocna lampka.

ONA Ona nigdy tak długo nie pali światła. (354)

Użyte w tekście takie formy jak „ciszej, trzeba nadśluuchiwać, posłuchać” są zgodne z charakterem sytuacji. Są one mocno wtapione w tekst artystyczny i funkcjonalnie uzasadnione. Wskłania akcja słuchowiska dzieje się za ścianą – w ciszy, bez dźwięku i jednego słowa. Tam rozgrywa się dramat, na którego rozwiązanie czekają ONA i ON.

¹ Z. Herbert: *Drugi pokój* [w:] *Antologia dramata*, t. 1. Warszawa 1976, s. 341. Po następnych cytatach podaję w nawiasie stronę według tego wydania.

Wyeksponowanie ciszy jako ważnego elementu i tworzywa *Drugiego pokoju* jest jak najbardziej świadomie przez Herberta założone. Świat ciszy, świat niewidoczny i niemy nie tylko dla słuchaczy, lecz także dla bohaterów, świat konstantywny wyobraźniowo, stanowi o całym słuchowisku. Cały ciężar słuchowiska zdaje się spoczywać na tym właśnie elemencie:

ON Treba nadśluuchiwać. Cicho. W się podłubam. ABO I ON. (346)

ONA Nie nie słychać. Powinno być w ścianie. (345)

ONA Treba trwać uważnie. Wciąż trzeba słuchać. Ciesno. (346)

ON Nic nie słychać. (346)

ONA Cicho. Rusza się. Posłuchaj. (346)

ON Nic nie słychać. (346)

ONA Tak jakby łatwo skrzypotało. (346)

ON Złudzenie. (346)

ONA Tak. Nic. Ostatni raz słyszałam ją wczoraj wieczerd. Było to zupełnie wyraźnie. Coś upadło na ziemię. (348)

Niewidoczny świat ciszy staje się swoistym odbiciem rzeczywistości, jakimś ekwiwalentem awizualności pokoju, tego wszystkiego, co się w nim dzieje. Jest nośnikiem określonej informacji:

ONA Wczoraj było cicho, ale dzisiaj jest ciszej.

ON Co to znaczy?

ONA Nie ciszej, ale bardziej głuch. Wczoraj było tak, jakby tam ktoś był, ale cicho siedział. Działaj jak tak, jakby nie było nikogo. (351)

Akcja dzieje się za ścianą, w ciszy, bez dźwięku i słowa. Postać i słuchacz uczestniczą wyobraźniowo w odbywającym się tam procesie kochania. Całość słuchowiska została skonstruowana na zasadzie chyboty poduchuchania. Słuchacz poduchuchuje rozmowę JEJ i JEGO, oni zaś poduchuchują, co się dzieje za ścianą. Wszyscy poduchuchują śmierć starych kobiety. Ta jednoczesność poduchuchawania urealnia i czyni jeszcze bardziej obecnym dla odbiorcy świat przedstawiony. „To, co za ścianą” musi zostać wyobrażeniowo dookreślone. Kobieta za ścianą nie ma twarzy, jest niemałocalna. Nie jawi się konkretnie umiejscowioną w przestrzeni między przedmiotami. Nie dysponujemy prawie żadnymi przesłankami, które mogłyby być pomocne przy jej identyfikacji. Cała prawda o osobowości tej kobiety, a właściwie tylko o sytuacji, w jakiej się znajduje i stanie, którą przeżywa, zawarta jest w pobawianym wszelkich skrupołów dialogu JEJ i JEGO. Określone sformułowania wywołują ciąg myśli, skojarzeń i obrazów, dzięki jedynie określonej bodźcu, wyczuwalnej z szczytów i w głębinach pełnienia tworzą się w umyśle odbiorcy w sposób subiektywny, zależny od jego wyobraźni, emocjonalnego zaangażowania i wrażliwości. Odbiorca współtworzy świat słuchowiska. Wizualizacja odbywa się w oparciu o sugestię dialogu, jak również w wykorzystaniu własnych przeżyć, doznań i doświadczeń. Dotyczy to również JEJ i JEGO. Przedstawiają się oni przez to, co mówią. Zarysowują kontury – reszta należy do słuchacza.

Forma podawcza *Drugiego pokoju* jest dialog. Jest to dialog przede wszystkim przemysłowy, którego głównym tematem jest, to, *co dzieje się za ścianą*.² Zbudowanie słuchowiska z dialogu zdaje się jeszcze bardziej uzasadniać sensowność określenia tej formy twórczości stricte ra-

² J. Makajowski, op. cit., s. 191-192.

diowej nazwą dramaturgia radiowa. Znajduje to swoje częściowe uzasadnienie też i na innej płaszczyźnie. W teorii literatury przyjęło się uważać, że dla liryki dominanta kompozycyjna jest podmiot liryczny i teraźniejszość, dla epiki – narrator i zwroćcie ku przeszłości, dla dramatu zaś – dialog i skierowanie ku przyszłości, ku temu, co będzie, co się zdarzy. Takie analogiczne rozumowanie wydaje się tu jak najbardziej właściwe.

Dialogowa struktura słuchowiska wpływa na to, że jest ono pozornie statyczne. ON i ONA znajdują się w jednym miejscu, a w rozmowie nie włącza się ktoś trzeci. *Drugi pokój* – dogłębnie studium znaczącego konania skonstruowane zostało za pomocą dynamiki znaczeń i statyki sytuacji. Najbardziej znaczący tu cisza. Ona jest niejako widziana i słyszana zrazem. Ona mówi milcząc. Efekt ten osiągnięty został przez autora wzrost głośności.

Herbert w *Drugim pokoju* zdaje się być zafascynowany magią słowa i stąd obszarca je głównym zadaniem wyrażania znaczeń. Słowo, obok ciszy, organizuje świat przedstawiony. Słowa i cisza – taka kompozycja jest przez autora świadomie założona. Oszczędność i prostota słowa, maksymalna kondensacja znaczeń słownych i sublimacja treści zbliżają ten dramat radiowy do koncepcji logocentryzmu.¹⁸ Krótkie zdania i lapidarne zwroty, bardzo często w formie pojedynczych słów, wyodrębniają i uwykułają najkrótsze nawet wypowiedzenia. To słowo charakteryzuje wewnętrznie osoby dialogu, rysuje całość sytuacji, orientuje czasowo i symbolizuje porządek przestrzeni. To ono wyraża egzystencjalno-filozoficzne prawdy o ludzkim losie, ideowe, moralne i intelektualne treści. Nie mając bezpośrednio, jak w teatrze, do czynienia z mimiką, kostiumem, światłem ani dekoracją, słuchacz musi skupić całą swoją uwagę i wrażliwość na samej treści, na słowie. Szczegółowa informacja o tym, co widzą i słyszą ONA i ON, jest apelem do wyobraźni słuchacza, zaproszeniem do współtworzenia obrazu tego, co jest za ścianą. Następuje transformacja obrazu na element słyszalny. Nie zachodzi nam potrzeba zobaczenia JEGO i JEJ. Reprezentuje ich mówione słowo. Nie tyle bowiem ważne jest to, kto mówi, ale co mówi i jak. Mówiącym może być każdy. ONA i ON to symbole pewnej życiowej postawy. Najważniejszy jest bezwzględny motyw towarzyszący ich podłożeniemu temu, co dzieje się za ścianą, a objawiający się przez wypowiedziane przez NIĄ i NIEGO kwestie:

ON Jak myślał, czy to jest teraz pewne?

ONA Chyba tak. Całą noc paliło się tam światło. Teraz też się pali. Kto pali w dzień światło?

ON Może tylko samotność?

ONA Za długo to trwa. (358)

Plan słowny jest podstawowym środkiem sugestywności, wiarygodności i autentyczności radiowego obrazu. Jest on też wyznacznikiem przestrzeni i czasu. Zdaniem Heinza Schützke, znanego badacza i teoretyka radiofonii, *przeżycie w słuchowisku (...) to jedynie barwa, która nadaje się słowom lub dźwiękom i krąży się z nimi zmysłowo*.¹⁹ Miał on tu na uwadze oczywiście ostateczną, foniczną realizację słuchowiska. Jak przedstawia się rola słowa w konkretyzacji przestrzennej świata przedstawionego w *Drugim pokoju*? Ogarnia ono przestrzeń na swój sposób. Kreuje swoistą architekturę stosunków przestrzennych, ulegając licznym przewarłościom. Oto kilka przykładów:

ON Wczoraj mówili że zasnużarz.

ON Mogę zasnużarz. Minęło już czterdzieści godzin.

(...)

¹⁸ J. Mayen, op. cit., s. 198-202.

¹⁹ J. Mayen, op. cit., s. 232-233.

ONA To nie ma sensu. Lepiej zobaczyć.

ON Ale jak?

ONA Jej okna widzą z kamienicy naprzeciw.

ON Kto to co?

ONA Można wejść na klatkę schodową i zobaczyć.

ON Myślał, że będzie widać?

ONA Można spróbować.

ON Czy ona nie ma zasłon na oknach?

ONA Nie. Ma białe firanki do połowy okna.

ON To dobrze. Teraz jest wieczór, będzie widać.

ONA Hejże?

ON Tak. (350)

ONA Można jeszcze coś spróbować.

ON Co?

ONA Nastawić na głos radio i otworzyć drzwi do korytarza. Jeśli śpi, to

powinno się zbudzić.

ON Spróbujmy.

ONA Wyjdź na korytarz: słuchaj. (355)

(...)

ON Nie śpi?

ONA Nie.

ON Dlaczego?

ONA Nie mogę. (...)

ON Która godzina?

ONA Niedługo wstaje. (356-357)

Chcąc pokazać osobliwości gatunkowe słuchowiska na przykładzie *Drugiego pokoju* Zbigniewa Herberta za podstawę przeprowadzonych i sformułowanych wniosków przyjęliśmy literacki tekst. I chociaż warstwa językowa jawi się w tym konkretnym przypadku jako podstawowa, świadomo jesteśmy tego, że ostateczny kształt dramatu radiowego ma charakter foniczny, że stanowi go dźwiękowa konkretyzacja literackiej materii i towarzysząca jej pozasłowne elementy tworzywa akustycznego, właściwe radiowej specyfice przekazu. Dopiero wtedy słuchowisko istnieje w pełni. Stąd też nagierp omówiliśmy w wyszkie te elementy, uświadamiając sobie ich wagę w kształtowaniu artystycznej struktury słuchowiska. Pozawerbalne środki wyrazu i dźwiękowa postać słowa kongestują w słuchowisku na równych prawach. Dzięki nim słuchowisko, jako „tekst akustyczny”, osiąga swą artystyczną i estetyczną pełnię wyrazu, oryginalność i swoistość oraz objawić może sobie tylko właściwie, a wynikające ze specyfiki tworzywa i zrealizowanej w nim struktury relacyjnej właściwości i jakości.

Leszek Teusz

Nagrody Poetyckiej im. Józefa Czechowicza za rok 1986
otrzymał

Zbigniew Strzałkowski za tom *Psalmy milczone*

Nagrody Młodych im. Józefa Czechowicza
otrzymali

s. Urszula Michalek (*W drodze po śmierci i zmartwychwstanie*)
Robert Matejuk (*Moczą i węzłom*)

ALFRED MAREK WIERZBICKI

Galążka wikliny

Rzuciłem do Wisły galążkę wikliny.
Powitanie to czy pożegnanie? Dręczyło
lustro, a w nim rozspychał się kamieniołom,
wieże kościołów, baszta i czyszy czoło.

Sterczę jak Krzysztof oparty o kostur.
Nie ma na brzegu tych, których miałem.
Niosłem i byłem niesiony.

Galążkę rzucam i pragnę rozmowy.

Przypowieści

Morelowe niebo, kłosa pachną mąką.
Łososie wracają z zatok Atlantyku na górę Renu.

Ewangelia tej niedzieli zapowiadają
postanie aniołów do pracy przy żniwach
i sortowaniu ryb.

Czas igrysk i wybuchu bomb.
Szkolące bardziej od łajwania na kościecyku.
Dwie kobiety w spazmach na lotnisku
nie uciekną sprzed kamer,
ich boleść zobaczy świat.

Każde zdarzenie chce być przypowieścią,
odzyskaniem sensu, nabraniem powietrza.

20. 07. 1996

W Turynie

Przyjechałem w południe, co nie ma
większego znaczenia. Mgła zabiła czas.
Może być rano, kiedy szleszczą gazety
i ze świstem odjeżdżają tramwaje.
Może być pod wieczór, zmęczeni bohaterowie
schodzą z poemników i idą ogrzać się w barze.

Zaczynam widzieć, czego nie widzi się w słońcu,
osensję wszelkiego ruchu. Wstyd za siebie
i cały nasz gatunek, ale nie czuję pogardy.
Żebrak prowadzący siedem rasowych psów
mógłby być Fryderykiem Nietzschem,
szaleństwo pisane wszystkim, których umysł żarliwy.

Epigskie mumie w wiecznych kolorach śmierci,
duższe potokujące we łbach szakali i dziobach kruków.
Muzeum czy wiza naszego przeczucia?

Patrzę na twarz odbitą na płótnie,
jedyna, w której światło nie gaśnie
i świeci w miejszach, gdzie były ciemnie.

Temat grecki

Statek z ładunkiem wina, oliwy i wełny,
a z drugiej strony wojenny pentekontoros
opływają wazę okrągłą jak ziemia.

Lubię ten grecki temat,
konieczna bowiem jest podróż.

Odważde żeglarzy dorównał Sokrates,
dokąd zmierzał, było drugą nawigacją.
Nie trzeba żyć – trzeba żyć dobrze i pięknie.

Alfred Marek Wierzbicki

Wydawnictwo „Znak” zaprasza do udziału
w konkursie na powieści lub zbiór opowiadań

I nagroda: 12 000 złotych
II i III nagroda: po 5000 złotych

Jury: Czesław Apełonek, Jan Błoiński (przewodniczący),
Pawel Husko, Jerzy Jarzębski, Olga Tokarczuk

Do udziału w konkursie zachęcamy debiutantów, ale także zapraszamy autorów
już opublikowanych książek! Oczekujemy na opatrzone godłem maszynopisy nie
publikowanych dotychczas utworów. W opatrzonej tym samym godłem kopercie
prosimy umieszczać dane autora. Oprócz nagród autorzy wydanych książek otrzymują
honoraria.

Cośkami na prace do 31 stycznia 1998 r., wyniki zostaną ogłoszone na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie, w maju 1998 r.

Adres: Wydawnictwo „Znak”, ul. Kościuszką 37, 30-105 Kraków, dopisek
„konkurs”. Wszelkie dodatkowe informacje: tel. (012) 21-07-70.

Jury zastrzega sobie prawo innego rozdzielenia nagród,
a „Znak” pierwszeństwo w wydaniu nagrodzonych książek.

Okno zła*

W pierwszej chwili nie wiedział, co się stało, ale gdy chciał wstać, potężny ból w prawym boku rzucił go na łóżko. Rozejrzał się. Była to drewniana izba. Słaba żarówka ćmiła się pod brudnym, upstrzonym przez muchy stropem. Na zewnątrz szczekał pies. Zaciśnięty zęby, by pokonać ból Dan wstał i z wielkim trudem dowlokł się do stołu. Na kawalku gazety leżała słonina, pół bochenka chleba i stala szklanka w jednej trzeciej wypiętniona fusami po herbacie. Usłyszał cichą muzykę. Mruczało małe, brudne radio tranzystorowe. Podgłośnił niewygodnym pokrętem. Grało koncert Paganiniego. Lubił taką muzykę? Nie mógł sobie przypomnieć. Zawsze chyba słuchał radia, ale czy muzykę poważną? Poczuł głód. Oderoił plaster stoniny i odłamał trochę chleba. Gdzieś powinna być sól. Znalazł ją w stoiku po dżemie. Wieszko miało kilka drobnych dziurek zrobionych cienkim gwóźdźkiem. Ugryzł posolony plaster. Smakowało. Rozejrzał się dokoła. W kącie na dwóch cegłach stała maszynka elektryczna, a na niej pobijany czajnik z długim, wmiętym dziobkiem z resztkami wstniejowej emalii. Podniósł go i wyczuł, że jest suchy. Rozejrzał się raz jeszcze po pomieszczeniu, ale nie znalazł kranu. Wyszedł na zewnątrz. Było ciemno i cicho. Usłyszał delikatne paniecnie. Potem dźwięk. Poszedł w tym kierunku i boleśnie potknął się o wystający z ziemi kawalek rury. Pomacał. Był to kran. Po omacku odciął go i nabrał wody do czajnika. Strumień był silny i pryskał na buty i spodnie. Z pełnym czajnikiem wrócił do izby. Nastawił maszynkę. Miał z tym trochę kłopotu, bo sznur nie był zakończony wtyczką. Przy samym końcu rozdwajał się i błąszczał gołymi przewodami z miedzi. Umocował je w gniazdku sieciowym na zapalaki. Dość mocno kopnął go praąd, ale zaraz potem maszynka rozgrzała się do czerwoności. Postawił czajnik. Krople wody z sykiem znikły z czerwonych spirali. Zrobiło się ciepło. W czasie kiedy spał, piecący żelwiny zupełnie wygasł. Postanowił, że po skończeniu posiłku poszuka węgla i solidnie napęka. Podniósł sobie krzesło. Gdy siadał, głośno zatrzeszczało. Zuł powoli słoninę i przegrzał chlebem. Kiedy zagotowała się woda, dolął sobie do fusów i wypił mały lyk gorzkiej lury. Wtedy dostarczył w kącie, w samym rogu, telefon. Podniósł słuchawkę.

— Tak. Biuro muzeum — rozległ się kobiecy głos. Wydało mu się, że skłádá zna ten głos. — Czy coś nie w porządku?

— Nie, nie ważego. Spokój — odrzekł niecierpliwie i rzucił słuchawkę. Znowu zaszczezał pies. Teraz zupełnie blisko. Wyszedł z izby. Pies zakomlął i szary ruchliwy kształt przypadał mu do nóg.

— Co pieknu? Jak tam twoje interesy?

Poczuł na dłoni ciepły, wilgotny język. Dał mu kawalek słoniny i usłyszał kłapanie zębów. Potem znowu pies położył go po ręce.

Było naprawdę cicho. Przypomniał sobie, czym się teraz zajmuje. Należało więc zrobić obchód. Wdęcił i zdjął z wieszaka ciepłą kurtkę i czapkę. Postawił kołnierzy i wyszedł w noc. Pies ruszył za nim. Zbliżył się do ciemnych, długich baraków. Nieopodal coś zaszleściło. Spod nogó wyskoczył kot. Przeraziło miąskunię zmięszło się z oguszającym ujadaniem psa. Głoty popędził do przodu i zjechało długo odbijają się od ścian baraków. Zniknęły gdzieś bardzo daleko. Dan posował się ostrożnie po złodowaczej nawierzchni. Nogi rozścięły mu się, a w głowie nagle pojawiło się niezrozumiałe wspomnienie o spacerze przez mroźne miasto. Dan przez chwilę próbował wyjaśnić ten obraz, ale zostało tylko miasto. Miasto! Gdzie ono jest? Miał wrażenie, że oprócz tych baraków nie ma nic więcej. Te pomure szeregi niankiche budowli ciągnęły się chyba w nieskończoność.

Na lecie ciemnego nieba wyrosły ciemniejsze kształty płaskiego dachu i kominia. Zbliżył się do krematorium. Drzwi były zamknięte na dużą kłódkę. Obszedł dokoła budynku i nagle usłyszał szum gałęzi. To były drzewa owocowe. Poszedł dalej wzdłuż szeregu jabłoni. Ogrodó kończył się, a baraki ciągnęły dalej. W pewnym momencie rozbiłszyą księżycę. Wszystko ożyło. Wyrosły nowe kształty. Obok dostrzegł ciężki walec do ubijania drogi. Kiedys się nachylił i podniósł uchwyt, wylało mu się, że ktoś strzelał biczeniem. Spróbował ruszyć. Zaczął ciągnąć z jakimś zapamiętaniem. Pies obok pomagał mu. Warczał i szczekał, jakby go dopinguował. Pot wystąpił Danowi na twarzy. Zabolaly ramiona. Coś strzyknęło w krzyżu. Walec nawet nie drgnął. Dan wiedział, że do tego, by go poruszyć, trzeba było kilku wieźniów. Ale jacy to byli ludzie. Same szkielety. On natomiast był w miarę zdrowy, dobrze odżywny, niemal spasyony. Zawył tak jak pies. Poczuł lekkie drgniecie. Walec ruszył się parę centymetrów.

Dan upadł na zamrażający ziemię. Czuł, że się dusi. Pies cicho skłamał i lizał go po twarzy. Rozległy się kroki. Zbliżył się i umilkły.

— Czy coś się stało? — mekły głos orzeźwił go nieco.

Podniósł głowę. Przed nim stał jeden z mundurowych. Patrzył na niego, ale Dan nie mógł dostrzec wyrazu jego twarzy.

— Nie, poknąłem się. Jest bardzo blisko.

— Tak. Trzeba uważać — strażnik odwrócił się i odszedł. Zniknął gdzieś między barakami. Zapadła cisza. Dan kulejąc ruszył dalej. Postanowił iść do końca, ale pomimo godzinne marznu nie napotkał żadnych ogrodzeń. Baraki ciągnęły się dalej. Nagle w jednym z nich dostrzegł słabe światło. Podszedł i zajrzał przez okno. Na samym środku, między przycami, przy zbitym ze skrzynek stołiku, siedziało dwóch mężczyźni. Grali w karty. Zastukał. Nawet nie spojrzeli w stronę okna. Wdech wleł do środka i zdjął czapkę.

— Dzień dobry, właściwie dobry wieczór. Tegę mroź.

— O tak. Siadaj. Zagrzej się — w kącie stał rozgrzany do czerwoności piecyk.

Dan zdjął kurtkę. Przez chwilę przyglądał się grze.

— Nie wiesz, gdzie się kończy ten obchód?

— A po co ci to? Tu już jest nasz rejon. Ty masz swój. Reszta nie powinna się obchodzić.

— Zdumiewające. Od kiedy tu pracujeście?

— A czy my zadajemy ci jakieś pytania? — jeden z grających wykrztał nieco zniecierpliwienia, więc Dan przestał pytać. Patrzył na przebijane karty.

— Chodź, zagraj z nami — zaproponowali, nie odrywając oczu od stołu.

— Kim są ci ludzie? Gdzie pracowali wcześniej, zanim powstało muzeum? — zastanawiał się Dan spoglądając na delikatnie, wypielęgnowane starannie dłonie bynajmniej nie podstarzałych stróżów.

— Nie, dziękuję. Mam obchód. Do widzenia.

— Spokojnej nocy.

Wyszli. Pasa czekał. Pomeradał ogonem, liźnął go po ręce i ruszył tuż przy nodze. Dan wenciał. Kiedy doszedł do swojego drewnianego domu, usłyszał telefon. Wbił głę i podniósł słuchawkę.

— To ja — głos kobiety był cichy, ale narowisty. — Dan, za chwilę Jimi zarządzi zbórkę. Drzwonie po to, żeby cię uprzedzić.

— Po có? — Dan nie rozumiał tej kobiecy. Nie czuł się zagrożony. Swoje obowiązki wykonywał precyzyjnie, porządnie.

— Nie wiem... Może żal mi Ciebie... — po tamtej stronie głos zbliżył się do bardzo cichego szepotu. — Może... to bardzo trudno... ale powiem. Może dlatego, że sama się boję.

— Zupełnie bez potrzeby. Strach tu niewiele pomoże.

— Właśnie to mnie przeraża. Dan, wiem, że zawiązłam, ale teraz boję się. Boję się okropnie. Pomóż mi!

— Uspokój się. Tu wszędzie jest cicho i bezpiecznie. W sąsiednim sektorze grają w karty.

— To tylko pozorny spokój... — w tym momencie zsuwała głośno syrenka alarmowa i na dwoje zająłano. Głosy kobiety zginął w straszliwym jęzgotcie. Dan wybiegł na zewnątrz. Płosek wszystkie reflektory. Potężnej mocy megafon huknął:

— Wszyscy udają się na plac przed krematorium! Wszyscy udają się na plac.

Dan jęknął. Chciał teraz odpocząć, a tu nagle alarm. Służusie mówiła kobieta. Dlaczego chciała go uprzedzić? Dlaczego on sam nie pamięta, nie kojarzy? A może nie chce pamiętać? Wie tylko, że pracuje w muzeum. Ze pitauje obozni i zdaje relacje przez telefon. Domyśla się też, że przedtem był w innym świecie, że przeszłość zagubiła się gdzieś w zakątkach jego mózgu i nie chce, albo nie potrafi jej teraz odnaleźć. Jakieś fragmenty pojawiają się jak za mgłą i zaraż szybko umykają. Dan musi dobrać się skupić, żeby coś z tych obrazów upolować.

Zapiękuje go uszy, bo gdzieś zgubił czapkę. Biegnę, potykając się o zamknięte grudy, bo głosnik teraz naglił do podpiechu. W pewnym momencie, gdy na chwilę coś się przewalowało i głosnik umilkł, w ciszy zaczął narastać tupot wielu nóg. To razem z Danem biegł tłum takich jak on stróżów nocnych. Wpadli na plac i natychmiast ustawiali się w równych szeregach. Gdy Dan znalazł się między nimi, zaczął ktoś go popchnąć, nakierował tak, że w końcu znalazł swoje miejsce i stanął w nieregularnej pozycji. Obok niego ustawiali się wciąż nowi ludzie i Dan mógł wydźnąć ze zdziwienia, że jest ich tak dużo. Zbierano się przez całą noc. W końcu plac został zapełniony równoległymi czworobokami. Mróz był iraskający, ale wszyscy cierpliwie oczekali. Wreszcie nadzszedł szef. Obok niego pojawiło się kilku mundurowych ze szubry tuzemnej.

— Zbyt długo to trwało — rzekł szef osrym tonem. — Następnym razem musicie się zebrać w ciągu dwudziestu minut i ani minuty nie dam wam

więcej. A teraz do rzeczy. Na dzisiejszym spotu... hm! hm! to jest... chciałem powiedzieć... zebrał, omówiwszy sobie sprawy związane z waszą nową pracą. A więc nie tylko będziecie sprawować pieczę nad majątkiem muzeum, ale także każdy z was w ciągu dnia, gdy na terenie obozu są zwiedzający, ma za zadanie uważnie śledzić każdego z nich, szczególnie zwracając uwagę na prowadzone rozmowy. Opinie na temat muzeum należy mi przekazywać w godzinach od dziesiątej do dwunastej każdego dnia z wyjątkiem sobót i niedziel, w moim gabinecie. Mogą być również składane na piśmie. Czy wszystko jasne?

— Nie! — Dan drżał z zimna. — Nie mam ochoty zostać szpiclem!

— Milczcie. Tu nie będą tolerować żadnych sprzeciwów!

— Przestań idioty, bo przez Ciebie wszyscy oberwiemy — Dan dostał parę razy bolesnego kuksuca w bok. Stępnął i zamilkł.

Szef odszedł, ale gdy wśród zebranych nastąpiło poruszenie, mundurowi zaprowadzili porządek.

— Na skutek niesubordynacji jednego z was — powiedziano — postępicie sobie do godziny ósmej. Jeśli ktoś spróbuje uciec, będzie surowo ukarany. Dan spojrzal tam, gdzie wskazał jeden z mundurowych. Ujrzał rozciągnięte druty kolczaste i wieżki strażnicze. Właśnie stanął silne strumienie światła lizaly plac spelowy.

Dan pomyślał, że prawdopodobnie nie. Wszystko to wydawało się nie-realne, a jednak napawało grozą. Szef musiał być człowiekiem niernormalnym. Wymodelował obóz aż do pressady, wplatając w to realne fragmenty życia. Chciał, by podobieństwo było jak największe. Trzech stróżów księgarz zaskądził z widzenia. Patrzył na znajome twarze piekacza, sprzedawcy gazet, urzędnika bankowego i wielu innych ubranych teraz w jednakowe ciepłe kurtki i czapki. Przypomnił sobie, że stoi z goła głową. Uszy paliły okropnie. Zaczął pocierać je dłońmi, ale to niewiele pomogło. Zaczął też tupać. Potem obok niego ktoś uczynił to samo. Po paru minutach słychać było głucho tupot setek nóg. Reflektory ożywiły się i teraz ze zdwojną czujnością speraly pośród ludzi stojących na placu.

— Niech nikt się nie rozchodzi! — huknął basem głosnik.

Tupot się wzmożił. Ludzie zabijali dla rozgrzewki ramiona i tuż sprawał wrażenie, że pulsuje. Tupano coraz głośniej. Nim Dan się spostrzegł, już zaczynało świtać. Światło powitano westchnieniami ulgi. Nadeszła wreszcie upragniona jaskinia i tłum począł się rozchodzić. Dan zastygnął pośród do jakiegoś baru i połowy się na pryce. Był bardzo zmęczony. Nie chciało mu się wracać do swojego pomieszczenia.

— Wstawaj — obudzilo go szarpnięcie — co tu robisz? Za chwilę pojawią się zwiadowcy, a ty w najlepszej spiesz! Cheese, żebyś zameldował o tym szefowi?

— Sam nie wiem, jak to się stało — tłumaczył się Dan. Jednak tamten już zniknął. Nie mógł dłużej zwolekać z opuszczeniem pryce, bo dobiegł do niego hałas. Wtróćte duża grupa Amerykańców pojawiła się za oknem. Żali gumy i zachowywali się tak, jakby byli na pikniku. Z niestonego magnetofonu wydzierał się jakas chora na gardło solistka. Dan przyglądał się im z ciekawością.

— Robimy odpoczynek. Nie czuję już nóg — powiedział w pewnym momencie przewodnik i rzucił się na jedną z dołnych pryce.

— Proszę pana, tu nie wolno się kład. To jest muzeum — Dan natychmiast był przy tym człowieku, choć nie bardzo wierzył swoim słowom,

bo przed chwilą sam leżał. Ale dodał: – Pan jako przewodnik powinien dobrze o tym wiedzieć. To przecież profanacja!

– Jaka profanacja syma? Przecież to wszystko jest jak spód igły. Zakożę się, że nie leżał na tym barłogu żaden więzień!

– Ma pan niewątpliwie rację, ale jest to przecież wierna kopia obozu. Coś jakby symbol.

– Idź synu na skargę, ja muszę się zdrzemnąć. Innym też radzę na chwilę wyciągnąć swoje utrudzone ciała na tych atrapach.

Turyści nie dali się prosić i wkrótce w obozowym baraku pokuwającej i pochmurną sypialnię. Co na to powie szef? Dan zszedł z łóżka, jeśli to jego teren. Ostrożnie podszedł do okna. Znajdowali się niedaleko krematorium. Przymiolił sobie i odetchnął z ulgą. To ten, który go obudzil, odpowiadał za ten teren. Ponieważ jeszcze nie wrócił, Dan spróbował wycofać się i cicho otworzył okno. Znajdowało się ono z drugiej strony banku. Ale gdy przelał przez nie, usłyszał gwałtowny szmer i głoju.

– To on. Lapieć go! – i po chwili trzech mężczyzn trzymało Dana za ramiona. Usiłował się wyszarpnąć, ale nie zdołał.
– To on wpadł turystów i pozwolił im kłaść się na prycze – krzyczał maly szczer, który go wcześniej zbudził. – Teraz musimy odprowadzić go do szefa.

Dowlekił go do gabineu. Szef czekał na jakiś pilny telefon. Gdy zobaczył, że go włóka, zdenerwował się i podbiegł do nich. Zaczął rękami okładać zdumionych donatorów.

– Jak wy go traktujecie?! Co to ma znaczyć, wy kofakie byh?!

– Proszę szanownego pana – rzekł jeden klekając – to on jest winny, nie my. Wpadł turystów i pozwolił im kłaść się na prycze. To obraża!

– Szef ochłonął nieco i po raz pierwszy spojrzal na Dana inaczej.
– Zostawcie go i wytnijcie się – rzekł. – Reszta są z nim załatwie.

Trójka łorzyków wycofała się tyłem w głębokich ukłonach, mniąc z przerażenia czapki w spocychych dłoniach. Szef nalał sobie koniaku i podszedł do siedzącego na podłodze Dana.

– No, może wreszcie wstaniesz. Chcesz koniaku?

Widząc, że Dan nie mówi, cofnął się i nalał do drugiego kieliszka. Podał mu koniak i kazał usiąść w fotelu.

– Czemu to zrobiliście? – zapytał z lekkim uśmiechem.

– Byłem zmeżony po apelu. Pomyliłem rejon. Nie chciałem tego robić, ale sen był mocniejszy. Ten, który mnie tu przywlokł ze swoimi koleśkami, uciekł, kiedy ujrzał turystów, potem zaczął się na mnie na zewnątrz.

– Czyha ci wierzę – rzekł szef upijając tyk koniaku.

– Dlaczego?

– Znam dobrze tę cholotę. Wiesz, skąd oni są?

– Domyślam się, proszę pana.

– Jim. Mów tak do mnie, przecież jestem Jim.

– Jest pan, panem Jimem. Tak, proszę pana.

– Mów mi po prostu Jim. Jeśli nie chcesz go dobroci, to traktuj to jako rozkaz.

– Dobrze, proszę pana... Tak, dobrze Jim – Dan przelknął ślinę razem z tym imieniem.

– No i jesteśmy w domu. Myślę, że ci już wystarczy.

– Co mi wystarczy?

– Nie co, tylko czego... No, tego stróżowania! Mógłbyś robić coś lepszego. Kara się skończyła.

– Czy potrafił robić coś jeszcze? Jaka kara?

– Jak się nazwyczaj?

– Dan.

– Wiesz coś jeszcze?

– Jestem stróżem w muzeum, dział – oboz koncentracyjny.

– I co dalej?

– Więcej już nie wiem.

– Coś takiego? Czyha się zgrywasz. A tę panią znasz? – wesoła piękna kobieta.

– Nie.

– Nie? Wprawdzie to moja żona, ale kiedyś byłeś z nią zaprzyjaźniony.

– Nie pamiętam.

– Dan! Przestaj odgrywać idiotę!

– Nie wiem, o co chodzi pa... Jim.

– Jim i żona spojrzeli na siebie.

– Czego sobie życzyrz kochanie?

– Czy ciągle muszę ci przypominać, że masz żonę o tej godzinie budzącej? – powiedziała z lekkim wzruszeniem i wstąpiła.

– No, to sobie odwróćmy – rzekł Jim i włączył telewizor. – Jest poster – rzekł triumfalnie do Dana – spojrz tyko!

Dan czuł się paskudnie siedząc w tym gabinecie. Wszystko dotarło do niego znacznie wcześniej, jeszcze podczas apelu. Teraz jednak wygodnie było mu ukrywać się pod pozorem niewiadomości. Siedział więc sobie jako Dan i popijając koniak wpatrywał się w dawno nie widzianą telewizję. A na ekranie pojawiały się tłumy. Wielkie tłumy z transparentami, ludzie orwierający usta do krzyku.

– Wiesz, na czeskę kłogo oni tak wiatują? – Jim rozwalony w fotelu puścił z nadmierną spiertującą się w nim dumą.

Dan milczał. W duszy zastanawiał się, czy rzeczywiście udało się temu człowiekowi rozpaść tych ludzi i wskrzesić sławę pisarza. Dlaczego Jim wiegi go w szpitalu? Livingston jest gdzieś tam, nawet nie wiadomo czy ogląda ten program.

Jim wpatrywał się z przejęciem w tłum. Po chwili na ekranie pojawiła się postać w otwartym oknie. Gesty pupicza, ale strój, a raczej mundur dyktatora. Oto Danowi ukazał się dyrektor muzeum w całej okazałości. To on zbierał brawa, odpowiadał wawutującym tłumom. To nie Livingston, ale Jim zdobył tych ludzi. Pięknie, ciekawie opowiadane historie z lat dziecięcych pisarza, jego cierpienie, pasjonująca praca nad Traktatem, ciekawostki z życia, hobby, kobiety, pieniądze. Wszystko to była reklama, ale nie dla Livingstona. To Jim zdobył sławę. Sława ta sięga coraz dalej.

– Widzisz, kim jest Jim? – pyta ze swego fotela, łypiąc okiem na Dana. – Mówiłem, że Muzeum Wojny to wielka sprawa. Nie chciałeś wierzyć. Dużo przez to straciłeś. Teraz tylko na prośbę Helen prestajesz być stróżem, a zostajesz ponownie kierownikiem. Masz jednak dbać i pilnować, masz donosić o każdym złym słowie na mój temat. Otrzymasz pałkę.

– Po co? – zdziwił się Dan.

– Głupie pytanie. No, do czego służy pałka? Żeby nią okładać niesubordynowanych. Masz walić po ibrach, kiedy tylko usłyszysz słowo: nie.

– Nie potrafię – rzekł Dan nieśmiało.

– Nauczysz się, albo ponownie wrócisz do stróżówki, a tamci już ci dadzą wypić. Gdy tylko dowiedzą się, że cię nie ukaraliśmy, sami będą chcieli wymierzyć ci sprawiedliwość. Tu panuje zasada stara jak świat. Kto jest większym sukisynem, ten wychodzi na tym naj lepiej.

Jim nagle zamilkł. Uświadomił sobie bowiem to, co przed chwilą powiedział. I zaskakoło go. Próbował zatuszować to głupim uśmiechem, ale mu nie wychodziło. Dodał więc bez większego przekonania:

– Takie zasady rządzą tamtymi z baraków...

– Tak – kiwnął głową Dan – tamtymi.

Dan wyszedł, a Jim przez dłuższą chwilę strzepywał ze swojego ubrania niewidzialne pyłki. Potem weszła Helen i poinformowała, że przed głównym wejściem do muzeum zebrał się spory tłum wielbieli i prosi o autografy. Jimowi natychmiast poprawił się humor i szybko zapomniał o swojej rozmowie z Danem.

Dan wrócił do obozu. Pierwszą rzeczą, którą uczynił, była przeprowadzka ze stróżówki do pierwszego baru, w którym mieściły się pokoje gościnne dla urzędników wyższych. Na drzwiach wisiała tabliczka: Obcy wstęp surowo wzbroniony. Dan urządził się w największym i najładniejszym pokoju. Był niezadowolony, że ma telefon. Zaczął egzystować jakos w tym więzieniu. Starał się odgrodzić od strachu, który nieustannie wzbudzał w nim Jim, a także znaleźć sposób na podłutzi. Tak od niedawna zaczął żartobliwie nazywać dozorców muzeum sam szef. Dan wszedł w mechanizmy obozu jak automat. Gdzieś w środku tłono się w nim jeszcze coś z człowieczeństwa, ale odwrócić się nie mógł, ponieważ było to nim dokładnie wytrute i wypalone. Ze spokojnego kiedys antykwariusza stał się teraz istotą rządzącą przez strach.

Kiedy się już urządził w swoim mieszkaniu, pierwszą rzeczą było dopilnowanie, żeby człowiek, który go tak skrzywdził, przeszedł do pracy poza obóz. „Poza obóz” oznaczało znacznie gorszą pracę w prymitywnych warsztatach. Następnie zaprowadził porządek i ustalił godziny wolne od pracy. W tym czasie nie pozwalał stróżom wychodzić pod żadnym pozorem z ich pomieszczeń. Miał wtedy pewność, że nie będzie głupich rozmów, zebrań i tak dalej. Jakże innymi ludźmi stajemy się ze strachu. Dan już pierwszego dnia użył swojej pałki i to tak skutecznie, że zbitego stróża odwieziono do szpitala. A bil przecież ze strachu, bo przypuszczał, że tamten chce go zaatakować. Zaraz potem musiał stawić się u Jima. Po krótkiej rozmowie wyjaśniającej Jim postanowił uczynić obóz jeszcze bardziej hermetycznym i w dwóch barakach założył szpital obozowy.

Tak zaczął się dla Dana nowy okres. Wiedział jedno. Jako kierownik obozu musiał sumiennie wypełniać swoje obowiązki. Pewnego dnia zdążyło się coś, co pozwoliło Jimowi posunąć plan tworzenia i udoskonalania obozu znacznie do przodu.

W tym czasie żył i pracował w muzeum, w oddziale obozu, pewien stróż, który kiedys był muzykiem. Oczywiście Jim w zasadzie niepotrzebnie instytutował zlikwidował. Zlikwidował także filharmonię. Wielu muzyków dowodziło się o jego zamierzeniach znacznie wcześniej i zdolało uciec z miasta. Tylko ten jeden nie uwierzył w przekazywane sobie z ust do ust straszne wiadomości i postanowił zostać. A nazywał się Gold-

szmit. Był Żydem i cieszył się, że takie muzeum powstaje, że w jego mieście nareszcie będzie dokument bestialstwa i zrucania się nad Żydami. Kiedy więc ekipa przemijająca i likwidująca filharmonię znalazła się w sali koncertowej, zastała tam jedynie Goldszmita odychającego tak jak co dzień próbę. Grał na swoich skrzypcach, niczego i nikogo nie zauważając. Zabrano go razem z instrumentem i dostarczono do obozu. Goldszmit nie przestał grać. Nawet wtedy, gdy go przebrano w strój nocnego stróża. Zrobił sobie jedynie mały antrak, gdy musiał włożyć ręce do rękawów. Potem popłynęły dłu i oncie wypielione po brzegi jego smyczkowa muzyka.

Ale pewnego dnia odłożył nagle skrzypce i zastął zdziwiony na swojej przyzy. Zamieszkiwał w baraku więźniami dla dzieci. Jego zadaniem było pilnowanie z kilkoma innymi stróżami porządku w tym baraku i na terenie dookoła niego. Dotąd jednak tylko jego koledy wykonywali w ten sposób nie starając się odczuć do porzucenia instrumentu. Bardzo im się podobała jego muzyka. Teraz Goldszmit sam przestał nagle grać. Zrobiło się cicho, zbyt cicho i muzyk przeraził się. Przeraził się tak okropnie, że zupełnie zapomniał, kim jest i co robi na tej obywatelowej przyzy. Wszystko mu się pomieszało. Pomyślał bowiem, że jest naprawdę więźniem i że jest teraz okres wojny.

Skoró jest więźniem, to dlaczego paraduje w ubraniu? Ktoś go przebrał, to pamięta jak przez mgłę. Tymczasem zamar przyjdzie kapo... Trzeba jak najszybciej odnaleźć pasiak. Natychmiast udał się do magazynu odzieży. Jakoś udało mu się ukraść stary pasiak i szybko się przebrał. Rankiem wybiegł na apel i stanął w pozycji przepiewowej. Kiedy inni zobaczyli stojącego na baczność Goldszmita i do równo ubranego w strój więźnierny, pomysłili sobie, że to nowy rozkaz szefa i tego również pobrali pasiak z magazynu i ustawili się obok Żyda na placu apelowym. Wrócić nadszedł Jim i zastał swoich pracownikówn w pasiakach.

– Coż to się u licha dzieje? – zastanawiał się po cichu, ale nie dał po sobie poznać, że jest zaskoczony. Nagle jednak wpadł mu do głowy świeży jak zawsze pomysł.

– Jesteście więźniami! – zawołał – Mam swoich więźniów! – i pobiegł do biura po kamer. Długo filmował.

– Kto wam każeł tak stanąć? – zapytał, kiedy już nagrał całą kasetę. Dozorcy popatrzali na siebie. Potem jeden rzekł: – To Goldszmit, ten Żyd. On był tu pierwszy.

– O, to i Żyda tu mamy! – Jim był w siódmym niebie.

Nikt się nie domyślał, jakie plany ma Jim. A były one tak fantastyczne, że Jim sam nie mógł wyjść z podziwu dla własnej wyobraźni. Chodziło o to, że Jim postanowił rzeczywiście przeniesić stróżów w etat więźniów. Był nawet Żyd. Podszedł do Goldszmita.

– Piękny więzień – poklepał go. – Zarośnięty, klatka piersiowa równomiernie zapadnięta. Będą z ciebie ludzie! – rzekł z uznaniem, a potem wrócił się do pozostałych: – Od dzisiaj jesteście na etacie więźniów! Należy zachowywać się tak, jak na dobrych więźniów przystało. Gdyby turcy chcieli dokarmiać, nie wolno brać pozwywienia z ich rąk! Zresztą będą odpowiedzialni tabliczki informacyjne. Kto je wykona na ochotnika?

– Ile sztuk? – padło rzeczowe pytanie.

– Tyle, żeby wystarczyło na wszystkie pawilony.

Jim umilkł, bo w szeregu więźniów dostrzegł jakiejś ponaszenie. Zrozumiał, że większość już go nie słucha.

— No, o co chodzi? — zapytał takim tonem, że tłum nagłe umilkł. W końcu wypchnięto do przodu Goldszmita.

— O czym chcesz musie Żydku poinformować?

— Bo widzi pan — Goldszmit miał w rękę swoją pasiastą czapkę — My nie chcemy być więźniami. To ja zawiadomim. Wszystko mi się w głowie przewróciło. Ale teraz nie ma wojny... Chciałbym grać... My nie chcemy być więźniami.

— Rozumiem... Przejąłem do wiadomości, ale nikogo już nie obchodzi, czy chcecie, czy nie chcecie być więźniami. Zrozumiano?

— To znaczy — Goldszmit z natury był nieco natrętny — że nie uwzględni pan naszej prośby?

— Zrozumcie. Jesteście więźniami, a więźniowie nie mają żadnych praw — załmał się — Ale teraz powoli. Pewnie zaley was na naszym wspólnym dobru, jakim jest muzeum. Chyba się w mną zgodzicie. Przecież oprócz tego muzeum nie macie nic więcej.

Niektórzy więźniowie potakiwali, ale chyba ze strachu. Wyglądało to tak, jakby zebrani nie sprzeciwiali się słowom Jima.

— Ja chciałbym, żeby muzeum było jak najbardziej przekonujące. Jeśli turysta tu przyjdzie i zobaczy w nim więźniów, jego wyobrażenie o obóz znacznie się wzbogaci. Odgrywając więźniów przyczyniacie się do podnoszenia poziomu naszej instytucji. Dlatego będziecie więźniami, czy chcecie, czy nie. A to będzie nadal wasz kierownik, do którego się macie zwracać ze swoimi problemami — pokazał na Dana — Jeśli ktoś będzie niegrzeszny, dostanie pałką.

— Nie damy się bić! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Czyżby ktoś chciał się buntować?! — załmał się sztycher Jim. — Czy widziecie to krematorium? Tam pójdą ci, co będą wykątkowo niesubordynowani. Chęć was zawiadomiam, że od wczoraj przejąłem władzę nad całym miastem. Burmistrz i jego zastępca już wkrótce zasnął wasze szereg jak swoje więźniowie. Tu przyjdzie ci bardziej. Natomiast wejść możesz na moją stronę. Będą strażnikami. Wszyscy mundurowi mają prawo dokonywać egzekucji. Egzekucje będą jedną z największych atrakcji dla zwiedzających. Drugą taką atrakcją będzie krematorium.

Dan drżał. Nawet on bał się w tej chwili, mimo że wrócił do łask. Jim wydawał się straszny, a słowa wypowiedziane przez niego brzmiały niezwykle prawdziwie. Ludzie w pasiakach powzieli głowę. Przyjęli swój los. Z wieżyczek strażniczych popłynęły dźwięczy i dźwięczy śmiech.

— A teraz — Dan ujął swoją pałkę i sterowany strachem zaczął być groźny — marsz do banków!

Więźniowie odeszli. Strażnicy na wieżyczkach zabawiali się, rzucając w nich zmiętymi papierami, resztkami jedzenia. Dan chciał im zwrócić uwagę, ale Jim powstrzymał go.

— Nic się przyczyniają. Im bardziej będą upodleni, tym lepiej będą grać więźniów. Teraz warto byłoby wygłosić jakieś przemówienie — Jim zostawił Dana i powrócił do gabinetu, by z okna przemówić do tych, którzy jeszcze nie wiedzieli, że już w najbliższym czasie zasnął szereg więźniów. Jim miał na myśli zwłaszcza dzieci. Będą one nieмыми rytmem dla zwiedzających. Dzieci zawsze wywołują większe współczucie. Umiechnął się rozczulony swoim pomysłem, bo już sobie wyobraził małaśnią stojącą za drutami i wyciągającą łupki po jedzenie. Ale elegancie i lakierowane tabliczki z napisem: NIE KARMIC WIĘŹNIÓW!

będą skutecznie powstrzymywać turystów przed odruchami współczucia. Nielegalnej przyjemności, której doznają ludzie karmiący zwierzęta w zoo wtbres przepisom.

Wszyscy ustmiechnięcy do gabinetu. Podszedł i szusko otworzył okno. Zona podsunęła mu kartki.

— Moi kochani mieszadłacy — zaczął. — Nasze muzeum wspaniale rozkwitła i to dzięki wam, moi drodzy. Dziękuję wam! — Tłum zafalował i powietrze zagadło od okłasków. Kiedy Jim przemawiał, Dan wymachując pałką, zaganiał więźniów do baraków. Helen robiła w tym czasie kawę, a Goldszmit ukryty w kanale ściekowym grał *piano audiance* z koncertu skrzypcowego Mozarta. Nie czuł nawet straszliwego smrodu, który wiał kał w jego ubranie i włosy. Więźniowie czekali na przykaz, z niepokojem zerkał w okno. Za kilka minut miano podawać polewkę na obiad. Ktoś na kawalcześciu papieru sztykował skargę do ministerstwa. Miał ją przekazać chłopcu zrozoznaczeniu pożywienie.

Dan skończył i rozegrał się pełen strachu. Wrócił do pokójku jak rozdygotany. Wszyscy więźniowie byli już zapędzeni do banków i niecierpliwie czekali na nędzne jedzenie. Dan ten dzień jakoś przeżył. Co będzie dalej? Nie chciał zostać więźniem. Cwał, że nie starczyłoby mu siły na przeciwstawienie. Dopiero tu, w ceterach cichych ścianach cwał się bezpieczny i sumienie otwierało mu oczy. Tu mógł swobodnie wyżył się i wyplakać w rękaw swojej kufajki. Postanowił codziennie błagać Boga o wybaczenie. Przepraszać za swoją słabość. Tu pragnął rozgrzeszenia, by tam na zeewnątrz zmieniać się w poshoshnego parkarza. Nie sądził, że ad takie ścierwo zrobi się z niego w ciągu tak krótkiego czasu. Ale postanowił modlić się. Postanowił chociażby złagodzić karę, która czeka go tam, gdzie Jim nie będzie miał nie do gadania.

Miał już plan działania. I chciał wprowadzić go jeszcze dziesięć nocy. W tym celu pobral z magazynu świece. Cały worek, który ledwie mógł unieść. Gdy tylko się ściemniło, wyszedł chylkiem na dwór. Wiedział, że o braku świecy będzie musiał poinformować Jima, ale pomyślał, że jakoś to wythumaczy. Przemknął, jak tylko mógł najszybciej, do krematorium. Ustawiał świece jedną obok drugiej, bardzo cicho. Następnie zaczął je zapalać. Kiedy zrobiło się jasno, wymknął się i zniknął w swoim mieszkaniu. Słyszał nabłytnienie strażników. Oddając część świeców śmierci, prawdziwie wiele tamtych lat postanowił walczyć ze swoim strachem. Chciał w ten sposób zaprotęstować przeciwko staniom Jima, aby stworzył niemal wspaniały pokój obozu koncentracyjnego.

Następnego dnia, gdy tylko Jim dowiedział się o wydarzeniach minionej nocy, wezwał Dana i zwrócił mu uwagę, żeby lepiej pilnował magazynu. Danowi kamień spadł z serca. Jim sądził, że to ktoś inny wykrał świece z magazynu.

Obóz został otwarty dla zwiedzających. Strażnicy otrzymali mundury esemadnow. Chodzili z pejcami i bili więźniów. Ci zaś, gdy tylko zostali wypuszczeni z baraków, przypadali do ogrodzenia wyciągając ręce po jedzenie. Jednak przepis był przepisem i ludzie bali się zaciąć choćby krakersa, bo groziło to mandatem oraz zakazem ponownego zwiedzania muzeum. Dan również otrzymał mundur esemadnow, a w kaburze miał pistolet ze ślepyimi nabojami. Przykazano też więźniom, że maj obowiązek padać i udawać niezycywie. Jeśli ktoś, kogo trzeba zastrzelić kierownik Dan, nie podda się obowiązkowi, będzie ukarany czterodniową głodówką.

Trzeba przyznać, że Muzeum Wojny od chwili pojawienia się w nim więźniów zaczęło odwiedzać znacznie więcej osób. Szczególnie popularne stały się sceny z życia więźniów. Historii młk wyłącznie nie znał. Zaczęli obserwować bitych. Zdało się, że tam widów współczują więźniom maltretowanym przez esesmanów, ale w gniewie rzeczy wyraży oburzenia brzmiały tak, jakby tłum oczekiwał dalszego zgnięcia się. Esesmani wychodzili to i oprócz biczenia stawali imie, bardzo widowskie rodzaje tortur. A więc akalpi po więźniach swoimi bicowaniami, szczeni płamci, topili w wiadrach z wodą, kapali i lamali żebra. Za złemne żebro płacono największe odškodowanie oraz przynawom duże raje żywoclowe.

Sława muzeum szybko obiegła świat. Do miasta, w którym panował Jim, zjeżdżali zaczęli przemysłowcy i lokowali w muzeum swój kapital. Jim rozkwitł i zajmował coraz większe przestrzenie. Właściciele w ten sposób było odnalteć granicy między nim a miastem. Wszystko tu służyło zwiędzającym. Szokujące sceny mordów można było obejrzeć w kinach albo nabyć na taśmach wideo czy kradkach CD. Poza tym muzeum miało swoje miejsce w Internecie i codziennie kilkadziesiąt programy w telewizji i radia. Programy te oglądali i słuchali ich wszyscy w mieście oraz coraz większa liczba ludzi z całego świata. Muzeum wydawało swoją gazetę codziennie i kolorowe czasopisma najchętniej kupowane przez młodzież. Pamiętano również o najmłodszym ofiarce: im klocki z instrukcją „Jak wybudować swój mały obóz koncentracyjny” czy też małe krematorium do spalania laleczek – więźniów i oraz gry komputerowe, z których największą popularnością cieszyła się gra pod tytułem: „Złap i zabij więźnia!” W sklepach z upominkami można było nabyć obrazy lub woskowe figury sławnych morderców. Ale największym rytmem dla zwiędzających było zdobywanie i zwiezienie do domu zdjęć z egzekucji więźniów.

Egzekucje, wprowadzone na rozkaz Jim'a, od razu zyskały sobie największą popularność. Budziły dreszcz emocji. Każdą egzekucję poprzedzały uroczyste przygotowania. Dbano o widów; sprzedawcy roznosili słodycze, napoje, lody oraz małe teatralne lornetki. Do egzekucji wyznaczano najlepszych więźniów. Przygotowywano ich podając im środki psychotropowe powodujące stany apatii lub silnego podniecenia. Pod pałkami mieli pochowane liczne urządzenia elektroniczne i pirotechniczne, które znakomicie udawały przestrelone i krwawiące ciała, mózg czy inne organy. Egzekucje wykonywano przy skompiamentnie małej orkiestrze złożonej z więźniów. Grano melodie spokojne lub marszowe, w zależności od tego, czego życzeli sobie widzowie. Dodatkowo były oplacone przez widów wyjątkowe atrakcje, takie jak ucieczki więźniów lub sceny samobójcze.

Oto jeden z więźniów nie wytrzymał i rzucił się do ucieczki. Pada na druty, które są oczywiście pod napięciem. Pała mu się dłoń, dga całe ciało i widowie myślą, że już po nim. Drugi więzień w tym czasie wykorzystując uchyloną bramę i pęd w przestwór, a esesman dalej... pudnie! Widzowie czekają w napięciu, pudnie po raz drugi. Rozlega się jak zawoła. Trzeci raz trafia. Gromie omlę wzbija się triumfalnie ponad baraki. Usatyfikowani w tym momencie wracają, a po drodze nabywają jeszcze parę migawek mydła z ludzkiego tłuszczu oraz rękawiczki z ludzkiej skóry bądź też zgrabne foteliki z podobnym obiciem. Dam w tym czasie przechadza się i od czasu do czasu, uśmiechając się gorzko, musi strzelać, bo

Jim patrzy z okna. Za każdym razem, kiedy naciska spust, wydaje mu się, że zabija naprawdę. Włożył wiele wysiłku w to, żeby nie telepać się i nie robić gmyśnów przy strzelaniu. Było to bardzo trudne. Wymagało stalowych nerwów. Na początku trząsł się jak galareta. Teraz jednak udaje mu się zachować zimną krew. Jim wiedział, że Dan jest nerwowy i nie znosi strzelania, więc wyznaczyl mu dzieńną normę. Dla każdej wycieczki musiał zastrzelić minimum czterestu więźniów. Teraz Dan wie, że tę czterestkę musi zlikwidować. Potem ma już spokój. Długo strzelal, kiedy tylko widzowie zasiedli na swoich miejscach. Następnie chował się w jakimś baroku i czytał stare gazety. Zatykał uszy, aby nie słyszeć kolejnych salw i wybuchów aplauzu wśród widów.

Pewnego dnia mieli małe nieprzyjemność. Były one związane z przybyciem do muzeum specjalnej komisji do spraw pracowniczych. Komisja wysłana przez Związek Zawodowców zbadała prawlaol dziecięcy i zarzuciła Jimowi, że dzieci są słabo karmione.

— Jak mam je dobrze karmić, skoro potrzebne mi są dzieci chude i wyniszczone?! — tłumaczył Jim.

— Pan się chyba zapomina — rzekł przewodniczący komisji, groby, pogodny Szwajcar. — Przecież to nie jest prawdziwy obóz, ale muzeum i pracują w nim normalni ludzie. Trzeba więc zadbać o nich jak najlepiej, zwłaszcza o dzieci!

Po tych odwiędzających Jim wydał zarządzenie, żeby żadne komisje czy to państwowe, czy to zagraniczne nie były wpuszczane na teren muzeum, a zwłaszcza obozu. I wtedy to właśnie Dan wykrył spisek.

Było to wieczorem, w sobotę. Muzeum już zamknięto i tylko reflektory penetrowały zakątki obozu, sprawdzając, czy nie pojawi się jakiś więzień szukający drogi ucieczki bądź przemycający z zewnątrz jedzenie lub alkohol. Dan wyszedł ze swojego baraku i postanowił pójść do sal wystawowych. Chodził tam co tydzień i sprawdzał, czy na pomniku Levingstona nie wywarerowano daty śmierci. Bał się tego jak ognia. Gdyby tak się stało, byłby współnikiem zbrodni. Nie czyniąc ze strachu nic, by temu przeciwdziałać. Jednak figura wydawała się nietknięta. Wciąż był tam tylko pusty prostokąt. Dan odetchnął z ulgą. Szedł przez kolejne sale po blyszczących jak w pałacu posiadkach. Mijał odróżające oblicza morderców i tyranów. Miał gabinet Hitlera, potem przeszedł obok Nerona, a następnie minął jakiegoś gangstera i znalazł się w sali ofiar. Poskręcane, pochwiatowane zwłoki, z wykrzywionymi oczami, naszpikowane stalowymi kolcami młunie młode kobiety, zgniełe resztki topielców, nadpalone tosy teturowanych mężczyzn z okresu inkwizycji, szkielety z lańcuchami na pierszelach, czaszki z otłowiem w środku, głowy wyjeżdżone przez robaki, wszystko to szerzeło się w niemym szczyrzym śmiechu. Szepotał: Cześć kolego! Wapólniku Jim! Niedługo i ty staniesz na podium jako ofiara. Poskręcane, pochwiatowane zwłoki, z wykrzywionymi oczami, naszpikowane stalowymi kolcami młunie młode kobiety, zgniełe resztki topielców, nadpalone tosy teturowanych mężczyzn z okresu inkwizycji, szkielety z lańcuchami na pierszelach, czaszki z otłowiem w środku, głowy wyjeżdżone przez robaki, wszystko to szerzeło się w niemym szczyrzym śmiechu. Szepotał: Cześć kolego! Wapólniku Jim! Niedługo i ty staniesz na podium jako ofiara. Poskręcane, pochwiatowane zwłoki, z wykrzywionymi oczami, naszpikowane stalowymi kolcami młunie młode kobiety, zgniełe resztki topielców, nadpalone tosy teturowanych mężczyzn z okresu inkwizycji, szkielety z lańcuchami na pierszelach, czaszki z otłowiem w środku, głowy wyjeżdżone przez robaki, wszystko to szerzeło się w niemym szczyrzym śmiechu. Szepotał: Cześć kolego! Wapólniku Jim! Niedługo i ty staniesz na podium jako ofiara.

W sali ofiar usłyszał ściszone głosy. Przerzytany zamiar na chwile, jak zabipnotzowany ruszył w kierunku, skąd dobiegaly. Za rzędem wystawionych mumii i rozbieższych ofiar wojny napoleońskiej dostrzegł że zamaskowany wykop. Posadzka była w tym miejscu zerwana, a otwór zakryty drewnianym podium, na którym tkwiła kopia głowy skądś, z oczami pełnymi przerażenia i jęczyłemu wyszczynionym na krzyk. Dan odsunął po cichu skrzynię i zszedł ostrożnie na dół. Wykop był na tyle duży,

że można było szybko posuwać w nim na czworakach. Ściany wykopa niosły tajemnicze głozy coraz wyraźniej. Dan przeznosił się jeszcze kilkanaście metrów i zastył. Zaczął się przysychać dyskusji, którą prowadzono ostro i dość nerwowo.

— Skoro szef — mówił ktoś — chce stworzyć muzeum jak najwierniej przedstawiające zło, nie będzie się na traktował jak pracownik. Już teraz jego pensję dwa razy dziennie i dajemy się kopać i torturować za pisie pieniądze.

— Wkrótce szefzmiennie wypłaty i premie. Tak się stanie — brzmiał rozgoryczony drugi głos. — Musimy temu przeciwdziałać.

Dan usłyszał szmer wielu głosów. Wpatrywał się w blask pełzający w dół po ścianach korytarza. Za zakrętem siedzieli spiskowcy. Bał się podejść bliżej. Gdyby go zauważono, byłby to jego koniec. Więźniowie nienawidili Dana od chwili, gdy dowiedzieli się, że szef darzy go pewnymi względami. Samo stanowisko kierownika obozu było wystarczającym powodem.

— Nasza organizacja więzienna ma na celu nie dopuścić do stworzenia warunków, w jakich żyli więźniowie obozu koncentracyjnego — mówił starszy głos. — Byłem więźniem Oświęcimia. Wierze mi, tam można było tylko umierać. A przecież wiadomo, że każde istnienie jest lepsze od śmierci. Dlatego musimy przeciwdziałać, musimy stawić twarde opór. Niech szef nie myśli, że wszystko mu wolno.

— Jak to chcecie uczynić? — odezwał się ktoś z młodych. — Wydaje mi się, że to wszystko jest wielką bzdurą. Czy my jesteśmy więźniami? Przecież każdy z nas, kiedy wymówi pracę, może stać wyżej. Tylko gdzie wtedy pojedzie do pracy, skoro całe nasze miasto pracuje dla muzeum? Można wyjechać, ale ja się tutaj urodziłem. A że placą nam jak kaskaderom... Kto podpisał specjalny kontrakt, sam zdecydował, że mogą mu łamać żebra. Poza tym rodzina przysłała nam jedzenie, chociaż w naszym interesie leży, by nie tyć. Tego wymaga regulamin. Musimy poświęcić się dla muzeum. Ostatecznie to nasza praca, nasza przyszłość!

— Co ty wiesz? — Dan rozpoznał głos byłego burmistrza. — Jesteś jeszcze taki młody. Wszystkiemu wydaje ci się proste i zbyt łatwo wierzysz w słowa szefa. Ten facet jest po prostu dyktatorem. Od demagogii, czego to nie zrobi dla ludzkości, zaczyna politykę drobnych kroków, a kiedy ma już zjednaną odpowiednią czynniki i czuje, że kieszeń jest pełna, robi to, co chciał robić naprawdę. Na wysokim szczeblu nie ma już praktycznie żadnych barier. Sam byłem burmistrzem i teraz mogę się przyznać, że nie byłem święty.

— Zaszłyś na karę — rzekł z gniewem młody.

— Wystąpiłem w dziesięciu egzekucjach i trzy razy złamano mi zębo — nadmienił burmistrz na swoje usprawiedliwienie.

— To za mało, bo robisz to za forte!

— Nie pora na klótnie — przerwał im głos starego. — Teraz naszym celem jest przeciwdziałać się szefowi. Jedźmy na tym samym wózku.

— Dochodzą do nas zaskakujące wieści. Oto szef postanowił stworzyć cztery pawilony kobiece!

Dan drgnął. O tym nie wiedział. Czyżby to miał być dalszy etap robu-dowy muzeum?

— Może to i lepiej — rzekł młody — dawno już nie widziałem mojej dziewczyny.

— Wiesz przecież, że będzie tu ciepła!

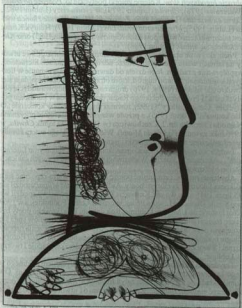
— Nie, Kobietom będzie źle!

— Jesteś ślepy. Nie wolno ci włączyć się do dyskusji — przerwał stary.

Podniósł się gwałt. Wielu młodych protestowało. Zanim prowadzący zebranie usłyszał tłum, Dan wrócił do sali ofiar i wybiegł na teren obozu. Czuł się jak w palpacie. Nie wiedział, co robić. Nie chciał donosić o spisku Jimowi. Nienawidził go podobnie jak tamci. Z drugiej strony zastanawiał się, co też by się stało, gdyby więźniom bunt się udał. Najpierw zemsta donięgłaby Jima, potem Dusa... Może jednak...

Fragment powieści *W stronę świata*

Wojciech Przybylski



Janusz Przybylski: *Fantazja*, litografia, 1963

„Nie starczy życia, aby tam wrócić”

W tym roku mija 30 lat twórczości poetyckiej znanego lubelskiego poety Henryka Józefa Kozaka. W 1967 roku jego młodzieńcze utwory ukazywały się na łamach lubelskiej „Kamieni”. Niedługo potem następnie wiersze można było przeczytać między innymi w takich pismach jak: „Poezja”, „Tygodnik Kulturalny”, „Nowa Wiersz”, „Głos Młodzieży”, „Nowy Wzrost”, „Współczesność”, „Zarzewie”, „Słowo Powszechne”. W 1973 roku ukazał się wydany w Lublinie pierwszy tomik poezji Kozaka pt. *W kraj obrzeżonych lagodnych słów*. Kolejne zbiorki poetyckie to: *Podróż do źródeł* (Warszawa 1978), *Chwila* (Lublin 1979), *W cieniu czary* (Lublin 1982), *Coraz cichsze lata* (Lublin 1985), *Podróż do Miami*, *Wiersze z końca wieku* (Lublin 1995), *Miejsce urodzenia*. *Los* (Lublin 1997). Henryk Kozak jest także autorem dwóch powieści: *Kupiec imieré* (Lublin 1985) oraz *Kiedy kończy się miłość* (Lublin 1988).

Poeta aktywnie uczestniczył w życiu kulturalnym, publikując swe utwory na łamach wielu czasopism, bierze udział w spotkaniach literackich, współpracuje z radem. Jego dzieła od dawna zdobywają uznanie w licznych konkursach. Wśród nagród, które otrzymał H. Kozak znajdują się: dwukrotnie zdobyta (1974, 1976) druga nagroda za radiową audycję poetycką dla II Programu Polskiego Radia, druga nagroda w konkursie poetyckim „Czasu Kultury” (1992), również druga nagroda w konkursie „O liście konwali” (Toruń 1995), a przede wszystkim dwukrotnie przyznana Nagroda Literacka im. J. Czechowicza (w 1980 roku za tomik *Chwila*, w 1995 roku za tomik *Podróż do Miami*). Wiersze lubelskiego autora zostały przetłumaczone na język węgierski i rumuński.

Twórczość poetycką Kozaka omawiano m.in. w „Magazynie Literackim”¹, „Akencie”, „Poezji”. Wiele uwagi poświęcił mu w swych szkicach Stefan Melkowski.²

Abhy lepiej poznać i zrozumieć poezję H. Kozaka, warto zapoznać się z kilkoma faktami z życia i twórczości poety. Autor *Podróży do Miami* urodził się 15 lipca 1945 roku we wsi Kamena na Podlasiu. Dzieciństwo spędził we wsi Sińnik. Ukończył Liceum Pedagogiczne w Leśnej Podlaskiej, a w 1969 roku historii na UMCS w Lublinie. Rok debiutu książkowego poety był także rokiem założenia rodziny. Rola męża i ojca dwóch synów stała się kolejnym doświadczeniem w jego życiu. Szczególnego znaczenia nabraly długie podróże Kozaka (1990-1994). Jako gospodarbeiter zwiedził Europę, Izrael i Stany Zjednoczone. Obecnie H. Kozak mieszka, pracuje i tworzy w Lublinie.

Trzydziela lat twórczości Kozaka podsumował wydaniem siódmego w jego karierze literackiej zbioru wierszy pt. *Miejsce urodzenia*. *Los*. Owym tomik składa się z trzech części zatytułowanych: *Kiedy przyjmiesz oczko*, *Zobaczysz miejsce*, *Biegłem*. Znajdujemy tam: 61 utworów, wśród nich te

najnowsze oraz znaczną liczbę wierszy powstałych przed laty i drukowanych we wcześniejszych tomikach. Ten wewnętrzny układ nie jest przypadkowy. Część pierwsza to retrospektywne spojrzenie na dzieciństwo i młodość twórcy, część druga to reminiscencje z podróży Kozaka, zaś trzecia to filozoficzne podsumowanie jego życiowej drogi. Chciałabym zwrócić uwagę na szereg motywów oraz wzorów archetypicznych powtarzających się w twórczości Henryka Kozaka.

Sińnicka arkadia

Dwudziestonowy tytuł zbioru pt. *Miejsce urodzenia*. *Los* podkreśla znaczenie, jakie ma miejsce narodzin dla dalszych losów każdego człowieka. „Podlasie – moja Mała Ojczyzna.” – stwierdza poeta w jednym z listów; na końcu podpisuje go: „poeta podlaski”. Jak widać kraina ta jest autorem w szczególności bliska.

W twórczości Kozaka tematem dominującym jest wiesz kojarząca się autorowi z tym co najpiękniejsze: beztrojska dzieciństwo i wczesne młodości, procesem odkrywania świata i ludzi, pozostawia dobra i zła. Poeta z rozbijającą szczerością, na którą przed wieloma laty zwrócił uwagę Z. Łączkowski³, ujawnia swoje uczucia, wrażenia, całą swą duszę wiejskiego dziecka.

Stefan Melkowski, analizując poezję Kozaka, zwraca uwagę na niemożność oddzielenia tak osobistego dzieła o charakterze poetyckiego pamiętnika od osobowości twórcy. Dlatego też w większości wierszy podmiot liryczny i bohater liryczny oraz autor utworu stają się jednocy.

Cytując Frye a Melkowski przypomina iż: *Ważniejszą jest fakt, że każdy poeta ma swoją własną mitologię, własną tańce spektaklową lub szczególną funkcję symboli, których wielkość spełnia sobie nie świadomia*.⁴

Jak podczas psychoanalitycznego seansu poeta przyjmuje oczy, rozdzielone ciało i pozwala, by umysł napelnił się obrazami z podświadomości. Powoli przychodzi doń wiąz przedmiotów, ludzi, zwierząt i roślin, potem słyszy dźwięki, czuje smak i zapach, dotyka tego, co mimię. Te półfiolety powolnie przelewa na papier.

Wzrok

Obraz wsi badawany jest za pomocą zestawu pewnych stałych elementów tego świata. Kozak znacząco wyraża granicę „swojej” wsi, granicę „jak okiem sięgnąć”, po horyzont. Przejmujemy się temu zabiegowi na przykładzie wiersza pt. *Postanowił wrócić*. Możemy tu zaobserwować ciekawy sposób operowania fragmentami przestrzeni w zgodzie z poetyką snu. Marzenie sennego przeobraża bohatera lirycznego w rodzimę stronę. Droga wzdłuż płó i lasów prowadzi znikąd wprost do domu jego dzieciństwa. Tylko ten dom „został na swoim miejscu”. Wzrok bohatera sięga dalej poprzez sad, łąki, rzekę, kotłocił; jego spojrzenie wyraża granicę przestrzeni, która rozszerza się wraz z zaszewieniem wzroku. W końcu krajobraz zaciemnia się, następuje gwałtowna zmiana, pojawia się młodzielca postać matki. Nagle wywracanie z krajiny sennych macieży burzy idylliczny obraz rodzimych stron zatrzymamy pod powiekami marzenia. Rzydcy wiśtość pod postacią „chichoczącej kobiety” wdarła się przemocą do tego ładu.

Podlaska wiesi ukazana jest przy pomocy stałych fragmentów sielskiego pejzażu. Są to: dom rodziny (a w nim próg, dach, okna, schody i

¹ S. Melkowski: *Opotybnach ze szczercioi pływających*, „Poezja” 1975, nr 6, *Równieźnicy i Bracia starsi*, Warszawa 1980; *Domena pryncy*, Warszawa 1984; *Nurt obchopit w współczesnej literaturze polskiej. Perspektywa źródeł i porównawcza ujęcia* (w druku).

² Z. Łączkowski: *Od Ziemi ku Nieskończoności*, „Słowo. Dziennik Katolicki” 1995, nr 162.

³ N. Frye: *Archetypy literatury (w): Współczesna teoria badań literackich na granicy Antologia*, Kraków 1972, t. 2, s. 228.

stół, sad, oplotki, dalej pola (stogi, lany zbóż, rżysko, kartoflisko), laki i pastwiska (krowy, siano), rzeka Krzna, kościół, gospoda, remiza, a także słońce, niebo i ludzie – mieszkający tych stron. W krajobrazie malowniczej polskiej wsi dominuje spokój i odwieczny ład.

Wiersz z utworów Kozaka żyje pełnią barwy, mimo że poeta nad rzadko podługuje się nazwami kolorów (tylko błękit, żółty i złoty). Przypatrzmy się pod tym kątem utworowi *Kiedy przysmakom oczy*. Drewniany dom, kosz drożdżalych papierówek, upalnie sierpniowe popołudnie, zniwa – barwy słońca i lata narzucają się same zdumionemu artyście czytelnika. „Chłopski malarz” (*Chelmskiok*)⁴ to nie tylko wielomilny otwór pedził i palety, jak widać pióro może zastąpić pedzel.

Wech

Wiersz podlaska pachnie dymem z ognisk, polem, lasem i łąką, „otula zapachem suszonych grzybów i jabłoni” (*Dotykowna niedziela*), wskaz to „sierpniowe popołudnie pachnące jabłkami” (*Kiedy przysmakom oczy*), kiedy „zapach podwórka i sadu” (*List od matki*) to już „zapachy odchodzącego lata” (*Zniwona niedziela*). Czuch zapach chleba, słoniny i chrzamu, a wczesną wiosną „zapach rozmarzającego w marcu ziemi” (*Niewiele pamiętam*).

Smak

Zapach podsyca apetyt. Jakże więc smakował nigdyś świeżo upieczony na chrzanowych liściach chleb z serem czy słonina (*Pierwsza miłota*), jabłka – stodkie koszele i złote papierówki (Zal), zsiadłe mleko, pieczone w ognisku ziemniaki czy kryształowa woda ze staniem, wszak „stoły uginają się pod ciężarem jada” (*Powróć*).

Dotyk

„Rosa parząca stopy”, „wilgotne trawy” (*Chwila*), „chłodny młody las” (*Niewiele pamiętam*), rżysko, błoto, babie lato, krojenie chleba, rozczynianie ciasta, zbieranie krągłych jabłek – wszystko to nieodłącznie wiąże się z zmysłem dotyku i jest obecne w wierszach Kozaka.

Sluch

Na wsi nawet cisza rozbrzmiewa: „do księżycy wyją świerszcze” (*Zniwona niedziela*). Z sadów, łąk i pól dochodzi śpiew ptaków. W oddali słychać „męczelnicobłone narowywania szynurki” (*Ostatnie wakacje*). Odgłosy wsi to także gwar: odpustu, gra trąbki w remizie, habas zabaw tanecznych.

Wiejskie sacrum

Zastosowane przez poetę bogactwo zmysłowych wrażeń pozwala czytelnikowi dokładnie, wszystkim zmysłami odczuć urok tej mitycznej krajiny. Dążenie do tak szczerzego ukazania „tego co się w duszy gra” świadczą o wyjątkowym znaczeniu podlaskiej wsi dla jej dawnego mieszkańca. Największe przedmioty, sprzęty, czynności, ludzie zostają przeniesieni w sferę sacrum. Jak pisał Melkowski: *Świąta fizyczny ślączy nie w poezji Kozaka ze światem symbolicznym – nastąpiło zjawisko ich wzajemnego przenieszenia czy nawet utowalenia – oczywiście tylko w rzeczywistości poezji!*⁵. Słiznik to nie cepelowski skansen, to mała arkadia, gdzie zawsze jest chleb na stole, jabłko w sadzie, woda w studni, mała czełka na progu, po burzy zastoje świeci słońce, pachnie rozgrzana ziemia, ludzie o

złotych sercach żyją po bożemu, a nad wszystkim czuwa Letniernika Panienka. Wiersz nad Krzną stanowi centrum świata, „jo punkt na początku świata” (*Z podróży do Miami*), miejsce, z którego wszystko bierze swój początek i gdzie wszystko się kończy. Tylko tam istnieją w swej czystości, ponadczasowej prostocie prawdy uniwersalne, „prawdy żywe”, odwieczne i idealne: dobro, piękno i prawda. Dlatego też tylko tam można czuć się szczęśliwym, tylko tam chce się wracać.

Jabłka

Podczas lektury utworów Kozaka zainteresował mnie fakt, iż niemal nieodłącznym elementem siłniczej arkadii jest jabłko. Siłnik to arkadia, mityczny raj. W raju musi rosnąć jabłki – Drzewo Wiadomości rodzące zakazane owoce. Podlaskie cieknie obficie w jablonie, sady ogrody są pod ciężarem jabłek (*Byłem szczęśliwy*), wsiadłszy cwał, „zapach papierówek” (*Sierpień 64*), jabłka toczą się po trawie (*Przyjechał bryczka*). „Święta Stanisława z Siłnika” – matka poety jak pramatka Ewa staje „na ganku (...) z koszem drożdżalych papierówek” (*Kiedy przysmakom oczy*), uspokaja niebiosą, by jej syn „mógł sobie uzbierać jabłek na drogę” (*Papierówki*), a po latach wspominać, że „zajadł się słodkich koszele i złotych papierówek” (Zal). Matka daje synowi jabłka – symbole grzechu pierworodnego popelnionego w imię zdobycia zdolności odróżnienia dobra od zła; syn je przyjmując i spożywa. Taką jest odwieczna rada matki – przekazać wartości, nauczyć dziecko nazywać dobro – dobrem, a zło – złem.

„W sadzie uszła moja ostatnia jabłoni” (*Powróć*) – żali się bohater wrażliwy po latach do wiejskiego domu i rodziny. Niestety nie jest już tym samym człowiekiem, należy do obcego świata, dla niego raj już nie jest rajem, gdyż kto raz zeń odszedł, nie nigdy tam nie wróci.

„Złote światła papierówek (...) grudki złota” (*Papierówki*) przywołują na myśl wywodzący się z mitologii greckiej cudowny sad zwany ogrodem Hesperyd, gdzie rosły złote jabłka. Her strzeżone przez strugłowego smoka. Nikt ze śmiertelnych nie miał tam prawa wstępu.

W mitologii skandynawskiej istnieje legenda o złotych jabłkach Iduny, których zjedzenie zapewniało bogom wieczną młodość. Owoce rosłyce w sadzie siłniczej arkadii też były złote i kształrzyły się nierozwiniętej młodości poety. Idealizacja rodzinnej wsi wiąże się w poezji Kozaka z idealizacją dzieciństwa i wczesnej młodości – czasu radości i spokoju. Najbliższa rodzina również została przeniesiona w sferę sakralną. W podlaskim raju mieszkały również czynniki cuda i święci. „Święta Stanisława z Siłnika” i „Święty Jan z Siłnika”, oni także spożywali codziennie owe złote jabłka młodości.

Podobnie symboliczne czy wręcz mityczne znaczenia mają jabłka w powieści *A jak bródem, a jak katem będziecie*: Tadeusza Nowaka – najwybitniejszego przedstawiciela nurtu chłopskiego w polskiej literze współczesnej. Porównywane do pierśi kobiety, dawane w dowód przyjaźni, krojone szablą. Jabłka purpurowe – dla tych co żyją i cierpią, co zostają, złote renezy – dla niewinnego dziecka, które wyszło z raju i dla starca, który tam już podjął. Jabłkowie odłite w laszcie i jablonie – wrości; jedzenie jabłek, sen o jabłku, miłość wśród jabłoni to tylko niektóre z elementów mitologii Nowaka. Autor *Psalmów* był mistrzem i patronem poetyckim Henryka Kozaka, o czym pisze w liście do Melkowskiego podlaski poeta: *Tyłu ciepłych wosk zachęty ile otrzymałem od Tadeusza Nowaka, wskazówek i porad nie otrzymałem nigdy więcej i od nikogo. Zdaży sobie sprawę z tego, jak ogromnie dużo Mu zawdzięczam.*

Matka

Matka poety – „Święta Stanisława z Siłnika” jest odwiecznym mieszkańcem podlaskiej arkadii. Przeniesiona w sferę poetyckiej mitologii wydaje się pełnić rolę pramatki Ewy w raju nad Krzną, a jednocześnie bogini w tajemniczym ogrodzie cudu. Tylko ona potrafi uspokoić nie-

⁴ W nawiasach podają tytuły cytowanych utworów H. Kozaka z tomu: *Miasto uradzenia*. Łódź, Lublin 1997.

⁵ S. Melkowski: *W Siłniku i na Greenpointe (O poezji H. J. Kozaka)*, s. 21, masywno-pis.

biosa i przegnać burzę (*Papierówki*). „Tyko jej słów nigdy nie zapomnę myśle i żyję jej słowami modlą się do jej Boga tyko moja pamięć o niej jest wieczna” – wyznaje w utworze *Niewiele pamiętam*, a w wierszu *Mójcace wrodzenia* dodaje: „warte zapamiętania jest tylko miejsce urodzenia matka ucząca składania liter”, ponieważ to właśnie ona „zaszłyła na miejsce w Twoim orszaku” i stał gorąca prosba do Boga: „odsłakaj ja Panię” (*Przed cudownym obrazem*).

Syn marnotrawny...

W 1964 roku H. Kozak wyjechał z rodzinnej wsi na studia do Lublina. Swie wrażenia przed odjazdem opisał poeta wiele lat później w utworze pt. *Ostatnie wakacje*. Wyjazd do miasta na studia kończył pewien etap w życiu młodego człowieka, listy zostały spalone, książki dziecinista rozdane, na pamięćki bohater zabiera rodzinne zdjęcia i utrwalone w pamięci podwórkę, sad, laki i niebo ponad nimi. Wis, że wyjeżdża na zawsze, że nigdy już tu nie wróci jako ten sam człowiek.

Ogromna chęć poznania świata, odkrywania jego cudów oderwała młodego człowieka od rodzinnego domu. Prawdziwy powrót już nigdy nie będzie możliwy. Na wsi nie się zmieniło, lecz zmienił się już nieodwracalnie ten, który odszedł. W domu wita go grymas na ustach brata, pies go nie poznał, jego jabłoni nie owocuje. Ten, który odszedł, już nigdy nie powróci (*Pamięć*). Przecież został w sobie, zamknął drzwi, za którymi pozostały jego młode lata wśród płó i lasów, tamta wiara, tamto poczucie wolności i tamta radość życia (*Tamten wieczer*). Trudno jest pogodzić się z losem, z faktem, iż wszystko przemija; i rzeczy, i ludzie. Jeszcze trudniej, że to co zostaje jest jak „wyryt sumienia jak rana” (*Wiersz sentymentalny*).

Syn marnotrawny nie uzyskuje przebaczenia, gdyż odchodząc z domu spał za sobą mosty. Stał się inny, obcy, to już tylko „śliskawek inteligent”, wyzutek, który w pogoni za przyrodą nie oglądał tu co było mu dane, nie ziszcł pokładanych w nim nadziei (*Rozmowa z ojcem*).

„Ja już tam nie wrócę mniej już tam nie chcę”, „amnie już nie chcą ani tu ani tam” – konstatuje podmiot liryczny. Pozostał już tylko zal za tym co minęło i nie wróci, pozostały wyrzuty sumienia, że tyle piękných chwil umknęło mu z pamięci. Bo wracając do przeszłości można tylko we wspomnieniach (*Zal*) lub we śnie (*Przyjechał bryczka, Portawiam wściek, Lios*). Alienacja i poczucie osamotnienia dominują także w innych utworach Kozaka, np.: *Wspomniam lata szczęśliwiejsze, List od matki, Śmiech w łosie*.

Zauważenie we wspomnieniach, sięgnięcie do większej przeszłości to również próba określenia istoty szczęścia. W wierszu *Byłem szczęśliwy* poeta wylicza te krótkie momenty, ulamki czasu, kiedy to przyrodę stanowiła dla niego źródło niewysłowionego piękna i wzruszenia, gdy potrafili „marzyć kochać czekać zadumać się nad losem człowieka”, cieszyć się czyni szczęściem, radością czynił śmiechem. Chywiec się nie przychłodził naręć i niespodziewanie. Nigdy też bohater nie zdawał sobie sprawy, że niebieda z sobą okrochy szczęścia. Jednaka to wiedza przychodzi po wielu latach. Uroki młodości potrafi docenić dopiero bohater dojrzały.

Wizja boga

Ludność i intelektualizm. Te kultury obyła barzo silny stramiom wiatru, który płynie do nas przez wieki całe od Marsa Śródsiemnastu. I stał tak silny u Kozaka nurt humanizmu chrześcijańskiego. Stał tak wielka obecność Boga – pisał Z. Łączkowski.⁸

Sakralizacja wsi podlaskiej w poezji Kozaka, podniesienie jej do rangi mitycznej krainy szczęśliwości: arkadii czy edenu łączy się z wzescho-

becnością Stwórcy pełnego dobroci i miłości. W postaci Chrystusa bóstwo ma także wymiar ludzki, od zali zdaje się być rzeźną przycięzki. Z polnego orbita zstrąca Jezus – już nie fraszobliwy, zagląda do każdego obiecia, biednego i dostojnego, „i całą wieś na dotykowno kwio zaprasza” (*Dotykowna niedziela*). W wierszach podlaskiego poety Bóg nie jest tajemniczym i groźnym Absolutem, to Kości bliski każdemu wieśniakowi. Chłby jest z Panem Bogiem „za pan brata”.

Wielkie znaczenie w kształtowaniu religijnej postawy poety miała jego matka – „modlą się do jej Boga” – pisze Kozak w *Niewiele pamiętam*. To właśnie ona „obrazem świętego Floriana na podwórkę wiodąc wstępy nagle cichnie brata” (*Papierówki*), to jej prosta wiara i modły skierowane do Lesińskiej Panienski czynią cuda. Lesińska Panienska jest patronką Podlaska, do stop jej obrazu mieszkających okolicznych wieosek zatroska próby i modlitwy, oddają się pod Jej obronę.

Przyjaciel z dzieciństwa pamiętający jej podlaskie biedę zwierzył się poecie, że udało mu się zrealizować dawne marzenie: „zobaczyć miejscą która pamiętają Jezusa ustać w wieczności przeżyć krzyżową drogę” (*Zobaczyć miejscę*). Doświadczenia te stały się także udziałem Henryka Kozaka.

Podróż do Izraela, fascynacja Ziemią Świętą nadają religijności w wierszach Kozaka wymiar bardziej intelektualny. Chłopskie dziecko, powtarzające za matką modlitwy, kierujące swoje prosby do Lesińskiej Madonny lub przyrodzonego światka, czuło obecność Boga intuicyjnie. Człowiek dojrzały, który krok po kroku przemienia Ziemię Świętą dwa tysiące lat po Chrystusie, ma głęboką świadomość niewyżyczości tej sytuacji, poczucie niemal dotykalnego zetknięcia się z boskością i zarazem z kwintesencją całej wieczności.

Poznawanie zabytków i krajoobrazów Ziemi Świętej powodowało stopniowo zagłębianie się w przeszłość, przemienie przekroczenia bariery czasu i przestrzeni, stania się świadkiem bliźnich zdarzeń, a równocześnie uczeniem lesińskiego liceum. I ruda rozdziła się tęsknota za krajem (*Społkoinie moje serce*).

Wiersz *Przed cudownym obrazem* zbudowany jest na zasadzie kontrastu. Bohater liryczny (tożsamy z podmiotem lirycznym i poetą) szukał Boga w miejscach świętych w tradycjach biblijnej (Betlejem, Nazaret, Jerozolima), modlił się do nich w napięcijszych świątyniach Pacya i Rzymu. Jego matka nigdy nie opuściła swej rodzinnej wsi – „Sitnika miejscowości której nie ma chyba nawet na niebiańskiej mapie”, modliła się w zwykłym, wiejskim kościółku, „Jecz to ona i nie zaszułyła na miejsce w Twoim orszaku” – przyznaje syn. Bóg jest wszędzie – zdaje się mówić poeta – w monumentalnej katedrze i drewnianej kapliczce, a najwięcej Jego świątynia są ludzkie serca.

W poezji Kozaka wizję Boga kształtuje wiara, intuicja oraz intelektualizm. Chłopskie korzenie i związany z zdobywym wykształceniem i doświadczeniem życiowym awans społeczny wpłynęły na charakter jego wizerunku – połączenie wrażliwości i intuicji z rozległą wiedzą i szerszymi horyzontami myślowymi. To dzięki temu poeta za sięga głęboko do korzeni kultury ludowej, sakające Boga jako dobrodziejnego Ojca, twórcę i opiekunę świata i dobra natury ludzkiej. Jednocześnie poeta czerpie z bogactwa kultury judeochrześcijańskiej, opisując Boga jako wszechmocną Siłę kierującą losami człowieka, osiagnalną tylko poprzez modlitwę (*Moja modlitwa, Przed cudownym obrazem*).

Próba oddania kondycji człowieka, zawzięty jego drogi życiowej, połączenia z głęboką wiarą w wewnętrzne, zaszczepione ręki Stwórcy dobro każdej ludzkiej istoty, włącza poezję Kozaka w nurt humanizmu chrześcijańskiego.

Włóczęga

W latach 1990-94 H. Kozak jako gitarbaster zwiedził Europę, Izrael i Stany Zjednoczone. Podróż ta zaoocowała w 1996 roku tonem wizer-

⁸Z. Łączkowski, *Od Ziemi...*, op. cit.

szyt pł. *Podróż do Miami. Wiersze z końca wieku*. Siedem z dziesięciu utworów zamieszczonych w drugiej części ostatniego zbioru poezji pochodzi właśnie z tego tomu.

Zobaczyć miejsca (tytuł II części), poznać obce kraje, kultury, obyczaje to pragnienie chyba każdego człowieka. Poeta „urzezywił miłośnicze marzenia” (*Spokojnie moje serce*) na trzech kontynentach. Jednak wszędzie tam – w Jeronolimie, w Jafcie, w drodze do Miami – dopadała go tęsknota. Uciekając przed „siniaką kartoflaną biedą” (*Z podróży do Miami*) bohater dotarł aż tak daleko. Przypatrzy się wyżej cytowanym utworowi. Jego oryginalność wiąże się z zastosowaniem elementów epickich („epika w pigułce” – określenie Stefana Melkowskiego) oraz dramatycznych (wstawki mowy niezależnej oddającej dialog bohatera z czarnoskórym konduktorem niosącego Wiersz; ten nasycony jest melancholijnymi wspomnieniami podskami skontrastowanymi z kolorową, magazynową, optymistyczną rzeczywistością amerykańską. Raj z palmami, morzem i nagimi kobietami zestawiony z „siniaką kartoflaną biedą” dla trapiącego rozumięciem wdrowca traci swój urok i sztuczny blask. Bohater zaczyna rozumieć ciotkę – emigrantkę, która „przez całe swoje życie marzyła o powrocie do Siniaka”. Odżywa poczucie osamotnienia towarzyszącą każdemu pielgrzymowi i wędrowcy.

Wiersz *Byłem wolny albo Manhattan* opisuje kwintesencję losu gąsienic: początkową zachłanność i zachwalość powoli przerażającą się w zubożenie, apatię i pokorę. „Wielu było takich jak ja” – pisze poeta. Niektórzy skoczyli w tężelnie, bezdomni, chorzy umierali w szpitalach lub wprost na ulicy. „Nie do zdobycia twierdza jest Manhattan”, choć zdobywamy wciąż na nowo przez miliony ludzi, którzy wpadają w tryby maszyny, pracują coraz więcej i więcej, aż do zatrucia siebie, swojej osobowości i godności. „Albo wolność albo Manhattan”.

Rozważania nad znaczeniem wolności pojawiają się również w utworze *Liberty*. Liberty to po angielsku wolność, a także nazwa miasteczka w USA – ości wolności i demokracji. Wolność niebieska jak niebo, góry, śnieg, marzenia i wspomnienie pierwszej miłości to ideał, a nawet utopia. Wolność jest tylko bliżej jak przesiadając, jak śmiejąc – rzeczy pewne i nieuniknione. To smierć i chwila czuwania nad bólem, rozpaczy i przemyśleniem, od cierpienia, które powoduje marzenie nie dające się zrealizować.

Miłość

Miłość – najważniejsze uczucie w życiu człowieka także ulega przemianom. To pierwa, młodzieńcza więź się z noszoną na sercu listem od ukochanej, czytany tylu razy, że umie się go na pamięć i chroń jak najdroższy skarb (*Pierwsza miłość*). Czasem jednak list przynosi złą wiadomość: „zapomnij mnie nie kochajca ciej żyj Barbara” (*Wskazje 65*). Wtedy młody kochanek zatapia się w swym cierpieniu i szalejąc z bólu pragnie umrzeć z miłości (*Z podróży do Miami, Umrzeć z miłości*). Uczucie nieszczęśliwe bo bez wzajemności najbardziej zapada w pamięć (*Byłem wolny albo Manhattan*). A gdy kochajca się istoty rozdzielają zły los, każde idzie w swoją stronę i w końcu zapomina o tym co kiedy było najważniejsze (*Ballada o niespełnionej miłości*).

Pierwsze umieszczenia, radości i uczucia miłosne „zielonych żył” są bardzo romantyczne. Idealizacja uczucia, jego niespełnienie, towarzyszący mu ból, smutek i żal, a także tęsknota za tym co odeszło lub co mogło nadejść charakteryzują opisane przez Kazimiera „szereżenie miłości”. Uczucie dojrzale, pełne erotyzmu, doświadczenie duchowo i cielesnie pojawia się w wierszach takich jak *Do Marii*, *Chciałbym się z tobą pościć*. Zmysłowości i erotyzm oddają również w utworach *Polka i Wieszcie na plaży w Forte Vedra*.

Człowieka starszego nawiązującą ciemność dawnych chwil. Odprawia się tajemnicze misterium wspomnień: północ, na stole try skradzione w dzieciństwie z kociołka świece, żarliwa, tajemnicza modlitwa. Przychodzi duchy przeszłości – „wszystkie twoje kobiety”; o których marzył, które kochał i pragnął. Lecz przeszłość nie wróci, duchy znikają „uśmiechając się drwiąco” (*Cienie*).

Ostatni rachunek

„Mój niepokój udany o nie się nie lekam”, mówię podmiot liryczny w wierszu *Byżanie*, w którym można dostrzec pogodzenie się z losem, z nieuchronnością przemijania. Poeta ujawnia swoje własne credo, przyznaje się do wiary we wszystko i w każdego, wiary w miłość i w szczęście. Zdaje sobie sprawę, że wszystko przemija, terazniuszność zmienia się w przeszłość, przyszłość staje się dniem dzisiejszym, doświadczenie życiowe naszczyło go, i tak jest naturalną kolej rzeczy, ponieważ światem rządzą zasada „punta rei”, wszystko jest płynne, zmienne, migotliwe, tak naprawdę nie do uchwycenia.

Autor *Miejaca urodzenia* odnalazł w sobie spokój stoika, zdął sobie sprawę, że pragnąc tak mało, pragnął zbyt wiele, i jego powinnością było poprzestać na tym, co już otrzymał w darze od losu i co sam osiągnął (*Kiedyś marzyłem*). Rozczarowaniu wobec ludzi i samego siebie towarzyszy jednak pogodzenie się z tym faktami (*Coraz częściej*). Tylko czasami, nocą lub nad ranem pojawiają się zmyły i urojeń, przychodzi zmyłki i strach, samotność i lęk, hipokryzja i zdrada, pogarda i zawzięć (*Zmory*).

Moim zadaniem w trzeciej części najnowszego tomu na szczególną uwagę zasługują trzy utwory. Wiersz *Biegłem poświęćcież* żonie poety to liryczne wyznanie „nieokształconego prostaka spod Białej Podlaskiej”, który przez całe życie uparcie podążał do celu. Zwiędział kawał świata, lecz nigdzie tam nie czuł się u siebie, wiele się nauczył, ale dopiero teraz, zupełnie nagle doznał oświecenia – zrozumiał, czym jest szczęście. Pełnąc życie sprawiał, że poeta nie dostrzegał pełni jego uroków, że wciąż gonąc za nieuchwytnym marzeniem, urojeniem nie spostrzegł tego, co trwałe i prawdziwe, „co było co jest i co będzie najważniejsze”.

W utworze *Ostatni rachunek* pojawia się znany motyw „życie snem”. Wszystko przemija jak sen: miłość, przyjaźń, bogactwo. Człowiek miłota się zupełnie niepotrzebnie, gdyż „nie coła się nawet o sekundę”. Potem nagle zdaje sobie sprawę, że istniał wśród ludzi i dla ludzi, lecz swoje życie właściwie przeżył sam. Jednak ta chwila refleksji przychodzi za późno, wtedy gdy nie ma „już nawet czasu na rozpanietywanie”. To chwila kiedy nadchodzi lęk przed nieznanym i trzeba „przygotowywać się do walki” (*Strach*). To właśnie ten moment, po którym jest już tylko *Dzień po*. To czas zapłaty „ostatniego rachunku”.

W wierszu *Wiele marzyłem* mitażył H. Kozak przedstawił try płaszczony czasowe. Podobnie jak w większości jego utworów, podmiot i bohater liryczny są tożsami z autorem. Przeszłość pojawia się w formie autotironicznej podsumowania drogi życiowej poety (wyliczenie ilości spożytego w życiu alkoholu i wypalonych papierosów) oraz studenckich i żrzałekich wspomnień Kazika. Terazniuszność to ułama chwila, która nagle i niespodziewanie uświadamia autorowi ogrom jego szczęścia. Na dworze wiosna, pogodny wioćień pełen ptasich świergotów i radiowej muzyki, obok ulubionej fotofoniki i książki – ulubzonej nareżonej i rozprowadzał wulkę, ma poczucie niezłomności, spełnienia, zadowolenia z siebie i z tego czego w życiu dokonał. Jednak pragnienia nie opuszczają człowieka nawet w takiej chwili. Pojawia się trzecia płaszczyzna czasowa – przyszłość. „Tak bardzo chciałbym zobaczyć...” – podmiot liryczny buduje futurystyczny obraz marzającego obodu, w którym zgodnie współżyją wszystkie narody świata.

H. J. Kozak to miłośnik i piewca Podlasia, uczeń T. Nowaka, przedstawił nurtu poezji chiliopskiej, a zarazem nurtu poezji refleksyjno-filozoficznej oraz humanizmu charakterystycznego. W swych wierszach przeważają motywy wiejskie, całym garściami czerpie ze skarbcza ludowej mitologii, jednocześnie sięga także do ponadczasowych symboli, wyobrażeń i archetypów z kultury królestwa pomorskiej. Autor *Miejscza urodzenia* posiada nie tylko dużą wiedzę i olbrzymi bagaż doświadczeń, lecz również wielką intuicję i wrażliwość, wielkie serce. Kozak porusza ówczesne problemy, szczerze i z wielką prostotą mówi o miłości do Boga, ziemi rodzinnej, rodziców, kobiety; pisze o tęsknocie i poczuciu osamotnienia człowieka we współczesnym świecie, wśród innych ludzi, o losie odzupieczenia, wygnania, tułacza. Zwraca uwagę na problem szukania własnej drogi życiowej i sensu istnienia. Podkreśla naturalny rytm przemijania i konieczność pogodzenia się z tym faktem. Jego wiersze to zapisana na papierze gra wyobraźni pomiędzy przeszłością (wspomnienia) a przyszłością (pragnienia, marzenia i nadzieje). Odwołując się do wszystkich zmysłów człowieka poeta kreśli swoją własną wizję raju na ziemi – „Siłkica miejscowości której nie ma chyba nawet na niebiańskiej mapie” (*Przed cudownym obrazem*).

Wyjątkowa prostota wiersza, jasność i klarowność wyrażania uczuć i myśli, pomijanie interpunkcji i wyrażenie podziału składniowego, upodobanie do krótkiej, zwyczajnej formy oraz subtelne tworzenie obrazów przywodzą na myśl wiersz ródewiczowski. Z. Łączkowski napisał: „Każdy utwór Kozaka to szlachetny kamień, który powinien być umieszczony w skarbcu kultury polskiej”. „Człowiek żyje po to, by dać świadectwo prawdziwe o sensie istnienia, o miłości, o losie drugiego człowieka. I ucyzył to Henryk Kozak swoją poezją

Dorota Horoch-Gotczyńska

¹Z. Łączkowski, *Od Ziemi...*, op. cit.

Komunikat Jury XIII Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego Im. J. I. Kraszewskiego

Jury w składzie: **Zdzisław Łączkowski** (przewodniczący), **Bohdan Zadara**, **Andrzej Sosnowski**, **Gracjan Pietruczak** stwierdza, że nasileniu 45 zestawów poezji, przeliczając oraz 935 wierszy tworzących 187 zestawów poetyckich. Postanowiono przyznać następujące nagrody:

w dziedzinie poezji

I nagroda – **Piotr Pawlak** z Poznania

II nagroda – **Krzysztof Isidorowicz** z Zielonej Góry

III nagroda – **Cezary Domarus** z Górska
nagroda za tematykę podlaską – **Wiesław Gromadzi** z Białej Podlaskiej.

w dziedzinie prozy

pierwszej nagrody nie przyznano

II nagroda: **Krzysztof Lubczyński** z Lublina

dwie III nagrody: **Marek Kowalik** z Zawonia

I **Robert Pański** z Warszawy

nagroda za utwór tematycznie zezakazany z J.I. Kraszewskim

– **Barbara Dobnałki** z Warszawy

nagroda Klubu Literackiego „Makosyma” – **Anna Czujkowska** z Lublina.

Białą Podlaską, 25 września 1997 r.

Nagrodzonym serdecznie gratulujemy

Wiersze i proza

Wiersze i proza

MAREK SKWARNICKI

Modlitwa

Wyzwól mnie, Panie, z domu starców
z domu drewnianych protez myślenia
z gabinetów obłudy
od gimnastyki manekinów
na pokazie mistrzów sportu
w gabinecie bicia pokłonnów.

Warszawa, 1956

Budapeszt

W telewizorze ściany
oglądanej ze zdumieniem
od kilku zaledwie minut
widzę drgnący obraz.

Zetknięcie ziemi z niebem wygina cierniągą grzbiot.
W koszach na kartofliskich śpi porzucony wiat.
Zdumione, wiejskie psy patrzą w niebo
na tampon chmury wzbierającej krwi.
Ropa dymów
sączy się z poszarpanych ulic dalekiego miasta.

Szuflady mieszkań wyrzucone na asfalt.
Każdy może zobaczyć co ukrywał w domu ten naród.
Palące się rękę miasta obejmują w rozpaczy szyje.
Ale i w pastuce chmur
na skórzanych fotelach
siedzą ludzie
z papierosami we wzgardliwych wargach

Ze skrupu rozbitych talerzy
z mgłą zadwołenia w oczach
wykrobuje resztki zimnej kasy
Nikie dwudziestego wieku

Warszawa, 5.XI.1956

Warszawa (fragmety)

#ładysławowi Baranowskiemu

Mosty spinają jasne włoksy Wisły
wysokim brzegiem potulne dno biegną
na Kolumbie Zygmunta błyszczą szablą i krzyż.
Pod nią twardejście asfaltowe dno
a ludziom – jest wszystko jedno. (...)

Ale teraz
z rozległych peronów pamięci
znak dąg lokomotywny –
niech wywiadzą
łyż w oczach
i żal przebiegły
za Tobą
kamienią ojczyzna.

Wagony wagony wagony
dymy zanikające
świat porzucony.

A oto tunel
własny do końca
napięte struny torów w pamięci potracam
gdyż obok śpią mali chłopcy
zasypani gruzem
przebieci pięćmi spadłych z pieter łózek
i słucham jak rozmawiają z nimi pociągi
skarga ostatnich wagonów.
Podirzomyje w pamięci sklepienia
domów zapadających się do wnętrza.

I mówię – oddajcie mi moje miasto
za wierz.

Wagony wagony wagony
dymy opadające
świat opuszczony.

Gruzy Marszałkowskiej.
Dwudziestoleczny gotyk pogardy. (...)

Schnąca na wietrze bialo-czerwona bielizna.
W świetle latarni warszawskie błoto
Ojczyzna.

Król Edyp drepcze pośrodku placu Teatralnego.
Antyгона łomocę pięściami w mur rozstrzelanych.
Lady Macbeth pokazuje wszystkim białe ręce.
Hamlet. Gwizd Robespierre'a.

Wszyscy powstają z miejsc w spalonym teatrze.
Voltaire rodzące po złotych markistowskie pamflety.

Oddajcie nam pieniądze za bilety!
Oddajcie nam pieniądze za bilety!

Wagony.

A wokół zmiana znowu podległa
za sprawą ojca-médrea Hegla
na afiszu starycy we frakach
piszą ludzkości testament
dusi się wszystko co żywe
w kawiarniach literatów czkawka
na Foksalu u dziennikarza Franz Kafka
lud żartuje półgębkiem
marznąc w sklepowych ogonkach
przechadza się po Ujazdowskich Pan Godot
w moskiewskich walonkach (...)

Opuszczam wszystko
co jest we mnie.
Kładę na ustach ulic dłoń.
Niech nie krzyczą.

Do widzenia Warszawa
tajemniczych spraw ludzkich i boskich
i tej Sprawy największkiej stolico.

Warszawa-Kraków, zima 1958

Slepa ulica

Mury rosną ślepo
mury rosną wysoko
na dół pozostał człowiek
z białszymi bębieniami i gra
„mury, mury ziarniste,
ziarna, ziarna umacne
porzucono w barakowej ulicy
sam się staje skamieniałym ziarnem
w szczylnie desek wciążam palce
bez dźwięku, bez dźwięku
osaczony swoim życiem
z którego nic nie wyrasta –
Pozostanie po nim odcisk w kamieniu,
tak było twarde”.

Przyjacielu mieszkający na najwyższym piętrze łhości
poszukaj grzechotu pustego bębena zwąpienia.

Warszawa, maj 1957

Dom

Zante

To jest rodzinny dom
dzwon bijący na radość sercami śpiących.
To jest rodzinny dom
kromka chleba
mleko Twoich rąk
spokojny ulok
odwzajemnia nam dzień za oknem
i długim ciepłem
opada na oczy dłoń.
Dom
jest kociołką światła
szeszącym przezroczyściego wosku
z puszystą
pazuczką
miłości
w środku

ok. z 1957

Rocznica Powstania

Umarli nie mówią
porzuceni są praw
uchwalanych
drogą głosowania
na posiedzeniach.

Życie
Ostatnia zapalka gasnąca w palcach
na opustoszałym placu Wilsona
Wiatr, latarnia, człowiek
i zagubiona moneta.
Popiół w miseczce dłoni.
Odpalanie nie istniejących papierosów
w chwili trwogi.
Człowieku – możesz odejść.
Nie odnajdziesz zagubionej monety.

Tak zaczynają się wojny.
W ciągu jednego dnia
można zniszczyć codzienność.

Przedmioty kultu na ulicach:
zegary spoza czasu
skarabonki
portrety dostojników
srebrne noże

94

fotografia Franja
i jego buty.

Puch poduszek i pierzyn miesiąc sierpniowy wiatr
wśród skwerów, na których palą się przedmioty
codziennego kultu
porzucone przez wyznawców.

Papier i pióro. Spisywana jest kronika ludzi
Pod makatkami „Smacznego” i „Na zdrowie”
wśród szkieł szklankę opuszczonych na ziemię
w sekundach trwogi
trwa pospiesznie poszukiwanie
wiary, nadziei i miłości.

Na ludnych, ludnych ulicach
wiatr tamten, wiatr ciepły się dziwi
że po tych kruchych chodnikach
idą wciąż ludzie. Ci żywi.

Warszawa, sierpień 1957

* * *

Muszę zapisać
muszę utrwalić
muszę pamiętać

Minie chwil kilka i
stanę się pobłażliwy
stanę się wyrozumiały
opuszczę samotnioty

zyczeń 1957

Trudno jest patrzeć

Trudno jest patrzeć na dziecko
i na żonę patrzeć jest trudno
kiedy na pustyniach
trwa generalna próba końca świata.

Za oknem wstaje dzień
z twarzą azjaty.

Kto jest silniejszy
nas trze czy dzień z taką twarzą

Obywatele poeci
radioaktywne wiersze
czytają tylko woda, ogień i powietrze.

95

W laboratoriach spracowane automaty śpiewają „miserere”
w retortach preparat dziejów
suma tylko ludzkiej filozofii.

W kraju ocalonym przez poetów
na ziemi czerwonej i sionej
rozważam

кто jest silniejszy
nas troje czy dzień z taką twarzą,
spojam 1957

Chwila słabości

Mam ręce z błota, nie podawajcie mi ręk.
Mam ręce z błota, nie podawajcie mi ręk!
I serce mam z błota
dlaczego mnie kochasz?

Tymi rękoma podpisywałem fikcyjne akty zgony,
a tymi ustami brudziłem własne słowa.
Sercem dotykałem rozpalonego metalu
ale pozostało zimne.

Krzyczałem do czterech ścian
Mam ręce z błota, nie podawajcie mi ręk!
jest w rozkładających się resztkach po ludzkości.

I oto sam jestem brudny
lepiej się
dławię błotem białynalnych bełkotów
o jeden dzień jasny i czysty.

Mul ziemi z którego powstałem
nasycałem kłamstwem.

Mam ręce z błota, nie podawajcie mi ręk.
Płaczę.

21. 1. 1957

Spacer w Łazienkach pod pomnikiem Chopina (fragmety)

To była wielka woda sucha woda południowa
spływała bez głosu pomiędzy trawnikami
na trawnikach kwitły kłomby dziewieząt

wodą płynęły różnokolorowe okręty
wózki dziecięce żeglowały ścieżkami parku
małe maszty nóżek kołysały słońce
a kapitanowie śpiewali

da ba da ba ma da
ba da ba ga glia dla dla ma
ta ta da ma ma da ba ba da

Ponad rzekami pulchniaka chmura
naprawdę biała jak pierś syciąca usta ziemi
potem czarna i pusta jak śmierć.

Oskarżam wszystkie psy zdechłe na drodze
i konie spalzone w ucieczce po bitwie
ludzi rozsiwających ludzi po polach
gdzie sadzi się potem kapustę
i tych co mówią brzydkie słowa przy dzieciach
i tych co bezmyślnie używają serca
wszystkich jedнокіх, jedнокіх, złamanych
wszystkie brzydkie, filinujące się i niechlujne dusze
oskarżam niemieckiego oficera udzierającego mnie w twarz
a moją naskakującego w brzucho
was - cynicznych nasycających Księgę Przeznaczenia
oskarżam o wszystko co zobaczyłem
kiedy ponad rzekami i łądem zielonym
pulsniaka chmura
i rozbrzmiewała pieśń kapitanów różnokolorowych okrętów.

Oskarżam moją spaloną wyobaczną...

Od słonecznych bulwarów łąwek
żegnając wiwatując tłumy mrowiek
odpływasz statuku błękitny
wiozący moje ostateczne ocalenie.
Znowu chroczysz w trawach karawany żuków
i wraca wszystkie co było zginęło
i coraz barwniejsze są kłomby dziewieząt
wokół owej skały ciosanej
na strunach skreconych z odwiecznych
polskich bez
gra nocturny Fryderyka Chopina
zwykły, południowy wiatr.

Warszawa, lato 1957, spacer z ówczesną Marysią

Marek Skwarcnik

POETYCKA ARCHEOLOGIA

Jako człowiek zbliżający się powoli do siedemdziesiątych przenosiłem się w życie z mięsną na mięsnej i z jednego mieszkania na drugiego nadążył do polowania łowić nasy. Mój ojciec był przed wojną znowowym oficerem, legninem Płakowskim, wiewięgim moim szwagrem po królu w różnych garnizonach na królewskich wólbach. Dziesięćlatniem ogółdem w okupacyjnym Warszawie, w obzicie Mathausen na Powoianiu i w Szaranie po 1946 roku. (Dom w stolicy był zniszczony.) Potem powrócił na Uniwersytet Warszawski, ciałe zmiany sabokatorskich pokoi, ojciec na emigracji, wreszcie zalozenie własnej rodziny w Warszawie, ale bez domu, a po adobyciu lokum w tym ulokowanym mieszk. nagie, w roku 1958, zamiast mieszkań z Krakowem, gdzie mnie poproszono o pracę w „Tygodniku Powszechnym”. Ale to nie koniec. W samym Krakowie znów wywołano zamieszanie, bo rodzina się powiększała i wreszcie, gdy wydawało się, że wżamy już, rodziny dom przezwol po jednym adresem lat 32, przysła emerytura, dzieci się rozprzeczlił i znów zamieszanie, która już skoczyły się może tylko w Tytko. Owe tajemniczego klasztoru leżą nieomal wszyscy zmarli do tej pory przyjaciele ze środowiska „Znak”, m.in. Hanna Maleniewska, Henryk Kruczkowski, Tadeusz Zychowicz z żoną, Mieczysław Puszczyk.

Ten dawniejszy trochę wstąpił na świadomości ewentualnie z wyjątkowo miłą i dawnych wierszy, dziesięciu ich do tej pory (z jednym wyjątkiem) nie proponowałem do druku.

Przeżyły są właściwie trzy. Ode pierwszy wzięty w życie napisaniem 5.10.1956 roku w momencie wybuchu tzw. Polskiego Października, po zrobieniu magistratury i w szóstym roku pracy w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Wiersz „Wiersz budżetowy” postanowił został przez cenzura tytułu, gdy był drukowany w „Tygodniku Powszechnym”. Napisałem go w momencie niedługo wiecei o wybuchu Powstania w Białymostku i gdy trwał desant sowiecki na Węgry, a bez tytułu mógł się wszak też odnosić do nalotu na Warszawę w roku 1939 albo na Tokio.

Inne wiersze (czym dalej, tym gorzej) swiecił antytotalitaryzmem bądź np. wstyżeniem „gro-Akwianin” budziły od rana czułości cenzurow, a potem już w ogólnie nie mogły być drukowane w wychodzących, kolejnych miesiącach i tonach. A kiedy już mogły zobaczyć światło druku, np. w ostatnich „ostatnich zamyślnych” z „Powszechnego” (1997) sięgających swą zawrotnością między niezgodziłą twórczością, to ja o nich już w ogóle nie pamiętałem. I właśnie ostatnie zreszta między przeprowadziła zwaną z konieczności narazem się w kłębach kuraz domowej biblioteki, selekcji książek i pismach czy czerpiących archiwaliów, ujawniła nagłe brudną tezkę sprzed okładki czterdziestu lat, pięćtych rękopiśm owolowych lub zapiskach jeszcze półdem znacznym, w kalendarzu. Okazały się one pierwszocinnymi esej twórczości poetyckiej, która nie zdążyła dożyć do maszyn drukarskich zaraz po swoich narodzinach, co zresztą nie byłoby bynajmniej, bo utwozy nie byłoby najgorsze. W każdym razie ja dziś nie potrafię ocenić ich wartości, a zai mi ich swoisty atmosferę, którą jako – bądź co bądź – liryczny zachowywał do dziś. Dalek je do przeczytania warszawickimi przyjaciółmi, krytykami i polonistami z IBL. I ten zdarzył mi do mnie od razu mówiące, że się wierszami wziętymi, ale drukowane je można raczej „dokumentem” jako archeologicznym szczątku. Nie dojdzie się zatem redakcji „Akcentu”, która poprosiła, bym opisał komentarzem te trochę niedojrzałe publikacje.

Zatem kończę ten przyczył do moich swierzejących już sierek lirycznych. Jedne z nich emanują owym poczuciem „bezdenności” dzieci II wojny światowej, transportów i obowoz, a potem budowy w Warszawie Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina zamiast mieszkań dla zbiorowej w 90% stolicy. Inne spotępnienie wnikają w przeszłość cobywiska łowięcego w szarym znowym klimacie szarego totalitarnego smutku. Ode specyficznie namotną ówczesnej Warszawy powołowana ledźmi innymi niż w czasie wojny, gdy trwał walka, ledźmi niezamie beznadziejności. Odujdują wrażeń ciepła w miłości, małżeństwie, dziecku, ewentualnie w odyskowanym domu. Przywiązanie do Warszawy, którą opuszczam potem nie dla pieniędzy, lecz by kontynuować rozpoczętą Październikiem walkę wygraną przez innych, również własnych czytelników dopiero w 1989 roku. Myślę, że nastroje, klimaty, bunt i wywołania trzucane niebu, bez względu na swoją obecność wartości artystycznej, wiersze te zachowały. Dziękuję więc redakcji „Akcentu” za użyczenie im miejsca.

2 października 1997 r.

Marek Świrnicki

SLAWOMIR J. ZUREK

Żydowskie miasteczko w poezji Arnolda Śluckiego

Arnold Ślucki należał do pokolenia, które przyszło na świat w niepodległej Polsce. Urodził się 15 kwietnia 1920 roku w Tyszowcach na Lubelszczyźnie. Jako czternastoletni chłopiec wysłany został przez rodziców do Warszawy. Początkowo miał zostać rabinem i w tym celu kształcił się m.in. w Instytucie Judaistycznym. Dziś już nie wiemy, czy odpowiadał do świątopoglądowi i ambicjom przerezyłego poety. Natomiast na pewno krok ten był zgodny z ambicjami i świątopoglądem środowiska, w którym się urodził i wychował – świata ortodoksyjnych Żydów polskich, których przeczelił jednak ze skrajnością w skrajność – jeszcze przed wojną został członkiem Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. Witold Wyrzysza określił tę nagłą zmianę świątopoglądu Śluckiego, jako „(...) przeskok od jednej ortodoksyjki do drugiej, skrajnie przeciwnych (...) Sytuacja ta jego zdaniem (...) bywa przy zapalczowości uczuć naturalną zjawą, niż się z pozoru wydaje”¹.

W czasie działań wojennych 1939 roku Ślucki z własnej woli znalazł się po stronie sowieckiej. Przygładził się tam z bliska partii komunistycznej. Był koleją: robotnikiem fabrycznym, księgowym w kolchozie, nauczycielem niemieckiego w Kazachstanie, wreszcie wstąpił jako ochotnik do Armii Czerwonej (zresztą niedługo później został z niej zwolniony). Po utworzeniu oddziałów II Armii Wojska Polskiego powrócił do kraju. Świadczeń tamtych czasów odnalazł można częściowo w utworach z lat 1950-1955.

Środowisko literackie powojennej Warszawy przyjęło Śluckiego nieufnie. Na przykład Antoni Słonimski nazywał go z przekąsem: „Żydem stepowym”; Aleksander Wat, wspominając w *Młotem wieku* pierwszozajmowy pochodził pisał: „(...) byłem w pierwszym szeregu w Iwaskiewiczem, z Kruczkowskim, z Włocławcem, z nią [Janina Broniewska – S. J. Ż.] i tym poeą chasydem, Śluckim. (Taki dość kiepski poeta, choć czasem czasem naglez wiersze na chasydzkie tematy). I Ślucki trzymał miedzi pod ręką z jednej strony”².

Arnold Ślucki w latach 1950-55 tworzył w duchu surrealizmu, choć dokładniejsza analiza motywów funkcyjnych w wierszach z tego okresu wskazuje na głoszenie możliwości interpretacyjnej, które uważanego czytelnika mogło odebrać w krąg topiki judaizacji. Witold Wyrzysza pisał w paetyce „Kulturze”, dziesięć lat po śmierci poety: „Myślę, że w ostatniej fazie swej twórczości Ślucki jest poeą głęboko religijnym, byłym właścicielem swa marało zawarte, tylko się z początku zdążyło tak, że konistum i maska do tego nie pasowały”³.

¹ „Artykuł jest nieco zmieniona wersja referatu wygłoszonego podczas sesji „Brama Pamięci” – „Miano Żydowskie”, która odbyła się w dniach 27-29.11.1996 w biblioteczni osiedla „Brama Grodzka – Teatr NN”.

² W. Wyrzysza, *Świerze wygnanie*, „Kultura” (Paryż) 1973, nr 1-2, s. 173.

³ A. Wat, *Mój wiek*, t. I, Warszawa 1990, s. 247.

Do czasu wyjazdu na studia do stolicy jego znajomość polskiego była bardzo słaba. Wszelkie kontakty z Polakami sprowadzały się jedynie do relacji sąsiedzkich z mieszkańcami rodzimych Tuszowców. Shucki był znawcą tradycji i kultury żydowskiej: Staroży, jak i Nowego Testamentu, nieobecne mu były również teksty talmudyczne oraz zwaile marendy interpretacji kabalistycznej. Znal biegłe hebrajski i aramejski. W swym warszawskim mieszkaniu czasami komentował konkretne fragmenty Ewangelijskiej odwołując się do oryginału. Dlatego też świat żydowski odznaczał się w jego poezji swoje najpełniejsze miejsce. Poeta, jak sam siebie najlepiej określił, był tego świata „ostatnim spadkobiercą”.

W roku 1956, po opublikowaniu w „Przeglądzie Kulturalnym” krytycznego artykułu na temat rodziców się faszystów i antisemityzmu w szeregu członków PZPR, Arnold Shucki zostaje usunięty z partii, do której przyszedł go powołanie dopiero po interwencji dawnych twórców. Przesądziły by ostatecznie jego członkiem dzisiaj lewicy, kiedy to z własnej inicjatywy oddał legitymację na znak protestu, w związku ze sprawą Lezka Kobakowskiego.

Shucki był całkowicie nieobecny w literaturze polskiej w latach 1968-82. Tylko raz udało się „Izawickiewiczowi” w roku 1975, w marcowym zeszycie „Twórczości”, przetrzymać kilka wierszy Shuckiego. Ostatni tom (*Biografia anioła*) wydany został pośmiernie, na początku lat osiemdziesiątych.

Arnold Shucki zmarł w zapomnieniu, Jesienią (15 listopada) 1972 roku w Berlinie Zachodnim, gdzie mieszkał wraz z żoną Ianą przez ostatnie lata swojego życia, w małym lokalu przy Genthinerstrasse 30k w pensjonacie „Alter Westen”. Poeta pochowany został na cmentarzu Rubinek. Na dużym kamieniu, leżącym na mogile Shuckiego, widnieje napis: „poeta polski”. Trzynastolic lat przed śmiercią w tomiku *Promienie czasu* Shucki, jakby zapowiadając swoją nagłą śmierć, pisał:

ameryczy
— zimi
Znajdź nas w kółkach jak prądniki
wypalone z epoki neolitu (...)

Życie Arnolda Shuckiego przypomina swością pielgrzymkę, wędrówkę ku jakimś bliżej nie określonym rewirów światła. Początkowo było to światło miasto komunizmu Moskwa, tak silnie obecna w jego wierszach, poezji z kremlewickim „pałacem Słowa”. Później zostało nim Jerozolima, która okazała się miastem straconych złudzeń, a wreszcie Qurman — mistyczna utopia, obiekty dojrzałych fascynacji Shuckiego, brakujące okuczenie ekumeniczne pomiędzy judaizmem a chrześcijaństwem. Aby w końcu, celem pielgrzymki życiowej, miastem świętym, stała się ponownie Warszawa, do której tęknął zza mureb Berlina, a do której przejechał po raz pierwszy na początku swej wędrówki jako czterastoletni kandydat do szkoły rabiniackiej.

II

Dzieciństwo poety powraca w jego twórczości w postaci obrazów, przypominających płótna Marca Chagalla — sam Shucki wizję tę nazywa „Szagalowym”. Lata spędzone w tym obszarze to czas kluczowy dla kształtowania się wyobraźni artystycznej, w tym, z nich bowiem „wypłynęło Słowo”, na gromadzi się prawnorządowy, materiał, wykorzystany później w twórczości poetki, brytycznej. Każdy swoje dzieństwo dzwoniła (*Towarzystwo* [SNT])¹. W tych poetycznych, dziecinno-szagalowskich wizerunkach

¹ Wykaz stosowanych skrótów tytułów tomów wierszy Arnolda Shuckiego: [SNT] *Słowo nasz towarzyszy*, Warszawa 1951; [S] *Spółniemia*, Warszawa 1952; [ZP] *Życie w pieśni*, Warszawa 1955; [DNW] *Demony nad Różą*, Warszawa 1958; [PC] *Promienie czasu*, Warszawa 1959; [MW] *Mój na wiosnę*, Warszawa 1962; [DD] *Do-*

plierzawopianową funkcję pełni żydowskie miasteczko — *szetef*, najśliszej egzystujący motyw, który niewątpliwie wiąże się z rodzinnym miasteczkiem Arnolda Shuckiego — Tuszowcami nad rzeką Huczawą.

W poezji Shuckiego świat żydowski to „spojrzenie na czas miniony, w stronę Szagalawa, ma w sobie niekiedy innym dla utraconej Arkadii (...) i groźną Zagładę...”² Swoi mikroświatowi wyobraźni poeta wyznacza w wierszu *Płomni* [SNT]: „Od brzozy Huczawy do Kłajew. Od Kłajew do pińskiego sadu / aż po izabicką wieżę (...).”³ Dla artysty i pozostałych mieszkańców *szetef* ich miasteczko jest centrum całego kosmosu: „(...) krąg — morga wyobrazi i dom” [Krag] [DNW].

Poczucie tożsamości narodowej i kulturowej Shuckiego ugruntowało się właśnie w poemacie *Szagalowo* [DNW]. Jak pisze Anna Kamińska cykl *Szagalowo* to „(...) wizja nie istniejącego już świata małego żydowskiego miasteczka, obłego położenia zamieszkałego, zapowoszące się dziecinny placem, dziełkiem Apokalipsy ze świątynią i kłajew”.

„Jak wyglądało miasteczko rodzinne Arnolda, poetkiście Tuszowce — Szagalowo na Lubelszczyźnie, nad rzeką Huczawą? Sielankowa wizja zapamiętana z dzieciństwa objawia się w liyku *Kryjówce przemołowanej* [MW]. Żydzi siedzą nieruchomo na przybach. Żydówki „mnoją się”. Obrazy te związane są zawsze obecnością motywów religijnych: „przeleciał aniołowie spisywać na wieczór do nieba i jak na film”; nad Huczawą, między ostami leży „abotca jasenkowa korona”; „zrzucił ją Bóg abysytnie. Bóg, który „na chmurze kana”. Przyroda w wierszu oplakuje tę śmierć: „deszcz „rozpoczął posty”, gwiazdy są mokre od leś przoryty. I tylko poeta, który nazywa siebie wnikłem D'Acosty dyktuje wierszom swoim żydowski apokryf (*Apokryf* [MW]). Bóg w tych szagalowskich wizerunkach to równocześnie przyjaciel, który ze „zbożeką dobrocią” prowadzi historię świata, „Joczy swój ośi na chmurze / i jej szare opłaki / rozchodzący w ród / umierając na wietrze” (*Przyjaciel* [MW]). W tych maleńskich wizerkach Stworzyciel pojawia się w różnych postaciach — raz jako „Bóg Wielka Abstrakcja” (*Gotfried Bem* [DNW]), innym razem jest to antropomorfizowany „Bóg — zamieszki sędzia”, który siedzi „nad ryńkiem na obłocznej lawie (...) i ziewa. / Ino trzyma na ratunku i i kpi sobie z regenia — swego śpiwającego narzędnia...” (*Leitman* [DNW]). Szagalowo Shuckiego jest pełne „posów — kamowców — tybłów”, których poeta zna po imieniu. Są to konkretne postacie: Laiter Lis — „supujący szmaty, Mojśze Leitman — handlarz obwoźny, kupiec zbliżony Mendel, zegarmistrz Gutnajer, po których dziedzictwo obejmuje poeta, stwierdzając: „Ja to wszystko donaszam” (*Folklor* [RO]). Postacie te nachodzą poetę z „bezwieczną”, z kraju, gdzie nie umiera (*Szazany na pamięć* [DD]). Przy chodzą do niego dawno „obywatle” żydowskich miasteczek: „kacawy”, „krowale” i „szermiel ogromny”. Ten ostatni „rozchodzący w szpatę”, która staje się w wierszu symbolem zapamiętania, a w efekcie —

lna dziełce, Warszawa 1964; [BA] *Biografia anioła* (1966-1968), (w:) *Biografia anioła*, Warszawa 1982; [RO] *Requiem dla osia* (1966-1968), (w:) *Biografia anioła*, Warszawa 1982; [E] *W epocznym* (1968-1972), (w:) *Biografia anioła*, Warszawa 1982; ² *Szari* jako masyw polski polsko-żydowskiej pojawia się szczególnie często w okresie dwudziestolecia w wierszach M. Sztwala. S. Pruszyca oraz A. H. Ferencja. P. E. Prokop-Janiec, *Międzywojenną literaturę polsko-żydowską jako żywioł kulturowy i artystyczny*, Kraków 1992, (rozdział *Miasteczko*), s. 221-231.

³ J. Sawicki, „Ino wznikał ciężki mój się miom”, *Poezja* 1967, nr 6, s. 82. Holocyst wyrył „dłuzsze i dłuższe wiersze i wiersze” Marca Chagalla. W płótnach z tego okresu domowa nastąpiła śmierć, spustoszenie, kolony obrazów stały się cieniem; *Chorwacy kłopot* (1940), *Zęglarz* (1943). Wtedy to pojawiają się w jego twórczości motywy skrzydłowanego Chrystusa oraz surrealistyczna symbolika.

⁴ O funkcjonowaniu motywu Szagalawa, małego żydowskiego miasteczka, w literaturze żydowskiej, pisał obieranie sam Shucki w *Słowie wstępem do Antologii poezji żydowskiej*, Warszawa 1983 i 1986, przywołując poezje twórców w języku jidysz: Salomona Ettingera, Iochoka Peroca, Mordochaja Gebertiga.

⁵ A. Kamińska: *Wstęp* [w:] Arnold Shucki, *Poezje wybrane*, Warszawa 1982, s. 10.

unicestwienia. Chroni go jednak przed tym pamięć podmiotu lirycznego, która „czyta” w trupów czubny”. W wierszach Szuckiego mieszkańcy *szeref* są w sytuacji Odysa z liryku o tym samym tytule (*Odys* [MW]). Cmentarz żydowski, cel ich wędrówki, określony tu za pomocą słowa „lataki” jest zrzyty „deszczu szarym piaskiem”. Zpył naznaczony są pozbawieniem Prawo: „Mój rodak nigdy by nie spadł z jakas obca Ciuro / i wiąprzowy tym dardem / i ciałem / i jego ludzkiem / i żywym”. Na próżno wabi go Nauzyka „śmiechem jak pika”. Ich miejscem przetrwania jest cielenność – „kraj” zkreślony zmysłowo, w którym czującej ją tacy jak on – ekshumowani”, lecz równocześnie Szagalowe to obszar antycypujący wieczność. Tu nie istnieje czas ziemski, mieszkańcy żydowskiego miasteczka trwają w stanie wieczności Boga i nie kończącej się ekstazy. Szagalowe jest, jak pisze Piotr Szewc, „odcięciem Boga” – „jego mistycyzm, dążenie do cielenności tuwar jest portretem Szagalowa, ze wszystkimi jego radościami i smutkami”¹.

Kolejnym ważnym elementem wypełniającego wiersz jest Szagalowe jest Huczawa, będąca dla poety mistyczną tonia, która „chlusnęła mitem” (***) *Góry stały...* [BA]), prowadząc go swoimi wodami w krainę chasydzkich legend z dzieciństwa. Motyw ten, ciagle żywy i znaczący, występuje w wielu lirykach Arnolda Szuckiego. Poeta otrzymuje tajemniczy rozkaz: „Napisać o swoim miejscu / – mówi – / i widziałem rzekę dzieciństwa / jak wypłynęła” (*Miejscu* [BA]). W wierszu *Nad Huczawą, zieloną rzeką...* [S]), ważną rolę odgrywają dźwięki, których „kołyska” jest właśnie rzeka. „Szuwary, świerszcze, trzmielce” wypełniają dźwiękami poetę. Dzięki Huczawie dociera on do „początków”, odbywając w *Aneksie do Szagalowa* (RO) mistyczną podróż do źródeł życia. W tej odbywanej na łódce w szabaży, piątkowy wieczór zjeżdża do córce do „miasta w świąteczki” akąd już tylko o krok, „w nagłej heretji” w „czasu odstepstwa” do „abstrak”. Obszar nad Huczawą jest więc krainą mitów bliska dzieciństwu poetę, lecz także jest to miejsce będące spotwem, łączącym świat transcendencji z rzeczywistością. Widato również w wierszu *Seebuck* [E], napisanym na kilka miesięcy przed śmiercią poetę, w którym to rozżalenie się ze światem mówią: „Płynę / w matczynej / noc”². Tym właśnie miejscem, a więc z Kłatw, zmad Huczawy, ze świata żydowskiego osadzonego w polskim krajobrazie pochodzi najcenniejsze wiersze podjętego autoru *Wiersze nad światła*. „Między wspomnieniem a fantazją, / Tyszącami a Abchazją, / / Trmwiąc ze amunicją / dawnoitym egzotyzyzmem nocem, / tyszowieckim świeszczeniem, / moim warszawskim wierszom” (*Etjuda biograficzna* [DNW]).

Obrazowi rzeki w liryku *Nad Huczawą, zieloną rzeką...* [S]) towarzyszy poeci matki, która wyłania się w świecie przedstawionym, kojarzona z zapalany przez nią w szabażowy wiek przed światem. Świecie, świecie, błysni, / matko, mi się przysylni”. Słowa te są zaklęciem, hasłem wywoławczym, umożliwiający poetę wejście w świat żydowski.

Żydowskie miasteczko obecne jest również w wierszu z *Urwanego palma* [PC]: „płynię miasteczko / we tznach po zryję”. Tym razem zdraż rzeki Huczawy podmiot liryczny słyszy głos ojca, nosiwody, który „idzie, / trzęsąc koronami / jak skrzydłami żarłocznego ptaka, jak czajną trzępczą się alia”. Ojciec pozostał w dziecięcej pamięci poetę jako „jak w czarno-białej chustce” – „Żyd w modlitewnym taleniu. Jest on nosiwody z chasydzkiej piosenki, służącym wnie Boga”. Ojciec ma „głowy w chmurze”, jego myśli krąży wokół spaw bożych, jest „jak urwany palm”, który „pada na dolną jak kamień”. Podmiot, będąc daleko od

rodzinnego *szeref* szuka korelacji między krajobrazem nad „Huczawą zieloną rzeką”, a pejzażem Izraela: „Więc tłumaczę mo wierzby / na suchy szelest kanańskich palm”. W wyniku tych „komparatystycznych” zabiegów miasteczko odpływa w bez-czas, a pojawia się trzecia perspektywa: „wieczność – Ziemia Niczyja”. Ojciec to również bohater *Zdaruwa z lustrem* [DNW]. Ja liryczne dostrzegła tu w zwierciadle swoje oblicze, który jest wierszem, który jest światem, przetrwałem się i latrze / i krzyżem / miałem już, ojciec / Sam też się zagłębiam jak on / i szukać zacząłem gdzieś w kącie / korony”. W modlitewne taleny ubrany jest nie tylko żuk-ojciec, lecz także wierzby w wierszu *Amputacja* [RO]. Są one wszystkim, co pozostało w świecie żydowskim w polskim krajobrazie. Wził dopełnia „stragan na niebie”, wiszący nad światem jak litera, jest „czernia na biele”, która nagle opada na ziemię pod wpływem „anielskich motyłów”, „jak tuchomiel do tuchej emulacji”. Poeta w swoim *modle* powie wprost, że jest w nim tylko „analityczny mój pejzaż ubogi, / który wysoko po drabinach skacze / blaskiem kolorów”.

W kluczowym dla naszych rozważań poemacie *Szagalowe* występują dwie warstwy. Pierwsza dotyczy świata Shoah, druga odwołuje się do przeżyć dziecięcych Szuckiego i świata żydowskiego folkloru (na przykład Jasza Hajfice gra na skrzypcach / „myczyłem wodę po kąpielcu” / Obszar pierwszy to świat śmierci i zniszczenia. Są tutaj pokazani wrogowie – rzeź Niemcy, „anby cienie nosi”, „zamiast oczu mają po dwie dziury”. W warstwie folklorystycznej przywołuje wiersz świat motywów judajskich: „szprycha od Farnosowego powozu” z paschalnego sederu, „Adamowe jabuszko”. Obu obszarom towarzyszy wizja „żółtej góry”, „z korzeniami rozbiegany”, „z korzeniami w ciemności”. Jest to góra „wspomnień i wyobraźni”. W Szagalowe pojawia się również cierpiąca madonna – matka poetę, ukazana jako „złota ikona”, która „idzie i koma”. Jej postać otwiera korowód żydowskich przykładów podążających na śmierć. Podmiot liryczny poematu mówi: „słyżę płacz dziecku / Czterema jerykami płacze / z samego środka wiewu”. *Szeref* staje się w tym wierszu synonimem zagłady, jest „krajem Stu Nieszczęść”. W nim tula się „śmierć chłopca”. Tu poeta jest zakorzeniony, tu chce spocząć po „łomoch (Żu... [DNW]).

Szeref – Szagalowe to również przedwojenny świat literatów polsko-żydowskich, z których najcenniejsze kontakty i przyjaźni się w swojej poezji. Na przykład w liryku *Urwanego palma* [PC] podjętego jest pamięć zmarłego artysty, utalentowanego Maurycego Szymlowi (również wiersz Szagalowa, który mówi: „... Chłopiec / świeże obwarzanki kupiłem na Pawiej...”). Podmiot liryczny, przesyłając niewiadomo do tego świata, już za życia czuje się umarły, mieszka w domu – trumnie „z czterech światła”³.

Syntetycznym wklei kultury i różnych tradycji to miejsce obecnego zarobku w poezji Arnolda Szuckiego, jak i w malarstwie i literaturze. Żydowski kołysty. U Chagalla spotyka się wiedeż Ikona z talosem, krzesło, rzyś, cerkiew z synagogą. U Szuckiego Szagalowe to „świat nad cerkwią / i nad garbarską bóżnicą” (*Tyszowieckie maję* [DNW]), to miejsce naznaczone żydowskim życiem, które po holocaustie staje się obszarem wypiętym nieobecnością. ⁴ Obraz znikającego miasteczka pojawia się w liryku *Ułazka Ferne* [DNW]: „... że to naród cały w tej chwili odpływa, / stad wiele pierza i dymu, / i tak i pię w słotecznej ulwiel...”. Znika on także w poemacie mówiącego (***) *Jed zapomniany* [RO], lecz przynajmniej go noca, wtedy to może „wywarad żeć jego wlewy / tren”. Szagalowe znika ostreśdnie w połodze holocaustu: „dym, / piazie list do Pana Boga” (*Szagalowe* [DNW]). Świat ten, mimo zniszczenia i uni-

¹ P. Szewc, *Śmierć Szagalowa*, „Twórczość” 1986, nr 6, s. 86.

² Potasż żydowskie nosiwody to jeden z centralnych motywów w ludowej poezji żydowskiej. Por. *Rodzinki z wigiliami. Antologia poezji ludowej Żydów polskich z przedwojnia*, Z. Fokszowski, Wrocław 1988.

³ Doświadczanie śmierci jako „nieobecności” jest motywem występującym u wielu twórców żydowskich, naznaczonej w dzieciństwie piętami holocaustu. Tak na przykład postać postęgu zagłady Żydów Etykary Grynbajna. Por. S. Żanek, *Żydowska śmierć – żydowska życie*, „Akcent” 1993, nr 2, s. 110-117.

cewstwiana wydaje się jednak pozostawać w sferze sakralnej, jest naznaczone spożyciem Boga: „(...) oko powiatwa widzi wszystko”.

Przywołany znikniecia Szagalewa z powierzchni planety nie jest jednak tylko holocaust. Drugim powodem, sygnalizowanym przez Piotra Szewca, „było odcięcie go od źródła świętości. Uczyniła to nowa ideologia (komunizm – S.J.Z.) oraz polityka, wciągająca Szagalewa w orbitę swoich celów”.¹⁰ Władnie do nieobecnego światła tradycji żydowskiej odwołuje się Shucki w wierszu *Przeznaczenie przysłówce [ZP]*. Określenie żydowskie: „Cisza jak w Rejowcu” przetrzała być uderwieniem w światło realnego socjalizmu. Nowa rzeczywistość, nowa ideologia wypiera świat chaotycznych opowieści. Sytuacja podmiotu „wnika składowy przysłówce” jest więc wyzwaniem: „Co będzie z przysłówcem? — powieź”. Poeta zostaje więc niejako zrozniecanym zmysłu do ustosunkowania się do tradycji dziadków, którzy „na wszystko (...) mająd mieli przysłówce”. Arnold Shucki w tym kontekście jest jednym z tych, którzy poprzez przywołanie do dostojny statusowi, stali się w powiombi przeistoczenia mitycznego Szagalewa w „krajnie milczenia”.

Postać malarza, którego twórczością tak bardzo fascynowany był Shucki, pojawia się w wierszu *Chagall z tomika Promienie czasu*. Świat jest tu surrealistyczny. Chmura wyje jak skazka, staruszek ma zamiast brwi dwa ptaki, cały pejzaż wypełniony jest światłami i barwami („kolono-wa burza”). Tworzą go również aniołowie śmiertelci, którzy w normalnej kolej rzeczy, w przemianach zabijają, zwierzają i ludzi, tak mocno przywiązanych do swej ziemiakości i cielesności, że umierając wołają: „Ziemio! Ziemio!”. Motywy chagalowskie powracają również w rozję *Na wiatr [RO]*. Są tu więc: „biały szkał”, „odwrócone drzewa”, „winujące światła”.

Istnieje kilka analogii pomiędzy malarstwem Marcusa Chagalla i poezją Arnolda Shuckiego¹¹. Malarstwo Chagalla w jego pierwszym okresie to władnie przede wszystkim „poezja wioseł”, „dźwięki żydowskich”, „żydowskich świat, świętych licznicy, czułych wspomnień miłosnych, nożdników, księżycy (...)”¹². Później po wyjeździe z Rosji na emigrację do Paryża, stopniowo tematyka ta, choć wciąż obecna, występuje coraz rzadziej. Oprócz wspomnianych powyżej motywów żydowskiego miasteczka widoczne są również analogie w obszarze warsztatowym. Malarstwo Chagalla cechuje przede wszystkim skłonność do deformacji światła, pozostaje on jak najbardziej do realizmu kształtów. Poeci Shucki, mimo że często korzysta z poetyki codzienności, świadomie deformuje kształty poszczególnych jej elementów, narusza proporcje lub po chagalowsku nadaje im nowy surrealistyczny wymiar. Niezwykle są także sytuacje, w których obaj artyści osadzają swoich bohaterów – zarówno w malarstwie jak i w poezji wywołuje to tajemniczo, niezwykły nastrój, będący dla odbiorcy często poczuciem wzniesienia, przyczynia estetyzmu, a nawet mistycznego. Łatwo więc wskazać tu następującą cechę łączącą oba twórców: podobieństwa w kreowaniu świata przedstawionego. Obaj wychodzą najczęściej od konkretnego, jakości materialnego elementu rzeczywistości, by następnie podążać w kierunku abstrakcji, zacierając w ten sposób granicę między rzeczywistością a fikcją. Shucki chętnie sięga również po

¹⁰ P. Szewc, op. cit., s. 89.

¹¹ Wpływ malarstwa Marcusa Chagalla na poezję żydowską dostrzegł sam autor: „Twórczość kompozytorska maroży Żydów, z wyjątkiem malarstwa Marcusa Chagalla stają się także dla żydowskiego poety misją ambicji i dokonania. Chagalowskia wiaga miasteczka, ukazana nowocześnieymi środkami, z użyciem nowej, artystycznej palety, rywalizuje z tradycyjnym iżerskim obrazem żydowskiego bytowania, nakreślonym w powieściach Mendele Mochera Sforina, Szolena Alejshema, a także młodszego od nich Szolena Aza”. Cyt. za A. Shucki, *Słowo wstępuje (w): Antologia poezji żydowskiej*, s. 11.

¹² J. Czapski, *Paruzje*, Kraków 1983, s. 240. Przykładowymi obrazami, w których artysta podejmuje tego typu tematykę są: *Naradiny* (1909), *Ślab* (1909), *Śnieży* (1908), *Rabin ziołowy* (1914), *Zakochani nad wieśmiem* (1915).

elementy geometryczne: koła, trójkąty, linie, co stanowi kolejną nić łączącą go z niżej geometryzującą formą Chagalla. Obaj też stosują podobną sferę symboli, pojawia się więc skrzydła góra i ryba, wirujące miastka, postacie nie podlegające prawu ciężaru. Poszerzenie elementu rzeczywistości pokazane są dynamicznie, a często wydawałoby się odległe stwo-rze rzeczy nabierają cech wspólnych, tworząc w ten sposób niespotykana, nawiądo-dzielnica poetykę snów i wpaomnień. Widoczna jest tu więc skłonność do zapisu symbolicznego rzeczywistości i jej metaforyzacja. Zbliża ich także perspektywa, przez którą obserwują świat. Chagall jest autorem witraży w synagodze w Jerozolimie; jakby z wnętrza synagogi obserwuje również rzeczywistość Shucki. Wzrę światła są więc u obu sakralne, wizjonerskie, liryczne i barwne. Obrazy, powstające w wierszach Shuckiego, są malowane z barwy słotca, tak jak dzieje to się w wierszu *Historia szkałki [MW]*: „w słotcu maczali swe pedzle”. W ten sposób, obok słotca, podstawową materią w strukturze światła staje się światło. W światwie tym wszystkie byty są ukierunkowane ku górze, jak „los gołębia”, który ustawiony odpowiednio, rozszerza się w górę jak „trapez”.

Na końcu miastka to powiasey za Arnoldem Shuckim pytanie: „Skąd te kraj-obrazy?” (*Miasta naznaczone [RO]*), by zaraz potem usłyszeć jego własną odpowiedź:

Z pałazra
wychodzą
i proszą o azyl
w mojej zdumionej polszczyźnie;

Miasta naznaczone [RO]

Mityczne Szagalowo – żydowskie zrietz – Tyszowiec nad rzeką Huczwa – są w poezji Arnolda Shuckiego niejako pomostem, który łączy poetę z nie istniejącym światem polskich Żydów, do którego również sam należy, z którym się identyfikuje.

I ja sam byłem,
na moście
dzieciną drwoniem obręca,
co hną się jeszcze czerwieni
i błękitnie
ięczą.

Tyszowiec miast [DNW]

Co jednak stanowi ostateczny cel poetyckiej wdrowki Arnolda Shuckiego? Do końca pozostaje to dla samego poety tajemnicą... Może będzie to przyjęcie postawy pokornej – „padnij / twarzą / w łez igłowie”. (***) *Gdzie chcesz umrzeć...* [RO]: zobaczenie siebie, jako kogoś należącego jednocześnie do dwóch światów – „monstrancji” i „gwiazdy Betlemiej” (***) *Łączenie się narodów i rozłączanie [RO]*, chrześcijaństwa w judaizmu. Ostatecznie spotkanie, to dokonujące się najpełniej w obszarze żydowskiego miasteczka, jest w poezji Arnolda Shuckiego rozdziałem „kdoś-wy-zgodny”, jak Piotr Szewc określił współzycie przedstawicieli różnych kultur w przedwojennych, kresowych miasteczkach wschodnich.

Stawomir J. Żurek

KAMILA BARSZOWSKA

Małe prozy

niewiele miała – niewiele miała – taka była obryzdywie zwyczajka
za to gotowała jak nikt inny na świecie i wszystko co czuła było w da-
niach które przyrządzała – risotto z drobno posiekaną czoszczołą – miłofe
w beszamelu – salatkę ostro przyprawione pożądaniami i ciasteczka pełne
tegnoty

dlatego nigdy nie mówiła – Kocham cię
wymyślała dwa talerze z kredensu i nakładła na nie świeżo upieczoną
zapiekankę

on jadał i mówił – pyszne – i nic nie rozumiał
przez jakiś czas jednak byli – że tak powiem – szczęśliwi – aż pewnego
dnia on odszedł do bibliotekarki co zupełnie nie umiała gotować – za to
rozumiała z nim o heideggerze

na kolację miała być pularda w sosie z białego wino – była szorstka i ona
czekała nie wiedząc o tym że on kocha się właśnie ze swoją bibliotec-
karką pomiędzy półkami z napisem BOTANIKA a księgozbiorem
podręcznym

rozumiała dopiero kiedy pularda całkiem ale to całkiem wytygła

od tamtej pory nie potrafił dobrze smażyć nawet głupiej jajecznicy

Bezdom

pewnego poranka zauważyłam że na drzwiach mojego domu ktoś napisał
niechlujnie białą farbą: BABEL

z początku postanowiłam się nie przejąć – zaniepokoiły mnie dopiero
dzwonne miny mijanych na schodach sąsiadów – patrzyli jakbym zrobiła
coś złego

pytałam o co chodzi – wszyscy szybko odwracali się na pięćcie i w nie-
zdrowym pośpiechu zbiegali po schodach

zdenewrowana już nie na żarty postanowiłam zwrócić się z prośbą o wy-
jaśnienie do sąsiadki po prawej – z dławien dawała zaprzyjeżdżeniemu starszaki
otworzyła – ale zszokowały mnie na progu zatrząsnęła drzwi zrzucając
ciężkie przedkiesztwo

zrzęzynowana wróciłam do siebie i zamknęłam się na wszystkie zamki
przez kilka następnych dni nie wychodziłam z domu – niezbędne zakupy
robiliśmy chylkiem tuż przed zamknięciem sklepu – ekspedientki złościwie
wyskakiwały mi najbardziej wymięczonej czerstwy chleb i nadpusy serek –
upewniło mnie to że i one już wiedzą

jakiekoľwibądź próby usunięcia złośliwego napisu kończyły się oczywis-
cie fiaskiem – pojawiał się znów – jeszcze wyraźniejszy i nieublagany

wreszcie po tygodniu lub dwóch nie wytrzymałam – spałowałam najnie-
zbędniejsze rzeczy i wybiegłam zostawiając w mieszkaniu plonącą szmę-
ką nasączoną benzyną

podniosłam z chodnika kawałek zielonego szkła i przez nie patrzyłam na
ogromniący podwórki
z bramy tymczasem wyszli pierwsi rozszereźniani sąsiedzi
z kwiatami

(gwiazdka gwiazdka gwiazdka)

W eleganckiej dzielnicy umebowanych apartamentów złodzięj imion sy-
pia źle.

Zasuszone w klaszarn kolekcjonuje Imiona:
Hortensja, Zenobiusz, Saskia.

Nazywaj mnie tak, pomyślał, mów do mnie tak, Marian, może Alojzy,
Michalina, to wszystko jedno, kropka, chciał napisać, ale watek urwał
mu się i potoczył pod szafę.

Maria-Anna.

Pióro skrzypki po papierze, jest późno albo wcześniej, jasno albo ciemno,
światło wpadające do wnętrza przez żaluzje kroci ściana na psuki, widział
to w jakimś filmie, czy to był film?
Roman, Kate, Olaf, Jean, Agata.

Nie mów do mnie tak, nie nazywaj mnie tak, pomyślał, potem wstał i
zrobił kilka kroków po pokoju, w wielu kierunkach jednocześnie, na za-
kurzoną podłogę nie pozostały żadne ślady.

Imiona martwe, bez twarzy, bez osób, wklejone do zielenika. Jest coraz
duszejniej, okna nie dają się otworzyć.

Hortensja, Zofia, Stefan, Joe, Feliks, Leonard.

Przećniek.

Skończył pisanie, więcej imion nie pamiętał, pomyślał, Kurtyna.

(Ciągle źle spija, złodzięj imion, człowiek bez imienia.)

no, proszę: właśnie schodzi po schodach w swoim niesmiertelnym szar-
nym płaszczu który nigdy nie przestanie pachnieć naftaliną i kurzem –
kobieta o której chce opowiedzieć chociaż nie ma w niej z pozoru nic
szczególnego – idzie do sklepu przy mojej ulicy kupić bulki – bo mieszka
przy mojej ulicy – a tu wszyscy schodzimy co rano po bulki

mieszka na dwunastym piętrze w wielkim bloku gdzie sąsiadami nazy-
wamy tylko tych co na tym szóstym piętrze i tych co nad – albo tych co
pod – ale nigdy jednych i drugich

– na mojej ulicy ludzie którzy są dobre wychowani mówią sobie rano
dzień dobry w windzie – a ci co są chłamy nawet tego nie mówią – co się
będa do jakichś obcych ludzi odzywać

a ona – coś ona – je śpi wychodzi i wraca i znów je i snów śpi – nie
nadzwyczajnego

jej być tu nabiera niekiedy pewnych cech niezwykłości mianem powied-
my nawet – dziwaczności – bo spojrzeć tylko państwo:

połym wieczorem kiedy już pusto zupełnie znów gdzieś wychodzi i po ulicach się smuje – tych największych – gdzie za dnia samochody bez przemyślenia – i już ich nie widać – i dlatego wieczorem leżą psie i kocie trupki – a ona coś ona podnosi je z krawężnika i niesie na ławkę – tam daleko – tam ziemia ma taki dziwny kolor i twarda prosić pana jak diabli – no więc tam je zanosi i zakopuje w ziemi i już się zrobił cały cementarzyk – a ona coś ona ma pod ziemią foksystery i jarmiki i kundle i koty i cale to walczył co wygląda jak zepsute pluszowe zabawki – jak takie cale te krakująco to potem od niego plany takie że to prosić pani niczym się nie spierze – żeby chociaż płakała – ale nie płacze – mówią że siedzi potem tylko goła w wannie i w kafelki się gapi jak sroka w gnat – ooo my ty jej nie lubimy – sąsiedzi to na nią hiena wolają

i nie ma w tym nic szczególnie smutnego że kiedy idzie przez podwórko na mojej ulicy dzieci zrywają w nią kamieniami

nawet jeśli nie mam na imię kalipso powinienem mnie tak nazywać

urodzili się wczoraj – mam tysiąc lat
jeśli interesuje cię co robię w życiu – odpowiem: czekam – to tak samo dobre zajęcie jak każde inne a mnie daje satysfakcję i wymierne korzyści
miejsce gdzie jestem otoczone jest wodą – może dlatego mam zielone oczy i jestem spokojna – bardzo spokojną pogodzona z czekaniem – woda i czekanie na równi wypielniają mi życie

nie chcę niczego dla siebie – nie dlatego czekam aby coś uzyskać – czekam dla samego czekania bo czy to nie mać moc powiedzieć natrętnym znajomym którzy znajdują się nawet na tym okładku jak to tutaj – nie mogą przyjąć spotkania się załatwić tego czy tamtego – czekam

patrz i nie nie mówię – słucham i przyjmuję bez komentarza – dotykam nie pozostawiając śladów – może dlatego niektórzy twierdzą że nie istnieją czasami kiedy czuję się łże płacząc siedząc nad wodą – łzy skapując tworzą na powierzchni takie ładne koncentryczne kręgi rozchodzą się coraz dalej i dalej

codziennie wieczorem miasto pustoszaje a wtedy – kiedy ostatni przedchodny znikają w bramach otwierając mokre parasole pojawiają się fawchodny – nadchodzą małymi grupkami milicjacy bezzałesni o nieruchomych niczym się od siebie nie różniących twarzach – niosą pedzle drabiny kielnie młotki nożyce – zbierają się na placu przed katedrą gdzie najwazniejsze z fawchodow niezmernymi gestami kierujende jak mają się przemiesić i podzielić na zespoły – odchodzą również milicjacy jak przedtem aby zajęć się swą zwykłą pracą – będą przebudowywać fasady domów przycinać i przemaslowywać ulice a innym doklejać malownicze zaulki kroić na kawałki place burzyć studnie wznosić fontanny – w ciągu jednej nocy zbudują całkiem nowe miasto
nie już nie będzie tak jak było

nikogo tu nie dziwi że wieczorem wszedł na plebania a rankiem opuszcza lunapari to że tam gdzie wczoraj była fabryka radiolaskowych cukierków i naftowych torcórków dziś wznosi się szary gmach miejskiego więzienia – mieszkańcy mają pamięć krótką i wybitną – oto wychodzą właśnie z koszarami na zewnątrz – błazni i somaambuliczni – piekarnia do której chcą trafić wkradają tu dziś rano – na miejscu siedziby tajnej policji – oni jednak trafia do niej na pewno wiedzieli dziwny kreć instynktem – wszyscy mają zamknięte oczy
nie byłoby żadnego dowodu na bezzałesną nocną działalność fachowców gdyby nie drobne wpadki – dziecięca zabawka porzucona na korytarzu kostnicy – embriom w formalinie na półce szpitali najlepszej restauracji w mieście – ale wybaczą im wszyscy miasto jest ogromne a pamięć mieszkańców jak już wspomnieliśmy
miasto nie ma nazwy nie ma go na żadnej mapie – zmienia się tak szybko że nie istnieje prawie wcale

to będzie historia o miejscu

posiadałem puste miejsce od pewnego czasu – całkiem niegroźne puste miejsce które pozostało po albo nigdy nie było innym miejscem niż puste miejsce obchodząc się z nim delikatnie i czule – próbując oswoić zaklepałem okna czarnym papierem na parapecie postawiłem gromnicę kupiłem czosnek przeciw wampirovi i czerwona wstążkę przeciwi urokiem zamknęłam drzwi na wszystkie zamki – wyłączyłam prąd gaz się

przedtem zrobiłam mu kawę podałam mandarynki poczęstowałam piatrosiem – siedziłam tak naprzeciwko siebie od wczoraj a może od tysiące lat – moje najdroższe ukochane puste miejsce i ja – siedziemy w milczeniu – przedtem – a może wcale się to nie stało – opowiadaliśmy całe swoje życie pustemu miejscu – słuchalo w skupieniu na jakie nie stać nikogo ze zmyślonych mi ludzi – wszystko przyjmie niczego nie zatrzyma nic nie zmieni nikomu nie powie

spędziły tu jeszcze dzień może dwa może sto
będę cierpliwa jak papier aż do dnia w którym zasnądą naprzeciw siebie dwa puste miejsca

pewien człowiek mieszkał sam ze swoją samotnością na bardzo małej powierzchni a ponieważ to bardzo nudne mieszkać tylko ze swoją samotnością a już szczególnie na małej powierzchni człowiek ten gorąco ale to gorąco zapragnął by zamieszkała z nim kobieta o włosach koloru piasku myślał o tym przez wiele dni i noce patrzył w sufit aż w pokoju robiło się aż duszno od jego marzeń a obraz kobiety o włosach koloru piasku stawał się coraz wyraźniejszy widocznie marzenia są jak para która w pewnym momencie zaczyna się skraplać bo pewnego dnia kobieta z marzeń wyglądała już tak jakby od zawsze była żywym ciałem i nikt nie przypuszczałby że jest tylko marzeniem mężczyzny po prostu była i można było

jej dotknąć a wszystko miała takie jak w jego myślach włosy koloru piasku i uśmiech pełen niewinności teraz oboje często opuszczali miejsce gdzie przyszło im mieszkać gdyż zrobiło się tam jeszcze duszniej i cinniej niż wtedy gdy kobiety jeszcze nie było chodzili tu i tam i widzieli niezwykle i piękne rzeczy spojrz na piękne mówił do niej pokazując kwiat albo kamień a ona przytakiwała lecz była smutna bo on zajęty badaniami życia pszczoł lub obserwowaniem chmur nie miał ochoty albo czasu na słuchanie jej opowieści a przecież i ona miała swoją własną historię zaczęła więc marzyć o kobiecie o mądrych i smutnych oczach które zdłochniałyby jej wysłuchać pierwszego dnia wymyśliła jej oczy potem dłonie i usta a jej pragnienie by ta druga istniała naprawdę było równie silne jak pragnienie mężczyzny które powołało ją do życia więc z każdym dniem jej wymarzona powierca pojawiała się w coraz wyraźniejszym kształcie jak wzór na puzzlach które dziecko układa na stole teraz było ich już troje minęło kilka lat i powstało całe miasto pełne ludzi który przychodzili skądś lub pojawiali się po prostu obok siebie słofce wchodziło i zachodziło rozdzielali się dzieci odbywały się śluby i pogrzeby a piszę to wszystko tylko po to aby ci wyjaśnić że człowiek którego Kocham naprawdę wcale nie istnieje a to że ma takie dziwne oczy wcale nie zielone ani nie niebieskie że wita mnie co rano gdy mijamy się idąc on tu a ja tam wcale nie jest żadnym dowodem że jest naprawdę wręcz przeciwnie jest taki jak marzyłam żeby był a więc niezmierzliwy ale proszę nie zastanawiaj się teraz moja droga czy to ja wymyśliłam ciebie czy ty mnie a może powołał nas do życia jeszcze ktoś inny a jeśli tak to dlaczego nie ma go tutaj boże to naprawdę bardzo głupie pytanie nie mówmy o tym więcej

przychodzi zwykle w Nowy Rok kiedyś kac odzierał nam zupełnie poczucie rzeczywistości – zamazyście puka do drzwi lub przysięka dzwonek – po naciśnięciu klamki oczom zdumionych mieszkańców ukazuje się postać naszego bohatera – staromodny niski pan w meloniku i wysłuchany choć ciągle jeszcze porządny garniturze – buty za duże z noskami jak u charlie chaplina – twarz bezbarwna o rysach w żaden sposób nie dających się zapamiętać

w ręku ma stos kopert – podać ci za chwilkę jedną z nich kiedy już będzie pewny że ty to ty w kopercie znajdziesz kartkę maszynowego papieru bez nagłówka zapisaną wprawnym piśmem podantycznego urzędnika:

1. umarł
2. leży pod szafą i bardzo się zakurzyła

lub coś w tym stylu

z pewnością nie przyjdzie ci do głowy że to odpowiedzi na pytania które kiedyś najbardziej cię dręczyły – co się stało z dawnym kolegą z klasy którego nie widziałeś od trzech lat – albo co do cholery stało się z nakrętką od butelki z rozpuszczalnikiem co stoi otwarta i śmierdzi już trzech dniów smutny pan niczego ci nie wyjaśni i w niczym nie pomoże – zrobił już swoją robotę i może pójść do następnego mieszkańca i zapamiętać inną osobie

wręczyć białą kopertę z odpowiedziami na dręczące pytania – nie muszę chyba dodawać że doręczą je zawsze kiedyś jest już zbyt późno i nic to nie zmienia że dowiadujesz się na przykład że ktoś cię kochał kiedyś choć nigdy nie miałeś powiadzenia ale dziś nie pamiętasz nawet imienia tej osoby o której śniłeś w dzieciństwie

nikt nie wie dlaczego tak jest ale jest tak w przyszłym roku też przyjdzie pan z kopertami w których będzie o wszystkich tych rzeczach o które pytały nie mogąc zasnąć a o których pewnie zapomnieli do czasu kiedy znów przyjdzie posłanie znowu białych kopert

naprawdę nie wiem dlaczego jest tak tyle że pogodziłam się już z tym że odpowiedzi na pytanie kim ty właściwie jesteś znajduję w kopercie która dotrze do mnie za kilka lat

Kamila Barczowska

Książki nadane

Poezja

Adam Holland: *Landzafy*. Wyd. Ministerstwa Kultury, Kraków 1996, ss. 64, w. 10 zł.

Stefan Jurkowski: *Rekonstrukcja*. Wyd. Związek Polaków w Polsce, Poznań 1997, ss. 48. Białe i Kolorowa Seria Poetycka pod redakcją Nikoła Chadzimikolau.

Katarzyna Miller: *Stołeczek*. Wyd. „Tajkasa”, Warszawa 1997, ss. 96.

Krzysztof D. Szarowski: *Tak cicho śpięca polska*. Polskie Towarzystwo Czytelnicze, Olsztyn 1997, ss. 64.

Piotr Pawlak: *Jestli żyje jak szczęśliwa rana*. Wyd. Fundacja „Brulion”, Kraków-Warszawa 1996, ss. 55.

Maria Dulawska: *Nim przyjdzie sen*. Wyd. Nauczycielski Klub Literacki, Zamosć 1997, ss. 26. Tom ilustrowany pracami dzieci niepełnosprawnych z pleneru „Świat moich marzeń” w Zamosću.

Stanisława Burda: *Przytulił nad Huczwą*. Wyd. 2 finansowane przez autorów. Wyd. PAX, Warszawa 1997, ss. 46+6 ilb. Wstęp i ilustracja prof. Wiktor Jan. W. 10 zł.

Agneska Gwóździ: *Nikr. Opacowanie Andrzeja Burdy*. Nakład autorów, Zamosć 1997, ss. 19.

Elżbieta Kopszc: *Podróż z Miletom w jedną stronę*. Opacowanie Andrzeja Burdy. Wyd. Hrubieszowski Dom Kultury, Hrubieszów-Zamosć 1997, ss. 19.

Paweł Heintsch: *Złotone Atlantydy*. Postawie Matylda Wehna. Wyd. Krajowa Agencja Wydawnicza, Lublin 1997, ss. 36.

Alicja Klajner: *Białe lato*. Wyd. Regionalny Ośrodek Kultury w Siemadzu, Siemadz 1997, ss. 84. Biblioteka Siódmej Provincji.

Janusz Hedrak, Andrzej Sewast: *Wnętrze*. Wyd. Ruthenus-Rafał Barski, Krosno 1997, ss. 86.

Jolanta Domańska: *Z wielkiej niewinności*. *Przy poetyce*. Wyd. Urząd Miasta Owecka, Otwock 1997, ss. 44.

Robert Matejka: *Grande myśli*. Postawie: Ryszard Koracki. Wyd. Bielskopodlaskie Towarzystwo Literacko-Artystyczne, Białopodlaska 1997, ss. 48.

MACIEJ MELECKI

Mój wiersz

Tomaszowi M.

Wszystkie swoje stare wiersze przerobiłem na sonety. Trzeba mieć fason, iść do przodu, po trupach. Wcześniej wydałem pierwszą książkę, której się teraz wstydzę i nikomu nie polecam. Ten etap

zakończyłem ewidentnie, co zresztą chyba widać w moich nowych sonetach, w których poruszam się jak kamera w *Lisicie Schindlera*, gdzie, jako statysta stojąc w pierwszym szeregu i trzęsąc się ze strachu.

Nie mam nic przeciwko, a nawet nic naprzeciw, żeby ktoś wytknął mi palec i krzyknął: *To on, ten w żółtej czapce!* Chętnie przycytnam

wiersz (np. akrostych), w którym nie się nie dzieje, ale wiadomo kto za to płaci, podaje współrzędne: skrytka pocztowa 033, 53-621 Wrocław, Polska.

Niewyraźne kwestie

Ktoś kiedyś mówi ci, że cię kocha. Stoisz na schodach i widzisz, jak wtrąca cię w to demaskującą przepaść. Teraz ty chcesz powiedzieć, że kochasz kogoś, ale nie wychodzi ci zbyt naturalnie,

przez co unieważnia się pora i kasuje się ten złożony do kupy obrazek. Leć się więc na zbity pysek, leć się i wydaję się, że już wpadłeś, bo nim przelizł się kolejna sonda kant powietrza zlanie ci ci język. Uchodź ci to

na sucho, lecz ktoś to zauważy i dokonuje ostrej adnotacji. Opowieści nie zostaje jednak w tym miejscu dalej podjęta. Chylący się ciężar noży wypredza nas. Zachodzimy go z boku i na jakimś ekranie leje się krew.

Spóźniony rewanz

Ostatecznie przygwoźdźony do ściany, którą tutaj zastępuje podłoga, widzimy cię, drogi bohaterze, o wiele lepiej niż ty widziałys nas w tej puszystej zawiei nocnego ekranu.

Komu nie podobało się, ten dał temu wyraz i sam, chociaż raz, chcąc zrobić sobie dobrze, przez siatkę sekund został ostatecznie pojmany w kobaltowe tło zmoczonego burzą i deszczem wieczoru. Zbliżamy się do

środką. Nieodwołalnie, na samą krawędź cylindra wulkanu i z tego właśnie wnętrza będą już nadawane kolejne transmisje.

Kto odważy się zejść głębiej, tego pokażemy na żywo, ale więcej będzie rekreacji niż pranego brudu. Do zobaczenia na wizi.

Nagle przedstawienie

Ctery razy na dzień tą samą drogą. Cuciemy twarz przez srogię, wiosenne powietrze. Śnieg spada, chmury odpływają, oczy się krztuszą i żarzą. Dzień, w którym się spotykamy na chwiejnym trójkącie i ręką prowadzimy dalszą nawigację. Kierujemy się, a ja

wracam do chwili, kiedy nuąc piosenkę lećca z czwartego po schodach, bo czynna jest tylko towarowa. Gaszą nas spojrzenia z kątów, w popielnicze nie ma już miejsca, barmanka jest młoda i ma czym oddychać. Co z sankami? żyzywo zostały wyparte przez wrotki,

na których ścigają się nieostrożnie tutaj mistrzowie zwođu. Lecz praca wre. Zaden organ się nie opierała, daje z siebie wszystko. Wyszło się za późno, ale się zdąży. Nie drzeć więc ryja. Pamiętać tylko po co, pamiętać tylko na co. Reszta, która mi wydaję,

nie może się zwrocić. Na zewnątrz pnie się droga, którą dochodzimy, nie dochodząc przed czasem. Najdamy się do syta. Puchniemy jak po helu. Nie wydaję się to rozsądne, nie nie wydaję się rozumne. Drzewa znowu są nieme. Kolory znowu są dwa.

Bliskie rejon

Postać zamieniona w ką, do którego się
lgnie przy sporadycznych okazjach.
Cisza domofonu. U góry jest ciemno.
Chodnik, poddeptana trawa.
Wieżór pochurny, jak pochurna
pogoda w nocy.

Dokąd to zmierzają? Do
tego, do czego nie ma się dostępu?
Nie zmieniłem niczego i dalej
poszedłem sam. W jego
wersji będzie odwrotnie.

Ciężki manewr

Cały wieczer kręślił się w powietrzu
berkształtne figury, przynosząc się anomalnie szybko
z jednego stańców na drugie. Załączane obraźki
z naszych nigdy nie skończonych zamknięć
widoczne już nie wystarczają, więc odklejamy się
z nocnej kliszy i wypraszają nas jako ostatnich.

Ważny rzecz? W tym, żeby już teraz
związać nowy węzeł? Na wolno opadających
liściach, na zrytych ścieżkach gubisz się
w swoich zwrotach i nagle przypomniała
biórą cię w dziwny taniec. Zaprawiliśmy się
z tyłu od szpilki i jesteśmy już namierzeni!

Zaczynam wytrwale w to wierzyć. Na każdym kroku
daje się poznać, że skracca się czas na odpowiedź.

Objazd

Musiabym skrócić i wyskoczyć
na główną, żeby już nie nakładł
sobie drogi? W czym widzisz
problem. W braku lusterka? Przecież
z tyłu nikogo już nie ma.

Na ścieżce rozbitie szkło
skupia słońce, ale niczego nie przepali.
Ziemia się gorąca tylko od
wewnątrz. Tutaj się tego nie czuje.

Maciej Melecki

Niebezpiecznie blisko

(kilka uwag na marginesie poezji Macieja Meleckiego)

nie łap się na płaty nie strzeżonej
- utwierdź nie zasuwany

„A w ogóle nie lubię czytać wierszy, a szczególnie nie czytam wierszy pol-
skich, w ogóle. Nudzi mnie to po prostu. Zagarniczcie to owośm, poczytam
sobie. No fajnie są wiersze zagraniczne, wie pan? Można, wie pan, jakak tak, tak
ja wiem, przeczyć to jakoś, przeczyć, wie pan, przeczyć.”

A w wierszu polskim, proszę pana, to jest tak – nuda. Nic się nie dzieje,
proszę pana, nie. Opisy niedobre, bardzo niedobre opisy są. A w ogóle brak
akcji jest. Nic się nie dzieje. Aż dziw bierze, że nie wzruszą się na zagranicznych,
proszę pana.

Niech pan weźmie na przykład poete, proszę pana, zagranicznie. Jego wiersz,
wie pan, nie, nie wiem jak to tutaj, trudno mi w tej chwili powiedzieć, wie pan,
coś takiego wyrażają, no wie pan, o co mi chodzi.

A polski poeta, proszę pana? Jest pustka, pustka, nic, absolutnie nic. Załóż-
my, proszę pana, że jak polski poeta, no... pisze, nie? Czytałem taką scenę
kiedyś, na przykład – ja wiem? – na przykład zapala papierosa, proszę pana,
zapala papierosa i patrzy tak – w prawo, potem patrzy w lewo, prosto. I nic.
Dłuzymy, proszę pana, po prostu dłużymy.

Siedzę i czytam sobie książkę, pan rozumie? I tak – siedzę sobie w krześle
normalnie, czytając, czytając – i aż mi się nie chce wyjść z siebie. I wychodzę.

No i pamięć kto za to płaci?

Pan płaci, pani płaci, my płacimy, to są nasze pieniądze, proszę pana.
Społeczeństwo płaci, proszę pana.

Tomasz Majeran

Maciej Melecki: *Niebezpiecznie blisko*, Warszawa 1996.

Maciej Melecki: *Zę sprawy*, Kraków 1996.

Książki nadesłane

Wydawnictwo Baran i Suszczyński

Bogusław Żurkowski: *Światłowierci*. Kraków 1997, ss. 54

Józef Baran: *Majowe zakłęcie*. Kraków 1997, ss. 95.

Krzysztof Zajac: *Milosz i filozofia*. Kraków 1997, ss. 184.

Wrocławski – wieczer wspomnień. Pod red. Iwony Smolki. Kraków 1997, ss. 56.

Piotr Grzesiński: *Na przedświatach*. Kraków 1997, ss. 175.

cych *imam* i *jeżykami*, czy *nie* *braczej* *modlących* się, *inaczej* *sprawyjących* *że* *sama* *tejmienice* *wiarę*”.

Obecny spór o Polskę – a trzeba wyraźnie powiedzieć, że taki spór trwa – to również spór o interpretację jej historii. Prawie pół wieku PRL-u przyzwyczaiło – a na pewno przyzwyczajało – do tego, że Polska jest krajem jednorodnym. Ale ta ostatnia teza liczy sobie niecałe pół wieku i jest ona, w moim przekonaniu, „arkana” raczej z różnych ideologii niż oparta na faktach. Polska była – i wciąż jeszcze jest (choć w znacznym mniejszym stopniu niż dawniej) – wspólnym domem wielu narodów i wielu religii. Polska była również – przez wieki – ośrodką dla mieszkających w niej Żydów. Właśnie w kontekście dziejów Polski przywiązanie do idei Żyda polskiego wydaje się czymś zrozumiałym, niemal naturalnym.

Mimo że antysemizm nie jest specyficznym wyłączeniem polskich, to świadectwem polskiego antysemizmu należy również szukać w dziełach Żydów – zwłaszcza w dziełach ostatnich dwóch wieków.

Obecność Żydów na ziemiach Polski jest niemal tak stara jak państwo polskie.⁴ Najstarsze osiedla żydowskie powstały na Śląsku i w Małopolsce – na transeuropejskim szlaku Hiszpania–Chazaria. Jako pierwsze na ziemiach polskich pojawia się w źródłach osiedle żydowskie w Przemyślu, który wówczas był ważnym ośrodkiem na pograniczu Małopolski i Rusi. Istniało ono około 1016 lub 1020 r. Już z schyłku XI w. żydowskie kupcy docierali do Plocka, wówczas siedziby Władysława Hermana.

W średniowiecznej Europie Żydzi podlegali bezpośrednio władcy jako „servi camerae” (słudzy skarbu). Wincenty Kadłubek zapisał w swej *Kronice* taką oto uwagę, odnoszącą się do panowania Mieszka III Starego: *Scholarie przypadkiem trawli Żydy, ci sami sędziowie skazują ich na tę samą karę* [O groźnym jakby za świętokradztwo (Fijałkowski, s. 16)]. W 1264 r. książę kaskał Bolesław Pobórny wydał Żydom zamieszkałym w Rusi, w jego księstwie przywilej, zwane Statutem Żydom, nadany przez Kazimierza Pobórnyego, w 1334 r. Żydom zamieszkałym w całym państwie. Potwierdzony i rozszerzony przez kolejnych władców, stał się fundamentem pozycji prawnej ludności żydowskiej w Rzeczypospolitej do schyłku XVIII w.

Na Statut kaskalski kierując szczególną uwagę, byli to bowiem dokument dający bardzo szerokość uprawnień społecznej żydowskiej. Przede wszystkim podporządkowywał Żydom władzę książęcą reprezentowanego w praktyce przez wojewodę i gwarantował jej opiekę. Zapewniał swobodę organizowania wspólnot religijnych. Spawy sponie między Żydami miało rozstrzygać sąd kahalny, do którego można było odwołać się do księcia. Działalność handlową mogli prowadzić kupcy żydowscy na równi z chrześcijańskimi. Zabicie Żyda zagrożone było karą śmierci i konfiskatą majątku. Sarowę kahalną groziła również kara na bożnicę wieś zwadawstowania ementara. Przywilej obowiązywał także chrześcijan, by nieśli pomoc Żydom w przypadku, gdy ci ostatni zostają napadnięci. Książę, powołując się na bullę Innocentego IV, w jednym z paragrafów zabronił oskarżania Żydo- o używanie krwi ludzkiej do celów rytualnych. Przy- pomniwszy, przy okazji, że bulwersująca opinię światową pogrom kielecki, który miał miejsce w lipcu 1946 r., wzniecił wieś o rzekomych mordzie rytualnym. Chyba słuszną byłoby się o długowieczności głupoty.

Wodną Fijałkowskiego bardzo liczne pozostają wskazania na to, że znaczna część Żydów zamieszkałych Polskę w okresie przetrwania Piastów, wadła biegle językiem miejscowym. Dopiero w XIV–XV w., wraz z

napływem znacznej liczby żydowskich uchodźców z krajów niemieckich, oblicze językowe żydostwa polskiego ujednoliciło się: w gminach zaczął dominować jidysz.

Rzeczpospolita od XVI do XVIII wieku jest prawdziwą moziarką kultury i religii. Wymowne w tym to okres największego rozwoju protestantyzmu w Polsce. Koniowym tego przykładem jest to, że w 1572 r. na 73 senatorów aż 36 było protestantami, a kilka lat wcześniej senatorzy protestanci czy mieli nawet przewagę. Byli to głównie lituranie i kabinowi, ale również cywile. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie.

Ważnym wymiarem tego przykładem jest to, że w 1572 r. na 73 senatorów aż 36 było protestantami, a kilka lat wcześniej senatorzy protestanci czy mieli nawet przewagę. Byli to głównie lituranie i kabinowi, ale również cywile. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie.

Ważnym wymiarem tego przykładem jest to, że w 1572 r. na 73 senatorów aż 36 było protestantami, a kilka lat wcześniej senatorzy protestanci czy mieli nawet przewagę. Byli to głównie lituranie i kabinowi, ale również cywile. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie.

Ważnym wymiarem tego przykładem jest to, że w 1572 r. na 73 senatorów aż 36 było protestantami, a kilka lat wcześniej senatorzy protestanci czy mieli nawet przewagę. Byli to głównie lituranie i kabinowi, ale również cywile. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie.

Ważnym wymiarem tego przykładem jest to, że w 1572 r. na 73 senatorów aż 36 było protestantami, a kilka lat wcześniej senatorzy protestanci czy mieli nawet przewagę. Byli to głównie lituranie i kabinowi, ale również cywile. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie.

Ważnym wymiarem tego przykładem jest to, że w 1572 r. na 73 senatorów aż 36 było protestantami, a kilka lat wcześniej senatorzy protestanci czy mieli nawet przewagę. Byli to głównie lituranie i kabinowi, ale również cywile. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie.

Ważnym wymiarem tego przykładem jest to, że w 1572 r. na 73 senatorów aż 36 było protestantami, a kilka lat wcześniej senatorzy protestanci czy mieli nawet przewagę. Byli to głównie lituranie i kabinowi, ale również cywile. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie. Manry w Rzeczypospolitej uniów (unia brzeska 1596) i prawosławianie.

⁴ Por. Jan Paweł II, *Przekroczyć próg nadziei*, Lublin (RW KUL) 1994, s. 116.

⁵ Patrz F. Fijałkowski, *Początki obecności Żydów w Polsce (X-XIII wieki)*, w: *Skutki z dziejów Żydów w Polsce*, t. 1, Warszawa (ZiB) 1995, ss. 13–26.

Gdy w 1918 r. na mapie politycznej Europy powróciła Polska, współtworzy ją dwa narody: obóz Piłsudskiego oraz Narodowa Demokracja Demowskiego. Otóż, zdaniem wielu historyków, obóz Piłsudskiego był bardziej rodzimy, apocryficzny polski – wyznaje nawiązujący do wielonarodowej i wielokierunkowej tradycji państwa polskiego. Demowski natomiast nawiązywał do XIX-wiecznych nacjonalizmów, szukających sprzymierzeńca w chrześcijaństwie – zwłaszcza w katolicyzmie.

Dwudziestolecie międzywojenne dalekie było od stosunków partnerskich w relacjach polsko-żydowskich i nawiązania byłoby wymagać, aby stało się takie w latach hitlerowskiej okupacji. Mroczne lata niewoli pokazywały postawy piękne i wtręce heroiczne, ale wydoły również na jaw zwykłe ludzkie draństwo i podłość. Ludzie zrywali się po prostu jak ludzie. Różnie. I dlatego właśnie uważam za nieostrożne używanie wieloletniego kawałka faktora tak po stronie polskiej, jak i żydowskiej. A więc nieprawdzie są stwierdzenia typu: wszyscy Polacy – lub: wszyscy Żydzi – zachowali się po bohaterach, czy – zachowali się bardzo brzydko. Swoje wyrwanie śmieci żywcem zdawczając heroicznej postawie polskiej rodziny, która ratowała mnie całkowicie bezinteresownie. ¹ Mój rodzony brat – Samuel Weksler – nie żyje, chociaż na jego ratowanie mnie żydowscy rodzice oddali inną rodzinę wszystko, co mieli. Był więc postawy heroicznej i były – podłe; był normalny potępek ludzki strach, uniemożliwiający niejednokrotnie podjęcie jakiegokolwiek działania, i była zwykła ludzka obojętność, i było jeszcze wiele innych postaw, i wiele przeróżnych sytuacji...

Skąd antysemityzm? Czy jest zasadnie upatrywany źródle antysemityzmu w chrześcijaństwie? Nie wątpię, mają rację ci, którzy twierdzą, że niechęć do Żydów jest starsza od chrześcijaństwa. Jednakowoż jest faktem, że to właśnie w łonie chrześcijaństwa – prymajem od IV wieku – rodzi się ideologia antyżydowska – która to ideologia stała się źródłem, czy – jak kto woli – koźciem antysemityzmu. ² Do niedawna – do II Soboru Watykańskiego – Kościół katolicki nauczał, że jest nowym Izraelem, nowym Ludem Bożym, zajmującym miejsce Ludu Starego Przymierza. Judaizm miał zniknąć. Jeszcze redaktorzy Biblii Tysiąclecia – wydanej przed jej już po soborze – w nieurodzajnym drzewie figowym, i dlatego skazanym przez Chrystusa na uschnięcie, dopatrywali się symbolu „bezplodnego Izraela” ³

Pamięając o wspomnianych *Stanach kaliskich* (1264), warto również pamiętać o synodzie duchowieństwa archidiecezji gnieźnieńskiej, który miał miejsce we Wrocławiu w 1267 r.; jego obradę przewodniczył kardynał Gwidon. Otóż postanowienia tego synodu nakazywały tworzenie dla ludności żydowskiej odrębnych dzielnic; zobowiązano Żydów do noszenia znaku hańby (spiczastej czapki); zabroniono im przebywania w miejscach publicznych odwiedzających przez chrześcijan, piastowania urzę-

dów, posiadania chrześcijańskiej służby. U podstaw tychże postanowień tkwił antyżydostwo.

Zauważę jednak należy, że to – i mnie, im podobne – uchwały nie były w Polsce zbyt rygorystycznie przestrzegane. Decydowało o tym polozymie geograficzne Polski, co miało wpływ na kształtowanie specyficznego klimatu polskiej tolerancji. Prof. Twarbiw pisze: *Jelli spojrzysz na mapę środkowiocheńskiej Europy, to dostrzeżesz fakt, że przez dwa państwa, mianowicie Hiszpanię i Polskę, przebiegała wówczas granica dzieląca świat poganski od chrześcijański. O ile jednak na Półwyspie Iberyjskim katolicyzm stał w sprawie jednoczenia kraja drogą wyznawania go z rąk muzułmańskich Maurów, to działający na naszym północnym zachodzie mni papieżstwa i cesarstwa Zakon Krzyżacki, stanowił śmiertelne zagrożenie dla życia państwa polskiego. W walce z Krzyżakami Polska korzystała zarówno z pomocy poganiackiej do pewnego czasu Litwy, jak i z posiłków Zakonu. Nie więc dziwne, iż właśnie w latach najgorętszej walki z Zakonem (XIV-XV) powstaje polska doktryna stosunku do innowierców, postępująca prymasowe szerzenie wiary, podkreślająca, że „niewierni – są naszymi bliźniemi, wobec których obowiązują zasady wyrażone w Ewangeliu”. Jedem z twórców tej doktryny, Paweł Włodkowicz, podkreślał, iż właśnie ze względu na Ewangelię wyróżniono miejsce wśród „niewiernych” przysługując Żydom; pisał on: *A szczególnie należy tolerować Żydów, ponieważ przez ich księgi udowodniamy prawdę i wiary naszego*. ⁴ Od czasów soboru w Konstancji (1415) doktryna polskich prawników wymagała szerokiej tolerancji w całej Europie.*

Czyli polska tolerancja – stosunek do innowierców, w tym do Żydów – była poniekąd konsekwencją miejsca Polski w Europie. O tym wszystkim nie pamiętam o zmienionej konstelacji politycznej XIX w., co jest nawet trochę zrozumiałe. Ale szkoda, że nie włożono więcej wysiłku, aby bardziej odżywić pamięć i pełniej przywrócić życie Rzeczypospolitej w latach międzywojennych. Szczególnie tuł w podsycający propagandy antysemickiej odegrały różnej maści partie narodowe, traktujące najczęściej religię (katolicyzm) czysto instrumentalnie. Doświadczanie zaś pokazuje, że mieszanka nacjonalistyczno-religijna jest zawsze najgroźniejsza, niezależnie od tego czy w wydaniu arabskim, żydowskim, czy polskim. ⁵

W takim stanie rzeczy, czy choroba – antysemityzm – jest rzeczywiście nieuleczalna i nie ma na nią żadnego lekarstwa? Otóż jest lekarstwo – wydaje się że skuteczne!

Jak już powiedziałem, u źródła antysemityzmu tkwi, w moim przekonaniu, niewiśnię religijna – antyżydostwo. To antyżydostwo był najgroźniejszą wirusem podsycającym chorobę antysemityzmu. Jak groźno może być przebieg tej choroby, niech świadczy ofiary holocaustu.

Ale czy rzeczywiście można wyżyć przyzwyczajony antyżydostwu z antysemityzmem? Sądzę, że tak. Albowiem bez antyżydostwa antysemityzm nie byłby tak skuteczny, nie zmobilizowałby w niewiarę do Żydów tak wielkich mas ludzkich i nie „zaowocowałby” tragedią. Wskazanie dlatego protest przeciw hitlerowskiemu rasizmowi, przeciw „ostatczecemu rozwiązaniu kwestii żydowskiej”, nawet jeżeli był, ze względu na porównanie antyżydostwem brzmiał anemicznie i nie dożył źródła infekcji u samych „koźci”!

Jako przykład niech posłuży głowa i znaną ulotką, wydana niemal zaraz po rozpoczęciu akcji pacyfikacji getta warszawskiego, w początkach sierpnia 1942 r., przez konspiracyjną katolicką organizację społeczno-wy-

¹ Moi politycy rodzice zostali późniejszymi odznaczonymi medalem „Sprawiedliwi wśród narodów świata”. 21 sierpnia 1995 r. osobście odebraliśmy tablicę z ich imionami i nazwiskami na honorowej kolumnie w Yad Vashem, w Jerozolimie.

² Szanse wydają się uwagi Aleksandra Wisia: *Żydzi przez swoją odrębność, przez tajemniczy swój kraj i wyznawanie, postępująca masowo, przy odpychaniu i zabobachach, przez parę tysięcy lat, wzniesła budołę w dyspozycji zabobony antyżydowskiej. Jej najgłębszym wybytko to w planach moralnych Platonów, ale dopiero Kościół nadał tym antysemityzmu fikcyjną, system motywacyjny, skonstruował je i zorganizował. (...) Trwało to wieki, miliony księży z ambon i miliony katechizów powoływały z pokolenia na pokolenia o przykrych żydów, o nardnie ludobójców. Mój wiek, Pamiątki mówimy cz. II, Warszawa (Czytelnik) 1990, ss. 320-321.*

³ Patrz: J. Isaac, *Genèse de l'antisémitisme*, Paris (Calman-Lévy) 1956, tenże, *L'antisémitisme a-t-il des racines chrétiennes?* Paris (Fasquelle) 1960.

⁴ Por. komentarz odczytujący do: Mk 21, 18-22. *Po ciele konna potrzebne sącho drzewo...*

⁵ Por. J. Twarbiw, *Specyfika polskiej tolerancji*, w: *Naród Kościoła*, Lublin (RW KUL) 1986, ss. 37-71.

⁶ Cytuję z: *Zwycięstwo Środowiska. Wypisy... dla uczniów studentów i nauczycieli*. Wybór i opracowanie R. Mazurkiewicz, Tarnów (Biblos) 1994, s. 186.

⁷ Por. J. J. Lipski, *Katolickie Państwo Narodów Polskiego*, Aneta, 1994.

chwającą. Front Odrodzenia Polaki, a której autorką była wybitna katolicka pisarka, Zofia Kossak-Szczucka. Pełny tekst tejże ulotki oraz interesujący do niej komentarz znalazł czytelnik w książce J. Błofskiego *Biedni Polacy patrzą na getto*.¹²

Chce podkreślić, że tekst tejże ulotki pozostaje świadectwem ważnym i wielkim, ale również – świadectwem smutnym, wręcz przynębiającym! A oto ów przynębiający fragment: *Zabieramy głos – czytamy w ulocie – my, katolicy Polacy! Uczucia nasze względem Żydów nie uległy zmianie. Nie przestajemy uważać ich za politycznych, gospodarczych i ideologicznych wrogów Polaki. Co więcej, udamy sobie sprawę z tego, iż mimo wielu nas o nich więcej niż Niemców, że czynią nas odpowiedzialnymi za swoje nieszczęścia. Dlatego, na jakiej podstawie – to pozostaje tajemnicą duszy żydowskiej, niemniej jest faktem niestanowiącym powrotem.*

Choćż w zacytowanym fragmencie celowo zachycalem o to, co jest frazeologią endecką – „tajemnicze żydowskiej duszy” – nie zamierzam tego komentować, albowiem co innego uważam za bardziej ważne. Ulotka nawoływała do pomocy, ale tego, komu – jak twierdziłam – trzeba koniecznie pomóc, namocno wrogowo poniekąd nienaprawałam. Nie sądzę, by tego rodzaju apel o pomoc poszedł dotąd obywateli; raczej swardził w ich objętość. Na jedno zwracam uwagę szczególnie: w owej ulocie Żyda nazywa się m. in. „wrogiem ideowym” – jak sądzę – znacząco to „wrogę religijny”. W tym właśnie punkcie narodowie – Polak – katolik – traktując Żyda jak nienaprawałego – ideowego – wroga, nie tylko miał poczucie bycia polskim patriotą, ale, tak mu się przynajmniej wydawało, walczył o wiarę katolicką. Skąd to miśnienie?

Postawiając antyjudyzm świący w doktrynie Kościoła legitymizował niejako zachowania antysemitki, dodawał im wigoru. Przejrzy – literatura na ten temat jest ogromna¹³ – tenże antyjudyzm stanowił niejako „zapalnik” w potencyjnej bombie antysemityzmu. Siła naziem, która nadal jej hitlerzynie, nie byłaby ani tak potężna, ani tak śmiertelna bez antyjudyzmu. Oczywiście, hitlerowski faszyzm był głęboko antychrześcijański i nie miał nic wspólnego z duchem Ewangelii. Nie można jednakowoż nie zauważyć, że hitlerowski partia (NSDAP) opierała się w chrześcijaństwie swego sojusznika.¹⁴ Była to, oczywiście, ze strony nazistów perfidna gra; powszechnie wiadomo, bliższy zamierzał hitlerowcy w Polsce nie tylko w Polsce. Trezba jednakże w całej prawdzie powiedzieć, iż ze względu na wyróżny antyjudyzm Kościoła, taka gra była możliwa.¹⁵

Otóż właśnie, na soborze watykańskim II Kościół katolicki dokonał radykalnej korekty swych poglądów w tej materii. Odrzucił mianowicie to, co – powtarzam – dopiero od IV wieku zaczęło wyróżniać podność głosu, a co było ewidentnym błędem. Przeciż Kościół rodzi się niejako w łonie judaizmu. Stąd też deklaracja soborowa *O stosunku Kościoła do religii niezchrześcijańskich*, zaczynająca się od słów *Nostrum aetate*, kieruje szczególną uwagę na wspólne dziedzictwo łączące chrześcijan i Żydów. Jest to oczywiście dziedzictwo Abrahama i jego potomstwa, jest to – mówiąc wprost – dziedzictwo judaizmu! Skoro więc – czytamy w wymienionej deklaracji – *tak wielkie jest dziedzictwo duchowe wspólne chrześcijanom i Żydom, święty Sobór obawny pragnie otworzyć i zalecić obustronne poznanie i porozumowanie, które osiągnąć można nakładając przez studium biblijne i teologiczne oraz braterskie rozmowy (n. 4). Czyli, najkrócej*

¹² Książki (Wyd. Literackie) 1994, s. 38 i nn.

¹³ Kierując uwagę na jedną pracę, w moim przekłamaniu poddawając: F. Lovsky, *L'antisemitisme chrétien*, Paris (de Cerf) 1970.

¹⁴ W programie NSDAP czytamy: *Parcja, jako taka, popiera chrześcijaństwo, ale nie wiąże się w kwestii wiary z żadną religią*. Por. A. Hitler, *Mein Kampf*, t. I. Puchalski i P. Panszkiel, Krosno (Scripta nazium) 1992, s. 284.

¹⁵ Patrzaj: H. Müller, *Katholische Kirche und Nationalsozialismus*, München 1960, s. 118.

mówiąc, zamiast antyjudyzmu. Kościół wskazuje na potrzeby szacunku w stosunku do judaizmu. Papier, podczas pamiętnej wizyty w Synagodze Większej w Rzymie, 13 kwietnia 1986 r., stwierdził m. in.: *Religia żydowska nie jest dla naszej religii rzeczywistością zewnętrzną, lecz czymś wewnętrzny. Stosunek do niej jest inny niż do jakiegokolwiek innej religii. Jesteście naszymi umiłowymi braćmi i – można powiedzieć – naszymi starszymi braćmi*.

Słowem, nauczenie soboru watykańskiego II, półmiejście dokumenty Stolicy Apostolskiej, najnowszym *Katechizm Kościoła katolickiego*, obzrania ilość przezwień Jana Pawła II oraz jego pełna szacunku i przyjaźni postawa w stosunku do Żydów¹⁶, wszystko to jest świadectwem nowej postawy Kościoła charakteryzującej się odrzuceniem antyjudyzmu. I właśnie tę nową postawę mam na uwadze i nazywam ją lekarstwem przeciw antysemityzmu.

Czy już można choćbyk powiedzieć o skuteczności tegoś „leku”? Wydaje się, że tak, chociaż nawiścią byłoby oczekiwanie jakichś cudownych antychimistowych przeobrażeń ludzkich postaw w tym aspekcie. Antyjudyzm tkwił w doktrynie Kościoła przez przynajmniej XX wieków, podczas gdy od zakończenia soboru watykańskiego II minęło zaledwie trochę więcej niż 30 lat.

Stąd też można jeszcze narażać na wyrznię antysemitki teksty, których autorzy wydają się występować w obronie katolicyzmu i Polski.¹⁷ De facto skrzydło Polscy, a katolicyzmywoi nie przyniosła. Bronią oni już tylko swoich własnych nawyków. Czytelnik nie znajduje w tych tekstach nawet wspomnienia o nuczaniu ostatniego soboru, czy o nuczaniu papieskim. Miał rację Ch. Péguy twierdząc, że „przyzwyczajenie jest gorsze niż grzech”!¹⁸ Postawa Kościoła – tego, któremu przewodzi Jan Paweł II – jest w tej materii jednomyślnie „antysemityzm jest wielkim grzechem przeciw ludzkości”.¹⁹ Biskup Polscy, w I kście Pasternkim skierowanym do wiernych, z okazji 25 rocznicy wspomnianej deklaracji soborowej *Nostrum aetate*, stwierdzają: *Wyrazimy (...) szczere ubolewanie z powodu wszystkich wypadków antysemityzmu, które Kościół miał lub przez kogokolwiek na polskiej ziemi zostały dokonane. Czynnym to w głębinach przeświadczenia, że wszelkie przejawy antysemityzmu są niezgodne z duchem Ewangelii (...)*

Opreż tekstów antysemitycznych wyodróżdż się z tradycji chrześcijańskiego antysemityzmu, których autorzy nie chcą poddać się zmian postawy Kościoła, spotkać też można teksty wywodzące się ze środowisk zbliżonych do zrzeszenia „Granwulf” – nazwijmy je antysemityzmem nacjonalistyczno-postkomunistycznym. Autorzy tych ostatnich tekstów są wyraźnie zaniepokojeni zmianą postawy Kościoła w kwestii Żydów. Za przykład niech posłuży książka Stanisława Wysocznego *Zapiski w dziejach Polski*. Odkładamy występ do wymienionej książki i napiszę Bogusław Rybski, który stwierdza m. in.: *Przeż dwa tydziele lat Kościół katolicki przestrzegał przed Żydami, a Żydzi nie uznawali Chrystusa za Żyda. CO SIĘ NAGLE ZMIEŃNIŁO???* (s. 5).

Cóż, gdyż autorzy nowego tekstu zechciał tylko wiaź do ręki i pogładzać Pismo św. Nowego Testamentu – natrafili na *List do Hebrajczyków*. A gdyż jeszcze zechciał poczytać Ewangelie i listy św. Pawła –

¹⁶ Por. inżi artykuł: *Korzenie, w: Czyniak: o Przechybiej próg nadziei*, (red. ka. T. Szyceń, s. Z. J. Zybicki) Lublin (KW. KUL) 1995, s. 282-300.

¹⁷ Por. np. pełną przynębię, niemal pobozna, *Przedmowa*, J. Giertycha, do antysemitki książki Feliksa Kononcznego, *Oswiadczenia żydowska*, Komorów (Wydawnictwo ANTYK Marcyn Dobosycki) 1997, s. 5-11.

¹⁸ Por. Jan Paweł II, *Przechybiej próg nadziei*, s. 86

¹⁹ Pełny tekst *Listu Pasternkiego Episkopatu Polski*, z 30 listopada 1990 r., przeż: *Kościół katolicki o swoich korzeniach* (przeżednow: bp S. Godecki), Warszawa (Polska Rada Chrzześcijan i Żydów) 1995, s. 40-45.

¹⁸ Warszawa (wyd. OJCZYZNA) 1995.

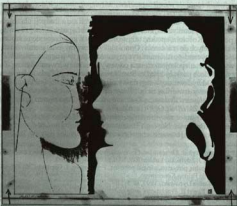
naprawdę warto! – pewnie chociaż trochę zmieniliby swoją opinię tak o Kościele katolickim, jak i o Żydach. Natomiast wypisane dużymi literami pytanie oraz trzy znaki zapytania są dowodem, że zmiana postawy Kościoła katolickiego w stosunku do Żydów jest dla antysemitów w rzeczywistości groźna.

W rzeczy samej, coś się zmieniło! „Zapalnik”, który nazywał się „anty-judaizmem” został wykręcony, więcej – rozbrojony i wyznaczony. Dla nas wszystkich, których ojczyzną jest Polska, powinno to być zobowiązaniem. W dzieje państwa polskiego wpisało się wiele narodów i wiele religii. Jednakże poza wszelką dyskusją pozostaje fakt, że to Kościół katolicki był głównym naucezycielem i wychowawcą Polski. Kulturze polskiej obcy jest nacjonalizm. Jeżeli z tego wszystkiego, co jest posiłkiem dziedzictwem chrześcijaństwa, odrzucamy antyjudyzm, wiatr polskiego antysemityzmu zostanie, mam nadzieję, mocno przyhamowany. Chciałbym, aby w mojej ojczyźnie w ogóle go nie było.

Romałd Jakub Wokler-Wiszkiński

W dniach 30.10 – 1.11. 97 odbyło się w Wątkach pod przewodnictwem Jana Pawła II sympozjum pt. *Korzanie antyjudyzmu w środowisku chrześcijańskim*. Książę Wokler-Wiszkiński był jednym z uczestników tej ważnej konferencji.

(rod.)



Janusz Przybylski: *Profile*, litografia, 1975

przekroje

JÓZEF FERT

CO ZROBIĆ Z CZECHOWICZEM?

(NAD WYDANIEM POEZJI ZEBRANCY)

*Wśród osatnich wrzeźmiowych tras,
widziałem go po ruci ostatni,
Nie miał brzozy w razi. O, Lania, sprawni,
by przynajmniej dół miał brzozi.*

(Kotł rydzy)

Pytanie postawione w tytule tego szkicu nie brzmi najlepiej. Od lat przecież – co się robi? z tym najwybitniejszym poetą II Rzeczypospolitej. Nie można narzekać na brak wydań jego wierszy, nie stroni się też od pisania o nim, choć na dobrą sprawę do dziś nie ma znaczącej monografii jego twórczości. Wiemy o nim już prawie wszystko, niektórzy nawet znają nazwę ulubionych cukierków, ale ani tytułu o najwybitniejszej książce jego życia i twórczości. – W rodzimym miście poety od lat działa Muzeum Literackie jego imienia, gromadzące wszelkie czechowiczowizna, skrupyując się posiadaniem wielu autografów itd., itp. – ni idealny warunek pracy znalazł powinien zarówno znanca i miłośnika poety, jak i zwyczajny dziennikarz. – A jednak nie sądzę, żeby nasze wielkie i piękne miasto (siedziba dwóch uniwersytetów i kilku innych szkół wyższych, centrum polityczne i kulturalne wielkiego regionu, miasto, którego historia wymuszała po 1944 roku miejsce analogiczne do roli, jaką kiedyś po tej stronie Wisły miały do odgrania Lwów i Wilno) spełniła w stopniu choćby dostatecznym obowiązku wobec swego najwybitniejszego obywatela!

Nawet zatrzymując się nad grobem Poety na cmentarzu przy Lipowcu, bolego nad barbarzytstwem, które przywaliło jego grób granitowym kłocem; grób uprzednio żalnierski, jak inne bratnie mogiły, jak śmierć, która dopadła go w pobliżu lubelskiej poczty podczas wielkiego bombardowania miasta we wrześniu 1939.

Piszę z przyczyn, choć powołaniem się rozpływają z radością, bo ono „ni ryknął” pojawiła się grubo i solidnie wyglądająca książka z wizerunkiem Czechowicza, autylozemu bardzo obciążającą: *Poezje zebrane* (Toruń 1997). Na wieszacze promocyjnym 9 października – by w Muzeum Czechowicza dowiedzieliśmy się od wydawców (Aleksandra Madydy – który te rzeczy „zebrał i opracował”, oraz Jerzego Kapczy – który *Poezje* wydał), że jest to pierwsze pełne i pewnie wydanie jego wierszy. Ze zdjęcia tu zastaje wizerunek fatalnie zbrojony przez spółkę autorów: Piotr-Andrzej-Spiwak-Janczarski-Jeziński (z przedmowa Romanus Rusiński) lubelski kodex wierszy Czechowicza (Józef Czechowicz, Wiersze, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1963); książkę utkaną z błędów i nieporozumień niczym barokowa sylwa, sprokutowana ku uciesze towarzyszy pancernych przez pijanego Zagłobę. Z wyciekami na twarzy szuchalem gronów spadających na niegdyśszych lubelskich wydawców za popalenie przez nich (wciąż jakby trochę i przede nimi) 1000 i błędów i wykręconych („całoni zbrodli z Czechowiczem – to po prostu opadają ręce...” – cytuje z pamięci), a następnie z równie nieobawionymi ranażkami porwałem ze straganu (za mniej niż 50

Zaskakaje też zmiana „na gorze” w pięknej strofoidzie przedostatniej tego wiersza (zdecy w zgodzie z autografem):

zasypuję cię czarne róże	zasypuję cię czarne róże
sen pod ciało podłożył się płomykiem	sen pod ciało podłożył się promykiem
sterpen	sterpen
a za sterpen wiozna zauszka	a za sterpen wiozna zauszka
zasypano gośbiny cacha	

— pomyk to jednak nie promyk — ale ktoś zgodnie, czy poeta rzeczywiście poprawił dobry promyk na taki sobie płomyk? A może to „poprawka” jakiegoś liczytno uapono-biozowego necza? Kto tego dziś dociepa?

[Jeszcze jeden przykład problemu, którego nie widać „graszkawiać”, jeśli chce się być sługą poety (czyli sługą słowa). W wierszu *Spawanie* (tmy tytak, *Lańcuch* — nie wiadomo jednak czy Czechowski) problemów iktakologizacji-owidulniczkich może dostarczyć w. 15: *pod cchmur zerka* (*Poecie zebrane*, s. 300) w *lodu lusterkach* (*Wiersze*, 1963, s. 253); *capud cchasy zerka* w *lodu lusterkach* (autograf; MC 48R). Czy jednak warto traścić czas — zda się, szczącąją ekspreswo maszynny drukarski — nad takimi drobiazgowi? Poluchajmy też poety:

Światło i majstrerstwo formy zwojnęwej, szwarcny słownej, sytuacji i dźwiękowej wiersza, wyposyjakobim niezbadanym rykaczem i na wężerze utwardo. Dlatego zważno będą przecie tw, który żądają, aby zstąpiła białka, jak zstąpiła mieta, prania, poczucia i dołgona (zdzić pt. Z mojego wierszania literackiego w Czechowskim zbiorze: *Wprowadzenie swarzaczo. Szkice literackie*, Wstęp, wybór i opracowanie Tadeusz Klak, Lublin 1972, s. 119; podkreślenie według źródła).

Ważnie — tak, jak rola dźwior: odlać i chronić światłość i majstrerstwo utworów. Rzecz w tym, że dzieło poetyckie Czechowicza *otrzymało* list nasz edycji popularyzacyjnej!! — jadalnych, jak struka niek — lecz nie doczekało się dołgęj krytycznej. A dopóki nie ma takiej edycji, nie p o na bezbedniemy skazywani na dołgę wół i pozorem edytorzkiego czy innego „arabionika”, wiec na wiary habi niedowierzanie wobec takich wydań. I nie pomagaj im nawet najładniejsze okładki, obwoluty, obrączeczki i rysumeczki. Dopóki nie będzie taktuje w miarę pewnie ustalonem — nie nie będzie, a nawet jeszcze gorzej, bo wydawni znamarkie zaprowadzą i utrwalają paturzenie bałaganu w świadomości literackiej, nakładając proste wyduchawanie w braku tektuologicznego kanonu dzieła. A przecież dzieło było, jest i będzie wyznacznym dźwiękiem ducha do prawdy artystycznej — nie dwo, nie trzech, nie pięciu, lecz jedno i niepowtarzalne, związane z konkretem, pojedynczością, niepowtarzalnością (acz nie bez wariantowości). Odrzucę jego niepowtarzalną pojedynczość to przynajmole ludziom szczercia.

Czy lubelskie inspirowanie naukowe (myśl o kręgu filologicznym) naprawę nie było i nie jest w stanie wykazać z siebie choć tyle entuzjazmu, wiedzy i umiejętności, by narzeczając sądoskowo potrzebę edycji źródłowej (wgr a przecież jak najbardziej unwersalnego) poezy? Czy dalej amatorzy wydawcy będą musieli zaczynać „od zera” wydawnie poezyi najwspalniejszej ze wspaniałych, pomażając w miarę w dialogu pomiędzy Czechowiczem a ciągłe wznosząca rzeszą miłośników i badaczy jego dzieł? Kiedy narzeczanie otrzymamy do rąk poezyię i — nie wicoję?

Bole Czechowicza *Poecie zebrane*, przedł i opracował Aleksander Madela, wstępującą spytzelo Mała Inkubator, obwoluty i ilustracje Beata Czechowicza, ALGO, Tomi 1997, s. 618.

LDIA DZIEDZIC

METAFIZYKA ZMATERYALIZOWANA

Już przy pierwszej lekturze wierszy Tadeusza Chabrowskiego zamieszanych w tomiku *Gwałt czasu zwracający* wzięw dwie sfery: biologia i religia. Język biologii, replikatorny, bioenergetyczny, chromosomowy, cyromosomowy i tymbiotyczny — to tylko część z biologicznego słownika poezy. Ten swoisty pambiolizm nie przema-

jednak do wierszy traktujących o życiu klarownie i żywota świętych. Tu jednak trzeba zrobić zastrzeżenie — poeży Chabrowskiego opiera się prośwym podziwom. Tematyka religijna, choćby podkłamie, obecna jest we wszystkich wierszach zbioru. Podobnie jest z biologią. Choćaż więc język naukowy biologii nie pojawia się w wierszach dotyczących zmytujałizowanego życia religijnego (jak można by określić życie w klasztorze czy żywoty świętych), to fakt celności, biologizacji człowieka stale się przez nie przejawia.

Należałoby zapytać, na ile uzasadnione jest takie epatowanie naukowym słownictwem. Wydaje się, że ma to odbijać tendencje we wielkim emicemie zmierzające do naukowego wytruchamania wszelkich przejawów życia — głębokim ironizacja w takim świecie byłaby wysonowa wiersza *Grzech pierworodny*:

*Słup pierwszy pokarm i ziarna matki,
skupowalono swój grzech pierworodny z błędem (...)
W czasie chrtu kropła wody
nawazona chemiczną odzonką bioenergefów
i hodowalnych w krępalnicach
kolicznej ambulatoryczności
niem piosęcując moralną bliźnię*

Wiersz *Replikator* wyrażałby aspiracje człowieka do zastąpienia Boga własną osobą? — *Współczesny biologicz powiastwo wysiłku realizowalnej?* — L.D. jej replikatorni pamięję genetyczną ganulakim, przy pomocy której niakulany istotki można by stworzyć z jednej iabiczki.

Domniemając biologii wiedzę jednak nie tylko w powierzchownym działaniach człowieka — jest to również głębię przekształcone o tym, że nie pojawił się nagłe we wszechświecie, że nie od razu był tym, kim jest teraz, że nie jest zgodnie wyodechawanym z otoczenia. Siła jest w tej poeży poczucie wiały z innymi ganulakim i z ludźmi żyjącymi wczesniej. Jak Szymbrowa w *Przeźnaczeni w biurze zerozno*, dawniejce przedziawia genetyczną historię, pojedynczą osobę w ludzkim chwiałow rodzeniu”, tak Chabrowski w *Rozwójlanio* uderzająco podobnie opisuje twarz człowieka — tyle że w pierwszym wypadku uziarnaszem przebiega niejak o w dischronii, w drugim — w synchronii. Warto przytoczyć oba fragmenty:

*Nie wiem nawet dokładnie, gdzie zorientował panary;
Kto chłodzi w moim futrze, kto wierzka w mojej skorupce.
(...)
Dawno przyświdelanem na to wystraszono przebiecie oka,
nieobsługanem na to plewą, wrozynakim ganulakim.

patrzam na własne ręce, głukoie silnycho
dobyka, sprwadzał matke czasu przychłecie
do głowy, garbaty marchew nosa,
oszczędko trenic pod skorupką پوستak*

Ale i Chabrowski patrzy na świat globalnie, jakby z perspektywy Boga: gniodniezoci epki (*Miedlowa Arabiozka*, spręzga wick IV w wielkim elektroniki), wierzcząca wymarle traktuje jak żyjące i na odwrót (*ZOO w przetrzest, Wśniekce iksologiczne*). Jednocześnie poraż! wczuć się w mikrowiatł muchy, cofnąć do świadomości epki kruzajki. Czemu służą te podróże w czasie i przestrzeni?

Pojęcie czasu występujące w tytułowym wierszu tomiku wydaje się szczególnie ważne. Paradoksalnie czas, w którym stale żyje, jest dla człowieka czymś nieprzemakającym. To „głębokość czasu” oznacza się przed człowieka Bóg. Świadomość, że za powłokę i histazie zabraknie tenazioszczelki”, popycha niektórych do życia zakomago. Wiersz *Przeznaczenie* wbrew tytułowi wydaje się raczej opiewem tenazioszczelnej kłękki:

*(...)ukwano sklano dźszicze
i wickery
Istnie do trawien na korozionie
znialują wierzko co żywe.*

Dziemnicem, twada do zisterperpowania „opizka pleśń” wydaje się ciągle pokrywają „wszystko”. Żyjemy „we wszechświecie bez rozumu i wyobraźni, którego nie da się

podkreślał świątami a słowc wygnani równowaga i termiczna z otoczeniem". Język karmodźszek oddzielił od wiary zamiast do niej przybliżyć. Czas, w jakim żyjemy, jest człowiekowi nieprzychylny, ale pomaję: inne epoki można się dowiedzieć, że zawsze było trudno żyć i zawsze człowiek mógł wyłącznie zadawać pytania niepewny odpowiedzi:

*Wszystko co jest,
jest nagi zmyślony zmyślenie,
nieodpowiedzialny zmyślenie,
nieodpowiedzialność naszej świadomości
podświadomości, nasz kresek
zdradzających w nieokreśloność.*

(Rozmyślania)

Rzeczywistość, choć omylna, jest poecie bardzo bliska – w niej to przecież „odczuwa” się obecność Boga.

Język Kwiatkowskiej w felietonie na temat poezji Jana Twardowskiego pisał kiedyś o „wektorze poetyckim” skierowanym niepoetywo dla literatury sakralnej, bo „z góry na dół” („Twórczość” 1981, nr 7). Coś podobnego występuje również u Chabrowskiego, tyle że w sensie bardziej dosłownym. O ile Twardowski przedstawiając postaci świętych w realiach życiowych przybliżał tym samym światłość życia i codziennego ubóstwa, Chabrowski wiwatkośnie wraca do materialnego, namacalnego obrazu boskości. Owe karawak „góra dół” podjęty jest dosłownie – często jako obraz realny, spójający niby marzną z niebem, transcendencję:

*(...) Duchka Świętego słowczyku karze
łapi się w granatowych kulachki arpanama*

(Święty Hieronim)

*wierney Twojej Matko wazechraczyz,
prorodzący z nieba jak łnieg piomę;*

(Modlitwa św. Euzabeta Diakona)

*Czy w chwilań najpobojniejszego ślupstania
potraficie za odnowy wyśpaci: dwojdombi
złozat przydziej łaski,
distrze: wubieży pach nasion,
dytrajce basie jej kwiatostanu?*

(Dziasek łaski)

Jak Twardowskiewicz, należy Chabrowskiemu na więcej „z pospółką rzeczywistością”, której w klasztorach i nie tylko, tak często brakuje. Tytułowi „amisi” to już nie ładnie, bo cech typowo ludzkich są podważać:

*oklebowani z dożybu,
czucia i ślachu,
nieśliczy między głuche
kicany światym,
trawidły, trawany
at do wyśniewania wazychich
wzdrów, ulew i wietności.*

„Wyśniewanie” nieoczekiwane nabiera w tym kontekście znaczenia pejoratywnego. Ideą głoszoną w poetyckim credo Chabrowskiego są zgłoba odmienne:

*a ja mądę Boga miłniejszego
mnie! za światka, kłócić się z kraktem
o jańszcze nieba,
wznowiciami kłócić nasycal! plucha
i jęskotem zwłazić korę brzozy*

(Wymyślenie Rudy Wielobrodego)

*Widę wósbog od moraliści woswólci,
Mójczak na wierzce płazów wósbog wybrzdali.*

(Gretek piarwoswólci)

To deklaracje poety. Ich realizacja przebiega w sposób bardziej lub mniej udany. Próby humoru wydają się nieraz zbyt wysyłone (jak w *Modlitwie do duchowoszczego*), ale zdarzają się i perły dowcipu, rzucane jakby mimochodem (Słupki). Udane powiązanie wybrzdali i unuzi przynosią przyrody znawcówwoli wierszem *Katodra zieloni*. Nakreśliły w nim obraz kosiolika w przyrodzie jest tak sugestywny, że zgodnie z intencją poety rzeczywistość może „obumartym echem (...) przywieści życie”. Szasza okazuje się imuzia twórcy, aby nie bał się rzeczy, które choć brudna, mogą ułożyć się w piękną literacką rzeczywistość, rzeczywistość nieosiągalną w świecie „wyśniewionym”, wyśniewionym nie tylko u bakterii, ale i słów (s. 76). Nieodpowiednie już nie preratawa poety, jest bowiem podległa od tworenia ludzkiego, wierzże zawsze musi odnieść od idealnych zamierzeń, ale nawet jako wypychany (ideologia) kogni (symbol byczy ludzkoży?) – jest jakak próbą tworenia i świadectwem o twórcy (*Niewspojeni*). Słowa Juliusa Renarda: *Muzo o rzeczach wielkich, to ci przymajemy! pozwól zrobić kilka małych* wydają się najczściej uzasadniać sens tej poezji. Można powiedzieć więcej: tak tworenia może sprzyjać także stworzenie kilku rzeczy dużych. Najważniejszą sprawą, o której mówi poezja, jest to, że możliwe jest spraczenie ciała i ducha, nie tylko w czwieku, które Chabrowski stworzył definicją jak „długowitkawa w ładzie kości i skóry”, ale i poza nim: Bóg jest w przyrodzie, a ona w nim („Półkolka kwiatów w Oku *Opotrzeć*”). I tylko tak, w gwałtownym, skomputerowanym i zagrożonym beznymiżnymi eksperymentami genetycznymi świecie, można odnieść harmonię.

Juliusz Chabrowski: *Gręki* znow. Wydawnictwo Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1994, str. 128.

TADEUSZ SZKOLUT

PO CO CZŁOWIEKOWI POTRZEBNY JEST NARÓD?

Świat końca XX stulecia rozdzielany jest przez dwie przeciwstawne tendencje: z jednej strony obywatelom nasilanie się procesów globalizacyjnych w dziedzinie politycznej, gospodarczej (przebieg w towarach, siły roboczej, kapitału), informacyjnej; z drugiej – odradzają się rodzime separatyzmy lokalne, budzi się pragnienie narodowe i samookreślenia, prowadzące nierazko do krwawych konfliktów etnicznych i religijnych. Obszary te zjawiska – dążenie do unifikacji i ruch w stronę fragmentaryzacji – podkopują fundamenty państwa narodowego, które nie jest w stanie skłamać im się przeciwstawiać. W tej sytuacji polacyjczki opinia, że scentralizowane państwo narodowe, będące typowym wytworem epoki nowożytnej, zmarszone będzie odjeżdżać wraz z tą epoką. Pomocniczością ma być czasem, w którym poczucie więzi jednostki z daną wspólnotą, narodową będzie coraz mniej istotne dla kształtowania jej tożsamości. Przyrzekło należeć będzie do nowej klasy wysoko wykwalifikowanych profesjonalistów (Robert Reich nazwa ją „analitykami symbolicznymi”), którzy dzieląc się w wielkich podnarodowych korporacjach, nie będą związani żadnymi lokalizacjami narodowymi. Owi „obywatelowie świata” stanowiący „artyficyjne talenty”, nie będą po prostu potrzebować takiej archaicznej formy potwierdzenia w swojej osobowej wartości, jaka była nigdyś duma z przynależności do narodu, siły emocjonalny związek z jego dziejami i jego kulturą.

Książka Antoniny Kluskowskiej *Kultura narodowa w korzeni* w sposób nader dobitny włącza się w ową dyskusję nad znaczeniem kultury narodowej dla skostytowania się tożsamości jednostki, a zwłaszcza stylizuje namysł nad fenomenem polskości. Dziś, kiedy z różnych stron słyszemy frazes o „prawdziwym Polaku”, kłębem archaizmie przypisuje się jednolitą genealogię i określone (wyłącznie pozy-

emocjonalne? Badania wykazują przecież, że nawet członkowie elity kulturalnej narodo- wy wykazują pod tym względem istotne braki. Podobnych klępotów następcą kwestia brania tożsamości polskiej z wiarą rymskokatolicką. Docierając w pełni historycz- nej przeszłości Kościoła dla utrzymania polskości, nie sposób odnieść autentycznej polskości wyznawcom innych religii czy też ateistom.

5. Pytania i wątpliwości można by mnożyć. Skłania to do wielkiej ostrożności w wydawaniu jakichkolwiek „certyfikatów narodowości”. Jedną z najmłodszych i kontro- wanych, która zawodziemy książkę A. Klozkowskiej, jest stwierdzenie, że model przeszłości przez jednostki swoje przynależności do wspólnoty narodowej są bardziej zróżnicowane. Nie istnieją również jakieś „jedne” „zasady”, typów życia Polaków. Twó- rowi, prawdziwy Polak to – w świetle autorki – jedynie stereotyp, który oszpeca model być użyty w walce politycznej, ale niewiele ma wspólnego z rzeczywistością.

6. Konstrukcja pojęciowa o charakterze postulatowy (podobną do stereotypu „prawdziwy Polak”) jest dla autorki również pojęcie kultury ogólnoludowej. Kultu- ra uniwersalna określa ona stanowią „abstrakcyjną funkcjonalność”. Jedyną kulturą kultu- rą jest jeszcze postulatami dotknięcia do rzeczywistości. Prowadząc się do badania pre- sensu prowadzone przez uczonych zachodnich (J. Wallersteina, Ch. Taylor i inni), Klozkowska stwierdza, że hasło uniwersalizacji kultury było (i nadal było) przyrządką dla hegemonii kultury państw produkujących w procesie globalizacji. [...]propozycja za- szpejenia ludzom wszelkich kultur idealnej różnorodności sfera uniwersalnażności z- szpejeniaż moście spreparowałaż się w teoriiż i praktyce do narzucenia jednemuż wzorcuż kultury uniwersalnej dla politycznie dominującej grupy, a przedmiotowejż kulturyż szpejeniaż odciążenie niewieleżnegoż cywilizacyjnej różnorodności” (s. 421). Pełna uniwersalizacja kultury (oczywiście chodzi tutaj o autotulenie i nie instrumentalne funkcje kultury symboliczne, albowiem te ostatnie są niezbędne dla sprawnego komunikowania się w skali światowej) oznaczałaby faktycznie narzucenie innym narodom jakiejś kultury „głównego matu”) i likwidację różnorodności kultu- ry narodowych.

7. Czy istnieją zatem jakieś sztywne algorytmy różnicującemu emocjonalnym „właści- wość” kulturową a uniwersalizmem? Autorka uważa, że stępy historyczne ogólnoludowej kultury mogą tworzyć tyko narody świadome swej odrębności oraz wzajemnie uznają- je i akceptujące wspólne elementy swego dziedzictwa. Szczęśliwie dla innych i innych kultur narodowych ma swą podbudowę w uniwersum własnej kultury narodowej. Postawa- wa otwartości na innosć – jak to u nas nie – oznacza wcale rezygnację z tego, co stanowi rdzeń własnej kultury, wzorce przynależne – to właśnie niektóre zakorzenienie w rodzimej kulturze pozwoli jej członkom dotrzeć i przyswoić wartościowe elementy innych kultur. Różnorodność kulturowa w tej perspektywie traktowana jest nie jako zagrożenie, lecz jako szansa (ale tylko szansa!) wzbogacenia i własnej kultury narodo- wej.

8. Odnosi się to również do postaw jednostkowych. W tak częstych w dzisiej- szym świecie sytuacjach pograżonych jednostki zawierające są między sobą różno- rodni narodzi i odmienneż wzorach. Bezpośrednioż szpejeniąż zaburzenia tożsamo- ścioweż osobowa, niepewność (ambivalencja), dyktantów psychologicznych. A. Klozkowska pokazuje wszakże (i jest to niewątpliwie jedno z bardziej doświadczeń współczesnych, zawartych w omawianej książce), iż możliwe jest także pozytywne i wzajemne bądź nawet polowanież kulturowa, której może, aczkolwiek nie musi, twarzyć się podu- ne samookreślenie narodo- wej jednostki. Wprowadzając pewien ton wartościujący, auto- rka konstataje, że *biologiczna może być osnową za odporność na szpejeniaż KX wiatu* – *kerwinna szpejeniaż i szpejeniaż. Biologiczna i partykularystyczna szpejeniaż szpejeniaż z szpejeniaż opok. Szpejeniaż rdzeń w kerwinna uniwersalizacji, ale nie jednego szpejeniaż rdzenia, abstrakcyjnego uniwersalizmu, rzucanie swoje indywidualnych biologicznych problemom. Nie jest ona porzucenie związku za wspólnoty narodu, lecz – przede wszyst- kim – możliwość rozszerzenia tego typu związku” (s. 424).*

Najpełniej ów wzorec wiedza – zdaniem autorki – Józef Czapski. Wybitny malarz i znanym pisarz potrafił połączyć głębię i emocjonalną przynależność do kultury polskiej z twórczym przywoływaniem świata innych kultur, co dostarczało mu źródło bo- jów do pełniejszej ekspresji swej osobowości. Tożsamość autorki. Na nieśmiałość złeż jest jednocześnie narodo- wami narodo- de, ale zakazuje nowocześnie elementami w teoretycznych kultury – miotyjskiej, francuskiej, niemieckiej. Dżemini Czapkowskiego są świadectwem, że przynależność do jednego narodu i przyznając zdecydowanie szczącemu pierwowiedźtwa

jego kulturze, można jednocześnie zintensyfikować w swej tożsamości elementy in-nych kultur narodowych. Należy zgodzić się z autorką, że taka postawa uniwersalizacji sprzyjonej i polowanież, zakorzenione w jednej kulturze współdziałające z otwo- rnością na dziedzictwo kulturowe innych narodów, jest postawą jak najbardziej godną polecenia w dzisiejszym świecie.

Reasumując: Książka A. Klozkowskiej to przykład nader rzetelnej roboty naukowej. Autorka dowodzi, że o sprawach skomplikowanych i wzbudających wiele emocji (a do takich niewątpliwie należy sprawa narodu) można mówić klarownie, bez spóźnienia i bez uproszczeń. Jednocześnie *Kultura narodowa i korzeni* zawiera przemyśle pewnego słownika, który – między innymi – potrafił przemienić tak potrzeb- ną nam w obecnej sytuacji historycznej dyskusję o tożsamości Polaków z pozorna politycznych słożnów na poziom dyskusji naukowej. A. Klozkowska jak na uczono- go przysłało sunka wszelkich politycznych „wycieczek”. A jednak wolno widzieć jej studium własną siłą w debacie politycznej w naszym kraju w przedmiotu względu do struktur europejskich. Właściwe są tym sense, że dostarcza argumentów nie tym, który traktują publistwo jako istniejące „zarządzająca”, tożsamości jednostek, lecz tym, który w państwie i kulturze narodowej upatrują czynnika przetrwałającego jedno- stnostkom swobodnie tworzenie i ekspresję własnej tożsamości.

Autorka Książki: *Kultury narodowe a korzeni*. Wydawnictwo Krakowe PWN, Warszawa 1996, s. 470.

WALDEMAR MICHALSKI

„POWRÓT” ADAMA ZIELIŃSKIEGO

Adam Ziełiński, piarz polski z austriackim obywatelstwem, publikuje równoleżle w języku niemieckim i polskim. Poprzez losy swych bohaterów ukazuje zawiła pro- blematykę społeczno-polityczną krajów Europy Środkowoeuropejskiej. Jest autorem m. in. następujących książek: *Garbusi narodzi* (wydanie niemieckie 1990, polskie 1993) – raport z XIX wieka o deprivacji komunistycznej i zniwoleniu totalitarnym; *Nicolaso Wieslowski* (wydanie niemieckie 1992, polskie 1993) – rzecz o upadku ligulow- ni i konfliktach etniczno-religijnych, *Clity Danaj* (wydanie niemieckie i polskie w 1994) – migracji i biedziomoności na przykładzie obużo do uchodźców koło Wiednia; *Powrót* (wydanie niemieckie i polskie w 1996 r.) – dramatyczne losy polskiej rodziny ze Stryja – panorama wydarzeń z lat 1937-1996 nie tylko dotyczących środkowej Europy.

Ziełiński udzielił wielu wywiadów, z których najobszerniej przeprowadzony został przez Adama Ziełińskiego i ma postać książki pt. *Z Adamem Ziełińskim widzieć nieżony* – opowieść o ryzyku, aporze, ciżniowej tajemniczości, bułgarijskiej tragedii i wielo- dziej nostalgic (Kraków 1995).

Bibliografia podmiotowa i przedmiotowa dotycząca Adama Ziełińskiego obejmuje liczne publikacje w wielu językach (m. in. niemieckim, polskim, angielskim, rosyjs- kim i szwedzkim). W Polsce o prozie Ziełińskiego pisał m. in. Anna Brołkowska, Leszek Żalikowski, Jan Penczeruchowski, Aleksander Szarek – przez austriackiego PEN Clubu, Wł Jaworski, Edmund Rosner (imn. Ziełiński rdzeń byskwiczym kariera jako piarz (choć zadabujący dopiero po „szczęśliwym”), Poszukuje odpowiedzi na najtrudniejszą pytania nieszczęśliwych i wykluczeń. Definiuje współczesne pojęcie zła, szuka oparcia w przyjaźni i miłości, które choć mają różne imiona nie znują granic ani barrier politycznych.

Urodził się w 1920 roku w Druhużywie (wchowywał w Stryju). Po wojnie studi- ał ekonomikę odcywał w Warszawie i Krakowie. W latach pięćdziesiątych był redakt- orem Krakowskiej Rady w Krakowie. W 1957 r. wyjechał wraz z żoną do Wiednia i pobył „geizelwyl” się do dnia dzisiejszego. Wykorzystując m. in. znajomość języka rosyjskiego i angielskiego pracował jako doradca handlowy – „staj się złą z nar- daziej popularnych i barwnych postaci Wiednia” (opinia Tadeusza Kraki). Dzięki korzytnym transakcjom (m. in. z Chinami) uzyskał niezłeżmożni materialną.

WYLADOWANIE Z AKUMULATORA CIERPIENIA

Książka to okazały zbiór wierszy z różnych czasów roku. Wydaje się, że nie powinna ona zalegać półki księgarskich i to nie tylko z uwagi na swój niewielki nakład. Dzieła wybrane Andrzeja Bury są nadal niezwykle aktualne, chociaż autora już od niemal czterdziestu lat nie ma w świecie żywych.

Na Ukrainę jego wieniec były tłumaczone niezbyt często. Dwa spośród nich, w interpretacji Dmytra Pawlyczki, zamieściła *Antologia poezji polskiej* jeszcze w latach niedzieńszych. A dopiero teraz – ta książka.

Książka jest dwujęzyczna. Na sąsiednich stronach zamieszczone są tu oryginalne teksty Bury w języku polskim i przekłady ukraińskie. Oprócz prawie czterdziestu wierszy znalazł się tu również studyjny „złoty przodek” – krótkie noweli, które z powodzeniem mogłyby być zakwalifikowane jako obszerne wertyble. Okunajdujemy w nich ten sam, nieco karkołomny świat Andrzeja Bury, w którym przyszło żyć nie tylko jemu i której przedstawił bez wstydu i bez przemilczenia.

Czy *wziąć wielkie, szstawni paleniska, konia obciążonego kłopotliwym obywatelstwem* i *brudnymi kłopotami gospodarką? Kosi kłosa, wokupe w ziemię, nie posiada żadnych wartości pogowitowej, nie słychy do niczego. Wytanowił na deszcz, miedź i szkarłat świętocy balon, dotknięty przez wiewsy i błądliwy cierpienie. Jednego fundacja.*

Tak rozpoczyna się nowella *Kosi, chimeryczna w swej realnej brutalności. Podważenie z Kalka, uzyć powięzi, znów wydaje się wstawione – z nieznaną przyczyną morder konia są wokupe w ziemię i sam nie jest on w stanie ruszyć z miejsca, a cały sygnifik, jaki rolni w tym celu pod ciosami buma, ponawia tylko jego adwers. Kosi jest więc akumulatorem cierpienia.*

Ta nowella kończy się książką i ten szczegół jej struktury z pewnością nie jest przypadkowy. Czyż nie takim samym akumulatorem cierpienia, kondensatorem bitu był sam autor, Andrzej Bura – poeta, który przeżył załobowe środowiska pięć lat jego życia przypadło na lata wojny i powojnia. Tak pisze w słowie wstępnym tłumacz i redaktor Wolodymyr Pawłow o całym pokoleniu A. Bury: *oni wyłkali się ze szkarłaty swego dzieciństwa jako psiatka, które nie obrwały jeszcze piercion świadomości, że na szkły pamięć obraz „nowocześności” – nowoczesności, którego nigdy nie przyjęli.* Pokolenie niewygodnych i nieokreślonych młodych ludzi rzeczywiście cierpiących z powodu fanabuzji i braku szczerości w czasach, w których przyszło im żyć, z powodu zachodu panującego w zanieczyszczonej zwałach masach i hotelach robotniczych, zapalenia żółdki niezaczęli, który zmniejszyć się i rozszerzawożywał przedwonną topią swój żal w kieliszku – są praktykującym przedwonną ich w swoich wypowiedziach wypowiedziany Bursie Marek Hlasko.

Poezja Bury jest w eobcis przestankista ostra, szacująca ironią. Oto *Modlitwa dzięczynowa z wyznaniem*:

Nie uczynił mnie ilagym
Dzięk Ci za to Panie
Nie uczynił mnie garbatym
Dzięk Ci za to Panie
Nie uczynił mnie dziesięćmi alkoholi
Dzięk Ci za to Panie
Nie uczynił mnie wodogłównem
Dzięk Ci za to Panie
Nie uczynił mnie jakąkolwiek karłem
epileptykiem
karłowatym jakimkolwiek mchem ani niczym z faunty i
fory
Dzięk Ci za to Panie

Nie uczynił mnie jakąkolwiek karłem
epileptykiem
karłowatym jakimkolwiek mchem ani niczym z faunty i
fory
Dzięk Ci za to Panie

Ala dlaczego uczynił mnie Polakiem?

Pawłów w przedmowie szkarnie zauważa, że niedługo młody Ukraińiec nauczy się tego wiersza na pamięć, zastępując jedynie słowo „Polakiem” słowem „Ukraińcem”. I nie tylko tego, ale i innych wierszy, w których nie będzie już musiał nie zmieniać – *Różniczkowo-kamieniem. Dasz psiatka, Nie, W burzy, W powieży. Jest to poezja bardzo aktualna, gdyż tworzona w okresie, gdy podobnie jak dzisiaj, poezja nie była potrzebna nikomu. (Gdy zrozumiemy we wszystkich czasach.)*

W wierszach *Poeta oraz Dyskurs z poetą A. Bura* ostatnio stało ten właśnie problem – niemożność pogodzenia realnego życia z miszkańcarnym stworzeniem poety, jako pryncy psiatka i wspaniałosi. *Robota liczyć Dyskurs... stworza problem jak przedstawia w poezji zapadła.*

rozważałości w jak najpełniej sygnalizuje

złoty przodek w wierszu „złoty przodek”

Jak w wyobraźni wstawiono go czytelnik zupełnie odruchowo domawiając sobie inne okoliczności dyskusji z poetą – dwupiętrowy przycup, zapłata posadzki. Gdyż w naszym wieku (i w naszym społeczeństwie) wielkość takich spotkań (z poetami, artystami, uczonymi) odbywała się albo w więziennych celach albo w pokojach przeżuchania.

Interesującym swoistym dysonansem z kontekście tego tomu są wiersze *Wino i deszcz*, w których A. Bura przedstawia się jako prawdziwy lirzyk, czytelny i delikatny. Okazuje się, że jego spojrzenie dostrzega także to:

Przez złoty park mój pies kamkawa joni

Wierusorka w ślicznych rudy orzech chowa

Opowiada mi moją mado łona

O przebrnych rybakach wędliczących w dąbroskach

Wolodymyr Pawłow, który jako bezkompromisowy publicysta i autor tomu poezji, ustosunkował się do twórczości Andrzeja Bury takłownie. Tłumaczeń dokonał ze smakiem, ostrością i starannością. Jedynym nieszczęściem może być dość duża liczba polonizmów, ale również jest naturalnie – książka przystojnowana była i wydana w Łwowie, a galicyjski wariant języka ukraińskiego rzeczywiście jest nasycony takimi słowami.

I na koniec należy jeszcze zaznaczyć, że wydanie to zrealizowano przy wsparciu Komisata Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej we Łwowie oraz Izbyczy czytelników, by było im łatwiej zdobyć książkę.

Przekład rezerwy z języka ukraińskiego
Grzegorz Kaspranowicz

Andrzej Bura: *Dzieła wybrane*. Opiewano, psiatki i dymo wargami – Wolodymyr Pawłow, „Kawczyca”, Łwów 1994.

ANDRZEJ K. WASKIEWICZ

POWAGA

W 1995 r. Krystyna Selaga opublikowała retrospektywny Wybór wierszy (pisalnym o nim w „Wiadomościach Kulturalnych” 1996, nr 2), tenz now i stare utwory zebrała w tomie zatytułowanym *Pisalnym*. Przechodzi ona – pisze w wierszu otwierającym zbiór – *kiedy zaczynało odruchowo powracać / życie narzuć powraca /*. Zmienia perspektywę, ale przecież nie zmieniała dotyczących wsi i przedwładców.

Odwołania do dzieciństwa, ale także wzmianki o smutnych rodzicach, świadomości, że nagle jest się samym i skazanym na siebie. I to co zawsze było jedyną z najważniejszych problemów tej poezji: obserwacja (i ocena) rzeczywistości społeczeństwa.

CHORY NA AIDS/ waje się w marnej / przez kłopotliwy wiał / / opieszaleca głoda / postaru /

I zloty plaszcz idei/na niewidzialnych ramionach/ w smogotych otłazach/ walcących korbą w drzewa... Tej poezji zarwać była obca koncepcja celu uluwigającego, idea sprawdas się w społecznej praktyce. Problemem nie jest – by przywrócić dośki powozachin rezygnację – ani „stym” ani „antisk”, ale – tak powiedział, społecznie przyzwolenie. Ona jest po stronie tych, co Drógę rozpoznają/ Człz nisko pochylają głowę, wie bowiem, że Człz głową podniesioną/ W blasku ślępną i, dodajmy, gdy jeden blask zgąśnie, natychmiast szukają nowego, łąby go mogli wsielbić.

Ani zachwyt ani potępienie, czołna uwaga na twarzach i splechniętych/ zechodzą/ odczytują. I przedświadczenie, że *Jedyną na mojejziemioży/ to poczucie wspólnoty.*

To ostatnie zdanie pojawia się w wierszu poświęconym pamięci matki. Cyfrowane wcześniej o złotym plaszczu idei” – w wierszu poświęconym ojcu. To też jedna z możliwości budowania wspólnoty poprzez pamięć o wężach rodzinnych. Z całym szacunkiem dla odmienności postaw.

Korzeniami w ziemię, tak tytał nosił debatancki tom Szlęgi (1967). Możemy go odczytać jako dążenie do zakorzeniania w doświadczeniu – realnym, osobniczym. Może ono być konfrontowane z innymi, ale zawsze stanowi punkt odniesienia. Ważne jest nawet wtedy, gdy – jak pisze w wierszu *Północ* – *abyzralaby go tylko ona jedna.*

Nowsze wiersze Szlęgi przybierają często kształt nformozmów. Mądre i trafne, czasem okrutne w swej intelektualnej przewrotności. Ja wszakże wolę większe struktury, gdzie do głosu dochodził zysiol liryczny. Tam partie bliskie aforyzmozy-definicji wchodzą w interakcję z rekonstruującymi autobiografię, zwierzeniami, obcasami poetyckimi. Tu śpiewają mają charakter intelektualnego dyskursu, choć przecież nie bez odwołań do sfer doświadczeń.

Ik tak właśnie skomponowany jest ten – komentarzpunktowo. Biografia komeńtaje intelektualny dyskurs, prywatne zwierzenie znajduje dopełnienie w uogólniającej definicji, to co społeczne komeńtuje to co osobiste. Scjalęjąc „rozrypane w zgiełku światła” ...

Krzysztof Szlęga, *Północ*, Oficyna Kształnienia Poetów, Kraków 1997, ss. 41 + 3 zsh.



Janusz Przybylski, *Atelier*, gwasz, 1996

Ω plastyka Ω

LECHOSŁAW LAMENSKI

Magia sztuki Janusza Przybylskiego

„Istnieje dwóch odbiorców mojej sztuki. Jeden to ten stworzony przez moją wyobraźnię, posiadający moje rozumienie sztuki i moją wrażliwość, moje wady i zalety (dla niego małej). Drugi to ten, o którym nie wiem i który reaguje zgodnie ze swoim cjas. Bynajdy obrazy w mojej twórczości, które stanowią porozumienie dla tych dwóch odbiorców, a także bywają obrazy, które ich dzielą. W jednym i drugim wypadku nie świadczą to źle ani o malarstwie, ani o odbiorcy” – zanotował pod datą 10 kwietnia 1980 roku Janusz Przybylski. Być może te kilka zdań – jedne z wielu jakie napisał artysta – pochodzą z dziaruzka prowadzonego przez niego od lat, dziaruzka będącego kroniką najbardziej ulownych i intymnych uwag związanych z jego sztuką, życiem oraz otaczającym go światem.

Janusz Przybylski (rocznik 1937), to bezspornie jeden z najciekawszych, a zarazem najbardziej znanych i cenionych artystów polskich, laureat wielu prestiżowych nagród (na czele ze Złotym Medalem uzyskany na XI Biennale Sztuki w San Paulo, w 1971 roku). I chociaż nie można go uznać za pomysłodawcę czy twórcę nowego, awangardowego nurtu w sztuce końca XX wieku, to jednak jego bogaty i różnorodny dorobek plastyczny (z równą swobodą i pasją wypowiedział się zarówno na polu malarstwa, grafiki jak i rysunku), wzbudza uzasadnione uznanie krytyków i aplauz licznej widowni. Tak jednych jak i drugich pociąga mistrzostwo formalne zastosowanych środków wyrazu, rzadko stosowane w artystów współczesnych nasycone poszczególnych kompozycji rzeźbioną treścią (czy otoczną, jednoznacznią i tą ukrytą, złożoną, do odczytania pod dążącym kontakcie z dziełem), a zwłaszcza wyczuwalna na każdym kroku radość tworzenia, prawdziwa eksplozja uczuć i emocji „w odpowiedzi na dani dani sytuacji system znaków i form plastycznych.

Od ukończenia studiów w warszawskiej ASP w 1963 roku (dyplom z wyróżnieniem w pracowni Aleksandra Kobzaleja, tego od „Podaj cęgle”) upłynęło już blisko trzydzieści pięć lat. Lat, w trakcie których talent, początkowo młodego artysty w pracowni malarzkiej Jerzego Teborszewskiego, a obecnie statecznego profesora w tejże samej ASP (w której prowadzi pracownię malarstwa), był wystawiony na ustawiczne pokusy i impulsy płynące z zewnątrz. To, że Janusz Przybylski potrafił zachować

własną tożsamość plastyczną czytelną w malarstwie, rysunku i grafice, trzech różnych dyscyplinach plastycznych uprawianych na przemian – bez zahamowań technicznych, w różnym czasie i miejscu – z niebywłą łatwością, to efekt silnej osobowości absolwenta poznalskiego PLSP (tego samego, kto ukończyła Teresa Pagowska), a także – jak sądzi – efekt wielu różnych relacji mistrz–uczeń. Rozmów do jakich dochodziło (bo musiało dojść) pomiędzy Kobedelem a zuchwalonymi, przekonanymi o własnej wartości i szlachetności głoszących poglądy studentem, który po raz pierwszy został zauważony jeszcze w szkole średniej otrzymując I III nagrodę na Międzynarodowej Wystawie Szkół Artystycznych w Dortmundzie (Niemcy) w 1954 roku. Nie zapominajmy wręcz, że mistrz kojarzony przez przeciwnego widza polskiego – zapewne niesłusznie – wyłącznie z realizmem socjalistycznym, tworzył właśnie sugestywne obrazy materii i rozpoczął cykl dramatycznych, całkowicie abstrakcyjnych „Szczelina”.

Tolerancja Kobedeja, jego wyrozumiałość i otwartość, a zarazem duża kultura artystyczna i osobista, chęć porozumienia się z uzdolnionym poznaniakiem spowodowała, że Janusz Przybylski nie popadł w sztywną maniery, nie stracił nic z autentycznej świeżości i naturalności, które towarzyszą mu od chwili, gdy po raz pierwszy wjął w dłoni zwykły ołówek i licho, kupiony w kiosku pedzel.

W połączeniu z autoironią i krytycznym spojrzeniem na nurtujące go kwestie ogólnoludzkie, na miejsce i rolę człowieka we współczesnym świecie, talent artysty pozwolił zbudować mu własny, prywatny świat znaków plastycznych, świat równie ciekawy dla niego samego jak i dla wrażliwego odbiorcy, bez którego nie mógłby istnieć i rozwijać się przez te wszystkie lata.

Naturalnie, trzydziści pięć lat pracy wódrzej obfitowało w zjawiska na tyle silne i różne, że znalazły one swoje odbicie w dorobku Przybylskiego. Wiele krytyków, podobnie jak sam artysta, chętnie dzieli ją więc na kilka podstawowych etapów, analizując pojedyncze dzieła, charakterystyczne



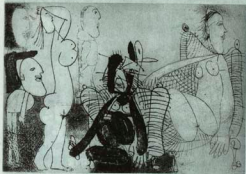
Janusz Przybylski, Lit 2 – Goya, litografia, 1977, seria z nagrodą w kategorii

(typowe) dla danego okresu lub omawiające całe cykle obrazów, grafik i rysunków, obecnych w artystycznym oeuvre twórcy od samego początku. Postawa niezaprzeczliwie szlachna, porządkująca i ułotwiająca odbiór tak bogatej i różnorodnej twórczości, ale są w niej wartości uniwersalne, funkcjonujące niezależnie od przyjętych klasyfikacji i podziałów.

Wydaje się, że na pierwszym miejscu należałoby wymienić otwarcie sztuki Janusza Przybylskiego, jej humanistyczne przesłanie. Świeta znajomość zbiorów muzealnych Europy i Nowego Jorku, fascynacja malarstwem hiszpańskim (szczególnie twórczością Goi, Velasqueza i Picassa), dobra orientacja w malarstwie francuskim i włoskim (tak dawnym jak i współczesnym) spowodowały, że artysta nasz, podobnie jak wielki Katalończyk Pablo Picasso adaptuje – bez trudu, w sposób jak najbardziej naturalny – dla potrzeb własnego warsztatu – przetworzone fragmenty postaci, elementy stroju i towarzyszących im rekwizytów. Zapożyczone w dużej mierze od triki wielkich Hiszpanów, pozwalają wyrażać ponadczasowe przesłanie, wartości ważne dla wszystkich.

Kompozycje Janusza Przybylskiego to rozbudowane moralitety o złożonej, barokowo osobowej, nie do końca odgadnionej treści, wnikliwe studia psychologiczne stanów ludzkiej podświadomości, w których znak plastyczny, jego forma i akord barwy stanowią jeden z najważniejszych aspektów wypowiedzi, nieustającego dialogu artysty z odbiorcą. Wiad, który staje przed obrazem, rysunkiem czy grafiką Przybylskiego poza wrażliwość estetyczną dla oczy, musi podjąć wyzwanie artysty próbując zrozumieć jego intencje, zamiar. I choć nie zawsze się to udaje, to jednak obecność w pracach, w których rozbudowana warstwa anegdotyczna zawsze wespół z pełną życia pląmą i kreską, uzupełnioną – wcale często – o klasyczne elementy collage'u, a także czytelną fakturę, przynosi radość i satysfakcję.

Rzecz zastanawiająca, że gdy błędnie wzmrokiem po płaszczyźnie płótna lub kartona, smakujemy sugestywne fragmenty nagich ciał kobiecych, spoglądamy w oczy zaleforemowanych i okaleczonych twarzy, penetrujemy zakamarki anonimowych wnętrz, stnowiących tło (kultury teatralne) dla



Okropczywanie, akwaforta barwna, 1985

sceny figuratywnej, bądź też cieszymy wzrok harmonią barw, nie myślimy o technice, sposobie powstania tych dzieł. Janusz Przybylski osiągnął efekt paradoksalnie niematyalowy do zrealizowania: zatępnął granicę pomiędzy obrazem, rysunkiem i grafiką. Jego grafiki, nawet te czarno-białe są bardzo malarskie, a wiele z obrazów staje się znacznie bliższych w wyrazie sugestywnym rysunkom. Zresztą artysta chce się łączyć interesujące go techniki, mieszając z łańcic diabelską zgrzeźniczość i anielskim wyczuciem, na jednym arkuszu papieru, czarno-białą akwafortę lub akwafortę z kolorową litografią. Fascynacja czernią, wymieszana z zauróczona twórczością Gof i Velasqueza, połączona z wrażliwością rasowego kolorysty, uzupełniona nieustanną walką o materiałność kompozycji, ich fizyczną spójność, nadszaje dziełom Janusza Przybylskiego tak oczekiwany rys indywidualny.

Artysta tworzy szybko, żeby nie powiedzieć bardzo szybko, ale poszczególne kompozycje to – wbrew oczekiwaniom – efekt wielu posiedzeń, kilkanaście, a nawet kilkudziesięciu godzin wyjętej pracy w atelier nad prostokątną płaszczyzną płótna naciągniętego na bieżniach czy dużą kartą dyktando, czystego kartonu. Mając naturę wrażliwca, Janusz Przybylski bylejakie przenosi na płótno bądź papier pierwsze impulsy, zakodowane w pamięci układy kresek i plam, pierwsze jakże ważne elementy nowej kompozycji, aby następnie długo i mozolnie dopełniał je o kolejne akcenty. Poza dbałością o spójność, niewymrzną harmonię użytych środków wyrazu, artysta odczuwa nieopamowaną potrzebę nadawania struktury szarego płótna i gładkiego papieru, pokrytych kilkoma warstwami farby, bardzo konkretnej – miejscowej – faktury. Stosowanie pędzla, szpachli, pórka, a nawet rylica równocześnie, na różnych etapach pracy twórczej, przynosi spodziewane efekty. Obrazy i grafiki Przybylskiego frapują nie tylko treścią i współgrającą z nią konkretną formą plastyczną, ale również mistrzostwem technicznego wykonania. Zjawisko tym ciekawsze,



Błęsne kolo J., litografia barwna, 1976

że bez względu na to, jak dluo artysta pracuje nad kolejnym dziełem, zawsze zachowuje ono naturalną świeżość i nie małe ulotność letniego poranka z jego niepowtarzalnym klimatem.

Może to zasługa pojedynczej kreski, prostej i zdecydowanej, która w mgiełnieniu oka układa się w linię bioder, kształt dorodnych piersi czy sugestywny profil głowy ludzkiej z wyrazistym, mocno zarysowanym nosem, a także kreski kapryśnej, falistej i drapieżnej, tworzącej wspaniałe suknie balowe, ozdobne koronki, wymyślne kapelusze i woalki. Może o wszystkim decyduje kolor – od monochromatycznych, wyciszonych i wysmakowanych zestawień bogatych brązów i szarości, po orgiastyczne akcenty żółci, fiolela i czerwieni, pojawiające się z reguły na jednym z punktów kompozycji. A może po prostu zapewnia to ich rozbudowana – na sposób teatralny – treść, czytelne związki z literaturą, wielką sztuką hiszpańską, a zwłaszcza rozważania nad losem ludzkiej jednostki?

Wydaje się, że sztuka Janusza Przybylskiego nie mogłaby istnieć bez bagażu ludzkiej cywilizacji, jej wielowiekowego dorobku kulturalnego. Artysta obdarzony przez naturę wyjątkowym talentem plastycznym i narracyjnym, rozwija przed nami – widzami końca XX wieku – wspaniałą opowieść o słomnościach ludzkiego losu, o grzechu i zbawieniu, opowiada o zakłamaniu i fałszu, potęgą pychy i głupoty, zachęca do miłości i tolerancji. Z optymizmem patrzy w przyszłość. I dopóki pozostanie choć jeden myśliwy, wrażliwy na piękno świata, sztuka Janusza Przybylskiego będzie z pewnością ciągle aktualna i potrzebna.

Lechosław Lameński

Wieloletni pracownik Instytutu Sztuki w Warszawie, w latach 1964-1970 kierownik oddziału sztuki w Muzeum Narodowym w Warszawie. W latach 1971-1975 kierownik oddziału sztuki w Muzeum Narodowym w Warszawie. W latach 1976-1980 kierownik oddziału sztuki w Muzeum Narodowym w Warszawie. W latach 1981-1985 kierownik oddziału sztuki w Muzeum Narodowym w Warszawie. W latach 1986-1990 kierownik oddziału sztuki w Muzeum Narodowym w Warszawie. W latach 1991-1995 kierownik oddziału sztuki w Muzeum Narodowym w Warszawie. W latach 1996-2000 kierownik oddziału sztuki w Muzeum Narodowym w Warszawie. W latach 2001-2005 kierownik oddziału sztuki w Muzeum Narodowym w Warszawie. W latach 2006-2010 kierownik oddziału sztuki w Muzeum Narodowym w Warszawie. W latach 2011-2015 kierownik oddziału sztuki w Muzeum Narodowym w Warszawie. W latach 2016-2020 kierownik oddziału sztuki w Muzeum Narodowym w Warszawie. W latach 2021-2025 kierownik oddziału sztuki w Muzeum Narodowym w Warszawie.



Nopolskon, akwaforta, 1979

Ocalony świat Simchy Nornberga

(Na marginesie lubelskiej wystawy)

Simcha Nornberg, z jednej strony – człowiek doświadczony przez historię – walczący antykomunizm, działacz ruchu syjonistycznego, więzień sowieckiego łagru. Z drugiej – człowiek sukcesu – polityk, znany adwokat, wreszcie malarz. Urodził się w 1918 roku w Polsce, od 1948 roku mieszka w Izraelu. Kolejne jego losy były bardzo burzliwe...

Kilkanaściami Simcha przez krótki czas pracował w Krakowie jako pomocnik mechanika reperującego maszyny do szycia. Szybko stwierdził jednak, że nie jest zainteresowany taką pracą i postanowił podjąć naukę. W ciągu kilku miesięcy samodzielnie przeobraził program kilku lat szkoły średniej. Po zdaniu egzaminu przyjęto go na wydział klasy hebrajskiego gimnazjum. Po maturze został studentem prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Kiedy wybuchła wojna, Nornberg zdecydował się na ucieczkę na wschód. Po spędzeniu dwóch miesięcy w łowiskach został studentem „wopiatlińskiego łagiera”. Z łagru trafił do Orska, na Urat. Tam, dzięki pomocy napotkanego Żyda, znalazł pracę. W 1946 roku, po sześciu latach pobytu w obozie na pewien czas do Polski, z zamiarem dalszej podróży do Palestyny. Tymczasem osiadł na Śląsku i zostawszy członkiem Centralnego Komitetu Żydów zamieszł w Katowicach pierwszą szkołą z językiem hebrajskim. Jego antykomunistyczne przekonania i działania zmusły go do szybkiego wyjazdu z Polski. Znalazł się w Paryżu, a później – wraz z rodziną – udał się do Izraela.

W Izraelu zainteresował się polityką i otrzymał funkcję generalnego sekretarza partii liberalnej, członka egzekutywy Światowego Kongresu Żydów. Krótko trwała jego fascynacja polityką. Przypomniał sobie, że nie zakończył edukacji prawniczej – na swoim koncie miał tylko dwa lata studiów. W 1955 uzyskał dyplom, a po niepełnym roku od ukończenia studiów założył własną kancelarię adwokacką.

Na początku lat siedemdziesiątych, będąc wziętym adwokatem, postanowił poświęcić swój czas malarstwu. Malarstwem, kłębem był wierszy już od szkoły podstawowej, kiedy malował plakaty na uroczystości szkolne. Wkrótce po sukcesie pierwszej wystawy w Chicago w 1972 roku sprzedał znakomicie prosperującą kancelarię adwokacką. Kolejna wystawa – w Bostonie – utwierdziła Nornberga w przekonaniu o słuszności podjętej decyzji, z którą nosił się już od dłuższego czasu.

Simcha Nornberg jest obecnie jednym z najwybitniejszych współczesnych malarzy izraelskich. Wbiegnięty roku jego obraty po raz pierwszy pokazano w Polsce. Dzięki współfinansowaniu lubelskiego Biura Promocji, Miasta Urzędu Miejskiego, Otocenia „Brama Grodzka – Teatr NN”, Society of Jewish Culture Festivals oraz Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie prace Nornberga ekspozycyjne były w Krakowie i Lublinie. Dlaczego Kraków? Urodzony w małej podkarpackiej wsi, w Krakowie spędził młode lata. Tam pracował, potem kształcił się w Uniwersytecie Jagiellońskim. Dlaczego Lublin? Pierwszą pracą był tutaj rok temu. Miał to kojarzyć się zawsze Nornbergowi z urodziną „Jeszywa Chasidnei Lublin”. Był to – jak mówi malarz – żydowski Ośrodek.

Krótko i Lublin w sposób szczególny związane są z historią народа żydowskiego, stąd też nieprzychylnie miłoby zaszczyt gościć wystawę i samego malarza. Simcha Nornberg odwiedził Polskę na przełomie czerwca i lipca br. i wzięł udział w uroczystym wernisżu krakowskiej wystawy swych obrazów, akwari i rysunków. Niestety, nie otworzył ekspozycji prac w Lublinie. W dniu wernisżu, na ręce dyrektora Otocenia „Brama Grodzka – Teatr NN” Tomasza Wdowińskiego nadał list do artysty:

Moż Kochani,

Niestety, nie damy mi jest być razem z Wami na otwarciu mojej wystawy w Lublinie. Lublin był i pozostał nieuczynnym czynnikiem w rozwoju kultury żydowskiej w ostatnich

stuleciach w Polsce. Pozostały tylko po tym zatarte ślady tej sławnej przeszłości. Ja w mojej twórczości staram się odwoływać do ślady świata, który był, a którego więcej nie ma i nie będzie. Z całego serca dziękuję tej garstce cudzych ludzi w Lublinie, którzy mają zrozumienie dla tego.

*Z Wami, z uczuciami miłości
Simcha Nornberg*

Nornberg pokazuje nie istniejący już żydowski świat i sprawia, że przez chwilę można usłyszeć głos murykarników na żydowskim weselu, przypatrzyć się rabinom i ulicznymi sprzedawcom, podziwiać piękno kobiecego ciała, przyrody, kwiatów... Mimo nutki tęsknoty artysty za światem, który odezwał, obrany przemawiają do widza ciepłem malowanych postaci, radością z przywrócenia ich na chwilę do życia.

Malarstwo Nornberga stanowiło swego czasu ujęcie dla nagrodzonego bólu człowieka, który przeżył holocaust. Artysta pokazywał świat, który odezwał, postacie,



bez tytułu, rysunek tuszem

które nigdy nie powróca. Oddawał w ten sposób swoisty hołd historii. Po dziesięciu latach malowania „tematów żydowskich” Normberg zaczął fascynować się otaczającymi mu ludźmi, przyrodą. Na jego obrazach pojawiły się piękne kobiety, kwiaty, pejzaże, malowane radośnie, żywiołowo i niezwykłe ciepłymi barwami.

Simcha Normberg jest artystą wszechstronnym. Maluje obrazy olejne, akwarele, tworzy rysunki, gobeliny i sztaluce. Wiele znawców dostrzega w jego pracach treści przekazywane przez dzieła Chagalla. Podczas wystawy prac Normberga w USA jedna z krytykerek nazwała twórcę „drugim Chagallem”. Podobnie jak u Chagalla, twórczość Normberga jest określona przez jego żydowość. Jego imię – Simcha – oznacza po hebrajsku radość. Posiadać takiego polaka nie może krzewić antyki i melancholii. Przesłaniem Simchy Normberga jest pokazywanie wspaniałoci otaczającego go świata, pięknych krajobrazów, urokliwych pejzaży w sposób prosty, szerokimi, jakby pospieszonymi pociągami podłóża, przy wykorzystaniu wszystkich dostępnych kolorów. Z habością kreśli obrazy ciepłymi, malowanymi barwami.

Współczesna twórczość artysty ściśle związana jest z Jerozolimą. Swoją miłość do niej porównuje z miłością do matki. W 1996 roku Uniwersytet w Tel Awiwie otrzymał dywan, ufany według jego obrazu *Jesili* z dziełami *Jerozolima*. Dywan powstał dla upamiętnienia rodziców, brata i siostry z zaproszenia artysty, zamordowanych w Polsce w czasie II wojny światowej.

W latach 1992 – 1996 jego prace ekspozowane były na dziesięciu wystawach, m.in. w Chicago, Bostonie, Genewie, Tel Awiwie i Jerozolimie. W roku bieżącym do grona galerii goszczących prace i samego Mistra dokazywały Muzeum Uniwersyteckiego Jagiellońskiego i Ośrodek „Brana Grodzka” – Teatr NN.

„Simka Normberga w całym swym wyrazie jest triumfem ludzkiego ducha wobec nieszczęścia” – napisał profesor Murray Ronen w przedmowie do kataloga wystawy w Park Gallery w Tel Awiwie w 1989 roku. I w tych słowach zawiera się cała wielkość artysty.

Magdalena Potrzycka-Walczak



Żydowski wesele, olej na płótnie

• film •

ALQUICZ MICHAŁSKI

Obraz pogranicza w pracach Zygmunta Samosiuka

Zakrety historii, schielet starego świata, pogranicze kultury dawnej i współczesnej zawsze były kuszącym wyzwaniem nie tylko dla pisarzy, ale i dla filmowców, których ambicją było odzwierciedlenie przemijającej epoki. Koniec wieku XIX kalendarszowo określony datą 31 grudnia 1900 niektórzy przesuwają aż do wybuchu I wojny światowej.

Film wyraza z literatury. Przykładem twórczego wykorzystania przełomu XIX i XX wieku w filmie polskim mogą być adaptacje *Lekcji marneвого* Jerzyka Andrzeja Kaśniewicza i *Austerli* Juliana Strykowskiego.

Pierwszą powieść filmował Janusz Majewski, drugi Jerzy Kawalerowicz i oba te filmy stały się znaczącymi dokonaniami kina polskiego, w czym niepoślednią rolę odegrały zdjęcia Zygmunta Samosiuka, znakomitego mistrza kamery i kolorowej taśmy.

Próba portretu

Zanim Samosiuk stał się wybitnym operatorem filmów fabularnych, pracował w Wytwórni Filmów Dokumentalnych dla PKF i zrealizował kilkadziesiąt tematów. W końcu lat 60., kiedy kino światowe przysycone było nowymi zdobyczami technicznymi, a triumfy w kinie popularnym odnosił Leclouch, powodowane prądnymi zachodnimi kino polskie zmieniło swój styl, śmiało dotykając tematu współczesnego. Właśnie w takim czasie trafił do fabuły Zygmunta Samosiuka, który debiutował jako operator w *Polowaniu na muchy* Wajdy, będącym próbą odnowienia języka filmowego naszego znakomitego reżysera. Krótko po tym razem zrealizował *Kraj-obraz po bitwie* według opowiadań Tadeusza Borowskiego. Trzecim wspólnym filmem była ekranizacja opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza *Brzezina*, jedno z największych osiągnięć filmu barwnego, w którym praca operatora Samosiuka osiągnęła wysoki poziom i niespotykane dotąd w naszym kinie wysublimowane piękno plastyczne.

Zygmunt Samosiuk potrafił godzić swoję pierwotny zmysł dokumentalności i fotograflka z przemyślami zabiegami stylistycznymi, kompozycją kadru, wymogami zmieniającego się sposobu oświetlenia. Sam przyznawał się do swoich dokumentalnych korzeni, z tamtego okresu wyniósł zamiłowanie do pracy w nietypowych warunkach i gotowość do współdziałania z reżyserami o odmiennych stylach. Samosiuk był operatorem o wielkich zdolnościach transformacyjnych, potrafił znakomicie sprostać wymogom kolejnych reżyserów, odczytując ich intencje. Umiał znaleźć doskonale porozumienie zarówno z twórcami o rodowodzie dokumentalnym, jak Jan Łomnicki, Krzysztof Gradowski, Marek Piwowski czy An-

drzej Trzost-Rastawiecki, bądź też wielkimi kreatorami jak Andrzej Wajda czy Piotr Szulkin.

Walterian Borowczyk, wracając po wielu latach do kraju i przystępując do realizacji *Dezium grazech* właśnie w Zgumnie Samosiu zobaczył swojego operatora. Film odniósł niespotykany sukces w połowie lat 70., a Borowczyk udowodnił, że możliwość popularnego potraktowania literatury bliższego gatunku nie musi wcale oznaczać rezygnacji z ambicji artystycznych.

Niezrępadkowo dwukrotnie wybrał Samosiuka na swojego operatora norwieskiego reżyser, absolutnie PWST w Łodzi Hakaan Sandoy realizując *Ogień oraz Dugny*. Samosiuk był lubiany jako artysta i jako człowiek. Cenił go pewną ręką w sferach improwizowanych, wycieczki i smak, kiedy chłodził o sceny będące rozwinięciem założonych reguł scenizacyjnych. Z równą swobodą poruszał się w konwencjach secesyjnego dawnego Krakowa w filmie o muzie Fryderykowskiego, jak i luźnego i przenikliwego spojrzenia na młode pokolenie w *Trzeba zabić tę miłość* Janusza Morgensterna. Potrafił z równym powodzeniem opowiadać o kolejnych przypadkach komediowej trylogii o Karagiulach i Pawlakach w *Kochaj albo rzuć* Chełkiewskiego, jak i o historycznym zniechęceniu dynastii Jagiellończyków w *Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny* Majewskiego. Jego czule oko i plastyczny smak wybierały z opowiadanych historii elementy świeże, niekonwencjonalne.

Miał wszechstronne przygotowanie nie tylko warsztatowe ale i estetyczne, a przy budowie wtyłu odchodzącego świata, nakreślonego przenikliwie przez Andrzeja Kuśniewicza w *Lekcji martwego języka* niewątpliwie pomocne było mu także wsparcie reżysera Janusza Majewskiego, który temat galicyjski nosił w sobie od najmłodszych lat.

Dekadencja, krysy, umieranie

W tej barwnej i wysmakowanej opowieści o umieraniu nie tylko obserwacja wydawała się ważna. Samosiuk potrafił odmalować kamerną świat chyłący się nieuchronnie do upadku. Razem z porzucenikiem Kiekiecitrzem, trawionym nieuleczalną chorobą, odchodzi on w zapomnienie wraz z całym systemem wartości, nie wiec dzwignego, że głęboki smutek i melancholia przepiętnia kadry i działania głównego bohatera. Czujnie się wszędzie nieuchronność losu takich postaci, który starają się odejść w przeszłość z powagą i osobliwym honorem.

W ślad za Kuśniewiczem podążamy w tym filmie przesyconym klimatem śmieci w stronę galicyjskiego miasteczka Turka, który leżąc na obrzeżach cesarstwa austriackiego, tak samo jak on srykuje się do odejścia w przeszłość. Niezrępadkowo po sam roku to jedna z tamtejszych jesieni, w której zawsze oddane można znaleźć śmieci przyrody, odchodzenia świętości i kolorów. Ma więc Samosiuk poczucie, jak kiedyś w *Krajowizmie po bitwie i Brzezynie*, możliwość głębokiego studium przyrody, uchwycenia przemijalności natury i wyrażenia za pomocą kamery jesiennego zamierzenia. Znamienny kolorysta możliwość tę wykorzystuje z sobie właściwym talentem, nie popadając w żaden szalony ani początkową widowskowskość. Kamera wprowadza widać w świat porzucnika Kiekiecitra, chorego na gruźlicę, ulana c.k. przuszaję się w półmroku po sprężkach, rękociśca szabl i przedmiotach pokoju hotelowego, gdzie mieszka bohater.

Kiekiecitrz od samego początku zdaje sobie sprawę, w jakim okresie żyje, mówiąc że jest to „bywanie w niebie”. Berzyskiowisko sytuacji protagonistów filmu bierze się z ich osaczenia, zamknięcia w odizolowanej od świata Turce. Hotel, budynek stacyjny, przejeżdżające na front pociągi, pokój wachmistra, to obrazy wywidzione ze świata kresowego. Jak w słynnym wierszu Tuwima, tak i tu rozgrywa się dramat niedołęzłego młodzieńca, który nie zdołał wyzwoić się z kokonu młodzieńców fascynacji.

Ratowanie znikającego świata

Postać Kiekiecitra znakomicie interpretowana przez Olgierda Łukaszewicza ma charakterystyczne cechy dekadencji, wyrażające się w nie pozabawionym biuła przygotowaniu się do wystruszonego pokonywania wojennych niedogodności, jak też do odejścia w poczucie dobrze spełnionej służby. W opowieści o tragedii odchodzenia w przeszłość pewnej epoki Samosiuk wprowadził czterokrotnie sekwencje z dominanta fiolelu. Jak z uparcię śmionego snu, który nie opuszcza porzucnika, wylewają się zdarzenia z przeszłości: wygrzebywanie z popiołów małego pokażka Artemidy, pesyfikacja jakiejś wioski, pluton egzekucyjny, pożar cerkwi. Swoją kolekcjonerską pasję najwięcej perzaczek i rzuwaniem rzeszek, odchodzącego świata. Jego pietzyna dla nazw dawnych win, kiekielzów i zabrudzonych talerzy jest sposobem życia, który obowiązuwał dotychczas. Jednak wojna pogrzebze dawny porządek, nie tylko usunie resztki ideałów, którym wierny jest porzucnik, ale wymiecie też nowe idee. Według słów jednego z bohaterów higiena i cywilizacja zajmą miejsce ciemności, brudu i zacoftania. Wskazujący się oddział jeńców rosyjskich, którym przewodzi alian-oferna, znużyje trupy zasypanych żołnierzy jeszcze z kampanii karpackiej. Kiekiecitrz dowiadując się o tym wydarzeniu nie tylko potrafi uszanować pamięć zmarłych, ale także wzrokiem ekskubować i odprawic pogrzeb z popem na okolicznych cmentarzu.

Metoda filmowej transpozycji

Filmowe kadry Samosiuka są wyważone kolorystycznie i przesycone klimatem tak charakterystycznym dla tamtego czasu. Oddział jeńców, snujący się po lasach z ciągle tym samym refrenem, wiedznie o interesach tropniewiący Żydzi, leniwie w kontyguacje codziennie czynności dyżurny żołnierza na stacji Turka. Zasluga operatora jest także konsekwencja, z jaką w filmie budowany jest nastrój i klimat. Pomimo osadzenia akcji w porze jesieni Samosiuk unika hwtých zestawień kolorystycznych i dba o kontrolę nad kadrem z pełną świadomością zamierzonych wty. Rygorystycznie trzymając się założonej na wstępie filmu konwencji, wygaszanie jaskrawych kolorów, kontrolowanie nasycenia światłem kolejnych scen sprawiają, że *Lekcja martwego języka* należy do najlepszych osiągnięć sztuki operatorskiej w polskim kinie i jest dowodem, że świat przetrzeźni filmowcy zbudowany konsekwentnie i w sposób namyślony może wzbogacać adaptację wybitnej literatury, stanowiąc zarazem wkład w rozwój języka filmowego.

Porucnik Kiekiecitrz umiera wraz ze światem, do którego należał; na nie zda się dyskusja z von Trautem o zadawaniu śmierci, o żądzy zabijania obcej w prostym kierowaniu odruchem naciskania karabinowego spustu. W końcowych scenach, kiedy straż z szosiera do jeńca w lesie między symbolizować powrót sił witalnych, przechodzi nagłe śmieć, którą lekarz Stiglizzer wczelnie zapowiedział. Ponure, pełne drwiny jest zawołanie żołnierzy o kapitulację w scenie, kiedy młody porucnik jeszcze czuje życie i odchodzący świat. Końcówce sceny, kiedy po śmieci Kiekiecitrz trafia wraz z ubożonymi przedmiotami do prostej trumny, w której odbędzie swoja ostatnia podróż, mają swój wymiar w samoczyściszajęcej się smiegu, który spada tu jakby zaprogramowany. Właśnie ta biel, wokół znikającego w oddali pociągu, symbolizuje mroźną i bezkarną Epoką dawniej monarchii odchodzi w przeszłość wraz z jej przedziaławieniem i jesiennych pejzażem. Nastająca zima przemienie i życie odrodzi się z wiosną, jednak takich żołnierzy jak Kiekiecitrz będzie każdego roku mniej.

Spełnienie żydowska na zakręście historii

Austriacki Berzego Kawalerowicz oparta na powieści Juliana Strykowskiemu zajmuje się analizą tragicznej sytuacji galicyjskich Żydów w mo-

mencie wybuchu II wojny światowej. Także i tu fachowa koncepcja artystyczna, w której niemal rolę odegrały zdjęcia Zygmunta Samosiuka, przyniosła polskiemu filmowi artystyczny sukces.

Już na początku społeczności żydowska wyraźnie niegrodzi na historyczną sytuację wybuchu wojny gwałtownymi szeptami: „Wesół do miasta, nawet do drzewi nie zapukać”. Od pierwszych sekwencji jesteśmy świadkami chaotycznej ewakuacji tej społeczności, która zmieszana jest uciekając z kresowego miasteczka przed oddziałami kozackimi. Mamy tu zróżnicowaną grupę ludzi o różnorodnych poglądach, spierających się pomiędzy sobą, nawet w obliczu zagrożenia żywiącą dążeń konflikt i urazy.

Uciekający Żydzi znajdują chwilę schronienia przed wojennym chaosem w austerii, którą zarządza stary Tag, znakomicie interpretowany przez Franciszka Pieczkę. Ten przymusowy postój staje się dla twórców filmu znakomitym materiałem dla analizy ludzkich postaw, bogatej charakterystyki postaci, gdzie nie tylko ważne są indywidualne rysy, ale też stosunek do obrzędów, religii i dziejących się wydarzeń.

Samosiuk portretuje grupę znajdujących czasowe schronienie Żydów jako społeczność, która swoim zachowaniem określić się w zaistniałej sytuacji dziejowej. Z jednej strony dawne spory i wadnie, niespodziewana wojna, z drugiej zaś zachowanie grupy wobec nieuzasadnionej śmierci młodej dziewczyny. Każda z postaci musi odnaleźć się wobec zmieniających się bardzo szybko wydarzeń. Stary Tag musi zająć stanowisko wobec swojego uczucia do gorącej i młodej Jewidochy, Blanka wobec egzotycznego męża zdrażanego z węgierskim żołnierzem.

Z biegiem akcji społeczność austerii zagęszcza się o powracających chałdów, którzy także tu znajdują schronienie. W grupie tej jak w soczewce skupiają się niemal wszystkie problemy, którymi żyła społeczność polskich Żydów kresowych, znajdujących się w czasie wybuchu na granicy pomiędzy walczącymi przeciwnikami. I choć słyszalny protest wyrażony w słowach: „Tu jest Austria a nie Kiszyniów” i zapewnienie: „Cesarz ma żydowskie serce”, to widać, że nadschodzi bolesna chwila samokreślenia w tym konglomeracie narodowości żyjących daleko od siebie.

Znaki plastyczne, poetyckie symbole

W *Austerii* jest wiele scen zainscenizowanych z olśniewającą brawurą. Należą do nich: tańiec i śpiewy chałdów, podpalanie przez kozaków wozu ze zwłokami Asi, kuszenie Taga przez Jewidochę. Trzeba przyznać, że Jerzy Kawalerowicz osiągnął w *Austerii* po raz kolejny szczytową formę. Czując nad rozwichrzonymi losami swoich bohaterów niczym wytrawnym demurą. Kamera Samosiuka wywołuje świat kresowych społeczeństw w sposób nie tylko prawdziwy, ale też głęboko przejmujący. Film jest wielkim poetyckim symbolem, kolejnym obrazem umiarnia; waleś dawny porządek świata, a wojna, której odgłosy słychać w austerii, przypomina kółko dziejów. Po tej wojnie zginie wiele narodów, upadną cesarstwa, a historia mordów i gwałtów przybierze niewyobrażalne rozmiary.

Żydowska społeczność, tak długo żyjąca w zespoleniu i zgodzie, sama zaczyna się dzielić, stając przed wyborem albo asymilacji, albo wierności religijnym przykazaniom. Rozpoczyna się proces dialogotwałego sporu o imperdibilita, który stanie się powodem wielkich ruchów migracyjnych weonatrze nie tylko młodych narodów, ale i ciałych kultur religijnych.

Władnie ten wielki dziejowy chaos, który rozpoczyna się wraz z wojną światową, został w ekranizacji *Austerii* bardzo dobitnie zasygnalizowany.

Natura w opozycji do dramatu

Austria jest filmem rozegranym w scenarii dojrzałej przyrody. W przeciwieństwie do późnej jesieni *Lekcji martwego* jej mamy tu dojrzałość wczesnego lata. Samosiuk jak wytrawny pejzażysta wybiera naturalny

plener w dramatycznych scenach pary młodych kochanków; żwim usłyszymy strzał i upadnie Asia, widzimy pole. Pora dojrzałości zaznaczona jest jeszcze zielenią łąk, zwozonymi wozami sianem, stodołą pełną zapachu skoszonej kłki. W takiej porze tym trudniej pogodzić się z dramatem wojny, jaka toczy się wokół. Miałyby więc obficie plony zostać zniszczone? Niestety na niezachodność ludzkich losów przyroda nie może mieć wpływu. Kolo historii toczy się bez względu na przyrodę i naturę. Wojna zalega od ludzi, przyroda należy do Strwicy.

Wieczorem slychac wystrzały i widac pożary nad miastem, widoczna z austerii sciana ognia i dymy przywołuje ponurą rzeczywistość. Plastyczny powściągliwość Samosiuka widac także w dramatycznych scenach finałowych, kiedy grupa kaplucyich się w strumieniu chłabodnych gline od kul nieokreślonych napastników. Ten finał ma swoja symboliczną wymowę. Strumień czystej wody zmienia coraz bardziej swoja barwę, staje się czerwony – od krwi ginących Żydów.

Zarówno *Lekcja martwego* języka jak *Austria* są od strony plastycznej popisem dojrzałości twórczej Zygmunta Samosiuka. Jego osiągnięcia w filmie fabularnym na przestrzeni 15 lat pracy operatorskiej przechodziły różne fazy, od formuły paradoksalnej, poprzez stylizację do wielkiej poetyckiej metafory. Bogactwo osiągnięć kolorystycznych, wyczuć i pletyzm, z jakim traktował detale, szeroka gama nastrojów wyrażona plastycznymi znakami, to niepowodzenie osiągnięcia przedwczesnie zmarłego artysty. Jego praca w omawianych tu filmach nie tylko wzbogaciła język polskiego kina, ale potrafiła też oddać zamierzający świat kresów dawnej Polski. Pokazała w wysublimowany sposób nieachotność ludzkich losów, umiarnia kultur i ocalki je od zapomnienia w głęboko bezmyślnych kompozycjach wydobycających nastrojów minionego czasu, jego złośliwy klimat zarówno historyczny jak i psychologiczny.

Wraz z przedwczesną śmiercią Zygmunta Samosiuka kino polskie straciło wybitnego artystę, ogromny talent polskiej szkoły operatorskiej.

Alaży Michalski

Książki nadesłane

Wydawnictwo „Polihymnia”

Robert Tomala: *Objawiający cież*, Lublin 1997, ss. 45+3 nb.

Janusz Kozłowski: *Nad freskiem oczu aurorel. Myślicielstwo postaw Skana*, Lublin 1997, ss. 45.

Zofia Nowacka-Witczek: *Widok z lotu słowa*, Lublin 1997, ss. 61.

Zofia Nowacka-Witczek: *Dla mnie to frazka*, Lublin 1997, ss. 63.

O *mice chleba* (Almanach Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego i Plastycznego zorganizowanego przez parafie św. oca Maksymiliana Kolbe w Lublinie). Red. Janusz Kozłowski, Polskowie Urszula Bogiewicz, Lublin 1997, ss. 60+36 ilustracji barwnych.

• taniec •

DARIUSZ KUBINOWSKI

Tradycyny i współczesny folklor taneczny. Spór o pojęcia

Między folklorem a folkloryzmem

Pojęcie folkloru często pojawia się w języku potocznym w określeniu twórczości związanej z kulturą ludową i to zarówno jeśli chodzi o dawną kulturę chiopską, jak i myślenie o obecności jej elementów w kulturze współczesnej w formie przetworzonej (np. w postaci scenicznych prezentacji zespołów folklorystycznych). Tak szeroko wykorzystanie tego pojęcia zasadniczo odbiega od jego naukowego rozumienia. Jednakże mimo pojawienia się w języku naukowym terminu folklorizm, służącego do określenia wszelkich form wstępnego funkcjonowania dawnych treści folklorystycznych, nadal samo pojęcie folkloru różnie definiowane jest na gruncie teoretycznym [zob. Krawczyk-Wasilewska 1986].

Józef Burszta dokonując rozróżnienia między folklorem i folkloryzmem, wskazuje na następujące cechy obu tych zjawisk kulturowych. Folklor jest to zasób określonej wiedzy i twórczych umiejętności artystycznych danej społeczności. Folklorizm natomiast polega na celowym stosowaniu wybranych treści i form folkloru w sytuacjach specjalnie aranżowanych. Folklor ściśle związany jest ze społecznym podłożem funkcjonowania danej grupy i stanowi odbicie warunków jej życia oraz przekształca się wraz ze zmianami w kulturze tej społeczności. Folklorizm polega na wydobyciu z zasobu tradycyjnej kultury pewnych jej elementów, które są atrakcyjne z określonych względów, oraz prezentowaniu tych treści w mniej lub bardziej przetworzonej postaci. Folklor utrzymuje się w świadomości członków danej społeczności i przekazywany jest drogą tradycyjnej transmisji bezpośredniej w pełnym kontekście życia tej społeczności. W folkloryzmie elementy folkloru odtwarzane zostają od swych naturalnych nośników oraz swego naturalnego środowiska i powoływane są niejako do wstępnego, sztucznego funkcjonowania na szerszym forum. Następuje przy tym często odwoływanie się do dokumentacji folklorystycznej, która staje się źródłem wszelkich opracowań artystycznych [1974, 309-312].

Powyższy wykład cech folkloru i folkloryzmu poszerzony został przez Wojciecha J. Bursztę na zasadzie komplementarnego dopełnienia. Zauważył on mianowicie, iż nosiciele folkloru są równocześnie jego twórcami, wykonawcami i widzami, natomiast w folkloryzmie pojawia się, programowo niejako, rozdzielnie funkcji nadawców (aktorów) i odbiorców (widzów) [1992: 199].

Viola Krawczyk-Wasilewska posługuje się terminem „przekazu folklorystycznego” i traktuje go jako styl elementu kultury (dawniej i współczesnej). Formuluje przy tym jego cechy konstytutywne, a mianowicie funkcjonowanie wyłączone w oparciu o ludzką pamięć bez odwoływania się do jakichkolwiek form rejestracji (zapisu), nieustanne modyfikowanie

się przekazywanych treści kulturowych w procesie transmisji z pokolenia na pokolenie, kolektywność twórczości polegająca na grupowej obiektywizacji jednostkowych aktów kreatywnych oraz stałe reinterpretowanie wzorców kulturowych wyrażające się w wykonywaniu opartym na imitacji [zob. 1986: 31-37].

Pojęcie folkloru tanecznego

Przechodząc do określenia pojęcia folkloru tanecznego, rozpoczniemy od analizy definicji zaproponowanej przez Gracynę Dąbrowską. Otóż definicja wraz z następującym bezpośrednio po niej komentarzem, który pośluży jako istotny punkt odniesienia w dalszych rozważaniach. Na folklor taneczny – zdaniem Dąbrowskiej składa się *kinetyczna strona zjawiska, jakim jest taniec wykonywany dla własnej wyłącznie przyjemności przy nadarzającej się okazji i towarzyszącej muzyce instrumentalnej lub wokalu w naturalnym środowisku wiejskim w sposób dla tego środowiska charakterystyczny, inny niż na zabawach w mieście. Wobec zachodzących przemian w kulturze środowisk wiejskich w kierunku urbanizacji i zaniku tradycyjnych tańców ludowych, folklorem tanecznym wypadnie określić również wszelkie świadome opracowania autentycznych tańców różnych regionów, pokazanych w sposób zamierzony w warunkach scenicznych* [1981: 295].

Taka stanowisko implikuje dwie, problematyczne z punktu widzenia współczesnej wiedzy o folklorze, tezy. Przyczek ich błąd odwołanie na gruncie teoretycznym zasadniczo decyduje o zakresie przedmiotu badań nad folklorem tanecznym.

Pierwsza z nich głosi, iż pojęcie folkloru tanecznego odnosi się wyłącznie do historycznej już dźki kategorii tradycyjnej kultury ludowej oraz do środowisk wiejskich. W rzeczywistości dawna chiopska kultura taneczna wypełniona była pewnie wyściskami elementami folklorystycznymi. Nie oznacza to jednak, że nie występują one w pozawiejskich czy współczesnych kulturach tanecznych. Roderyk Lange zwrócił na przykład uwagę na fakt, iż ten typ tradycji charakteryzuje również taneczne kultury społeczności domplejskiej czy subkultur we współczesnych miastach [1990: 14]. Wydaje się, iż przejawy folkloru tanecznego nadal możemy odnaleźć w obrębie kultury wielu społeczności niezależnie od środowiska ich życia. Dotyczy to zarówno procesu tworzenia się nowych wzorców kulturowych takich, jak i mechanizmu przekazu elementów kultury tanecznej.

Druga teza dotyczy poszerzenia pojęcia folkloru tanecznego o „świadome opracowania autentycznych tańców różnych regionów”. Jest to założenie sprzeczne z podstawowymi przesłankami kategoryzacji J. Burszty, dotyczącej cech folkloru i folkloryzmu. Zgodnie z nią wszelkie opracowania sceniczne należą bez wątpliwości do podstawowych zjawisk z dziedziny folkloryzmu a nie folkloru. Nie jest istotna przy tym jakoby swobodna opracowania, gdyż nawet przy bardzo dokładnym zrekonstruowaniu tradycyjnej formy tańca sam fakt zaprezentowania jej publiczności w warunkach scenicznych wyklucza takie działania z zakresu folkloru. Zwłaszcza bowiem stanowi związek tańca z kulturą grup społeczną, w ramach której dana forma wykształcała się. Pojawia się nowy kontekst, a tym samym zasadniczo zmieniająca treść i funkcja zachowanych tanecznych. Trudno zatem zgodzić się z taką propozycją poszerzenia zakresu pojęcia folkloru tanecznego.

Definicję folkloru tanecznego, uwzględniającą nowoczesne spojrzenie na zagadnienia folkloru, sformułował Roderyk Lange. Mianem folkloru tanecznego określa mianowicie *ogół nie utrwalonych tradycji ludzi, jakie oni uprawiają w tańcu popularnym, to znaczy nie instrumentowym profesjonalnie i nie skodyfikowanym w postaci zapisu* [1990: 14]. Tak określone pojęcie folkloru tanecznego zgodne jest z wykładem cech folkloru pod-

nym na wstępie, a zamykała na posługiwaniu się nim w badaniach i studiach nad współczesnością. Zawarta w nim konceptualizacja pozwala bowiem na identyfikację w obrębie danej kultury tanecznej elementów o charakterze folklorystycznym.

Folklor taneczny w obrębie chłopskiej kultury historycznej

Tradycyjna społeczność wiejska należy już dziś do historycznych formacji kulturowych. Okres kształtowania się jej kultury i funkcjonowania w postaci względnie autonomicznej w Polsce przypada na czas od ułaskawienia chłopów na przełomie piętnastego i drugiego połowy XIX wieku do mniej więcej I wojny światowej [Burszta 1976: 440].

Systemem chorealnej kultury tradycyjnej operuje się na przekazanie bezpośrednim typu folklorystycznego w warunkach izolacji kulturowej. Przejawy twórczości artystycznej dokumentowane w badaniach etnograficznych stanowią więc rezultat kontynuacji lokalnych tradycji i innowacji, szczególnie uzdolnionych jednostek spośród członków dawnych społeczności wiejskich. Podkreślić jednak należy wyraźnie, że kultura chłopów sąsiednich kształtowały się i rozwijały w symbiozie z kulturami innych klas społecznych, a wymiana elementów kulturowych i procesy ich adaptacji były dwukierunkowe [Dobrowolski 1958: 61-63].

Jednym z podstawowych elementów tejże kultury był taniec. Stosowany na gruncie etnolinguistyczny termin „indywidualny tańiec ludowy” odnosi się właśnie do fenomenu tańca jako składnika chorealnej kultury tradycyjnej [por. Lange 1978]. Spróbujmy zatem określić specyfikę folkloru tanecznego ukształtowanego w warunkach kultury tradycyjnej społeczności wiejskiej, który w skrócie określamy będziemy w niniejszym opracowaniu mianem tradycyjnego folkloru tanecznego.

Wszystkie elementy tradycyjnej chorealnej kultury tanecznej były rezultatem twórczości o charakterze folklorystycznym. Powstawały one w obrębie lokalnej chorealnej społeczności wiejskiej i nie stały się „obce”. Również w ramach tejże społeczności były przekazywane następnym pokoleniom. Jednakże czasem inspiracją do wprowadzenia zmian były zapożyczenia z repertuaru muzycznego czy tanecznego sąsiednich społeczności, nierzadko innych grup etnicznych oraz kultury dworskiej i miejskiej. Przenoszone w ten sposób nowe elementy przechodziły jednak swoisty proces adaptacji na gruncie miejscowego folkloru, co przeważnie wyrażało się w dostosowywaniu ich do specyfiki lokalnej kontury chorealnej.

Folklor taneczny w takich warunkach był związany był ze specyficznymi warunkami życia na wsi oraz stanowił wiernie odzwierciedlenie stanu świadomości ówczesnych chłopów i ich kultury. Taniec pełnił istotne funkcje w całokształcie życia duchowego i społecznego wsi, w szczególności służył do wyrażania i wzmacniania więzi grupowej podczas różnych uroczystości i w czasie wspólnej zabawy. Wszystkie formy taneczne cechował waleń użyczenia praktycznej w konkretnych sytuacjach (obrzędowych, zabawowych, wycieczkowych), dlatego ukształtowane były one zgodnie z logiką ruchową takiego rodzaju zachowań w oparciu o obowiązujące kanony estetyczne. Zauważyć należy, iż samo wykonawstwo tychże form tanecznych zdeterminowane było utrwaloymi w trakcie pracy fizycznej w gospodarstwie nawykami ruchowymi oraz specyficznymi warunkami praktykowania tańca w ogóle. Tańczenie odbywało się bowiem przeważnie w izbach mieszkalnych, co wpłynęło zasadniczo na choreotechnikę tradycyjnego tańca ludowego.

Repertuar muzyczno-taneczny użytkowany w obrębie tradycyjnej społeczności wiejskiej nie był zbyt rozbudowany ilościowo, choć mieścił w sobie formę zróżnicowaną choreotechnicznie i rytmicznie. Mimo tej różnorodności charakteryzowała go wewnętrzna spójność stylistyczna. Repertuar ten był ściśle określony, podporządkowany obowiązującym

normom oraz powszechnie znany przez przedstawicieli wszystkich grup wiekowych. Praktykowanie tańca polegało na każdorazowym interpretowaniu przez poszczególne osoby uznawanych wzorów kulturowych i wprowadzaniu na bazie wysokich kompetencji tanecznych. *W obrębie tych możliwości jednak, przy stosunkowo mało urozniczonej zewnętrznej schemacie wykonawczym ruchów tanecznych, dochodziła do głosu niesłychanie różnica inwencja poszczególnych tancerzy. Na dobrą sprawę każda para tańcząca, niekiedy nawet poszczególne tancerze, tworzyły własną nieopisaną i wręcz mikrokompozycję ruchową. Występowało to w chwilowej nastroju, z atmosfery takich spotkań – a jednocześnie nie wprowadzając by utrwalać w określonym stylu [Lange 1965: 17].*

Tradycyjny folklor taneczny charakteryzowały przede wszystkim formy muzyczne i ruchowe tańca. Określonym wzorem rytmicznym muzyki odpowiadały konkretne rozwiązania choreotechniczne, a przebieg tańca dokładnie podporządkowany był strukturze akompaniamentu muzycznego. Grający do tańca (wielcy muzycy) stawali się zapośkoczeni oczekiwania tancerzy (szczególnie tych najjęniejszych) w zakresie intensyfikowania możliwości interpretacyjnych oraz przeżywania wspólnotowego praktykowania tańca. Zadaniem tancerzy było natomiast wiernie odzwierciedlanie w ruchu muzyki pojawiających się w przebiegu muzyki oraz stałe korelowanie i wia zakresu swoich improwizacji. Nieodłącznym elementem zachowań tanecznych był dawniej śpiew zarówno podczas tańczenia jak i w przerwach. Jak z tego wynika, pełne uczestnictwo w tradycyjnej kulturze tanecznej uwarunkowane było nie tylko wysokim poziomem kompetencji tanecznych, ale również zdolnościami muzycznymi w szczególności w zakresie szybkiego identyfikowania przebiegów rytmicznych i umiejętnościami odzwierciedlania ich w ruchu tanecznym.

Uczenie się przez dzieci i młodzież lokalnych form tanecznych opierało się całkowicie na mechanizmie przekazu folklorystycznego. W przypadku tańca polegało to na obserwowaniu zachowań ruchowych starszych, bardziej doświadczonych tancerzy, zapamiętywaniu zabiorówowanych schematów tanecznych oraz naśladowaniu ich we własnych zachowaniach. Pierwsze próby uczenia się tańca miały miejsce przede wszystkim w godzinie rólwielkonoj podczas dziecięcych zabaw na pastusku lub podwórku. Dopiero potem, po osiągnięciu odpowiedniego wieku nauka ta mogła być kontynuowana podczas młodzieżowych zabaw tanecznych. Niezwykle istotny w przyswojeniu sobie form ruchu tanecznego był bezpośredni przekaz kinetyczny podczas wspólnego tańczenia (w parze bądź w grupie). To właśnie dzięki niemu możliwe było utrzymywanie się przez długi czas tradycyjnych elementów choreotechnicznych. Przekaz ten umożliwiał jednak wprowadzanie pewnych modyfikacji przez młodzież, choć ze względu na konserwatywny charakter całej chorealnej kultury tradycyjnej ich zakres był niewielki.

Taneczne pierwiastki folklorystyczne w współczesnej kulturze popularnej

Roch Sulima szlusznie zauważa, iż współczesna kultura popularna, a szczególnie spontaniczna kultura młodzieżowa może być badana i analizowana przy zastosowaniu aparatury pojęciowej i metod typowych dla folklorystyki [1993].

Zwrócić jednak należy uwagę, iż analiza pierwiastków folklorystycznych występujących we współczesnej kulturze na płaszczyźnie tańca nastąpiła na szereg dylematów interpretacyjnych. Dotyczy to zresztą ogólnie zagadnień związanych ze współczesnymi folklorami.

Odwolujemy się w tym miejscu do koncepcji współczesnej kultury popularnej sformułowanej przez Johna Fiska¹. W jego rozumieniu jest to system kulturowy oparty zasadniczo na interpretacji wzorów kultury masowej przez członków danej społeczności w ich życiu codziennym.

Analiza kultury popularnej – według J. Fiske'a – jest to przede wszystkim badanie sposobów użytkowania, nadmiernego wykorzystywania bądź zupełnego pominięcia produktów kultury masowej na granicę lokalnym w celu kreowania własnych znaczeń i komunikatów. Taki system kulturowy zasadniczo różni się od modelu tradycyjnej kultury ludowej, choć mieści w sobie szereg elementów o charakterze folklorystycznym [zob. Fiske 1989].

Spróbujmy zatem, odwołując się do koncepcji J. Fiske'a, przeanalizować podobieństwa i różnice między tradycyjną (ludową), a współczesną (popularną) kulturą taneczną w odniesieniu do występujących w ich obrębie pierwiastków folklorystycznych.

Jeśli chodzi o **źródła wzorów kulturowych** w obu systemach, to różnicą jest one w sposób **zasadniczy**. W kulturze tradycyjnej były one rezultatem procesów twórczych dokonujących się w obrębie danej społeczności. Wzory te utrzymywane były w świadomości członków tej społeczności, a zmiany w nich zachodzące inicjowane w kręgu wybranych reprezentantów tej grupy. Oczywiście inspiracje mogły pochodzić również z zewnątrz (np. obce rytmy taneczne), jednak dominujące były wzory własne. W kulturze popularnej natomiast wzory muzyczne i taneczne pochodzą w przeważającej większości spoza danej społeczności. Produkowane są w profesjonalnych studiach, laboratoriach przez zawodowych artystów i rozpowszechniane na zasadach komercyjnych. Inspiracje takich wzorów mogą pochodzić z różnych kultur, często bardzo odmiennych od siebie.

Zasadnicze różnice dotyczą również **mechanizmów przekazu** wzorów w obrębie ludowej i popularnej kultury tanecznej. Ludowa opierała się na bezpośrednim przekazu kulturowym tańca oraz muzyki tanecznej w obrębie społeczności lokalnej. Popolarna natomiast korzysta z masowego przekazu pośredniego przy zastosowaniu różnorodnych nośników obrazu (m.in. telewizja, film, kasety video) i dźwięku (np. telewizja, radio, kasety i płyty audio). O ile bezpośredni przekaz tańca i muzyki w obrębie kultury tradycyjnej miał charakter przekazu folklorystycznego, to znaczy korzystał wyłącznie z nie zapisanych wzorów przechowywanych w pamięci członków danej społeczności, o tyle w kulturze popularnej mamy do czynienia z odwołaniem się w procesie przekazu do zarejestrowanych w postaci zapisu (filmowego, dźwiękowego, słownego) wzorów tanecznych czy muzycznych, co przesądza o jego niefolklorystycznym charakterze.

Inaczej sytuacja przedstawia się w przypadku **obiegu kulturowego** określonych wzorów w obrębie obu systemów. Odwołujemy się przy tym do wniosków sformułowanych w odniesieniu do współczesnego folkloru w ogóle przez Jariidę Hajkälä-Nijkawakka. Swożdziła ona mianowicie, że treści rozpowszechniane za pośrednictwem środków masowego przekazu poddawane są działaniu prawideł typowych dla obiegu folklorystycznego w procesie włączania ich do lokalnych systemów kulturowych. W rezultacie owe genetycznie niefolklorystyczne elementy nabierają cech folklorystycznych [1989: 739].

Mechanizm ten pojawia się również w przypadku zachowań tanecznych. Obieg kulturowy przekazywanych wzorów odbywa się w obu systemach (ludowej i popularnej kulturze tanecznej) w podobny sposób. Dotyczy to jednak w większym stopniu tańca niżeli muzyki. W sytuacji współczesnej kultury popularnej, gdy muzykę grający do tańca posługują się nutami bądź tańczenie odbywa się przy akompaniowaniu muzyki odtwarzanej z nagrania, trudno mówić o obiegu folklorystycznym. Zdarzają się oczywiście przetworzenia i swoiste interpretacje przejmowanych wzorów muzycznych przez lokalnych muzyków, jednak odbywa się to w bardzo ograniczonym zakresie. W przypadku tańca natomiast okazjonalny i krótkotrwały przekaz wzorów ruchowych za pośrednictwem telewizji nie jest wystarczający do tego, aby wyłącznie na tej podstawie wier-

nie przyswoić sobie daną formę taneczną. Konieczny jest do tego przekaz kinetyczny, który bezpośrednio odbywa się na płaszczyźnie folklorystycznej. Nie zaniknęły bowiem, mimo rozpowszechnienia się wzorów kultury masowej, mechanizmy bezpośredniego przekazu kulturowego charakterystyczne dla kultury ludowej. Dzięki temu przetworza wiele dawnych form tańca tanecznego, a także możliwe jest nadal wprawdzie się oryginalnym lokalnym wariantów wzorów tańca należących do kultury masowej oraz powstawanie zupełnie nowych miejscowych form tańca. Jest to zatem szczególnie bogaty w pierwiastki folklorystyczne fragment współczesnej kultury popularnej.

Taniec zawsze był domową ludźmi młodymi, którzy traktowali go przede wszystkim jako wspaniałą formę zabawy. Młodzieży w tradycyjnej społeczności większej w zakresie uczestnictwa w kulturze tanecznej podlegała na bydą jednak presja starszego pokolenia (głównie rodziców) oraz „skazana” na udział wyłącznie w lokalnych zabawach. Mimo to zawsze starała się wprowadzać pewne modyfikacje. W ten sposób folklor taneczny był atrakcyjną dla młodych ludzi płaszczyzną działań twórczych.

Współcześnie w rezultacie zmian społeczno-kulturowych młodzież uzyskała pełną autonomię (jak by się wydawało) w zakresie kreowania własnej kultury tanecznej. Społeczność dorosłych nie ma w zasadzie możliwości ingerowania w świat młodzieżowych zabaw wypełnionych muzyką i tańcem. Funkcjonują dziś różne młodzieżowe grupy subkulturowe (bądź quasi-subkulturowe), w których określone wzory muzyczne oraz związane z nimi zachowania taneczne i pozataneczne należą do podstawowych wyróżników identyfikacji kultury. Praktycznie tańca w tych grupach odbywa się przede wszystkim na zasadach folklorystycznych, zarówno jeśli chodzi o tworzenie oryginalnych form tańca jak i charakter przekazu oraz obiegu wzorów kulturowych zachowań tanecznych.

pozostają oczywiście stale nurtujące nas pytania: jaka jest jakość tak ukształtowanej młodzieżowej kultury tanecznej i w jakim stopniu jest to rzeczywistość autonomiczna twórczość młodzieży? Są to przede wszystkim kwestie natury estetycznej i jako takie mogą być bardzo różnie interpretowane. Z pewnością jest to zasadniczo odmienny od tradycyjnego typ folkloru, jednak szeroki zakres jego występowania w społeczeństwie kultury popularnej świadczy bez wątpienia o istotnym jego znaczeniu w życiu młodych ludzi. Bowiem folklor taneczny stał towarzyszyć życiu różnych społeczeństw, a jako stały komponent kultury w różnym stopniu decydujący i nadal decydujący o jej specyfic.

Dariusz Kuhnowski

Literatura cytowana

- Bursztyn Józef. 1974 *Kultura ludowa – kultura narodu*. Słobice i niepełny. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. 176.
Spółdzielnia Wydawnicza. [w:] *Etnografia Polski*. Przemysław Kabaciński (red.). Tom 1 (red. M. Bierska, B. Kopycińska-Jewowska, A. Kozłowska-Pojanowa, W. Paćko, Władysław-Warstoska-Kraków-Gdańsk, Zdzisław Nardeyow in Ossowski), s. 477-478.
Banasz Wojciech J. 1992 *Byt i rozwój etnologicznego pojęcia kultury*. Pomocnik Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Adama Mickiewicza.
Dąbrowska Grażyna. 1981 *Estetyka ludowa*. [w:] *Etnografia Polski*. Przemysław Kabaciński (red.). Tom 2 (red. M. Bierska, B. Kopycińska-Jewowska, A. Kuzniewska-Pojanowa, W. Paćko, Władysław-Warstoska-Kraków-Gdańsk, Zdzisław Nardeyow in Ossowski), s. 283-326.
Dobrowolski Kazimierz. 1958 *Spółdzielnia ludowa w województwie*. „Etnografia Polski” 1: 19-36.
Fiske John. 1989 *Understanding Popular Culture*. Boston, Unwin Hyman.
Hajkälä-Nijkawakka Jariida. 1989 *Przemiany folkloru w współczesnej kulturze*. [w:] *Folklori Göttingen* (red. J. Stenroos). Katowice, Wydawnictwo „Śląsk” s. 735-749.
Krawczyk-Wańkowska Violetta. 1986 *Wpółnocna wiosna w folklorze*. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.
Langs Rudyard. 1906 *Ellis jako folklorysta amerykański*. „Dziennik Ludowy” 6: 17-19; 1974 *Podręczny leksykon ludowy w Polsce* [jego przedrukowanie w czasie i przetłumaczenie]. Łódź, Państwki Uniwersytet im. Cieszyńskiego. 1909 *Dance Folklore and the New Professional Dance*. „Lauda Statistika” 14: 11-33.
Słomka Róża. 1993 *O subkulturowych subkulturach*. *Głosy folklorysty*. „Literatura Ludowa” 3: 96-98.

obyczaje

ALINA SZALA

Początki amerykańskiej kariery Jerzego Kosinińskiego

Z Jerzym Kosinińskim poznałm się na początku lutego 1958 r. na dyplomowych studiach w Columbia University w Nowym Jorku i spotykaliśmy się dość często do pokwy czerwca. Potem znajomość się urwała. Zastanawiałam się, czy opowieść o naszych spotkaniach i rozmowach wnieść coś do wiedzy o tym ważnym etapie jego życia. Mam nadzieję, że tak – jego pierwsze miesiące w Nowym Jorku pozostają słabiej znane niż losy w Polsce do chwili wyjazdu i – pewnością – niż drugi okres działalności pisarskiej, choć nie wszystko jest pewne w dostępnych relacjach, bo Kosiniński był mistrzem mistyfikacji. W roku 1965 ten niezwykły młody człowiek stał się nagle sławnym pisarzem amerykańskim, tłumaczonym na wiele języków. Po kilkunastu latach sukcesów literackich jego pozycja w kulturze Stanów Zjednoczonych została niespodziewanie zachwiana w 1982 r. – gdy oskarżono go o publikowanie pod swoim nazwiskiem tekstów, których wersje angielskie zostały stworzone przez różnych anonimowych tłumaczy. Paradoksalnie dopiero wtedy dzięki przekładom na język polski zdobył szersze kręgi czytelników w naszym kraju, choć i tu dotarły echa oskarżeń, zyskując jeszcze lokalny rezonans. Śmierć pisarza złądziła ostrość kontrowersji. Nadal trwa jednak spór o wartość jego utworów i jego rzeczywisty wkład w badanie i nadeanie ówczesnego kształu.

Nie zamierzam wchodzić się w tę dyskusję, choć muszę zaznaczyć, że moja dawna znajomość z Kosinińskim porwała mi wątpliwości, że w wcześniejszych latach sześćdziesiątych mógł on samodzielnie napisać *Malowau-gę ptaka*. O utworach późniejszych nie chciałabym się wypowiadać, bo Kosiniński był człowiekiem zdolnym, niesłychanie ambitnym i cierpliwie dążącym do postawionego sobie celu, można więc przyjąć, że po latach pracy opanował sztukę pisania w obcym języku w stopniu, który dla innych byłby nieosiągalny. Ale to ja już tu już domyślam.

W roku 1956 dla pracowników naukowych w Polsce otwarto się drzwi na Zachód. Przed następny rok wiele osób wychowało do zagranicznych uczelni na studia dyplomowe. Jako asystentka na anglistyce KUL miałam i ja nadzieję na rychły wyjazd, zwłaszcza gdy w sierpniu 1957 r. amerykańska Fundacja Kościuszkowska przyznała mi stypendium na roczne studia w Columbia University. Niespodziewanie pojawił się jednak trudności. Pierwszą była odmowa wizy w Ambasadzie Amerykańskiej w Warszawie. Po odwołaniu sprzostawało wprowadzić pomyłkę i ostatecznie przyznano mi wizę, ale dopiero po upływie trzech miesięcy. Wtedy wyłożyły się kłopoty transportowe. Miałam bowiem opłaconą podróż drogą morską i wcześniej byłabym popłynęła „Batorem”, który wówczas odby-

wal rejs z Gdyni do Kanady, zawieszane na okres zimowy. Teraz trzeba było zmienić trasę i przewoźnika. Najszczęśliwie okazało się połączenie przez Anglię, wychycałam więc do Liverpoolu i tam wsiadłam na okręt płynący do Nowego Jorku, do którego dotarłam wreszcie po prawie dwa tygodniach. Wprost z portu pędziłam do domu akademickiego dla magistrantek i doktorantek, gdzie zamówiono dla mnie pokój i natychmiast upadłam w wir zajęć, bo drugi semestr był już w toku.

Mniej więcej w tydzień po zamieszaniu w Johnson Hall (tak nazywał się mój akademik), kiedy spodziewałam się już listu od rodziny, której podałam swój adres telegraficznie, znalazłam w swej skrzynce pocztowej różową kartkę. Była to informacja telefoniczna z funkcjonującej w gmachu rzecznej centrali, że w czasie mojej nieobecności drzwini do mnie dwukrotnie pan Jerzy Kosiniński, który zamierza telefonować znowu nastajną po godzinie osiemnastej. Nie znalazłam nikogo o tym nazwisku, zainteresowało mnie więc cierpliwie poszukiwanie kontaktu z mną kogoś, o kim nigdy nie słyszałam.

Nieznamy zadzwonił w zapowiedzianym czasie. Powiedział, że niedawno przybył z Polski, że jest socjologiem i zamierza tu zrobić doktorat. W Columbiu poznał już parę osób z kraju i utrzymuje z nimi kontakt. Moje nazwisko i adres dostał z Fundacji Kościuszkowskiej. Jeżeli pozwolę, odwiedzi mnie w Johnson Hall. Wyrażałam zgodę i umówiliśmy się na sobotnie popołudnie, kiedy dom akademicki pustotał i w przeznaczonym do przyjmowania gości salonia można było znaleźć jakies ustrome miejsce na spokojną rozmowę.

Zastanawiałam się, czy bez trudu rozpoznam mojego gościa. Nie było to tym żadnego kłopotu. Wysoki, chudy, młody człowiek, który punktualnie pojawił się w drzwiach wejściowych, był na pewno cudzoziemcem, a czymś świadczył staranny ubiór, nie jakieś tam dzinsy i flanelowa koszula amerykańskich chłopaków. Garnitur wskazywał na to, że szył go dobytei kawowiec, krawat był dobrany ze smakiem, koszula elegancka. Odnotowałam, bo moich polskich kolegów na tym etapie akademickiej kariery, na którym wyraźnie znajdował się mój gość, nie było stać na garderobę tej klasy. Mnie zresztą też nie.

Pomachałam do przybycia ręką zapraszając go do mego kąjeka. Po przywitaniu się Jerzy Kosiniński usiadł i rozpoczął rozmowę bez cienia skrępowania. Dodał trochę szczegółów o sobie do tego, co powiedział mi już przez telefon, a następnie zyspał mną pytania o moją własną przeszłość: studia, praca, rodzina, a także plany związane z pobytem w Ameryce, wreszcie wrazenie, jakie na mnie zrobił ten kraj. Prawda, nie było to pytanie nabyt osobiste, ale padały gęsto i w pewnej chwili poczułam, że jestem indagowana. Nie było pauzy, w czasie której mogłabym wtąpić własne pytanie, albo skierować rozmowę na sprawy mojego gościa. Zaczęłam więc odpowiadać coraz bardziej lakonicznie, a wreszcie zorientowałam, że powiedziałam tyle o sobie, chciałabym się dowiedzieć, jak jemu udało się tu przyjechać bez wcześniejszych starań o stypendium.

Gość uśmiechnął się czarująco i zbył pytanie stwierdzeniem, że to zbyt długi i zwalnia historia, by opowiedzieć ją na pierwszym spotkaniu. Obiecał powrócić do niej przy jakiejś okazji. Pewnie będziemy się często spotykać – dodał. Najlepiej już teraz zacząćymy sobie mówić po imieniu, po czymmy się od razu mniej formalnie. Może umówimy się na lunch któregoś dnia? On często jada w meškim domu akademickim John Jay Hall, który ma ogromną stółkę i sasiaduje z biblioteką. Poznam tam chłopaka, z którym dzieli obecnie wynajmy pokój na Six Traczej Ulicy, był przy Broadwayu. Nazywa się Roger Shaw i studiując muzykę. Roger wczemniej ogłosił na studenckiej tablicy, że poszukuje współlokatora mówiącego po rosyjsku i tak się poznał. Jerzema to oferta spada jak z nieba. Wyprawa- dził się natychmiast z International House for Students, halaliwego i kosztownego akademika dla cudzoziemców. Rad też był, że znalazł spokojno-

gno człowieka, z którym dzieli pokój i co więcej, poturzymuwa się bez trudu, jaki zwykle towarzyszył jego angielskim konwersacjom. O trudnościach językowych mego gościa usłyszałam przy tej okazji po raz pierwszy, ale byłabym je rychało odkryła, bo ledwo rozumiał, co ludzie do niego mówili w różnych codziennych sytuacjach. Wydało mi się dość dziwne, że wspominały o swych brakuach językowych nie wspominał ani słowka angielskiego przelotu do Ameryki. Ale potrzebne było go tylko jako agenta wydawało mi się ujęciem przez niego do przyjęcia. Był człowiekiem o dużej inteligencji, umiędzynarodowieniu ludzi i szybkiego oceniania ich możliwości. Miał łatwość nawiązywania kontaktów, co było tym dziwniejsze, że równocześnie starannie skrywał swoje własne życie za szczerze nieciągłą zasłoną. Odczuwało to już pierwszy spożyciu, kiedy kilkakrotnie zbył moje pytania żartem mówiąc o sobie bardzo niewiele. I tak już miało zostać do końca naszych spotkań. Raz wrócił np. do okoliczności przyjazdu do Ameryki, ale bardzo ogólnikowo. Powiedział, że przejechał na zaproszenie wujka, a pieniądze, z którymi zaczął tu życie, dostał jako nagrodę na międzynarodowym konkursie fotografii. Teraz wie, że było to nieprawda, ale Jerzy podziwiał w ten sposób konsekwentnie. Twierdził, że było to pięćset dolarów. Znając wysokość czesnego na studiach dyplomatycznych w Columbi, można się było tylko zastanawiać, jakim cudem jeszcze mu coś zostało na utrzymanie. Zapytany o rodzinę w Polsce, powiedział, że na tyle małej. Dodał mi nie mogę pomóc, dającą znać, że na równie ojca Ameryki. Nie dowiedziałem się nawet, gdzie odbył studia – w Warszawie czy w Łodzi. Wiedziałam tylko, że pracuje w PAN, w Warszawie. To wstrząsające mówienie o sobie miało jedną dobrą stronę: nie opowiadał mi o swych fikcyjnych wojennych przeżyciach, jak to robił w czasie spotkań z Mirą Michałowską, poznaną przez niego w tym samym okresie. Chyba każdy z nowych znajomych miał sobie w ten sposób stworzyć inny jego wizerunek.

Kiedy pomyślałam Jerzego nieco lepiej, pomyślałam, że jest Żydem, który przyszedł do Polsce okupacji i było to dowiedzenie tak straszne, że nie jest w stanie o nim mówić. Tego tematu nie dotykałam więc nigdy. Pytała mnie o niego Linda Fishman, dziewczyna z Johnson Hall, z którą się przyjaźniłam i która go przedstawiła w czasie jednego z jego wyjazdów. Linda sama była Żydówką i Jerzy ją fascynował, a ja – niestety – nie mogłam jej niczego o nim powiedzieć. I właśnie wtedy zrodziło się we mnie przekonanie, że jego staranne omijanie tematu okupacji i własnych wojennych losów wiąże się z jego pochodzeniem.

O tym, jak układają się sprawy w Ameryce, o studiach i ludziach tam poznanych mówił więcej, ale też z zastosowaniem starannej cenzury. Dość długo np. nie wiedziałam, że chodzi na kurs językowy, aż kiedyś z ożywieniem zaczął mi opowiadać historię życia pewnej Polki, zamieszkałej już w Nowym Jorku, pracującej jako kelnerka w eleganckiej kawiarni i prawie nie znającej angielskiego. Moje pytanie, gdzie ją poznał, wyraźnie go zaskoczyło. Powiedział, że są w tej samej grupie na kursie językowym, ale przyznał tym samym, że w jej własną znajomość angielskiego została nisko oceniona, skoro nie zakwalifikował się do grupy zaawansowanych i zaczął, w jego angielszczyznę Amerykanie rozumiając i nimalnym trudem.

Najchętniej mówił Jerzy o Ameryce, bo w związku z tym krajem tworzył plany swej przyszłej kariery. Już przy drugim spotkaniu powiedział mi z całą stanowczością, że nie zamierza wrócić do Polski, gdzie człowiek mógłby i ambicji nie ma żadnych szans na zdobycia stanowiska i uznania – oczywiście – zapewnienia sobie poziomu życia, jaki jest udziałem wykształconych i energicznych ludzi w Stanach Zjednoczonych. Z tą oceną zasadniczo się zgadzałam, ale wskazywałam na przeszłość, jakie mogły się piąć przy na drodze cudzoziemca do kariery w kraju znanym z ostrej konkurencji we wszystkich dziedzinach życia. Zapytałam, czy zamierza próbować szczęścia w zawodzie akademickim. Gdy to potwierdził, nie kryłam sceptycyzmu. Zwracałam mu uwagę, jak ważna w tej dziedzinie jest znajomość języka, kultury, ogólnie niektórych systemów wartości. Żeby to wszystko opanować potrzebne są lata.

Moje wątpliwości nie zwalniały wujka Jerzego w sensie jego zamierzeń i szans na sukces. Wyjaśnił mi, że złożył się już zorientować, jak mógłby to osiągnąć i Związku Radzieckim i Amerykanom, łącznie z tymi, którzy w tej sferze polityologii wykazyli reputację wybitnych socjologów. I on, Jerzy Kosiniński, wykaże błędnie ich koncepcji prezentując równocześnie swą własną, solidnie udookumentowaną wiedzę – to już oczywiście treść wypowiedzi Jerzego z moim ironicznym komentarzem, który jego jemu oszczędziłam, widząc, że nie warto próbować go odwołać od renitencji tego planu. Wierzyłam w jego inteligencję, zgadzałam się też z surową oceną amerykańskich zwawców komunizmu. Nie miałam tylko złudzeń, że uda mu się obalić akademickie autorytety, zmienić obiegowe sądy o sowieckim imperium i samemu uzyskać pozycję największego eksperta w tej dziedzinie. Ale – pocieszałam się – w większym czasie on sam to odkryje, skoryguje swój plan działania i wyberze inną drogę do kariery.

Te przewidywania miały się okazać tylko częściowo trafne. Jerzy istotnie nie został doktorem socjologii ani nie zmienił kursu amerykańskiej socjologii. Osiągnął jednak coś nieporównanie większego i bardziej przemawiającego do wyobraźni: został sławnym pisarzem. Co więcej, tworzył i pisał, który znał w sposób bardzo niedokony, przynajmniej na początku swej kariery pisarskiej.

Miał to jednak wydrżyć się dopiero za kilka lat, nie raz była zima 1958 roku, pełna typowych dla Nowego Jorku zaszczołów, przepływająca ciepłe dni nagłym zimnizacjami, które nie zachęcały do wychodzenia z domu. Tak była do końca marca. Wychylałam Jerzego dwa, trzy razy w tygodniu, czasem jedliśmy razem lunch, umawiali się na wieczór do kina, lub na jakiś odczyt, który w Columbi był zawsze duży wybór, albo w ostateczności siedzieli w salonie w Johnson Hall. Poznałam polsko towarzystwo. Byli to sami mężczyźni, z których zapamiętałam tylko jednego, warszawskiego ekonomistę Józefa Pajestkę. Kilkaście lat później miał on zostać kierownikiem ds. spraw gospodarczych. Odnosiłam wrażenie, że spotkania z tymi panami, zawsze zreniały tylko przy posilkach, raczej, czasem długie podróży. Podobnie chyba traktował swoje współlokatora, Rogera. Raz spytałam, czy się zaprzyjaźnił i czy dostrzegła w nim jakiegoś cechy typowo amerykańskie, bo mnie jego zachowanie wydawało się raczej angielskie: przyjaźnie, ale z pewną rezerwą, bez zżyłości, która Amerykanom potrafiła demonstrować niemal przy pierwszym spotkaniu. Swym wypróbowanym sposobem Jerzy zbył pytanie. Powiedział protokolejowo: „To taki doby chłopak, dobre; że nie jest daleczym, bo nigdy nie umiałby odnowić”. To odpowiedź, która nie zachęcała do dalszych pytań. Wszystko wyglądało jednak na to, że Kosiniński nie ma w Nowym Jorku przyjaciół, tylko przelotne znajomości.

Po kilku wspólnych wyprawach do kina zdecydowałam, że jest to dla mnie wątpliwa rozrywka i mogę z niej zrezygnować. Jerzy najchętniej

wybił wsterny, grane w paru kinach, które były tam i użytkowane w pobliżu uniwersytetu. Lubię wsterny, ale te, które tam najczęściej docierały, nieco bardziej wymagają, jakiegoś widza razły schematyzmy. Widownia złożona głównie z dwudziestolatków z college'u nie była wybredna i wyla radośnie w czasie każdej sceny morderstwa. Jerzy też się dobrze bawił, choć często nie rozumiał istotnych fragmentów dialogu i wtedy domagał się ode mnie natychmiastowego przekładu, co wyzwało mnie na chwilę z odbioru. Kiepski film, oglądany w dodatku z przerwami, nie wydawał mi się pognętną propozycją na spędzenie wieczoru i wnet zaczęłam się myślować.

Chodzenie rano na odczyty było lepszym pomysłem. Zaczęliśmy od wykładu prof. Lazarsfelda o jego nowatorskiej wizycie w Polsce. Obsługiwacze przemian popkulturowych, których było dość powtarzalnie, ale bystro oko doświadczającego socjologa dostrzegło spójny obraz wydyktanego jeszcze kontrolowania ożywienia społecznego przez UB i instytucje polityczne. Profesor potrafił mówić dowcipnie, a równocześnie podać trafnie dobrane szczególnie ilustrujące ważniejsze treści wykładu, na przykład odmienne ograniczenia swobód obywatelskich, w których przestrzeganie nie wierzyl. Odczyt mnie zainteresował, co Jerzyemu sprawiło przyjemność, bo Lazarsfeld był opiekunem jego czasu. W następnym tygodniu udało mu się skłonić mnie do pójścia na wykład o Tolstoju prezentowany przez miejscowego profesora rusycystyki. Od tego momentu ja zaczęłam zachęcać Jerzego, by mi towarzyszył na wykładach o pisarzach amerykańskich, argumentując, że skoro chce tu zostać, wypada czegoś o nich dowiedzieć. Nie odmówił jednak sukcesu: pozostał wierny tematyce rosyjskiej i wschodnioeuropejskiej. Nie dał się nawet namówić na uczestnictwo w galowej okazji, jaką był wieczór poezji T. S. Eliota. Siedziwy poeta sam wtedy odczytał kilka własnych krótszych utworów. Dla mnie ten wieczór był niezapomnianą okazją, warta stania w długiej kolejce po bilety – zresztą bezpłatną dla studentów. Nieniestety Jerzy nie słyszał o Eliocie i moje podniecenie przypisał egzaltacji.

Stopniowo zaczęłam sobie uświadamiać, że literatura interesuje go tylko wtedy, gdy potrafi stwierdzić, czym jakiś utwór przyciąga czytelnika. Starał się odkryć czegoś w teście szukając i co ich szczególnie zadowala. Było to więcej typowe zainteresowanie literaturą tylko w jej aspekcie socjologicznym. Coś takiego ja sama robiłam jedynie wtedy, kiedy brałam do ręki bestsellery, a w Ameryce sięgalem po nie często, aby się zorientować, jakie są gusty literackie szerokiej publiczności: tego ogromnego kraju. Bardzo trudno było mi zrozumieć, że można mieć taki stosunek do literatury w ogóle. Przy jakiejś sposobności zapytałam więc Jerzego, co robi dla przyjemności – czyta jakiś określony rodzaj utworów, słucha muzyki, czy pasjonuje go kino i jakie? Wiedziałam już, że teatr go nie pociąga. Odpowiedział, że największą przyjemność daje mu seks, również wizualna, a mniej intensywne doznania czerpie ze słuchania rocka – może to robić godzinami – i z jazdy szybko samochodem. Odłączył uwagi na temat seksu i jego wadności w życiu wracały często w naszych rozmowach, zawsze – z inicjatywą Jerzego.

Kilko dni Jerzy zapropnował mi wizytę w wynajmowanym przez niego wraz z Rogerem pokoju. Współlokator właśnie wyjechał na dwa dni i była to dobra sposobność, bym obejrzała jego artystyczne fotografie, głównie akty, z których był bardzo dumny. Był to w większości, fragmenty nagich sylwetek kobiecych, np. ramiona i piersi, albo góra kryła w faldach czarnej drapedy, odsłonięty żąb brzuch, uda i nogi, czasem w jakimś niezwykłym wygięciu. Przeważała kontrast: biel i czerni, sylwetki zdawały się apłazone, nie nie sugerowało miękkości tych kobiecych ciał, to raczej ostre kąty zgiętych kończyn jawiły się jako element dominujący. Niektóre fotografie były interesujące, wszystkie wymagały jednak uważnego spojrzenia, by określić, co przedstawiały. Nie dostrzegłam w

nich natomiast żadnego akcentu erotycznego, jakiejś dźmniętej pozy czy eksponowania szczegółu w intencji pornograficznej.

Powiedziłam dość szczerze, jakie są moje wrażenia, dodając, że w gruncie rzeczy mało wiem o fotografii artystycznej. Ku memu zdumieniu Jerzy przedstawił mi od fotografii artystycznej do swego najbliższego zainteresowania: sfery przyciąg erotycznych, a od tego do bardzo osobistych zwierzeń. Powiedział, że jest wysoko ceniony przez kobiety jako partner o dużych możliwościach przedłużania stosunku, mający nadto bogate doświadczenie i umiejętność odgadywania pragnień kobiet. Wyслуchałam tych charakter w milczeniu, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. Ich intymny zwrotek był zaskakujący i nie w naszym dotychczasowej znajomości go nie usprawiedliwiał. Ale to był dopiero wstęp, po którym nastąpiło jeszcze bardziej osobiste wyznajanie. Jerzy powiedział, że zamierza wykorzystywać to, że zamierza wykorzystać ten szczególny dar i poleubić kobiety znacznie od siebie starsza, bogata, najlepiej milionerka, która ułatwi mu pozostanie w Ameryce i zrobienie kariery na miarę jego wyobrażeń.

Przyznając, że sam plan nie wydawał mi się nierealny, czy pasujący bardziej do hollywoodzkiego filmu niż do naszej mało urozmaiconej studenckiej egzystencji, w której społeczeństwo z milionerkami nie byłoby powszechnie. Przeciwnie, potrafiłabym to wyznaczenie całkiem poważnie, bo Jerzy nie był typem mizomata. Wydawał się być człowiekiem działającym z determinacją, umiejętnie posługującym się innymi ludźmi, obdarzonym nadto niepołączoną inteligencją. Potrafił już wykorzystywać te cechy przyjeżdżając do Stanów Zjednoczonych z doskonałą rekomendacją profesora Chałasińskiego, dzięki której w Columbiu uzyskał opiekę wybitnego socjologa nad swym doktoratem. I wszystko to przy prawie zerowej znajomości angielskiego. Ale choć nie wąpiłam w możliwość zrealizowania planu, uważałam za nieetyczne cyniczne mówienie o tym bez dniała wstydu czy bodaj żalu. W moim pojęciu na chłodną kalkulacja była po prostu niemoralna. Mogła tylko opierać się na kłamstwie, udawaniu uczucia po to, by się wygodnie urządzać. Nie zamierzałam ukrywać swej opinii. Użyłam w tym takich właśnie określeń: kłamstwo i cynizm.

Zupełnie niespodziewanie dla mnie Jerzy uznał, że oszadłam go nieprawnie i w pełni brany do głębi, podczas gdy ja sądziłam, że zarzut cynizmu zupełnie go nie porusza. Zaczął mnie gwałtownie przekonywać, że fałszywie oceniam jego zamiary i sytuację, że jakiegoś dnia, Twierdził, że związek młodego mężczyzny z kobietą nawet o dwadzieścia lat starszą od niego nie wyklucza wzajemnej sympatii, pożądania czy satysfakcji fizycznej. „Nie o tym nie wiesz!” – kontynuował i przekonywał mnie, że kobiety na tym etapie życia są mniej zarobcze, mniej wymagające fizycznie, bardziej opiekuńcze. Cechuje je też wyższa kultura erotyczna. Nadto, wyzbyszy się wcześniejszymi bliźni na temat doznania miłości, skłonne są przeżyć na małżeństwo z krótszą perspektywą czasową. Rok czy kilka lat, byle przede pełniej i intensywniej, znacza dla tych kobiet wiele. Takiego związku nie trzeba budować na kłamliwych obietnicach, może sprawnie stać się uczucie. A o to ma jasno występcy ciel: jest nim kariera akademicka w Ameryce. Żeby to osiągnąć, musi mieć swobodę działania, nie zamierza się więc wkrącać w zakładanie rodziny i stać przedstawianym przez niego model małżeństwa stanowki doskonale rozwiązanie.

Argumenty zostały przedstawione z całą powagą i niewiele mogłam im przeciwstawić, bo mój atak na Jerzego miał w gruncie rzeczy charakter emocjonalny. Okłamywanie i wykorzystywanie ludzi zawsze budziło we mnie wstręt. Ale podchodząc do sprawy racjonalnie, musiałam przyznać, że wobec siebie samą, że nie mam podług, by odentylować szlachiznę temu, co powiedział. Niewiele wiedziałam o właściwościach psychicznych i potrzebach erotycznych kobiet dojrzalszych – zwłaszcza tych bogatych – a to właśnie ku nim kierował Jerzy swe zainteresowanie. Po tych reflec-

których pozostało mi jedynie wycofać oskarżenie go o cynizm i powiedzieć „przepraszam”, choć zachowałam jeszcze resztki przekonania, że szukanie mającej żony w średnim wieku nie jest podkorytkowo wyłącznie bezinteresownym rozwiązaniem zaletej kategorii kobiet. Znaczenie później dowiedziałam się, że Jerzy posiadał sztukę kłębienia w stopniu niemal doskonalym i obecnie podejrzewam, że użył jej również broniąc się przed zarzutem cynizmu i wyrachowania.

Był koniec marca 1958 i kilka dni wcześniej przyznano Kosłowskiemu stypendium Fundacji Forda, o które starał się od początku swego pobytu w Nowym Jorku. Mnie o tym ważnym dla niego wydarzeniu nie wspominał, natomiast wielokrotnie powtarzał, że nie wie jeszcze, czy dostanie na czas przedłużenie wizy, która traciła ważność w maju. Znaczenie później zorientowałam się, że Jerzy zawsze mówił mi o swoich zamierzeniach i niepokojach, ale jeśli tylko jakaś trudna sprawa została ponownie zakawczona, nie wspominał już o niej ani słowem. Tak było z wymaganiami stawianymi mu przez prof. Lazarfelda, którym Jerzy starał się sprostać, co nie szło mu łatwo i o tym mówił bez wahania. Ale gdy tylko odniósł sukces, już o nim nie wspominał. Kiedy to odkryłam, uznałam, że niemożność dzielenia się z innymi własną radością czy sukcesem jest szczególnym upośledzeniem. Zwierzenia były możliwe jedynie w trudnych chwilach. Powodzenie widocznie wolał przeżywać sam.

Nadszedł kwiecień, ale zapowiedzi wizony prawie się nie dotrzymało. Przez blisko dwa tygodnie nie widywałam się z Jerzym, najpierw dlatego, że wyjechał na Wielkanoc do moich krewnych mieszkających w Rochester nad jeziorem Ontario, potem dlatego, że on był pochłonięty wykonywaniem pracy północnej dla prof. Lazarfelda. Tak przynajmniej twierdził, kiedy do mnie telefonował (nasze kontakty telefoniczne były zawsze wynikiem jego inicjatywy, utrzymywał bowiem, że u siebie rzadko bywa w ciągu dnia, a wieczorem pracuje i nie chce być niepokojony telefonami).

Po tej dłuższej niż zwykle przerwie w spotkaniach Jerzy zadzwonił któregoś wieczoru i zapytał, czy nie chciałabym mieć zdjęć na te kilkanaście godzin z gmachów uniwersyteckich. Gotów byłby je zrobić, musiał tylko ustalić z Rogercem, kiedy mogą przyjść razem, będzie wtedy więcej możliwych ujęć. Oczywiście przyjałem propozycję z entuzjazmem. Już sobie wyobrażałam, jak rodzice się ucieszą, gdy dostaną kilka fotografii przedstawiających mnie i parę fragmentów przestrzeni, po której się codziennie poruszałam. Z trudem udało się znaleźć jakąś populudnistową godzinę, kiedy wszyscy troje bylibyśmy wolni. Tylko sobota okazała się możliwa, za czego Jerzy był bardzo niezadowolony, bo na wesny w weekend tego dnia miał już zaplanowaną okazję towarzyską, o której powiedział tylko ogólnikowo, że jest ważna. Nie byłam zdziwiona, bo weekendy – jak sam mówił – starał się regularnie wykorzystywać dla poszerzenia znajomości, które mogłyby okazać pożyteczne w bliższej lub dalszej przyszłości. O to, jak nawiązywał te kontakty, nie pytałam, bo sama miałam już wtedy długą listę nazwisk i numerów telefonów ludzi świeżo poznanych i nawet nie zawsze byłam pewna, kto przedstawił mnie komu.

Spotkanie na „sejcie” zdjęciową przeszło całkiem miło. Jak zawsze w sobotę popołudnie campus dostawał piaszczal i można sobie było wybierać tło. Dzień był chłodny i Jerzy przyszedł w płaszczy, który zdjął do fotografii. Zostało nam jeszcze trochę czasu na wspólną kawę, a potem on poszedł na stację metra, zlecwisy Rogeroi odprowadziłam mnie do Johnson Hall. Kiedy jakiś tydzień później dostałam odbitki, były szczere urodawana, ale też trochę zaskoczone, bo ich jakość nie wydała mi się najlepszą, zwłaszcza uderzyła mnie niedostatką ostrości. Jerzy często powtarzał, że jest zainteresowany fotografią i opowiadał o swoich umiejętnościach w tej dziedzinie, spodziewałam się więc czegoś bardziej profesjonalnego, ale oczywiście nie zrobiłam żadnej uwagi, by go nie dotknąć.

Chyba właśnie w czasie rozmowy odbywającej w salonie w Johnson Hall, przy okazji wręczania mi zdjęć, niespodziewanie pojawił się temat pogarszających się warunków ekonomicznych w Polsce. Zaczęło się od tego, że Jerzy poprosił mnie, bym mu porzuciła, jakie kosmetyki mógłby kupić jako prezent dla matki, zamierzał jej bowiem wyśląć niewielką paczkę. Nie miałam pojęcia, co zastrzegować. Nic nie wiedziałam o tej paczce, nie znałam nawet jej wieku, koloru włosów i rodzaju cery, a syn mi był w stanie udzielić mi właściwych informacji. Może zresztą nie chciał. Zażwase w rozmowach że mna starannie ukulał powiedzenia czegokolwiek o swej przeszłości, której ona była przecież ważną częścią. Wymieniał więc tylko parę firm kosmetycznych, których produkty miały według mnie umiarkowane ceny i poradziliśmy mu, żeby udał się do któregoś ze średniej klasy domów towarowych i sam przejrzał asortyment podrób, kremów, perfum, lip. Dopiero wtedy Jerzy mruknął, że matka prosiła go



Jerzy Koslowski i Alina Szala, Nowy Jork, Columbia University, 1957

głównie o farbę do włosów jakiejś nie znanej mi europejskiej firmy kosmetycznej, ja zaś wyznałam wątpliwość, czy uda mu się to akurat dostać w Nowym Jorku. Odniosłam w tym momencie wrażenie, że Jerzy nie potrafił matce odmówić, ale jest politywanym kłopotem, na jaki go naradza. Chciał chyba jednak znaleźć dla niej usprawiedliwienie, z miejsca zaatakował więc istniejącą w Polsce komunistyczną ekonomię braków. Tem ten temat czepiał wracał w naszych rozmowach, ale teraz zabrał bardziej osobistego wydźwięku. „Co ona może zrobić żyjąc w takim kraju?” zadał mi retoryczne pytanie, a potem nastąpiła seria wypowiedzi o stałym pogorszeniu się sytuacji w Polsce, nie tylko pod względem ekonomicznym, ale również w kulturze i w sferze wolności obywatelskich.

Miał oczywiście mnie. Nie próbowałam zaprzeczać, co zachęciło go do zapytania mnie wprost, czy ja sama myślę o powrocie do Polski. Odpowiedziałam twierdząco. Jerzy chyba przejął tę odpowiedź jako dowód upodlenia mojej inteligencji i zaczął mnie gwałtownie namawiać, że bym już teraz przemyślała sposoby na pozostanie w Ameryce. Próbowałam mu tłumaczyć, że opeczę silnie więzi rodzinne, która ma dla mnie istotne znaczenie, liczy się również moje przywiązanie do języka, kultury, przeszłości, a ostatecznie i jakiejś poczucie solidarności z tej resztą ludzi,

klóra staliśmy nie może wyjechać nawet na krótko. Nie dało się uniknąć paru wielkich słów, których ja ogół starsim się nie używałem. Ale to wszystko nie zrobiło na Jerzym żadnego wrażenia. Wyróżnie nie rozumiał, dlaczego nie udaje mi się mnie przekonać, że należy to zostać za wszelką cenę. Chyba nigdy przedtem nie widziałam go mówiącego tak poważnie, bez kpinny i dowcipowania. Musiałam uwierzyć, że on naprawdę próbuje mnie ratować przed konsekwencjami lekkożyjnych decyzji, ale nie chciałam być osłona. Rozustaliśmy się tego wieczoru bez obietnicy z mojej strony, że przynajmniej przemysłę swoją sytuację ponownie.

Po tej powojennej rozmowie znów nie widzieliśmy się przez przeszło tydzień, z powodu mojego wyjazdu do Yale University. Zostałam tam zaproszona przez prof. Irenę Sławińską, której przeżeni pobyt na tej uczelni dobiegła końca. Widywaliśmy się z nią przedtem ilekroć przyjeżdżała do Nowego Jorku i nasza dawniejsza znajomość przetrwała się w przyjaciół, która teraz miała mi dostarczyć okazji do wzbogacenia impresji amerykańskich. Irena przygotowała plan mojej wizyty z uwzględnieniem metodycznością ustaliśmy wspólnie, które seminaria by były dla mnie najbardziej interesujące, następnie ona uzyskała dla mnie zaproszenia na nie. W całości wizję uznałam za szczególną okazję do przyjrzenia się działalności dydaktycznej wybitnych profesorów literatury angielskiej, porozmawiania z nimi i krótkiego bodaj kontaktu z atmosferą intelektualną tej znakomitej uczelni.

W parę dni po moim powrocie zadzwonił Jerzy i zaproponował spotkanie w John Jay Hall na lunch w piątek. Dodał pomru, że w następnym tygodniu może już nie mieć pieniędzy nawet na taki skromny posiłek. Nadesza właśnie fala mających upałów i kiedy jedliśmy razem coś zimnego, byliśmy obaj nieśkory do rozmowy. Ja zapytałam, czy dostał już przedłużenie wizy i ustaliśmy w odpowiedzi lakonicznie: „tak, na rok”. Potem padło czyste grzechociosowe pytanie o wrażenie, jakie na mnie zrobiło Yale. Powiedziałam kilka zdań na temat wspaniałości biblioteki i symbolizującego New Haven, jak na Amerykę niedużego miasta z ładną ziemią i miłymi w dotychczasowym miastami historią, ale Jerzego to w tym momencie nie interesowało, co przyjąłam bez zdziwienia. Zauważyłam bowiem już wcześniej, że jego zainteresowania nie wychodziły poza Nowy Jork, a to ogromne miasto było czymś odrębnym od reszty Ameryki, miała swój własny, kosmopolityczny klimat i tworzyło mody dla całego kontynentu Północnej Ameryki, albo przynajmniej przejmowało niektóre nawiązy do Europy, adaptowało je i puszczalo w obieg na drugiej półkuli. Szybko uznałam temat Yale za wyczerpany i siedziałym w milczeniu koniec kwietnia misję nakłaniając mnie do stania o zezwolenie na pozostanie w Stanach. Nie miał żadnych nowych argumentów, po prostu używał cierpliwiej perswazji, jakby był upartym dzieckiem, ja zaś niezmiernie powtarzałam, że tak, wiem, że w Polsce nie mam szans na tworzenie, swobodne życie, ale moje poczucie winy z własnym krajem jest zbyt silne, że to zaczyna nową egzystencję. Ostatecznie zmęczony upalem i świadomością, że żadne z nas nie jest w stanie przekonać drugiego, rozustaliśmy się nawet bez usłonejony zwyciężającym obiecmi Jerzego, że zadzwoni w tydzień, albo jak skróciły pisać coś dla prof. Lazarfelda.

Teraz dni następowały po sobie tak szybko, że żadnego dłuższego spotkania nie dało się wykreślić. Chyba tylko raz zjedliśmy razem lunch i to dzięki przypadkowemu spotkaniu. Dwa czy trzy razy rozmawialiśmy przez telefon. Podjęwałam zresztą, że Jerzy zadzwonił tylko dlatego, że już się bardzo zmógł przedzieraniem się z pomocą słownika angielsko-polskiego przez trudne teksty socjologiczne i zaprzagnął się odprężyć podczas krótkiego rozmowy, która byłaby wymianną zdań o mało znaczących, codziennych sprawach i to w rodzimym języku. Przy okazji wracał też temat, który miał duże znaczenie dla nas obaj: konieczność rychłej prze-

prawkid. Mój dom akademicki był opłacony tylko do końca semestra i nie zamierzalam przedłużać umowy, orientowalam się już bowiem, że z latwością można wynająć pokój w pobliżu uniwersytetu i zanościć w ten sposób spora sumę, co miesiąc. Jerzy i Roger postanowili się rozstać. Nie dowiedziłam się dlaczego. Jerzy nie wspominał nigdy ani słowem, że od lipca będzie dostawał co miesiąc stypendium Fundacji Forda, co zasadniczo zmniejsza jego położenie, mógł więc sobie poprawić warunki mieszkaniowe. Ale przez następne pięć czy sześć tygodni musiał jeszcze mieć poważne problemy finansowe i pewnie rzeczywiście nie wiedział, gdzie się przeprowadzić, ani na jak długo, więc jego ciągłe uskarżanie się na brak pieniędzy było uzasadnione. Mógł w końcu dlatego przy jakiejś sposobności być wspomniany, że poznałam P. Warkę Koczer. Jerzy okazał się zainteresowanie. Prawie na pewno służył o niej w Instytucie Polskim, w którym często był.

Ta postać zasługująca na krótką prezentację. Pani Wanda była osobą znaną i szanowaną w kręgu nowojorskiej Polonii. Wspierała finansowo różne inicjatywy kulturalne, ale pomagała też niekiedy przybywającym z Polski, jeśli skróczyło im się jakieś stypendium, a starali się o inne. Używała także pokoju w swoim mieszkaniu ludziami, którzy zatrzymywali się w Nowym Jorku tylko na pewien czas, zwłaszcza że sama przybywała głównie w Connecticut. Do Ameryki przyjechała wraz z mężem i synami głównie w roku 1940. Po latach pracy, połączonej z przedsiębiorczą, która podobno cechowała obaj małżonków, para ta dorobiła się sporej fortuny i wtedy miał postanowił się rozwieść. Powód był banalny: miłość do młodszej kobiety. Dzieci były już dorosłe, problem stanowił jedynie podział majątku, a więc sprawa niebagatelna. Gdy poznałam pani Wandę, wszystko to należało już do przeszłości, choć więcej i bolesniej. Zaprosiła mnie w weekend do swego wiejskiego domu, gdzie mówila wiele i ciekawie o swoich doświadczeniach amerykańskich, o barierach, jakie dzieła rodziców-emigrantów od dzieci, wychowywanych już przez szkołę na obywateli USA, o losach Polaków, którzy – tak jak ona – przybyli do USA w latach wojny.

Kiedy więc przy następnym spotkaniu z Jerzym zaczęłam mu o niej opowiadać, jego zainteresowanie wydawało mi się zrozumiałe: była przecież kimś, od kogo mógł uzyskać jednorazową pomoc finansową lub przynajmniej bezplatne zakwaterowanie na kilka tygodni. Ale już po kilku pytaniach, które mi zadał na jej temat, zaczęłam podejrzewać, że nie o takie formy pomocy mu chodzi. Chciał znać jej wiek, tryb życia, i oczywiście jej stan majątkowy. Wywnioskowałam z tego, że Jerzy chce się raczej zorientować, czy jest to kobieta, przy pomocy której mógłby uczestniczyć swoją wielki plan. Zdecydowałam, że od razu należy go pozbawić złudzeń. Powiedziałam też, że domyślam się, jaka intencja kryje się za tymi pytaniami. Na koniec z pewnym rozważaniem dorzuciłam kilka szczegółów o pani Wandzie: że ma cztery koty syjamskie, obywatelka jest szlachecką, ma jedynie dochodząca sprawniejsze i uczynnego sąsiada, który odpłatnie kosi trawę w ogrodzie raz na jakiś czas. Jest to wiek – jak na Amerykę – tryb życia zupełnie spartański. Wszystkie te informacje były prawdziwe. Jerzy pokiwiał w milczeniu i chyba skapitulował. Nigdy więcej nie mówiliśmy o pani Wandzie.

Następna rozmowa, jaką odbyliśmy w maju, już po zakończeniu semestru, zapisała mi się w pamięci z innego powodu: Jerzy po raz ostatni podjął próbę przekonania mnie, że powinien za wszelką cenę starać się o zezwolenie na pozostanie w Ameryce. Tym razem temat sam się narzucił, rozmawialiśmy bowiem skurta o Ewie Palasti, która Jerzy poznał w czasie jednej ze swoich wizyt w mie. Ewa uciekła z Węgier w październiku 1956, a w połowie następnego roku przyjechała do Nowego Jorku. W akademiku była moją sąsiadką i cieszyła się, że tuż obok ma kogoś ze swojej części Europy, kto ją rozumie. Wiele mówiła o sobie. Szybko polu-

bilant te samotna, zagubiona w Nowym Jorku dziewczyna, która dostawała zapomogi z organizacji wspomagających uciekinierów politycznych, plinie uczyła się angielskiego, stenografii i maszynopisania i żyła w strachu przed przyszłością, kiedy opaki tymczasową wspólnotę akademicka z jej powierzchowną wzajemną życzliwością i zamieszkała w wynajętym pokoju, do którego punktu będzie wracać po wiele godzinach monotonnej pracy biurowej. Któregoś dnia Ewa dostała list od swojego chłopaka ze Swazjarii. Los ich rozdzielił i teraz chłopak przestał wierzyć, że kiedyś uda mu się pokonać dzielącą go od Ewy przestrzeń laika i oceanu. Pisał swój ostatni list przed słabnąc z miejscową dziewczyną. Ewa nie przyszła do mnie we lunch, tylko z decyzją, że wyjdzie za mąż za znacznie od niej starszego Amerykanina, jedynego człowieka w Nowym Jorku, którego znała od kilku miesięcy i który okazał jej wiele życzliwości. Powiedziała: „Jeśli nie wyjdę teraz za Leona, to mogę tylko przyjąć ofertę noclegowej izby w elegancznej hotelu dla homoseksualistów w Long Island, bo oni oferują najlepszą placę i mieszkanie słubowe”. Obie doszliśmy do wniosku, że powinniśmy raczej wybrać małżeństwo.

Opowiadziałam Jerzemu o decyzji, którą Ewa musiała teraz podjąć. Chyba nie był jej losem zainteresowany, ale ta sytuacja podsunęła mu natchmniast pomysły. Zapytał: „A ty nie mogłabyś tu wyjść za mąż?” Powiedziałam, że dotąd się nad tym nie zastanawiałam, ale ponieważ mam wzięc studencką, pewnie byłaby trudność z uzyskaniem pozwolenia na stały pobyt nawet z przepiśkami ekspresowego małżeństwa. Oczywiście zdarłabam sobie w ten sposób z samego pomysłu, ale Jerzy był w nastroju jak najbardziej serio i wcale nie zrezygnował ze snucia dalszych planów dla mnie. Zapytał znowu z całą powagą: „A czy nie mogłabyś znaleźć w ciąży?” Teraz postanowiłam już zakpić sobie z niego i odparłam pouczającym tonem: „Nie wiem, bo nigdy nie próbowałam. Jesteś ekspertem w sprawach seksu i powinien być sztywny, że dziewczyny chcą zwykle wiedzieć, jak uchronić się przed ciążą, a nie jak w nią zajść. To drugie są ogół znowu są naturalne, ale one czasem zawiodą”. Śmiejąc, że moja ironia uraziła Jerzego, wyśmuchała ze jego zaangażowaniem w planowanie mojej emigracyjnej przyszłości było na pewno bezinteresowne i nie spodziewała się takiej niewdzięczności.

W pierwszej połowie czerwca jeszcze ledwie z nas mieszkało pod starym adresem, ale gdy skończyły się wykłady, jakby zabrakło nam, w których dotąd działaliśmy i które pomogły planować spotkanie. Moze zresztą nasza niezobowiązująca znajomość wyzerpała już swoje możliwości i oboje czuliśmy, że nie bardzo jest się po co spotykać. W zimie Jerzy ciągle miał jakieś ciekawe obserwacje amerykańskich zachowań i obyczajów, których chętnie słuchałam, teraz natomiast ciągle tylko krytykował Amerykanów, zupełnie nie dostrzegając ich pozytywnych cech. A przecież cięła w tym kraju zamieszkała na stałe. Nasze rozmowy stały się jałowe. On też musiał to zauważyć. Jednak zdawaliśmy potem jeszcze raz, ale ja akurat wyjeżdżałam na kilkudniowy wypoczynek nad rzeką św. Wawrzynia, gdzie moją wojusztwo mieliśmy mały ośrodek rekreacyjny z domkami campingowymi i wypoczynkami motorówką. Po moim powrocie nie odwołał się przez te tygodnie. W połowie miesiąca miałam się przeprowadzić na okres wakacji do mieszkania pani Wendy Reich, na południu Manhattanu, śladu do Columbi było całkiem daleko, zaś Jerzy zamierzał znaleźć sobie lokum w sąsiedztwie uniwersytetu. Spodziewałam się więc, że nasz kontakt urwie się w sposób naturalny.

Tymczasem trzynastego czerwca Jerzy zdawaliśmy wczelnie po południu, by oznajmić mi, że jest to akurat dzień św. Antoniego i w Greenwich Village Amerykanin wlooskiego pochodzenia urządzała festyn z muzyką, tańcami i śpiewami. Wstęp jest wolny, impreza podobno zawsze ciekawa, bardziej wlotka czy bródziemomorska niż amerykańska, trwająca zwykle do późnej nocy na ulicy, ogromnie spontaniczna i radosna. Niczego

podobnego tu się nie zobaczy w żaden inny dzień roku. Może pojechałabym popatrzyć posłuchać? Byłam zmęczona upalnym dniem i entuzjazm Jerzego zupełnie mi się nie udzielił. Powiedziałam więc wprost, że nie mam ochoty jechać brudnym nowojorskim metrem, które w dodatku będzie wygrzała jak piec chlebowy. Ale on wyraźnie potrzebował towarzysztwa na te wyprawy i nie dawał się łatwo zniechęcić. Zachwał festyn na wszelkie możliwe sposoby, proponował, żebyśmy wybrali się później, kiedy upał nie będzie już dokuczliwy i wreszcie udało się upersoń. Jechaliśmy tam jednak w stanie końcowej apatii, tak dalece, że nie pamiętałam później, na jakiej stacji wysiedliśmy, ani jak nazywała się ulica, na której festyn się odbywał. Prowadził Jerzy, a samo miejsce znaleźliśmy oczywiście bez trudu, dzięki muzyce i gwarowi setek ludzi, którzy się tam czuli. Wszęcy gdzieś przysiadali, słuchali jakichś grupy muzyki, potem szli dalej popatrzyć na tańce, a czasem przelażęły się do tańczących par. My też przeszliśmy się w gestyjnym tłumie, ale nie uczestniczyliśmy w zabawie, ograniczając się do obserwacji. Ja sama patrzyłam na to widowsko z zainteresowaniem, pełna podziwu dla temperatury i muzyczności tego przypadkowego zgromadzonego tłum, ale ogarnęło mnie zdumienie, gdy spojrzalam na Jerzego i dostrzegłam jego podniecenie i zafascynowanie atmosferą zabawy. Był wprost rozgorączkowany, jak dziecko przyprawdzone po raz pierwszy do ogromnie atrakcyjnego wesołego miasteczka. Chwytał mnie za rękę, mówił wyrywami zadaniami: „posłuchaj, jak ten chłopak gra na trąbce! albo... popatrz jak ten Murzyn podrzuca dziecko w takt muzyki”, „jak ta mała klaszeczka, świetne wyzwanie rytmu, taki skrzak!” Słuchałam więc gry na trąbce i podziwiałam wzdkiem i lekkością z jaką czarokornia tarta rytmicznie unosy i opuszcza dziewczynkę wyglądającą jak czarna laika, podczas gdy ona porusza się, jakby miała półtorę. Ale najbardziej zdumiewało mnie to, że Jerzy, który to był tylko jako obserwator, tak dogłębnie dzielił radość życia tego tłum i przeżywał zbiorowe uniesienie wywołone muzyką i tańcem.

Wydawał mi się dotąd zawsze w takich samych dekoracjach: w bezosobowym wielkim salonie w akademiku, w gigantycznych stołówce, w sali wykładowej, czy w wypełnionym kinie, gdzie każda grupa oddziela się od reszty. Tu zaś tłum jawił się jako jedna, przyciążająca całość i Jerzy natychmiast się w nią wtopił. Ja zaś nie czułam, że posiadam taki dar i taką potrzebę. Długo patrzyłam na niego z tym większym zdumieniem. Ten nowy aspekt jego osobowości był dla mnie nowym wyzwaniem.

„Oczywiście chciał tam zostać jak najdłużej, ale może właśnie ożywienie i zainteresowanie nie wystarczyło na długo. Po północy zaczęłam nalegać, żeby już wracać i gdy upierałem powtarzałam, że mamy jeszcze długą drogę do mojej stacji na Sto Szesnastej Ulicy, udało mi się go wreszcie wycofać. W drodze powrotnej prawie nie rozmawialiśmy. Dopiero przed samym końcem drogi, wyczuwając coraz większym metrem powiedziałam Jerzemu, że wyprosiłam się za trzy dni, a ja mam mu nowy numer telefonu, ale w gruncie rzeczy nie bardzo liczyłam na to, że do mnie zadzwoni. Czuliśmy, że wyprzedzając się z akademika, zaczynamy nowy rozdział życia w tym mieście, zaś co do Jerzego, to podejrzewałam, że jego studia doktoranckie stały się tylko użytecznym parawanem, za którym działa niezmordowanie, by ustabilizować swa pozycję w tym kraju, a do tego celna potrzeba mu wciąż nowych znajomości.

Intuicję mnie nie zawiodła. Jerzy nie zadzwonił na Dziewiętnastą Ulicę, gdzie przemierzaliśmy koniec czerwca, lipiec i połowę sierpnia. Był to pracowity okres tzw. sesji letniej, kiedy uczelnianym wszystkim, czego nie zdołalam wlotczyć w swój program wcześniej. Ale on także miał w planie zarejestrowanie się na szereg zajęć. Przez pięć dni w tygodniu przyjeżdżałam na uniwersytet na całe dni, on prawdopodobnie spędzał tam tyle samo czasu i nigdy nie wpałyśmy na siebie.

W połowie sierpnia wyjechałam w wielką podróż do Atlantyku do Pałacyku, którą umożliwiła mi życzliwość pani Wendy i jej oferta bezpłatne-

go pokoju. Wróciłam na sum początek semestru jesienno. Kiedy jadłam lunch pierwszego dnia zajęć w John Jay Hall rozglądając się po wielkiej sali, czy nie zobaczę gdzieś Jerzego, do mojego stolika przysiadł się nieznanymi chłopak, który bez żadnego wstępu powiedział: „Pani chyba jest Europejka, a ja właśnie szukam kogoś z tamtego kontynentu, bo z Amerykanami nie da się rozmawiać”. Byłam zdziwiona jego szczególnym wymaganiem co do towarzysza przy posiłku i talentem, który pozwolił mi odgadnąć, że jestem cudzoziemką. Ta przypadkowa znajomość szybko zamieniła się w przyjaźń, a że Michael znał wielu młodych ludzi, ja sama niepostrzeżenie weszłam w jego międzynarodowy krąg. W ten sposób zaczęłam teraz byćwać w innych miejscach, że indziej jadąc posiłki. Często spotykaliśmy się w kilkoro w malej greckiej restauracji na Broadwayu, gdzie było ciśnie, ale dużo przyjemniej niż w ogromnej stołówce w John Jay Hall. Mieszkałam w mieszkaniu uniwersyteckim, ale zmieniły się szlaki, którymi teraz chodziałam. Już nie wydawało mi się dziwne, że miały tygodnie, a my nigdy z Jerzym nie wpadliśmy na siebie. Nie wiedziałam, dokąd się przeprowadzi, on także nie miał mojego adresu. W czasie naszej znajomości nie poznałam nikogo, z kim miałybyś contacty, nie miałam więc kogo zaprzytać, gdzie się podziewa.

Czasem zastanawiałam się, w jakim tempie Jerzy realizuje swoje ambitne plany, bo że je urzeczywistnia, choć może z pewnymi modyfikacjami – nie wątpiałam ani przez chwilę. Ale Nowy Jork jest wielki i wiedziałam, że raz straciwo Jerzego z oczu, mogę nigdy więcej go nie zobaczyć.

Gdy mijał semester jesienno, w ciągu którego miałam trudne egzaminy i pisanie pracy, zaczęłam coraz częściej myśleć o powrocie do Polski. Był już rok 1959. Zostało mi kilka miesięcy do wyjazdu. Przez cały czas utrzymywałabym regularną korespondencję z rodziną i przyjaciółmi w kraju i z ich dyskretnymi, zamaskowanymi uwag i informacjami mogłam wnosić, że jest znacznie gorzej niż w czasie mego wyjazdu. Potwierdzały to rozmowy ze spotkanymi tu i ówdzie Polakami, świeżo przybyłymi z kraju. W dodatku po upływie przeszło roku zadumowałam się o nim i jego swobodzie i wolności, jeszcze wtedy nie będącym narastającą przesadą, miałam liczyć przyjeżdżając, o których wiele sądziło, że powinnam starać się tu zostać lub przedejść sobie pobyt i głębiej przemysleć sprawę powrotu lub pozostania. Przez wiele tygodni żyłam w rozterce i czasem myślałam o Jerzym, choć wiedziałam, że jego sytuacja i moje były całkowicie odmienne, bo on przejechał z decyzją pozostania w Stanach Zjednoczonych, a ja – z decyzją powrotu. Myśl o innym rozwiązaniu pojawiła się u mnie znacząco później jako pokusa, jako egoistyczna niechęć do wybierania tego, co trudniejsze.

Przewidywałam polską pozostania w bogatym i wolnym kraju, wyjeżdżałam jednak w następującym przygnębieniu, z czarnymi myślami o tym, co mnie czeka i z przekonaniem, że nigdy więcej nie przyjadę do Ameryki.

Przez kilka następnych lat wydawało się, że była to trafna wizja przyszłości. Użyłaskam doktorat, a zaraz potem zamknięto filologie zachodnie na KUL-u. Nie było już miejsca, z którym trwałaby łącząca mnie praca. Moje przyjaciółce rozjechały się po różnych miastach. Ja pozostałam sama w Lublinie. Znalazłam wprawdzie zatrudnienie na UMCS, ale w nowym miejscu, bez biblioteki, bez zgranego zespołu doświadczonych pracowników na rezultaty własnych wysiłków trzeba było czekać, a na gromadzenie swego dorobku naukowego zostawały tylko okruszki czasu. A jednak w siedem lat po powrocie zza Atlantyku szykowałam się znów do wyjazdu i ponownie miał to być Nowy Jork. Różnica była tylko taka, że w roku 1966 okrety jako środek transportu przez ocean zostały już właściwie odesłane do lamusa i teraz przelot z Warszawy do Nowego Jorku wyglądał bardziej jak niedzielną pianką niż podróż na drugą półkulę. W każdym razie zestawione z moimi wspomnieniami to nowe doświadczenie – dzie-

się godzin lotu w blasku słońca, bez żadnego miotania maszyną – poraziło mnie swoją banalnością.

Nim się jednak tam znalazłam, dowiedziałam się z oburzonych wypowiedzi drukowanych w polskiej prasie, że Jerzy Kosiński właśnie opublikował powieść, *Malowany ptak*, którą przedstawiono jako paskiewicz na Polskę. Zaintrygowała mnie ta wiadomość, choćby dlatego, że trudno było mi uwierzyć, iż Jerzy w niedugim czasie opanował angielski tak doskonale, by móc w nim pisać utwory literackie. Według mnie byłoby to możliwe tylko dzięki interwencji Ducha Świętego, mnie zaś wydawało się, że hardziej prawdopodobne, że w autorskich wywiadach wstępnie jako „malowany ptak”, tzn. plalny specjalista od przerabiania nieudolnie skłconych tekstów na przeywotną – ha, niekiedy bardzo zgrabną – angielszczyznę. Skoro w poczynnej mowie amerykańskiej istnieje sposób okrestlający ten zawód, musi go wykonywać wiele osób i Jerzy Kosiński niewątpliwie o tym zdawalo. Oczywiście takie usługi są stosownie wyceniane i jeśli Jerzego było na nie stać, mogłam się domyślać, że zgodnie z planem poślubił milionerkę. Aby ustalić dokładniej, czy poruczył oszacować ambicje akademickie i zajął się na serio literaturą, miałam przed sobą, co znalazł się w Nowym Jorku, przeczytałam książkę i dowiem się czegoś o literackich osiągnięciach Kosińskiego, będącego już teraz niewątpliwie dość znaną osobistością.

W jakim zaś po przyjeździe wybrałam się do Polish Institute of Arts and Sciences. Chciałam tam coś sprawdzić w bibliotece i przy okazji dowiedzieć się, jak zareagowali na ukazanie się *Malowanego ptaka*. Jerzy Kosiński był tam często do poznania i poczułam swego pobytu w Ameryce i sporo zawiązywał nam i żywciołowie prezydenta Instytutu, Stanisława Strzeleckiego. Prawie na pewno utrzymałam nadal kontakty z tą ważną polską kółką nowojorskiej Polonii. Moje domosby okazały się szlachne. Pytanie o Kosińskiego wprawilo w nastry różnorodności wszystkie osoby pracujące w pokoju biurowym, do którego weszłam. Był tam znany, lubiany i podziwiany. Cieszeno się z jego sukcesu, choć wówczas, stan, w roku 1966 dostępną była jedynie odcyja w twardej oprawie, która doczekała się miesięcznych recenzji i która nie rozalała natrwiaka młodego, nieznanego autora ani w części tak, jak to zrobiło później wydanie popularne, tani i wprowadzone na rynek z fanfarami rżącznej akcji promocyjnej. Ale już wtedy przyjaciele Kosińskiego w Instytucie przedstawiali powieść jako arcydzieło, choć nikt właściwie nie powiedział niż konkretnego o jej fabule i problematyce. Nikt też akurat nie miał egzemplarza, nie mogłam więc poprosić o pożyczanie, ale jedna ze znajomych pań obiecała mi go przesłać pocztą i słowa dotrzymała.

Po paru dniach książka dotarła. Pierwsza rzecz, którą zwróciła moją uwagę, była dedykacja: „To my wife Mary Hayward. Weir without whom even the past would lose its meaning” (Mojej żonie Mary Hayward Weir, bez której nawet przeszłość straciłaby swoje znaczenie). Pamiętam doskonale, co Jerzy mówił mi o swoich planach małżeńskich, o tym kontraktarstwo, bez iluzji głębokiej miłości, bez zakłamania. Tymczasem dedykacja była świadectwem zakłamania, miała głosić, że istnieje więź duchowa między małżonkami, będąca dla niego źródłem inspiracji i twórczej. Nim skończyłam czytać *Malowanego ptaka*, dowiedziałam się, że Jerzy i Mary są już po rozwodzie. Dedykacja została usunięta z następnych wydań książki.

Czytanie zaczęłam z kiepskimi oczekiwaniami, ale uzbierałam przez całość, choć chwila mi uwalniały walczyć z silnym uczuciem obrzydzenia. Nie sprawiło mi kłopotu miejsce akcji, że syntetyczne, zafowane wschodnioeuropejskie wie, które miały pociągę; egożyłką amerykańskich czytelników. Budowałam się jednak na długi seris obserwowanych przez dziecięcego narratorkę wynaturzonych scen erotycznych. To

ony były chyba pomyślane jako magnes dla czytelników, mnie zaś odstraszczały szczególnie dlatego, że były oglądane okiem niewinnego dziecka, które – jak zauważyłam – pozostaje obserwatorem, samo zaś nigdy nie staje się obiektem pożądania, a przecież badaniem realizatym, mniej bańkową koncepcją mogłaby i taki układ sytuacji uwzględnić. Wniosek z Jerzyna, przekonana, że nie miałoby, ona sensu. Nasza epopejowa znajomość była już odległą historią. Teraz Jerzy wzeździł w nowy świat. Po przeczytaniu *Malowanego ptaka* nie miałam już nawet ochoty uśmieć i napisać do niego krótkiego listu z gratulacjami i życzeniem dalszych sukcesów literackich. Nie wiedziałam, że będzie tych sukcesów sporo w ciągu nadchodzących lat, ale mnie interesowały już jedynie jako przejaw szczególnych właściwości amerykańskiego życia literackiego, w którym tak wielką rolę odgrywa pogoń za nowościami, reklama i gwiazdorstwo pewnych twórców, skutecznie pilnujących własno, czasem dość mierne książki, dzięki umiejętności pozyskania się mediami i recenzentami. Jerzy miał gwiazdorstwo we krwi i w Nowym Jorku mógł to spożytkować.

Jadąc do Ameryki w 1966 roku nie zamierzałam zabiegać o spotkanie z Jerzym, przekonana, że nie miałoby, ona sensu. Nasza epopejowa znajomość była już odległą historią. Teraz Jerzy wzeździł w nowy świat. Po przeczytaniu *Malowanego ptaka* nie miałam już nawet ochoty uśmieć i napisać do niego krótkiego listu z gratulacjami i życzeniem dalszych sukcesów literackich. Nie wiedziałam, że będzie tych sukcesów sporo w ciągu nadchodzących lat, ale mnie interesowały już jedynie jako przejaw szczególnych właściwości amerykańskiego życia literackiego, w którym tak wielką rolę odgrywa pogoń za nowościami, reklama i gwiazdorstwo pewnych twórców, skutecznie pilnujących własno, czasem dość mierne książki, dzięki umiejętności pozyskania się mediami i recenzentami. Jerzy miał gwiazdorstwo we krwi i w Nowym Jorku mógł to spożytkować.

Przeze dwa następne dziesięciolecia dochodziły do mnie informacje o dalszych sukcesach literackich Kosinińskiego w Ameryce i podobnych europejskich rynków wydawniczych dzięki przekładowi na inne języki, ale nie śledziłam tych etapów jego kariery ze szczególną uwagą. Bardziej zwrócił moja uwagę wybuch szerszego zainteresowania jego twórczością w Polsce w późnych latach 80. Wiosną roku 1988 została zapowiedziana wizyta Kosinińskiego w Lublinie. Miał mieć wykład dla studentów i profesorów na UMCS, na który się wybierałam i sądziłam że przy tej okazji zamienię z nim kilka zdań. Nie wątpiłam, że będzie mnie pamiętać. Początek spotkania opóźnił się i spore grunki czekających, wśród których znajdowałam się i ja, stały na podeście przed aulą. Nagle Jerzy wbiegł z młodzieńczą energią po schodach (nie wątpię, że było to wejście starannie zaplanowane i miało wywołać stosowny efekt), zatrzymał się na moment, przebiegł wzrokiem po ludzkich ciekawych przed wejściem, natychmiast dostrzegł mnie i bezdługo rozpoznał, jakby nie upłynęło prawie trzydzieści lat od chwili, gdy widzieliśmy się po raz ostatni. To już nie mogło być czegóż przygotowanego z góry scenariusza. Sama zrybkość i precyzja jego reakcji sprawiła mnie w zdumienie, które pogłębiło się jeszcze, gdy Jerzy chwycił mnie w objęcia i serdecznie ucałował. Wyglądało to całkiem spontanicznie, ale ktoś wie, czy ludzie, dla których wystąpienia publiczne i pokazywanie się w mediach to po prostu prosta sprawa odegrania pewnej roli, mogą jeszcze działać w naturalny sposób.

W czasie swobodnego nby wykładu lub raczej opowieści o różnych doświadczeniach pisarza amerykańskiego w świecie akademickim, z którym miałam liczne i trwałe związki, Jerzy pokazał, jak znakomicie potrafi nawiązać kontakty ze słuchaczami i utrzymać ich zainteresowanie. Niewątpliwie zdolności aktorskie rozwinęły się w pełni profesjonalizm w ciągu wielu lat wypełnianych licznymi wystąpieniami przed publicznością, przed kamerami telewizyjnymi, rowami w filmie. Byłam pełna uznania dla tego szczególnego osiągnięcia Jerzego i zastanawiałam się, na ile mogło mi ono w karierze pisarskiej. Potem przy obiedzie siedzieliśmy naprzeciwko siebie i wtedy ukazała mi się inna strona jego zawodowego życia: konieczność stałego zabiegania o nowe sukcesy. Był to dla niego okres niecierpliwego

wyczerkiwania na recenzje o jego najnowszej książce *The Hermit of 69th Street (Pastusik z 69 Ulicy)*. W czasie obiadu nieustannie wracał do speculacji, jaka będzie reakcja krytyki i publiczności. Nie orientowałam się wówczas, do jakiego stopnia jego kariera pisarska budziła już wątpliwości po ukazanym się ataku na niego w „The Village Voice” w roku 1982. *Pastusik* był pierwszą znaczącą pozycją wydaną po tym głośnym zakwestionowaniu autentyczności jego osiągnięć literackich. Nowa książka była chyba przez samego Kosinińskiego traktowana jako kontratak: miała potwierdzić jego dalsze możliwości twórcze, a tym samym pokazać bezzasadność oskarżeń o plagiaty i korzystanie z usług płatnych „redaktorów”.

Po obiedzie miałam okazyjnie rozmawiać z Jerzym przez chwilę. Powiedział mi, że często wraca do wspomnień o ojcu i widzi, jak niesprawiedliwie go oceniał. Dostrzega też swe podobieństwo do niego, a przecież zawsze czuł się psychicznie bliższy matce. Powiedziałam mu wtedy, że w czasie całej mojej znajomości ani razu nie wspomnił, że ma ojca. Ta zmiana stosunku do rodziców wydawała mi się znakami, że Jerzy dokonywał rewaluacji swego życia, może wobec świadomości, że oto byskniwał karierą, która przez lata niezmordowanie budował, czasem nie przebiegając w środkach, znalazła się pod znakiem zapytania. Nuda smutku i zadumy nad przeszłością pojawiła się tylko na moment. Zegnam się ze mną nieco później, już w towarzyszywie żony. Jerzy znowu rozszalał wokół ostatnio optymistycznie i z ożywieniem mówił o swych licznych planach na przyszłość. Jak dawniej, kiedy spotykaliśmy się w Johnson Hall.

Alina Scala

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Jack Dybała: *Piętroczoły łow*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1997, ss. 216.

Kami Maliszewski: *Dziennik potorny*. Wyd. „Absard” s.c., Sopot 1997, ss. 63. Seria: Biblioteka „Toposa”.

Jadwiga Sikbińska-Podbielska: *Epopeja prowincjonalna*. Wydawnictwo „Maja”, Lublin 1997, ss. 561.

Piotr Łuszczkiewicz: *Po bań. Eseje o literaturze polskiej*. Oficyna Wydawnicza „Lato”, Warszawa 1997, ss. 209+5 alb.

O Bretanii wierszami i prozą. Wybór, opracowanie, tłumaczenie z je. francuskiego i redakcja Kazimierz Drakontides. Wyd. Centrum Francusko-Polskie, Ostroja 1997, ss. 251.

Jadwiga Dieter (Jadwiga Weber): *Urwalenia. Wybór prac opublikowanych w Agencja Wydawniczo-Handlowa Antoni Dudak, Lublin 1997, ss. 92.*

Notwim i Podolska przypisywano - O Tadeuszu Staichu wspomnienia. Red. W. Wiącek. M. Wyzłowski. Opracowania H. Wyzłowska. Wyd. Związek Poebalm - Opimiko im. T. Staicha w Lublinie, Lublinie 1997, ss. 54

Henryk Kus: *Elementy kompozycji w fotografii*. Nakład autora, Lublin 1997, ss. 22.

Kiät to opozne, kiät to uszty. Rozmowy z Wincemim Rikaitisim. Wyd. „Obswerast”, Poznań 1997, ss. 104.

„Der letzte Ritter und seine Bürger im Osten Europas” Konzepts, das aufnfindliche Reformations und die Verbindung zwischen Polen und der Schweiz. Hrsg. von Heiko Hausmann und Jerzy Skowronek. Heibing und Lichtenhan Verlag, Basel 1996, ss. 377.

* rozmowy *

Wokół *Wyboru Zofii* Williama Styrona — po latach

Rozmawiają: Andrzej Gómy, Ryszard K. Przybylski
i Sergiusz Sterna-Wachowiak

Kultura masowa to obecnie nie tyle przestrzeń dialogu i sporu w wartości, ile raczej doświadczenie w tym samym okno wystawowe. Od czasu do czasu dają tu wskazówki albo w sobie emocje zastępcze. Jedną z fal „świętego oburzenia” przetrwały się przez bez mała całą polską prasę kilka lat temu w związku z doświadczeniem napisaną powieścią Williama Styrona *Wybór Zofii*, którą w przekładzie Zbigniewa Bałki ogłosiła Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA (Warszawa 1991). Poruszeni nie tyle książką, niż manerą amerykańskiego autora, ile osobliwymi i mocno zrażającymi spólnymi polskimi na nią reakcjami (na Zachodzie zdążyło rzeźić filmowców), w Domu Literatary Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu dyskutowano na ten temat; inicjator spotkania Andrzej Gómy – prozak, autor *Krew*, powieści o Czarnu 56 i związanych z historią Czarnego Czwartku problemach winy, odpowiedzialności i pamięci; Ryszard K. Przybylski – poeta i tłumacz amerykańskiej literatury, autor zbiorków w wydawnictwie Środowisko, autor książki *Być i pisać. O prozie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*; Sergiusz Sterna-Wachowiak – poeta, prozak, autor zestawiającej się problematyką środowiskowo-polityczną pogromca narodów, kultury i związków w perspektywie intencji i zagrożeń nacjonalistycznych, autorzy cykli spotkań dyskusyjnych w Domu Literatary, w tym na temat *Krew* (Główny obraz *Być i pisać* Przybylskiego).

Andrzej Gómy: Poprosiłem was o to rozmowę, bo przeraził mnie rozmiar międzytę, co sam w *Wyborze Zofii* Styrona odważałem, jak to powieść przynajmniej, a tym, co się o niej pisało i pisało, jak się o niej dyskutowało. Odczułem ogromną dysproporcję, niezrozumienie; nie chce się wierzyć, aby ludzie, których sobie cenię, ogarnięci zostali nagłą tak ślepotą. A więc odważę napisać: porozmawiamy, bo chociażby upewnić się, jak wy na to patrzycie. Jakże są przyczyny tego rozjęcia się między dziełem a dłużej rangi pisarza – autora przecież dobrane w Polsce przyjętych powieści *Pogrzeb* – w *Wyborze Zofii* (wyd. 1951) czy *Wybaw* Nana Turnera (wyd. 1967) – a opiniami wokół *Wyboru Zofii*. Styron nie jest w Polsce autorem nieznanym, wiadomo, co to jest za pisarz, wiadomo, że jego tomatem jest sprawa samoderstrukcji, przemiana człowieka. Od niesamowitego monologu *Pamięć w Pogrzebie* się w *Wyborze* poprzez Nana Turnera, buntownika, który walczy o tożsamość czarnego człowieka, a staje się zbrodniarzem, po postać Zofii. Gdzie kryje się źródło nieporozumienia? Istnieją szczególne związki *Wyboru Zofii* z Polską, przez fakt, że w planie powieści występuje problem zrozumienia człowieka spółki pięćdziesiąt. Wzrost wkracza więc w kulturę. Pojawia się problem Shoah, sprawa polskiej winy.

Sergiusz Sterna-Wachowiak: Zwroć uwagę na aspekt moralnej prowokacji, czyli trudność wyznaczoną nazwiskami Rofia Hochhuz, Josaby Sobola i właśnie Styrona. *Wybaw* Nana Turnera wywołało przemoc wielką burzę w USA, bo Styron podważa ustalone, a często fabrykowane mniemania różnych społeczności o sobie samych, nie godzi się na ich doświadczenia, które uwyślał spolecnie. Inna sprawa, że

główności na przyjęcie osądów obokojowych, kogot z *zwornik* – w kwestii najbardziej niejczy dla jakiegolwiek narodu czy społeczności, która na dotychczas uczyniła swoje rany wielkim złem. Jeśli Amerykanina zdradziła polska burza wokół *Wyboru Zofii*, to Nana Turnera – przynajmniej – amerykańska burza wokół *Wybaw* Nana Turnera. A inaczej, boleśnie mówiąc: czy nasze brzozy powinny być prane w zagranicę prania, albo czy muszą tam być prane, gdyż sam ich pranie nie potrafiamy? Materia tej powieści jest przecież detaliczna, z małymi wyjątkami, gwałtowna, czasami o spójności dokumentarna – i Styron wyściga z falków wniosków, czego my jakoś nie potrafiliśmy, wybierając zbrodnia, czyli tworząc zła.

AG: Bohatera powieści jest Polka, ofiara, ale ofiarą innego rządu niż ofiary Shoah. Zofia według mnie dźwiga nie tylko ciężarę kogoś okrutnego, ale też cierpienie kogot, kto może być katem. Jest postacią dwuznaczną, ocierającą się o arefę cenną. U Styrona właśnie Polka Zofia dźwiga całą kategorię ofiary i na jej przykładzie, poprzez jej los, Styron rozważa znaczenie człowieka, proces destrukcji. Czytając książkę dyskującą sprzed kilku lat o *Wyborze Zofii* *zauważyłem*, że nikt, nawet obudzić powieści nie zwrócił uwagi na ten podważający problem, jak wieloznaczność Styron czy powieści ofiar, jak pyta, co to właściwie jest ofiara? Okazuje się, że to mój mój bardzo jednoznaczne pojęcie ofiary. Nasze pojęcie ofiary zamyka nas na kontakty z innymi: nie wolno o nas mówić inaczej, jak tylko o jednoznacznych ofiarach. I inna sprawa: czy o ofierze – bo tak by to wyglądało – ma prawo mówić tylko ofiara?

Ryszard K. Przybylski: Plan powieści rysuje się poprzez relacje Polki Zofii i Zyla Natana. Zawiera się tu problem podawczy, który onegdaj postawił Borowski: Jeśli przesyłamy, to kosztujemy, to kosztujemy. To zarzut, który Nana stawia Zofii: jeśli przesyłamy, to czym kosztem? Doświadczając obawę w sytuacji wprowadza się do cery, jaka płaci się za własne przeliczenie, a cerna za nie jest niewłaściwe poczucie winy. Obok Borowskiego w książce pojawia się Dostajewski i problem jest w duchu Dostajewskiego: wina bez winy. Nana jest się sprawcą całego zła, które istnieje w obecnym, ale paradoksalnie się w nim uczestniczy. Stąd to powieść ma tak metafizyczny wymiar. Nieustannie pytanie o moralną odpowiedzialność za zła zła, które nas osacza, jest także pytaniem Kafki i Camusa. Aby było to pytanie mocniejsze, zostaje uytworzone w relacjach obywateli. Lecz przecie u Styrona pojawia się ono również w kontekście niewolnictwa na amerykańskim Północnym w XIX wieku, jak w *Wybaw* Nana Turnera czy romansach Styrona, trzeciego bohatera *Wyboru Zofii*. Tu ostatnia powieść jest amerykańską interpretacją pewnej tradycji europejskiej, próba zadania jej kłopotliwych pytań. W perspektywie amerykańskiej tradycji europejskiej tydzień się jako najbardziej szlachetna i godna odwołania. Odtąd Europa z punktu widzenia Styrona jawi się także jako Ameryka wielkiego zła, które organizmie w europejskiej drzewie i które paradoksalnie Ameryka przedziwka.

AG: Ale jest tylko bohaterów, trzy płaszczyzny, i ich skrzyżowanie daje wymiar zła w tym ofiary, lecz zła w ogóle. Według Styrona tylko Styron, Amerykanin z Północy czuje się uprawniony do podjęcia tematu Zofii i Natana, bo tylko on może zrozumieć, gdyż nosi w sobie przekleństwo tego, co na północy odbyło się wiek wcześniej.

RKP: Nie można mówić o problemie zła na poziomie ogólności, tylko trzeba go odnieść do konkretnej sytuacji, w której zło się uobocza. I tak czyni Styron: na przykład znacząco antysymityzmu kategoria wobec Polaków, ale także wobec Amerykanów, czy konkretnie, a nie ogólnie. Znamyą Grynberg, autor *Przemyśle niewartyści* *wymyślny* mł, że wiedza o antysymityzmie jest dziś w Polsce większa niż w Ameryce. Odtąd nie jest tak, że zarzuty, które Styron formułuje w powieści, mają charakter uogólnień. Ale nie jest tak tak, że odnoszą się tylko do Polaków. Powiadamy, że odnoszą się one do tej formacji kulturowej, jaka jest kultura europejska i w tym sensie także amerykańska.

SSW: Ja zaś niezdanie zgodziłbym się, że Styrona interesuje problem winy. W *Wyborze Zofii*, wydając mi się, kategorie moralne zostały zastąpione przez zjawiska psychologiczne, niezdaję się, że Polka ma raczej problem wstydu niż winy. Zofia ma także kłamstwo, poczucie niesprawiedliwości doświadczenia obywatela, które przełamuje wobec

1. *Wybaw* Williama Zofii „Literatura na Świecie” nr 10 (1993).

zasadzie racji uzasadniającej wszystko. Stąd właśnie wynika moje przekonanie, że nie ma modelu ani kultury jednoznacznie pozytywnej, ani wręcz postępowania, który byłby jednoznacznie akceptowalny. W powieści Stryona jest jednak bardzo silnie podkreślona jakość antyemilimarna polskości i została jągo wspomniana. Wynika to z sytuacji społecznej, w jakiej ta rzeczywistość istnieje. Nie ulęga najmniejszej wątpliwości, że na terenach II Rzeczypospolitej zamieszkiwało bardzo dużo Żydów. Nie ulęga wątpliwości, że Żydzi byli traktowani jako odrębna grupa narodowa i że sami siebie wyodrębniali ze społeczności polskiej. Nie ulęga wątpliwości, że na terenach Polski dokonano się epokowa tego narodu, że Polacy byli świadkami tej epokacji i że nie byli w stanie temu narodowi pomóc. I nie ulęga wątpliwości, że powściągliwość chrześcijaństwa było pomagającą znajdującą się w opozycji. Odnosi wrażenie, że zażenowanie się na ów tragiczny spłot okoliczności. Latwo wywodzić się Amerykaninowi, można by powiedzieć, który początkowo nawet nie wierzył w eksterminację Żydów na terenach polskich. Ale właśnie sarrator Stryona tego rodzaju problemy odnosi także do społeczeństwa amerykańskiego. Nie powiada tylko, że podobny układ miał między innymi i czarnymi, lecz przypomina, że braci Nattaja, który służył w amerykańskiej marynarce wojennej, nie mógł zostać oficerem, bo Żydzi nie mogli zostać oficerem w marynarce wojennej USA. Czyli antyemilimarna rudał się po całym świecie.

AG: Ale czy Stryon nie dodaje do tego jeszcze jednej sprawy? Tego mianowicie, że antyemilimarna rudał się pod ciśnieniem grozy, wiedzy, kiedy grozi imnaci wyzyska z ludzi jakiej sprawy i nie mając: niczego innego jako oparcie – racyzmy niemieckiego, bo siemawic staje się pewną obroną. Dopatruję się u Stryona i takiej pascy, racyzmu, tłumaczącej Polaków: Zofia w rozważnie ze Stryo, w rozpaczy, staje się nagle antyemilimarna, jakby przenosiła tanto doświadczenie, obowoz, bo chce sobie pomóc. Człowiek w zagrożeniu wyciąga różne rzeczy, sięga po archetypy, szczególnie po archetyp „zoboc”. Antyemilimarna tłacza więc rozpatrywać w kontekście tamtej sprawy. Wydaje mi się, że Stryon tak mówi o antyemilimarności polskiej: że to nie jest sprawa bezwzględna, jaka Polacy mają wobec Żydów, czy imo naciz.

RKP: ... ale nie tylko wobec Żydów, grzeć Polacy mają to samo wobec Litwinów, Ukraińców, „Poprzyków” i tak dalej. Problem jest spotęgowany przez istnienie włozy, hermetycznej obcości żydowskiej. Ale jest to o wiele myślenie w kategoriach etnicznych, sprowadzenie poczucia narodowego do jakiejś osobliwej wagi etnicznej. Chciałbym jednak nawrócić do sprawy owego nieprzekładalnego doświadczenia obowozu świata. Przywołaliby na Herlinga-Grudzińskiego z jego sędziem, zapisanym w *Wojnie i wycieczce* nie należy ominiąć człowieka wobec nieudanych warunków, w jakich się znajduje. Stryon w granicach rzeczy powiada podobnie: si nieudanych, warunkach nie myślny o lotnicze człowieczeństwa. Mimo swego rodzaju broniem tryż, że ta powieść pokazuje problem winy bez winy. Jako Europejczyk – jest to teza, do której chcę nawrócić, sam ją formułowałem – jako Europejczyk musimy wować odpowiedzialność za winy, za które kultura europejska ponosi odpowiedzialność.

SRW: Gdybym mógł wybierać, o tym wolałbym jednak mówić raczej przy Herlingu-Grudzińskim niż przy Stryonie. Podzielam wasze myślenie i wiążęność opamięci dotychczas *Wyboru Zofii*. Ale jednocześnie nie sympatyzuję, w głębszym sensie, z żądą z postaci powieści. W czasie lektury doszedłem do przekonania, że szalenie to Nattaja, imnaci Irlin Zofii i Instytucja Stryona podłożył Stryonowi za pewien wybieg, umożliwili mu skazanie, zabezpieczyli przy zarządzeniach si nie do końca uczciwy sposób. Odnosi raczywiście problematyka *Wyboru Zofii* naturę metafizyczną, podczas gdy Stryon podchodzi do niej od strony psychologicznej. W ten sposób, mówiąc krótko, Spinacze wyparł Freud. A to akurat też bardzo mi się podoba.

AG: Stryon jest dla mnie symbolem, że jako Polacy nie dopowiedzieliśmy problematyki Shoah, świata obowozu, ofiary, cierpienia, zła, losu, winy czy wstydu.

RKP: Ciała dyskusja wokół Stryona jest tego dowodem.

SSW: A sama powieść Stryona dowodzi, że to problematyka, wpisana w przekształce dziesięć XX wieku, epoki piczoń i obowoz, nie uporała się ludobójstwo jako taki, ani polska, ani europejska, ani amerykańska.

Oprac. Paweł Helmski

relacje

LEON DYCZEWSKI

O lepszą przyszłość dla gorzkiego sąsiedztwa czyli o stosunkach polsko-niemieckich z amerykańskiej perspektywy

Podczas lotu do Detroit czekał zadowolony sobie pytanie: dlaczego o stosunkach polsko-niemieckich musimy dyskutować w Stanach Zjednoczonych? Czy nie lepiej byłoby zorganizować kolejne spotkanie na ten temat gdzieś bliżej polsko-niemieckiej granicy? Przebieg konferencji dowiódł jednak, że wybór miejsca obrad był w pełni uzasadniony.

Po wyjściu z lotniska rozglądaliśmy się za mikrobasem Saint Mary's College w Orchard Lake. Wewnątrz są galeje z Niemiec. Na uroczystej kolacji porannąj poroższe uczestników sympozjum, a więc Polaków i Niemców mieszkających w USA – większość z nich już tutaj się urodziła. Razem ponad 30 osób. Inicjatorami konferencji są: Bernd Scheitler (Friedrich Naumann Foundation), Thaddeus Radziłowski – prezydent St. Mary's College, oraz John Kromkowski (The National Center for Urban Ethnic Affairs) i Stanisław Bask Mostwin (Stadium Two: Poland in the World).

Sympozjum pt. *The German-Polish Borderland Region. The Need for Reconstruction and Desire for Community* odbyła się w pięknie położonym, nad jeziorami Orchard Lake w dniach 10-13 kwietnia 1997 r. Teren i budynki od bankructwa szkoły wzięliśmy na początku tego wieku odpuścił ks. Witold Błachaczewski, by kontynuować dzieło zapoczątkowane przez ks. Józefa Dąbrowskiego, jakim było Polskie Seminarium Duchowne w Detroit. Do seminarium i dwunastu budynków dochodziły nowe instytucje i budynki. Działają one do największego centrum polonijnego w USA. Tworzą je: Saint Mary's College, Polskie Seminarium Duchowne, High School, Galeria, Muzeum Polskie, Centrale Archiwum Polonii, biblioteka, kasa gimnazjum, Panorama Polska w sali teatralnej, kościół pod wezwaniem Królowej Polski, dwa akademiki, kilka boisk sportowych. Nowy prezydent St. Mary's College – T. Radziłowski – chce ożywić działalność centrum i wprowadzić je w szersze perspektywy rozwoju organizacje tu ze swoimi współpracownikami różnego rodzaju spotkania na ważne i aktualne tematy. W tak uroczym i różnorodnym środowisku można spotkać i ciekawo dyskutować z najróżniejszych specjalistów – a do nich należą stosunki polsko-niemieckie. Duża odległość od miejsc, w których polska rodzina się i są, przyczynia, stwarza do nich swoisty dystans.

Problematykę i cele sympozjum przedstawił jego organizatorzy: T. Radziłowski, B. Scheitler, J. Kromkowski i S. Mostwin. Prof. George McLean (USA) pierwszy referatem pt. *Two Cultures – One destiny in Europe* wprowadził uczestników w bardzo szeroki problem: czy można realizować wspólne cele, jednocześnie różniąc się. Powinna przeskoczyć stawać – zdaniem McLean – ożywienie zjednoczenia. Polska w dalszej kulturze. Należy go zatem ukończyć. A można to osiągnąć poprzez wprowadzenie w życie indywidualne i społeczne świadomości i

udokonałemu wolności. Wartości te powinny być podstawą dla kształtowania nowej, a jednocześnie lepszej od obecnie dominującej, kultury. Wolność stanowi dynamiczne centrum każdej egzystencji. Realizując ją, człowieki i społeczeństwo manifestują się. To właśnie dzięki wolności mamy różną kulturę i odmienności w ramach tej samej kultury. Cieką, by wolność była właściwie realizowana, zawsze należy stawiać siebie w kontekście innych, unikając uprzedzeń w stosunku do innych, w tym samym respektując swoją autonomię i dążąc do komensatu w sferach sprzecznych.

Stanisław Mostwin poszerzając treść referatu, podkreślał znaczenie się techniki i wykształcenia ogólnego, humanistycznego, co w konsekwencji przynosi szkód dzisiejszej kulturze i człowiekowi. Na dwa inne zjawiska niekorzystne dla dzisiejszych społeczeństw zwracał uwagę inni dyskutanci: to sily indywidualizm i funkcjonalizm stereotypy. Temu ostatniemu zagadnieniu poświęcono więcej uwagi.

Prof. Michael MacLennan (Irlandia) zasadał, że Unia Europejska, w której Niemcy są od jej początku i do której Polska właśnie dąży, jest efektem kryzysu demokracji. Problemy ekonomiczne, które już zaczynają być przedmiotem nieporozumień, będą jeszcze większe, bowiem „obywateli” Unii Europejskiej nie wytrzymały obciążeń jej finansowania i zaczęły występować przeciwko niej. Jedni będą spychać ten obowiązek na innych, co stanie się źródłem nieporozumień. Pojawia się trudność prawna, między innymi problem, jak w praktyce życia znormalizować prawo Unii Europejskiej z prawami poszczególnych krajów. Wynika kryzys tożsamości, a największym będnie gubienie przez słabszych członków Unii tożsamości etnicznej i narodowej. W jej miejsce będą rozwijały się tożsamość zawodowa, religijna, językowa. Czy jednak dymnatożność superpaństwa, naroda europejskiego istnieje obecnie istniejące narody, bez szkody dla Europy, dla poszczególnych społeczności i osób? Budowanie superpaństwa, superobywatelstwa, co zakładał twórca Unii Europejskiej, napotyka na wiele przeszkód, które są nie do przewidywania. Chociażby z powyższych powodów koncepcja Unii Europejskiej w dechizywnym budunku jest nie do zrealizowania.

Thaddeus Radzicki analizując sytuację polskiej grupy emigracyjnej (USA) ukazywał podobieństwa polskiej i amerykańskiej tożsamości, wskazał na wiele elementów wspólnych. Jednocześnie podkreślał, że wjeście Polaków w społeczeństwo amerykańskie było i nadal jest trudne, ponieważ tworzyliśmy różnego rodzaju dystans z jednej strony sami Polacy, szczególnie w pierwszym okresie, przede wszystkim z powodu niezamowności języka angielskiego i słabo rozwiniętoego własnego szkolnictwa, dysztawiali się do społeczeństwa amerykańskiego, zamykali się w swoich etniczno-kulturowych enklawach, organizując w nich całość swojego życia społecznego. Z drugiej strony społeczeństwo amerykańskie zdumiewane przez Anglosów dyskryminowało Polaków. Nie zaliczali oni Polaków do tego. białych, czyli używających języka. Społeczni białych Polacy byli najbardziej dyskryminowaną grupą etniczną. Między innymi dlatego „Czarni” i „Czerwoni” nie czuli tak wielkiego dystansu w stosunku do Polaków, jak do Anglików i Niemców. Ponocasto to do dzisiaj, a przejawia się między innymi w tym, że ładność czarna obecnie wchodzi w dzisiejsze polskie, które Polacy dopiero w opuszczają. Polscy dysztawiali a Polaków w Ameryce (USA) ukazywał, upozorachwiana w ich świadomości przez etyki polską grupę etniczną. Po II wojnie światowej w Polakach wywarło kolizję zjawiska dystansu, tym razem bardzo odmiennie od dawnego, mianowicie dystans wobec socjalistycznego państwa polskiego, czyli państwa pochodzenia. Wyraśnł on z totalnej dezaprobacji dla komunistycznego, śległego Moskiew zgraka.

Dłuższą sytuacją w sprawie języka, Polska otrzymała suwerenność, widza w Polsce jest wybitnie demokracja, Polacy w USA wykształdzają z Anglikami, Irlandczykami, Niemcami na płaszczyźnie życia publicznego i mieszają się w życie prywatne. Coraz więcej mieszanych małżeństw i sążeńskich gromb na emigracjach z Niemcami. Polacy stali się bardziej otwarci i są równocześnie z Niemcami twórcami amerykańskiego życia społecznego.

Giles Hoyt (USA), przedstawiciel niemieckiej grupy etnicznej w USA, uzasadniał na przykładzie Niemców w tym kraju, że sytuacja grupy etnicznej w jakimkolwiek społeczeństwie, która ją przyjął, może być różna, można zdobyć od opinii publicznej na temat jej pochodzenia. Im opinia o kraju pochodzenia emigrantów jest bardziej pozytywna, tym większym uznaniem cieszą się oni w kraju osiedlenia. Tak więc w okresie trwania hitlerowskiego, w czasie II wojny światowej – gdy propaganda antyniemiecka

była bardzo silna – Niemcy w USA nie byli popularni, byli dyskryminowani. Obecnie jest zupełnie inaczej. Zmianę tę zwiędzającą w dużej mierze wysoki poziom Republiki Federalnej Niemiec w świecie i bardzo dobrym stosunkom politycznym pomiędzy nią i Stanami Zjednoczonymi.

Anne Schwarz (RFN) profesor Europejskiego Uniwersytetu we Frankfurcie nad Odą – „Władca” przedstawiając jego funkcjonowanie, ocenia go jako instytucję do brzo pomyślną dla budowania lepszej przyszłości polsko-niemieckiej ale funkcjonująca ona w o wiele gorszej niż powinna. Brak jej przede wszystkim stabilności ekonomicznej, bo wykształt polityczny Niemiec nastawiony są przede wszystkim na rozwój Berlina i niemieckie nie dostrzegają problemów przygranicznych. Jeżeli coś się robi w sposób planowy i kompleksowy i ich obszaru, to w infrastrukturze transportu między Berlinem i Warszawą, natomiast brytuję całokształtem i kompleksowym planu rozwoju terenów przygranicznych zderzenia po stronie niemieckiej, jak polskiej.

W rozwoju przygranicznym terenów polsko-niemieckich występuje zjawisko asymetrii: niemieckie terytorium są bardziej rozwinięte niż polskie. Zdaniem prof. A. Kruszewskiego (USA) stan ten będzie się utrzymywał jeszcze dłużej, ponieważ mamy tutaj do czynienia z sąsiedstwem kraju rozwiniętego, jakim są Niemcy, z krajem rozwijającym się, jakim jest Polska. Wprawdzie prof. Loene Pohleiser (USA), członek Banku Światowego, podkreślał wzrost ekonomiczny w Polsce – największy spośród krajów postkomunistycznych i rozwój sektora prywatnego. Ale także wskazywał na niewykorzystywanie kredytów, ich niemożliwość ich wykorzystywanie, bezrobocie, brak łobny ekonomicznej i politycznej na rzecz polskich interesów na terenie międzykrajowej i krajowej, pojawienie się w polskim życiu ekonomicznym spekulacyjnych inwestycji. Te ostatnie zjawiska straszącej Polsce nadobrobie zainicjować w dziedzinie gospodarczej i dotrzymać kroku w rozwoju gospodarczym Niemcom.

Heinrich Endleren (RFN), członek zarządu Brandenburgii, wskazywał na osłabienie wzajemnej współpracy przygranicznej pomiędzy Polską i Niemcami. Wprawdzie nadal istnieją kontakty, ale mają one raczej charakter gromozdowy, nie widać ich większej podjętożności decyzyjnie dalszej współpracy. Konieczny jest program progностyczny. Brakuje grup nacisku interesów polsko-niemieckich. Jedny problem, którym strona niemiecka jest trzezywiście zainteresowana, to przekroczenie granicy polsko-niemieckiej. Z jednej strony Niemcy chcą ją tak uściśleć, by żaden obywatel nie prześlążnął się przez nią, z drugiej upowiewają oficjalnie przejść przez granicę, by były politycy.

Prof. Patricia Davis (USA) postawiła tezę, że pojednanie polsko-niemieckie jest koniecznością i powinno leżeć u podłoża koncepcji działań politycznych obydwu stron. Jedną z poważnych przeszkód są różnego rodzaju asymetrie występujące pomiędzy społeczeństwem polskim i niemieckim. Widoczne są one w różnych dziedzinach, np. w gospodarce, w statusie grup mniejszościowych, w funkcjonujących wzajemnie stereotypach. A więc jeżeli na przykład obywat. Niemca w Polsce nabiera cech pozytywnych, ogólnie mówiąc słabną cechy negatywne, to Polacy w Niemczech na wciast oceniamy bardzo nisko, co graniczy zjawiska stereotypy Polaków w Niemczech jest podtrzymywane przez polityków i media. Swierdzenia te uzupelniał i dokumentował także prof. Leon Dyczewski. Szczególnie skomplikowaną sytuację ukazał na obecnym pograniczu polsko-niemieckim. I choć Polacy są zadowoleni z kontaktów gospodarczych z Niemcami, choć słabnie ich wzajemny stereotyp, to nie słabnie lęk przed nimi. Niemcy w Polsce czują się coraz pewniej, podczas gdy Polacy w Niemczech czują się wciąż niepewnie, a nawet wciąż się zagrożeni.

Kazimierz Wójcicki, dyrektor Polskiego Instytutu w Düsseldorfie, w odniesieniu do problemu statusu Polaków w Niemczech i Niemców w Polsce, postawił kilka pytań, jego zdaniem zasadniczych; czy warto Polakom w Niemczech walczyć o status mniejszości etnicznej-narodowej, skoro mają zapwarantowaną swobodę wolności jednostki? Co to jest w ogóle mniejszość? Pytania te zostały upowiewkowane stwierdzeniem L. Dyczewskiego, że w porównaniu polsko-niemieckich mniejszości niemiecka w Polsce uzyskała większe prawa aniżeli mniejszości polska w Niemczech i Polacy powinni zabrać o podobny status dla siebie w Niemczech, jaki mają Niemcy w Polsce. Zasadniczą różnicą jest fakt, że Polacy mają prawo w Polsce do udziału w życiu politycznym na wszystkich szczeblach od samorządu do sejmu i senatu, natomiast Polacy w Niemczech są tego prawa pozbawieni. Niemcy uczestniczą w Polsce we władzy mając mieć

wplyw na formowanie swych uprzedzeń i obowiazków w spoleczestwie, w którym żyją. Natomiast Polacy w Niemczech, chcąc w jakikolwiek dziedzine swoj sytuacji polepszyć, muszą szukać podobieństw, ponieważ nie mają swoich przedstawicieli nawet w samorządach lokalnych. Mają jedynie zagwarantowane prawo jako odmienna grupa kulturowa.

Do tych problemów nawizwał do Dieter Hingen (RFN – Związeki Europy Wschodniej), uważając, podobnie jak K. Wójcicki, iż traktaty polsko-niemieckie z 1990 i 1991 roku dały Polakom wszystko, co dać mogły. Wyznając swoje stanowisko na ten temat, używał określeń „najmniejszość niemiecka w Polsce” i „polska wspólnota w Niemczech”, co wskazywałoby, że jest świadomy stwierdzenia statusu obydwu grup etnicznych poza własnym krajem. Hingen polemizował także z tezą powożącemu przeciwną, że Kościół katolicki w Polsce wielce przyczynił się do pojednania polsko-niemieckiego. Uważa, iż władk Kościoła katolickiego w ten proces jest przynajmniej. Główną treścią jego referatu było ukazanie Niemiec jako ważnego partnera Polski na wszystkich poziomach kształcenia, od szkół podstawowych do instytutów. Wykazywał jak wielka liczba Polaków studiuje w Niemczech, przebywa na różnych stopniach, natomiast niewielka liczba Niemców w Polsce – to także jedna z asymetrii. Najbardziej reprezentacyjnie układa się wymiana i kooperacja w dziedzinie twórczości artystycznej oraz sztuki wirtualnej. Możliwe dlatego, że jest ona odpolityczniona.

Dr Bogusław Wólbowski, przedstawiciel funkcjonowania projektu „Europa Środowiska” (począwszy od XIX w.) w aspekcie polsko-niemieckim. Na przykładzie prasy literackiej ukazał proces wchodzenia tego terminu do powszechnego obrotu w latach osiemdziesiątych. Zwrócił między innymi uwagę na prace Milana Kundery i Timothy’ego Gartonisa Asha. Odnotował także mechanizmy do myślenia w kategoriach „arodkoouropejskich” w czasach PRL. Na koniec zaprezentował kilka najnowszych przykładów niemiecko-polskiej wymiany kulturowej.

Ważnym stosunki polsko-niemieckie w sferze dyplomacji, trzynasto dnia obrad (12 IV) przedstawił wiceambasador Polski w Waszyngtonie – Andrzej Jaroszyński. Piękną angielszczyzną nakreślił ustrójowanie polityczne Polski w świecie i polską placówkę dyplomatyczną w USA. Świadczył, że Ambasada Polska w Waszyngtonie często korzysta z pomocy Ambasady Niemieckiej w stosunkach dyplomatycznych na terenie USA. Niemcy są dla Polski ważni ekonomicznie i politycznie. Niemcy nie mogą pominać Polski, a Polska potrzebuje Niemców, aby wejść w strukturę europejską, które przed nią były dotychczas zamknięte. Polska polno rolę integrującą w stosunku do innych krajów Europy Wschodniej i krajów nadbałtyckich. Podkreślił ważną rolę Kościoła katolickiego w Polsce, przezwyciężając się przede wszystkim w tym, że integruje on społeczeństwo. Bez Kościoła – zdaniem A. Jaroszyńskiego – trudno byłoby utrzymać stabilność przeobrażającej się Polski.

P. Davis dokonując podsumowania obrad sympozjum wykonałowa m. in. następujące stwierdzenia, które w różnej formie wypowiedział referenci i dyskutanci:

1. Kultura polska i niemiecka, to ta sama kultura europejska, ale różna, każda w swojej odmienniejszej wersji etnicznej, historycznej, gospodarczej, a także religijnej.
2. Polska powinna jasno sformułować czego na obecnym etapie oczekuje od Europy.
3. Polska powinna pogłębić stosunki ze wschodnimi sąsiadami, szczególnie z Litwą.
4. Trudności w stosunkach polsko-niemieckich są liczne, a jako najbardziej czy najczęściej zaznaczające się można wymienić następujące:
 - a. technokratyczne postawy Niemców w stosunku do Polaków;
 - b. historyczną pamięć (i to w obydwu społeczeństwach) wciąż przywołującą dotychczasowe krzywdy;
 - c. funkcjeujące negatywne stereotypy;
 - d. asymetrię w stosunkach polsko-niemieckich, przede wszystkim w sile politycznej i w poziomie rozwoju gospodarczego.

W dyskusji podsumowującej sformułowano następujące postulaty, które B. Scheitlerman, jako jej przewodniczący, obliczył przedstawić odpowiednim instytucjom i osobom:

1. Rozpocząć nową wzajemną edukację, pogłębiając wiedzy o sobie, prowadząc wymianę jednostek i całych grup, szczególnie multiplikatorów, którzy swoje wiedzę i doświadczenia mogą przekazać innym. W tej edukacji mieć poznanowanie dla historii

spółdzielącego społeczeństwa i państwa. Wypierać pozostawienie wspólnych elementów w historii i je akcentować.

2. Organizować spotkania dziennikarzy i rzetelnie ich informować.
3. Wprowadzić wiodącą o wzajemnych stosunkach polsko-niemieckich do Internetu.
4. W Niemczech ująć polskie dyplomy szkół wyższych, co bardzo podnieśli status społeczeństwa wielu Polaków żyjących na stałe w tym kraju.
5. Badować wzajemne gry i lobby ekonomiczne.
6. Dokonywać dekomparacji stereotypów negatywnych.
7. Bardziej badać wspólną przyszłość, niż analizować nie najlepszą wspólną przeszłość.
8. Prowadzić wspólne studia, także w USA.
9. Materiał z konferencji wydrukować (co zapewnili B. Scheitlerman).

Obrady tematycznie czyste i inspirowane do działania konferenciści miały swoje przedłużenie w Galerii i Panoramic Polskiej.

Galeria, mieszcząca się w dawnej kaplicy, jest istotnym elementem polskiego centrum etniczno-kulturowego w Orchard Lake. Zorganizował ją i prowadzi artysta rzeźbiarz – Marian Oucarski. Są to cenne dzieła współczesnych i dawnych mistrzów: J. Manjki, Kossakowskiego, L. Wyczołkowskiego. Ale dźw, że tu dostaliśmy. Oznacza to, że polski emigrant zbierał za sobą swoje oznaki swojej tożsamości kulturowej. Przybywając tu Amerykanicy polskiego pochodzenia z różnych stron USA, by wejść w atmosferę swoich „koleżan”, wzbrachoczenie sięgnąć w przeszłość. Przy wspólnych stołach rozmawiali wśród obrazów i rzeźb, na te historii i wdożności artystycznej rozmawiali przyjacieleko Niemcy i Polacy z Europy oraz Niemcy i Polacy żyjący w Stanach Zjednoczonych. Odmienności były widoczne, ale poszukiwanie wspólne, wspólne tworzenie i lepszej przyszłości je przebrzydowało. Wydawało się nam, że te atmosfery da się przenieść na polski kraj i całe nasze społeczeństwo.

Na zakończenie sympozjum mogliśmy obejrzeć Panoramicę Polską. Przed nami przemierzano ponad 300 postaci tworzących historię Polski, a makietami otwierającą tę panoramę przedstawiającą najwspanialsze twiaryne Polski, ukazywała na silne polskie polskie tożsamości społeczno-kulturowe i chrześcijańskie. Przez nie Polska weszła do państw Europy ponad tysiąc lat temu. A jak wejście dziś do Unii Europejskiej?

Leon Dyczewski

Książki nadesłane

Towarzystwo Przyjaciół Krzemienia i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej

Jerzy Debski, Leon Popek: *Obszary przemaga*. Lublin 1997, ss. 428+14 map i szkiców sytuacyjnych. Nakład 500 egz.

Leon Popek: *Świątynia Wólwina*, t. 1., Lublin 1997, ss. 370+545 zdjęć i 2 mapy. Nakład 700 egz.

Leon Popek, Tomasz Trusiński, Paweł Wirs, Zenon Wirs: *Wółwotyki testament*, Lublin 1997, ss. 236+4 szkice i 164 zdjęcia. Nakład 500 egz.

Sztuka rozmowy – między Saksonią a Lubelszczyzną

(...) Zwycięstwo opozycji w wyborach parlamentarnych w Polsce w czerwcu 1989 r., obalenie muru berlińskiego i zjednoczenie Niemiec (zakochanie pod względem prawnym-widzinyrodowym w październiku 1990 r.) stworzyły nowy impuls dla niemiecko-polskich stosunków kulturalnych. Jedyną z przejawów nowego podejścia do tej kwestii stał się tzw. „Plan Loesta” ogłoszony jesienią 1994 r. przez Ericha Loesta, wybitnego powieściopisarza, przewodniczącego Stowarzyszenia Niemieckich i polowierzących specjalną uchwałą tego związku. Projekt zmierzał do intensywniejszej popularyzacji literatury polskiej na terenie Niemiec poprzez organizację cyklu spotkań autorskich polskich pisarzy (planowano ok. 50 spotkań rocznie) oraz przez wydanie w dużym nakładzie specjalnej antologii, w której znalazłyby się opowiadania lub fragmenty powieści znanych w Niemczech polskich autorów, a także utwory lub fragmenty utworów pisarzy niemieckich tematycznie związane z zagadką, Polakami lub z polskimi ziemiami zachodnimi. Książka miała trafić do szkół i wzbogacić widok niemieckiej młodzieży na temat polskiej literatury. Antologia publikowana została pod koniec 1995 r. w Berlinie pod tytułem *Nach den Gewittern* („Po burzy”).

Przetłumaczona na polski proza niemieckich współautorów tej antologii ukazała się nieco wcześniej w specjalnym tomie kwartalnika „Akcent” (nr 3-4 z 1995 r.). Są to m.in. teksty Olgierata Grassa, Arminia Müllerera, Christy Wolf, Karla Dedeciusa czy wspomnianego wcześniej Ericha Loesta. Natomiast poetycką część tego tomu wypełniają wiersze poetów z Lipska w Saksonii na południowym wschodzie Niemiec.

Właśnie współpraca środowisk pisarskich pochodzących z dwóch regionów typowo pogranicznych: z Saksonii w Niemczech i z Lubelszczyzny w Polsce – jest znakomitym przykładem budowania więzi kulturalnych w obszarze Europy Środkowej. Rzecz tym bardziej interesująca, że region lubelski nie sąsiaduje z Niemcami – chodzi tu o województwa Polski wschodniej (lubelskie, chełmskie, zamojskie), których „pograniczność” wyraża się w bliskim sąsiedztwie z obecną Ukrainą i stosunkowo niewielkiej odległości od granic Białosturu i Litwy oraz w istnieniu na tym obszarze mniejszości ukraińskiej, mniej może licznej niż w województwach położonych bardziej na południe, ale wyraźnie zaznaczającej swoją obecność. Przed wojną żyła tu duża społeczność żydowska, całkowicie unicestwiona przez hitlerowców.

Saksonia natomiast jest regionem (krajem związkowym) we wschodnich Niemczech bezpośrednio sąsiadującym z Polską na wschodzie i z Czechami na południu, posiadającym również na swym terenie wyraźnie wyodrębnioną mniejszość narodową – co najmniej setki tysięcy Łużyczy (nazywanych także Serbami łużyckimi) pielęgnujących własny, słowiański język, literaturę i kilka instytucji życia kulturalnego, które odróżniają się mimo prób całkowitej ich likwidacji w czasach hitlerowskich. Główne miasto Saksonii to Lipsk i Dreżno, a także Budziszyn (Bautzen) jako centrum wspomnianej mniejszości łużyckiej. Ich odpowiednikami byłyby w Polsce Lublin i Zamość oraz – ze względu na mniejszość ukraińską – Chełm, wysunięty najbardziej na wschód. Do podobieństw zaliczyć można także fakt, że obsza regionu uchodzą w swych krajach za bardzo atrakcyjne turystycznie, natomiast najistotniejszą różnicą polega na tym, że Saksonia jest regionem zdecydowanie bardziej zasobnym gospodarczo i gęściej zaludnionym.

Polscy i niemieccy poeci średniego pokolenia (tzn. urodzeni po II wojnie światowej) wywodzący się z obu tych regionów, zaangażowani w wspomnianą wcześniej „planem Loesta”, nawiązali intensywną współpracę. Jesienią 1995 r. zorganizowano w Lipsku, przy udziale stowarzyszenia Deutsche Gesellschaft i Związku Pisarzy Niemieckich festiwal poetycki pod nazwą „Wortlaut”. Podobną imprezę zorganizowały wiosną 1997 r. w Lublinie redakcja „Akcentu” i stowarzyszenie „Teatr NN”. Nadano jej nazwę „Sztuka rozmowy”. Uczestnikami obydwu serii spotkań były poeci, którzy tłumaczyli nawzajem swoje utwory (przy pomocy filologów) i parami je prezentowali. Wymienimy dla przykładu kilka nazwisk: Andreas Reimann z Niemiec i Bohdan Zadara z Polski, Norbert Weiss i Wacław Osajca, Christian Heckel i Dominik Opolski, Róża Doromszczyńska i Ewa Maszt, Dieter Katka i Krzysztof Pazuski, Benedikt Dyrlich i Waldemar Michalski.

Obecnie przygotowywana jest do druku w Lipsku druga cząść antologii zatytułowana *Grenzlandlichtern* – *Poezi polowierzących* zawierająca wiersze tych autorów.

Bardzo interesująca forma zbliżenia pisarzy z Polski i z Niemiec okazał się tzw. Poetendämpfer (Parostatek poetycki). Kilkuosm pisarzy z Polski i z Niemiec odbywa kilkudniowy rejs statkiem po Odrze, zawiązując do miast portowych, w których organizowane są ich spotkania z publicznością po obu stronach granicy. Impreza ta miała miejsce już dwukrotnie, we wrześniu 1995 i 1996 r., na wrzesień bieżącego roku planowany jest kolejny rejs, wezmą w nim udział nowi autorzy.

Oczywiście nie wszystkie formy współpracy optymistycznie zaprojektowane w „Planie Loesta” powiodły się w stu procentach. Dotyczy to w szczególności „centralnie sterowanych” przedsięwzięć. Na przykład wchłanianie polskich autorów prezentujących swą twórczość na spotkaniach w Niemczech był dość ubogi – wielokrotnie powtarzają się te same nazwiska, nie pokazano natomiast wystarczająco innych pisarzy ważnych dla obrazu współczesnej literatury polskiej i mogących mieć interesujące rzeczy do przekazania niemieckiej publiczności. Antologia *Nach den Gewittern* nie funkcjonuje tak szeroko, jak zakładali jej wydawcy. Niemniej w relacjach literackich niemiecko-polskich pojawiła się z pewnością nowa jakość.

W marcu 1997 r. Erich Loest został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP – najwyższym odznaczeniem przyznawanym w Polsce cudzoziemcom, na które ze wszech miar zasłużył.¹ Działania podjęte w ciągu kilku ostatnich lat zaowocowały nie tylko nowymi faktami artystycznymi, ale także – częściowymi przysymnieniami – przemianami w mentalności po obu stronach granicy. (...)

Bogusław Wróblewski

¹ Artykuł jest przekładem fragmenta wystąpienia pt. *Central Europe and Polish-German Contacts in Polish Literary Press* na międzynarodowej konferencji *The German-Polish Borderland Region: The Need for Reconciliation and Desire of Community*, Orchard Lake, 10-13 kwietnia 1997 r.

² Por. informacja w „Akencie” nr 1 z 1997 r.

noty

MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA

CHONE SHMERUK (5 SYCZNIA 1921 – 5 LIPCA 1997)

Kilka miesięcy przed śmiercią poprosił prof. Chone Shmeruk, aby przeczytał na głos w jidysz wstrząsający poemat znanego żydowskiego poety Awrama Suckiewera *Ży Polin, czyli Do Polski*, napisany w 1946 roku i stanowiący swoiste pogromienie i rozrachunek z Polską. Myślałam o przeniesieniu poematu na język polski (już wtedy doszedł me do przekonania w całości) i sądziłam, że nagranie tego bardzo rymowanego utworu, którego każda zwrotka kończy się przytoczeniem po polsku cytatem ze Świewickiego, „Śmieszno mi, Boże”, ułatwiłoby specyficzną ocenę. Profesor Shmeruk zaczął czytać, lecz po kilku chwilach głos mi się zamknął i nie był w stanie kontynuować. Uświadomiłam sobie wtedy jeszcze bardziej, jak kłodykiewski przedmiot, jak bolesne było dla niego samego rozstanie z Polską i jak mieszać z zarzucaniem głębokiej żywności do niej uczucia. Dlatego też niedługo później niespodzianie zakochyłam mnie jego wybie, kiedy to wiedząc, że ciępi na nieuleczalną chorobę postanowił przejechać z Jeruzalemu do Warszawy i zgodnie z ostatnią wolą został pochowany na cmentarzu żydowskim.

Profesor Chone Shmeruk urodził się w Warszawie i do wybuchu wojny mieszkał w północnej dzielnicy żydowskiej. Tam też uczęszczał do szkół, m.in. żydowskiego gimnazjum imienia Magnusa Krytyńskiego i językiem wykładałom polskim, chociaż do niego wyjątkiem Żydzi, ale nauczyliśmy byli również Polacy.

Rok przed wybuchem wojny zaczął studiować historię na Uniwersytecie Warszawskim. W roku akademickim 1939-1940 miał rozpocząć aspiranturę w wileńskim Żydowskim Instytucie Naukowym YIVO (obecnie mieszczącym się w Nowym Jorku). Nie zdążył jednak dotrzeć do Wilna. Został wywieziony w głąb Rosji i prawdopodobnie dzięki temu ocalał.

W 1946 roku już po pogromie kieleckim, wrócił na krótki czas do Warszawy i jak większość Żydów w tym czasie postanowił opuścić Polskę, tym bardziej że z jego rodziny, która wojną znalazła w kraju, nie było ocalałych. W Palestynie zaś żył dziadek ze strony matki, który wyjechał z Polski jeszcze w 1934 roku i dlatego Chone Shmeruk postanowił się tam udać.

W Izraelu skończył studia na Uniwersytecie Hebrajskim i rozpoczęł karierę akademicką. Zajmował się wczesną literaturą jidysz i najbardziej współczesną, ukazywał związki między tekstami w jidysz a klasycznymi tekstami w językach hebrajskim i aramejskim, wiele pisał na temat autorów żydowskich tworzących w Związku Radzieckim, redagował utwory z klasycznej literatury jidysz. Jego wielką pasją był teatr żydowski, interesował się także literaturą dziecięcą. Od 1971 kierował katedrą literatury jidysz na Uniwersytecie Hebrajskim. Napisał kilkanaście książek i obszernych studiów w językach hebrajskim, jidysz, angielskim i polskim, a także rożnicowe artykuły i recenzje. Za swoje zasługi otrzymał w 1996 roku najwyższą nagrodę państwową Izraela.

To, że wyróżnienie to przyszło tak późno, odwiecirodła stosunek władze izraelskiej do kultury jidysz. Przez całe dziesięciolecie po wojnie bardzo mało wagi przy-

wiązywano w Izraelu do pielęgnowania kultury Żydów aszkenazyjskich, jako że wspomnienie o niej kłóciło się z nowoczesnym, syjonistycznym modelem świećco powstałego państwa. Wiele samozaparcia wymagało ze strony uczonych takich jak profesor Shmeruk wieme trwanie przy tej zamierzonej i lekceważonej dziedzinie.

Przez prawie czterdzieści lat Chone Shmeruk nie odwiedził Polski, którą kojarzyła mu się głównie ze Isaacem Blaukiem, odwiedził się przejechał dopiero w 1984 roku, rok po stworzeniu na Uniwersytecie Hebrajskim Ośrodka Badania Historii i Kultury Żydów Polskich, na którego czele stanął. Odwodził wtedy wraz z grupą innych naukowców izraelskich m.in. Katolicki Uniwersytet Lubelski. Aby rozszerzyć i zacieśnić kontakty z uczonymi z Polski zorganizował w 1985 roku wielką konferencję w Jeruzalemie, na którą zaprosił kilkudziesięciu polskich naukowców, m.in. z Lublina.

Po przejściu na emeryturę coraz więcej czasu spędzał w Polsce. Przewodził m.in. zajęcia na Uniwersytecie Warszawskim, Jagiellońskim i Łódzkim. Rezultatem wykładow prowadzonych na UW jest *Historia literatury jidysz* wydana w 2000 roku przez Ossolineum (a w 1996 roku opublikowana po czesku). Opracował także i napisał przedmowę do *Felietonów, esejów, wywiadów* Baszweisa Singera przełożonych z jidysz przez Tomasza Kuberczyka, jedynego książkiowego wyboru publikacyjki Baszweisa w jakimkolwiek języku, przetłumaczył też z jidysz wspólnie z Moniką Adamczyk-Garbowską pierwszą powieść Baszweisa, *Sztana w Gorale*. Jego prace ukazywały się w polskich periodykach i prasach zbiorowych. Kilka artykułów Chone Shmeruka ukazało się w „Akencje” (m.in. Isaac Baszwejt Singer o Bronisławie Szolchu, nr 4, 1992 i *Szanski polsko-żydowskie w historycznych powieściach Isaac Baszweisa Singera*, nr 1/2, 1993). W samaniu za zasługi dla kultury polskiej został odznaczony w 1996 roku Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Wziane miejsce zajmowała



Chone Shmeruk (z prawej) i Isaac Baszwejt Singer, Nowy Jork, 1978

¹W 1913, mieszkał w kamolu w Polsce, w szeli Kłasyfikacji Literatury żydowskiej wydanej przez Wydawnictwo Dobrołęcki skazało się jego Żidom szlachetnym.

który pracują nad uświadomieniem uprzedzeń rasowych i antysemityzmu w stosunkach międzyлюдzkich. Zabrani w kościele zrozumieli sportazmicznie oklaskami, dając wyraz solidarności z papieżem przesłaniem.

Następnie w wypełnionej sali parafialnej odbyło się sympozjum poświęcone historii „Martyrs of Charity”, Polaków – męczenników, kobiet i dzieci bestialsko mordowanych, wieszanych i nieraz żywym palonych, ich próchob, choć często zmieszanych z prochami nieznamiętników Żydów, nika i nie nie adora rozdzielnie; pozostają na zawsze relikwiami w historii polskiej i żydowskiej.

Sympozjum, które prowadziła prezydent Polish Heritage Association Stanisław Ciesielski, rozpoczęła samorządna Barbara Mikulski, polska ambasador w kraju i krajami macierzyznymi i wznoszącej obecnie znaczenie Polonii w Ameryce. Barbara Mikulski okazała list od prezydenta Clintona zawierający podziwianie dla obecnych na uroczystości i wyrażający uznanie dla tych członków Polish Heritage Association, którzy swoją pracą wypełniają pamięć historii ołdy zarządy, tym samym pomagając w przybliżeniu umiarkują podobną tragedię.

Dr John Kromkowski, profesor nauk politycznych, ekspert do spraw emigracji i wielokulturowości na Uniwersytecie Katolickim w Waszyngtonie, przedmitał paradigmaty losów Żydów na świecie ze specjalnym uwzględnieniem sytuacji w Polsce i roli, jaką Polska odegrała w ich przetrwaniu duchowym w czasach średnio-wiecznych, gdy przesłaniami całej Europy przyjęła do siebie. Prof. Kromkowski omówił wspólnotę dziedzictwa kulturowego chrześcijaństwa i Żydów oraz zanalizował polsko-żydowską wyjątkowość kulturową i duchową w okresie niemal tysiąc lat.

Obecna na uroczystości w Baltimorem Zofia Korbońska, jedna wybitnego dramatka polskiego Stefana Korbońskiego, żołnierka Polak Podziemnej, świadki i bohaterka legendy podziemnego radia „Świt”, pierwsza zaaranżowała światła o rozpoczęciu się 22 lipca 1942 roku likwidacji warszawskiego getta. Przypominała też zbieżnym prądzie o przemianach tych wiadomości przez media angielskie i amerykańskie, jako demoralizujących i wyobrazających. W czasie II wojny światowej jej głos słyszano m.in. w Szwajcarii, Francji, Anglii, Szwecji i nie reagowała. Dziś jej informację są wyjątkowo cennym źródłem historycznym.

Ambasadką reprezentował minister Andrzej Jaroszyński. Mówił o tragedii ostatniej wojny w taki sposób, że wzruszone było również młodość, powołanie polskie obecne na sali, pokolenie, do którego sam mówca należał. Ożyły fakty, ukazane zostały rozmaity straż, jakie Polska ponosiła w wyniku wojennego dramatu. Dynamicznie i przekonująco mówca ubiwałomil nam, że w młodszym pokoleniu żyją pamięć historii. Przemówienie nagrodził opłatanie kwiatami.

Odczyt dr Richarda C. Lukasa, autora wielu cennych prac o zagładzie, z których ostatnia *Did the Children Cry?* poświęcona jest tragedii dzieci polaków i żydowskich w czasie ostatniej wojny, był kulminacją sympozjum. Z dużą precyzją badał historię i pasję poszukiwania prawdy, tak często zaniedbane w świecie zachodnim przez trudne do zrozumienia przeżycia historyczne, prof. Lukasa przedstawił szereg autentycznych, udokumentowanych faktów pomocy Żydom. Zastanawiał się, co było źródłem ich moralnej i podstawił tych działań, mówiąc ogólnie przez Niemców zacytował na najmniejszej gest pomocy dla Żydeł. Mówił o porzuceniu prawdy historycznej, która przypomniała o istnieniu znaczącej liczby ofiarów ludzkich. Ich życia powinnamy szerzej się dla budowania nowych struktur społecznych i więzi psychicznych w nadchodzącym mileniu.

Uroczystości w Baltimore stały się istotnym wydarzeniem. Szerokie zainteresowanie, przyjazd uczestników z kilku stanów, wysoki poziom prelekcji oraz debata z Warykasa i Białego Domu, świadczą o potrzebie dalszego badania tego tematu, aż najmniej on właściwie miejsce w obrębie dwudziestowiecznej historii.

Przewodniczący Komitetu Uroczystości
Stanisław Mark Matwin

JAN LEWANDOWSKI

O LITERATURZE POLSKIEJ W ESTONII

Liternica Nagroda Nobla dla Wisławy Szymborskiej znalazła w Estonii specyficzny rezonans. Od kilka lat estońskimi kandydatami do tego lauru są dwaj liternicy: poeta i eswista Jan Kaplinski (ur. w 1941 r., syn Polaka, Jerzego Kaplinskiego, polonisty na uniwersytecie w Tartu i estońskiej samerki) oraz prozaik, autor powieści historycznych Jan Kroos (ur. w 1920 r.), którego *Czerwaki zwołanie: Trzy białe czarnej śmierci* ukazały się w polskim przekładzie. Przyznając nagrodę Szymborskiej wywołało to więc rozczarowanie oraz ostrą polemikę w prasie i korgach literniczych. Po przeczytaniu przekładu wierszy Szymborskiej na estoński pisano o ich „miskim porozumieniu i nieśmiałości”. Dostępem kilka tygody później pojawiły się komentarze z obłaski estońskich przekładów czy wręcz kołozachłobnych twórców związanych z tłumaczeniem w własnie poezji na estoński, język, w którym różnice między mową potoczną a słownym piśmym są szczególnie znaczące.

Polemika prasowa stworzyła zatem swoisty klimat dla wydanych wiosną 1997 r. dwa „polski” zeszytów bieżących miesięczników literniczych.

W marcu ukazał się poświęcony współczesnej literaturze polskiej numer piśma „Wyprzedzono. Literaturo- i chakolotowieny” obywatelstwo-publikacyjnej „Jaan”. Za credo tego rosyjskojęzycznego miesięcznika (1/3 mieszkańców Estonii jest rosyjskojęzyczna) można uznać zdanie z krótkiego streszczenia numeru: „Przeplatnie się kultur w Europie jest jedynym z głównych przedmiotów zainteresowań wstornego czasopiśma”. Owo przeplatanie się jest widoczne w składzie redakcji, w której zasiadają tak Estończycy, jak Rosjanie, a także w zawartości „polskiego” zeszytu, „Wyprzedzono”.

Genazę tego numeru, opatrzonego słowem wstępnym ambasadora RF w Tallinie Jakuba Wolgiewicza, jest związana z międzynarodową konferencją o bałtycko-słowiańskich związkach kulturalnych w przeszłości i współczesności. Organizatorem tej sesji (7-11 października 1996 r.) był warszawski Instytut Sławiasty PAN.

Prawie dwustronniowemu tem wypełnia poezja, proza artystyczna, artykuły, eseje i wywiady. Szlaki plastyczne reprezentacje grafiki użytkowa Wiesławy Staniszenowskiego (ur. w 1947 r. w Tambowie, absolwent tallińskiej ASP) oraz reprodukcje jego skłobiet, skłobiet i gwizd. Z eskami wywiadów, esejów i poezji związane z reprodukcje malarstwa Jerzego Nowosielskiego i Lubjuki Siba-Simic oraz wierszok *Curse Madonny* z Janey Galey. Wyświetlonym tekstem towarzyszą zwłęzły noty o autorach.

Miesięcznik otwiera wiersz Aarne Pau, który (zarówno w polsku, jak osoba autora) może służyć przykładem estońsko-rosyjsko-polskich powiązań literniczych. Czterdziestokilkuletni poeta i tłumacz prozy studiował w latach 1971-1973 psychologię i filologię rosyjską na uniwersytecie w Tartu. W roku 1979 okazyjnie teologizował na Uniwersytecie Jagiellońskim. Dzieńmi lat później na ten wierszy *Jeżozio swojej pamięci* otrzymał nagrodę im. Andrzeja Bury, Miejska w Krakowie, Pizie i publikuje po polsku, estońsku i rosyjsku.

Tematy polsko-estońskie podejmują ponadto Florian Nieuważny w szkicu *Literatura estońska w powojennej Polsce* oraz Siergiej Isakow i Paweł Sigalow w artykule *Swooboda „Północny Ast”*. Autorem pisy o Polakach studiujących w dobie proruskiej na uniwersytecie w Diopocie (obecna Tartu) – najbardziej liberalnej uczelni imperium Komunistów – Narwiko Paweł Sigalow, językoznawca, obecnie profesor uniwersytetu w Laranie (Wyoming, USA) nie jest obec także lubelnicznym filologiem – przez kilka lat był wykładowcą na młodej UMCS-owskiej rasyicyjce.

Poza wierszami Aarne Pau, poezję reprezentują także przekłady wierszy Czesława Miłozina i Zbigniewa Herberta oraz utwory Siergieja Biruszkowa oraz mieszankę w polsku serbskiej poezji i malarzki Lubjuki Siba-Simic. Proza to przekłady *Dziwność* Wiesławy Gombrowicza i *Biała Krzyżówka* Karaska, a także *Hurznawka* melodusa Aleksandra Melichowa, głownie w Rosji; proza nią twórcy młodego pokolenia. Wierszok melodusa to opowieść o wrażeń i przeżyciach autora z podróży do Polski

© Tallin 1997. Pospolnie, polskojęz. (1-2) numer „Wyprzedzono” poświęcony twórczości Julii Lotman (1912-1993).

także osobą sprawnie władającą piórem. Napisała i republikaowała dwie książki o charakterze wspomnień-wspomnień-reportażów: *Pod wiatr* (Lublin 1994) i *Moje Maroko* (Lublin 1997). Obydzie porożyło to nie tylko interesujące portrety ludzi i miejsc, z którymi kontaktowała się i gdzie przeżywała, to także świadectwa ogromnej wręcz świadomości i niezbanego talentu literackiego Głowackiej podłoty – Ireny Głowackiej.

Pisząc ze słowami z ogromnym umiarem, sama bowiem przeżywała w podobnym czasie (1976-1979), na podobnych warunkach, w sąsiedniej Grecji (szpital w Baflo) i wzmianki z własnych doświadczeń, jak trudno było tam żyć i pracować, a co dopiero jeszcze znaleźć czas na pisanie. Człowiek zatrudniał się w pracy, a w wolnych chwilach walczył pamięcią i wyobraźnią do domu.

Algieria, Maroko, Tunezja – kraje też. Maghreba – są bardzo do siebie podobne i to podobnym względem. Zdecydowały o tym i pokolenie geograficzne, i wieloletniokwa historia i religia (muhommedanizm). Kraje te uprawiają urodę nadmorskich plaż, cudowny klimat i bieżącą świadomością ludzi (krajów) dla leczenia trzeba było zdobywać podobną świadomością, dopiero wtedy podzieli się podobie i pogodziłi żaunnie i zaufanie białemu lekarzowi. Praca nasza, polskich lekarzy, polegała nie tylko na udzielaniu pomocy medycznej, ale także na przekazywaniu fachowej wiedzy i przyuczaniu do zawodu miejscowych kandydatów do służby lekarskiej, laboratorysty, pielęgniarstwy itp. Byłyśmy więc siłą rzeczy i lekarzami, i pedagogami, i opiekunami. Doktor Głowacka pisze: *Leczyłam całe rodziny, najwięcej jednak było kobiet, chociaż gwałtali się także mężczyźni – niekiedy z Makotawami. Trzeba było godzinami słuchać ich opowieści i skarg (...) Tylko dlatego ja miałam być rezydentką, zpowiedźnikami i balonami na ich szemrane konfiki? Cóż, nie miałam wyboru. W takich warunkach szczególnie wyraziście ujawniała się prawda, że leczyły cię, to także udrzwiał dacha.*

Miałabymy pomać miejscewo obycze i w znacznej mierze opnować język, także francuski – język byłych kolonistów – bo medycyna, np. markotawki to medycyna francuska. Nikt to nie znał lecy. Najpierw musieliśmy nauczyć się całego szwecznictwa medycyny francuskiej – od tego zależała okazytwa mój osoby w środowisku – pisze Głowacka (*Pod wiatr*, s. 24). Podziwiałabymy żal do nanki i pracy miejscowych młodych ludzi. Ich wielki porę patriotyzmu – wszak w latach 50. 60. kraje te po wiekach odkrywały niepodległość – szedł w parze z ogromnym pragnieniem zdobywania wiedzy. Otwierano szkoły, uczelnie. Przyjmowano wszystkich chętnych się kształcić. Dysponowali oni siłą i entuzjazmem pomniejszych lat. Od lekarzy polskich oczuli się także dbalsi o człowieka i miłości do niego – zawoocowało to wielkim umiarem dla naszych specjalistów.

Miejscowi okazywali się uczciami wyjątkowo pełnymi, inteligentnymi, a w pracach manualnych wręcz genialnymi. W latach 70. 80. obejmowali już kierownictwo stanowiska – prowadzili oddziały, zostawali dyrektorami szpitali, kierownikami aptek i laboratoriów. Po uzyskaniu niepodległości kontakt dachowy z Francją nie wygali – to z Paryża (np. z Instytutu Pasteura) nakładzali pomoc w postaci aparatury, leków, odczynników, dzięki czemu wywodzenie miejscowych szpitali nie odbiegało od norm światowych. W Polsce w tym czasie podobno zapotrzebowanie na odczynniki i narzędzia nie do uzyskania. Wciąż jednak, zarówno w Algierii jak i Maroku, niedumano się braki w zakresie pomocy kwalifikowanego, szczególnie potrzebni byli chirurdzy, ginekoldzy, bakteriolodzy, hematolodzy. Powtarzają się apeli miejscowych władz o nadmierne dowożenie pomocy. W myśli zasady przyręcają rozumie potrzebującego, nie po to zawsze odpowiadają Polska. Stąd nasza obecność w Afryce.

Z naszych trudnych, ale pięknych lat pracy daleko od kraju i domu niewiele pozostało literackich zapisków. Dlatego jeszcze raz podziwiamy więc książki *Moje Maroko*. Doktor Głowacka spohila swoją lekarską mię w sposób niemal hemiczny. Pamiętamy, że w trakcie pracy w Maroku została boleśnie dołwiedzona. Jej syn zginął, miał zamiar wkrócić. Głowacka pisze: *Upiekłam się pod ciężarem kryzysu. Zapomniałam sama siebie. Zatruciałam się w pracy. Wychłamałm do szpitala, gdzie od razu do nocy przeżywałam na swoim oddziale. Nie oczekiwalam się. Stałam się bardziej jadowa wobec Natury, przetrzasczenia. Szukałam sparcie Bogu, tej ogromnej Wszechwładzy która nadała sens naszej egzystencji, tej siły, wobec której jest się małym i bezradnym (*Pod wiatr*, s. 34).*

O ile pierwsza książka Głowackiej *Pod wiatr* była pamiętnikiem dokumentacyjnym spraw i wydarzeń osobiste, o tyle *Moje Maroko* jest poręziej bardziej reportażem,

rejestrującą „życiem” kwiat, książką o wybitnych tendencjach informacyjno-dydaktycznych. *Moje Maroko* to dziesiątki barwnych opisów, rodzajowych szkice z życia pacjentów, lekarzy, pielęgniarów, a nawet bezdomnego psa, który okazywał się wspaniałym przyjacielem. Marokow widziane oczami Głowackiej staje się krajem bardzo bliskim nie tylko sercu autorki. Już w samym tytule zawarty jest tonacek emocjonalny do kraju, który stał się jej wielką przygodą życiową. Przypominamy nazwy niektórych rozdzielców: *Colonywan Syfi, Podwójne życie, Żył w jednolitości, Kobietwo w Maroku, Dodatkowa praca w dyspensarce, Życie towarzyszące, Szpitala niezachęci, Tak wypełniali się dni*. Dodajmy, że książka jest ilustrowana wieloma barwnymi zdjęciami. Zarówno talent narciacyjny autorki, jak i walory dokumentacyjne publikacji sprawiają, że rzecz jest interesująca lekturą dla wszystkich.

Irena Głowacka: *Moje Maroko*. Wydawnictwo „Poltext”, Lublin 1997, ss. 141 – Iscne 64, barwa.

W poprzednim numerze

Najnowsza literatura ukraińska: Jurij Andruchowycz: *A. elita?...* Słowo, które w zdeklasowanej przestrzeni jest pastę • Grupa „Bu-Ba-Bu” • Konstantyn Moskalczuk: *Miejsce milowniania księciem* • Grupa „Lahosad” • wiersze • Natalka Bilborkiewicz: *Zabójczy zamyk na bezstiller* • Sofia Majdanica: *Tragiczne zieni* • Emma Andjewska: wiersze • Bogusław Bakula: *Poezja wyobraźni. O liryce Esnyu Andjewskiej*

Krzysztof Stępnik: *Kraszewski jako „sowieciolog”* • Marek Grzeżek: wiersze • Paweł Przywara: *Genius loci* • Grzegorz Abczamali: *Miejsce znaki w kulturze ponowoczesnej* • Henryk Urbanek: *Zbiadki* • Raymond Federman: wiersze • Dorota Janowska: *Raymond Federman. Opowieść paradoksalna z francuskim akcentem* • Grzegorz Strumyk: *opowiadania* • Ryszard Czestochowski: wiersze • Karol Maliszewski: *Fragmenty świata i wroście pustki* • Magdalena Ujma: *Nie, co ładnie...* • Violetta Pińkowska-Kmieć: *Waldemar George – brytyk polsko-francuski* • Rozmowa Bogusława Bakuly z Hryhorijem Swywkoniem • Doma Kaczek: *O prześladowanych za lekturę Mickiewicza...* • Recenzje • Noty

Informujemy naszych Czytelników, że sprzedaż bieżących i dawnych numerów AKCENTU prowadzą m.in. następujące księgarnie:

Księgarnia ORPAN
Płac M. Curie-Skłodowskiej 5
20-031 Lublin tel. 53-75-413

Księgarnia „Egip”
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin tel. 53-25-615

Księgarnia Mafcezna
Krakowskie Przedmieście 29
20-002 Lublin tel. 53-26-153

Księgarnia „Bibliopola”
ul. Narutowicza 27
20-004 Lublin tel. 53-22-032

Księgarnia Domata Uszytka-Gacka
ul. Królewska 11
20-109 Lublin tel. 53-26-048

Lubelskie Centrum Taniej Książki „Lotto”
Krakowskie Przedmieście 53
20-076 Lublin tel. 53-25-441

Księgarnia HSP
Al. Wojkita Polakiego 69
65-625 Zielona Góra tel. 263-520
w. 220

Księgarnia „Akcent”
Rynek Kościuski 17
15-421 Białystok tel. 219-33

Główna Księgarnia Naukowa (m. B. Press)
ul. Krakowskie Przedmieście 7
00-068 Warszawa tel. 261-835, 266-449

Księgarnia „Olson”
ul. Hoża 19
00-521 Warszawa tel. 621-80-69

Księgarnia „Czytelnik”
ul. Wajaski 14
00-490 Warszawa tel. 621-36-55

Księgarnia „Jedynka”
Al. Marszalkowskiego 21
61-745 Poznań tel. 525-305

Księgarnia ORPAN
ul. Mielżyńskiego 27/29
61-725 Poznań tel. 524-516

Księgarnia Naukowa „Book service”
ul. Podgórna 8
61-829 Poznań tel. 520-477

Księgarnia Akademicka
ul. Św. Anny 7
31-008 Kraków tel. 221-033 w. 167

Księgarnia Wydawnictw Naukowych „Elefant”
ul. Podwale 3
31-118 Kraków tel. 223-717

Tu do nabycia m.in. nr: 2-3/1992 pod hasłem „Na pograniczu narodów i kultur” (Białoruś, Litwa, Łucybanec, Niemcy, Rosjanie, Ukraińcy, Węgry, Żydzi); 4/1992 z wierszami R. Kapuścińskiego, tekstem I.B. Singera o Schulz i polonim; S. Hlebow - Cz. Miłosz; 1-2/1993 - m.in. niezamie opowiadania A. Luczackiejka i autobiografia Aody Warhola; 3/1993 z esejem Kawczewicz o J. Lechonia, nową prozą J. Abramow-Newerlego i wspomnieniami syna I.B. Singera; 4/1993 m.in. niezamie wiersze Czechowca, trójgłos o twórczości D.Morwina i prezentacja książki Rortozca; 1/1994 z piosenkami R. Młynarskiego; 2/1994 z pierwowzrostami A. Bury, wspomnieniami o życiu Cz. Jankowskiego (Wilno); 3-4/1994 z pierwowzrostami W. Ozajczy; 1/1995 z esejem Annsia Ora i kulturnymy listami i szkicami o twórczości W. Ozajczy; 1/1995 z esejem Annsia Ora i krytycznym rozbiorom „Harlequinów”; 2/1995 ze wspomnieniami m. M. Hlasec; 3-4/1995 poświęcony literaturze niemieckiej; 1/1996 m.in. opowiadania M. Głowińskiego, szkice o B. Schulzu i J. Cage’u; 2/1996 z artykułami o T. Koswiczem, prezentacja literatury „cyberpankowej” i relacją R. Matuzewskiego z Nowogrodzyczy; 3/1996 z omówieniem powieści R. Kapuścińskiego i prozą M. Jagielly; 4/1996 z prezentacją polskiej poezji kubickiej i wykładem twórczości lądów amerykańskich; 1/1997 z esejem Benjamin Hlarsza o twórczości Mera Chagalla; 2/1997 pt. „Polscy Amerykanie”; 3/1997 z najnowszą esnityką, poezją i prozą ukraińską.

Księgarnia ORPAN w Lublinie realizuje wysyłki zamówień numerów AKCENTU za pobraniem pocztowym. Zainteresowani mogą się zwracać także do redakcji „Akcentu”.

W latach 1992-1997 udzielił redakcji wsparcia m.in.: Fundacja Kultury, Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich z Toronto, Rada Miejska Lublina, Rada Miejska Lubartowa, Rada Miasta i Gminy Zwierzyniec, Roztoczański Park Narodowy, Ambasada Węgierska, Ambasada Amerykańska oraz Rada Miasta Nalęczowa. Dziękujemy!

Wdzięczni jesteśmy wszystkim Autorom, którzy przyczynili się do honorarii za publikację w poprzednich numerach „Akcentu”.

Wschodnia Fundacja Kultury AKCENT składa gorące podziękowania wszystkim, którzy dokonali wpłat na jej działalność. Byli to m.in.: Stanisław Bask-Mostwin, Mira Pucze, Joanna Romaszewska, Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich, Tadeusz Chabrowski, Jacek Lech Mostwin, Krystyna Rudzka-Przychoda, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Krystyna Freluk, Alina Nowicka, Małgorzata Kaczorowska, Wojciech Młynarski, Kancelaria Prawnicza CONSULT R.O.K., Bank Depozytowy-Kredytowy w Lublinie, Towarzystwo Miłośników Lublina, Big Bank S.A., Adam Lizakowski, Benjamin Harshaw, Ferdynand Hebal, Western Union i Ambasada USA w Warszawie.

Dziękujemy poetom i krytykom, którzy w całości lub w części przekazali na konto Fundacji swe honoraria za udział w wernisażach literackich AKCENTU: Marianowi J. Kawalko, Stanisławowi Popkowski, Elżbiecie Cichli-Czarniawskiej, Edzie Ostrowskiej, Józefowi Fertowi, Ewii Mazur, Waldemarowi Michalskiemu, Bogusławowi Wróblewskiemu, Bohdanowi Żadura, Tadeuszowi Chabrowskiemu, Tadeuszowi Szkółtowski, Danucie Mostwin, Monice Adamczyk-Garbowskiej, Alinie Kochańczyk, Istvánowi Kovácsowi, Regimie Mißbius, Ryszardowi Kapuścińskiemu, Leszkowi Długoszowi, Tadeuszowi Konwińskiemu, Markowi Danieliwiczowi, Michałowi Jagielli, Henrykowi Kozakowi, Marianowi Grześczakowi, Bronisławowi Pietrakuwi, Jerzemu Świątchowi, Adamowi Zielińskiemu.

**Regularne otrzymywanie „Akcentu”
zapewnia prenumerata!**

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”
East Central European Cultural Foundation

akcent

20-022 Lublin, ul. Okopowa 7, Poland
tel./fax (48 81) 53-274-69

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” ustanowiona została 18 stycznia 1994 r. przez kilkunastu pisarzy i humanistów, którzy bądź uczestniczyli przed piętnastoma laty w powołaniu kwartalnika literackiego „Akcent”, bądź wspierali to czasopismo swymi publikacjami, sympatią i radą. Wpis do rejestru uzyskała w listopadzie 1994 r.

Celem Fundacji jest inspirowanie i popieranie różnych form twórczości (m.in. literackiej, plastycznej, teatralnej) i różnych dziedzin refleksji humanistycznej oraz ich promocja w kraju (szczególnie na wschód od Wisły) i za granicą (szczególnie w państwach sąsiednich). Główny nacisk w swej działalności Fundacja kładzie na usuwanie uprzedzeń (etnicznych, religijnych, światopoglądowych) dzielących ludzi sztuki, ukazywanie bogactwa kultury wynikającego m.in. z jej różnorodności i przezwyciężanie stereotypów w myśleniu o kulturze, szczególnie na obszarze Europy Środkowowschodniej.

Fundacja organizuje spotkania autorskie, pisarzy, twórców sztuki i uczonych, konferencje, sympozja i seminaria służące refleksji nad historią, stanem obecnym i przyszłością kultury, prowadzi prace nad dokumentowaniem i archiwizacją dorobku artystycznego oraz działalność propagatorską, informacyjną, wydawniczą i wystawienniczą, a także funduje stypendia i nagrody. Siedzibą Fundacji jest Lublin.

Dla realizacji swych celów Fundacja współpracuje z instytucjami państwowymi i organizacjami społecznymi, uczelniami, szkołami, wydawnictwami, redakcjami czasopism, muzeami, teatrami, galeriami i osobami fizycznymi zainteresowanymi jej działalnością zarówno w kraju, jak za granicą.

Rada Fundacji składa się z pisarzy, plastyków, profesorów uniwersytetów i pracowników instytucji kulturalnych. Należą do niej: Edward Baławejder, Michał Jagiełło, Ryszard Kapuściński, Alina Kochańczyk, Tadeusz Korwicki, Zofia Kopel-Szulc, István Kovács, Waldemar Michalski, Wojciech Młynarski, Waławac Oszejca, Irena Sławińska, Jerzy Święch (przewodniczący), Bogusław Wróblewski, Bohdan Zadara.

Fundacja prosi o współdziałanie i wsparcie finansowe. Można to uczynić za pośrednictwem redakcji AKCENTU lub dokonać wpłaty na konto:

Bank PKO S.A. Oddział Lublin, nr 12401503-26934158-2700-40112001

Kwartalnik „Akcent” jest od początku swego istnienia (1980 r.) drukowany przez Lubelskie Zakłady Graficzne. Ta firma istnieje już ponad 50 lat. To, że co kwartał możecie Państwo otrzymać nasze pismo w niezmiennie starannej szacie graficznej, zawdzięczamy fachowości, doświadczeniu i solidności pracowników tych Zakładów. Także Wy możecie skorzystać z ich usług!

Redakcja „Akcentu”

LUBELSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE S.A. W LUBLINIE

UL. UNICKA 4,
TEL. 747-14-37, 747-35-00,
FAX: 741-15-21

**OFERUJĄ USŁUGI
POLIGRAFICZNE
w zakresie druku**

- KSIĄŻEK
- KALENDARZY
- FOLDERÓW
- PLAKATÓW
- ETYKIET

(w tym na materiałach samo-
przyklepnych) oraz **inne** według
życzeń zamawiającego

Na pierwszej stronie okładki:
Janusz Przybyłki: *Gra o Manon* – obraz X, 1992, olej+akryl

Na czwartej stronie okładki:
Janusz Przybyłki: *Atelier*, 1996, gwasz

Fotografie barwne:
Sergo Kuruliszwili

Adres redakcji:
20-022 Lublin
ul. Okopowa 7
tel./fax (081) 53 274 69

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótnów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udziela się
urzędy pocztowe, „Ruch” SA i „Jard-Press”.

W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik” – Polish American Daily News;
21 West 38th Street, New York, NY 10018

Szwede Slavic Books; 2233 El Camino Way; Palo Alto, CA 94306.

Mrs Paucz; „Polonia” Bookstore; 2886 Milwaukee Ave., Chicago, IL 60618.

We Francji sprzedaż prowadzi:

Librairie Polonaise (Księgarnia Polska), 123 Bd. St. Germain, 75006 Paryż,
tel. (1) 43260442, télécopie (1) 40510882

Wydawca: EDYTOR PRESS Ltd.
20-601 Lublin, ul. T. Żana 38 C

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne, Lublin, ul. Ulicka 4
Druk ukończono w grudniu 1997 r.

Cena 4 zł